

WARCRAFT

WOJNA STAROŻYTNYCH
TRYLOGIA



KSIĘGA PIERWSZA

STUDNIA WIECZNOŚCI

RICHARD A. KNAAK

RICHARD A. KNAAK



WOJNA STAROŻYTNYCH

Studnia **W**ieczności

The Well of Eternity

Przełożyła: Karolina Post



2007

Spis treści

Karta tytułowa

STRASZLIWE WYCIE NAPEŁNIŁO ECHEM GÓRSKĄ PRZEŁĘCZ

Dedykacja

STUDNIA WIECZNOŚCI

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

PIĘĆ

SZEŚĆ

SIEDEM

OSIEM

DZIEWIĘĆ

DZIESIĘĆ

JEDENAŚCIE

DWANAŚCIE

TRZYNAŚCIE

CZTERNAŚCIE

PIĘTNAŚCIE

SZESNAŚCIE

SIEDEMNAŚCIE

OSIEMNAŚCIE

DZIEWIĘTNAŚCIE

DWADZIEŚCIA

DWADZIEŚCIA JEDEN

DWADZIEŚCIA DWA

DWADZIEŚCIA TRZY

DWADZIEŚCIA CZTERY

STRASZLIWE WYCIE NAPEŁNIŁO ECHEM GÓRSKĄ PRZEŁĘCZ

Na maga spadł wielki, ósmionożny wilczy kształt. Gdyby czarodziej był kimś innym, zginąłby na miejscu, pożarty przez dzikiego szablozębego stwora o czterech lśniących zielonych ślepiach i ośmiu szponiastych łapach. Wilkowate monstrum powaliło go na ziemię, ale okryty magiczną oponczą Rhonin okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Pazury orały materiał, który powinny były rozerwać na strzępy, ale zamiast tego jeden z nich ułamał się z trzaskiem. Bestia zawyla z wściekłością, strosząc szare futro. Rhonin wykorzystał okazję, żeby rzucić prosty, ale skuteczny czar, który już wiele razy ratował mu skórę. Kakofonia światła wybuchła przed szmaragdowymi oczyma stwora, oślepiając go i oszalamiając. Odskoczył w tył, bezskutecznie starając się pacnąć łapą rozbłyskujące wzory.

Już poza zasięgiem stwora, Rhonin zerwał się z ziemi. Nie miał szans na ucieczkę; wystarczyło by odwrócił się plecami do bestii, a zaklęcie ochronne zaczęłoby słabnąć. Jeszcze kilka ciosów pazurami i bestia go rozszarpie. Na wyspie poradził sobie z ghulem za pomocą ognia i nie widział powodu, dla którego taki wypróbowany czar miałby go teraz zawieść. Wymruczał słowa...

...które w niewytłumaczalny sposób rozległy się wspan. Co gorsza, sam zaczął się poruszać w tył, wracając pod wściekle szpony oślepionej bestii.

Czas zaczął płynąć wstecz... ale jak?

*Dla Martina Fajkusa
i moich czytelników
na całym świecie.*

STUDNIA WIECZNOŚCI

JEDEN



Strzelisty, posepny pałac wzniesiony na samej krawędzi wysokiego urwiska nachylał się nad ogromną połacią czarnego jeziora tak bardzo, iż wydawało się, że zaraz runie w jego mroczne odmęty. Kiedy go zbudowano przy użyciu magii, która scalała skałę i las w jedną, spójną formę, wielki, otoczony murami gmach był cudem budzącym zachwyt w duszy każdego, kto nań spojrzeł. Drzewa wzmocnione kamieniami stanowiły jego wieże o spiczastych iglicach i wysokich, otwartych oknach. Mury wzniesiono z wulkanicznych skał związanych ściśle pnączami i gigantycznymi korzeniami. Właściwy pałac utworzono poprzez związanie w magiczny sposób ponad setki olbrzymich, prastarych drzew. Przygięte do środka, tworzyły zaokrąglony szkielet, który obłożono kamieniem i pozwolono obrosnąć pnączom.

Kiedy go zbudowano, budził zachwyt wszystkich; teraz wśród niektórych budził strach. Otaczała go niepokojąca aura, którą wzmagała jeszcze burzowa noc. Nieliczni, którzy spoglądali na starożytną budowlę, teraz odwracali wzrok.

Ci, którzy spoglądali w dół, na jezioro, też nie odnajdywali spokoju. Czarne jak heban wody były wzburzone w nienaturalny, gwałtowny sposób. W oddali spienione fale wysokie jak sam pałac wznosiły się i opadały,

roztrzaskując się z rykiem. Nad taflą wody migały błyskawice, złote, purpurowe albo zgniłozielone. Grzmoty huczały jak tysiąc smoków i zamieszkujący brzegi jeziora zbijali się w ciasne grupki, nie wiedząc, jakiego rodzaju burza zaraz się tu rozpęta.

Na murach otaczających pałac ponurzy strażnicy w ciemnozielonych pancerzach, uzbrojeni w lance i miecze, rozglądali się z niepokojem. Wyglądali nie tylko niemądrych intruzów, ale od czasu do czasu zerkali ukradkiem za siebie... szczególnie na główną wieżę, gdzie wyczuwali działanie nieobliczalnych mocy.

A w owej niebosiężnej wieży, w kamiennej komnacie ukrytej przed wzrokiem niepowołanych osób, wysokie, smukłe postacie w opalizujących turkusowych szatach wyszywanych srebrną nicią w stylizowane motywy roślinne pochylały się nad sześciobocznym wzorem w posadzce. Na środku wzoru płonęły własnym życiem symbole w języku tak archaicznym, że nie znali go nawet czarodzieje.

Spod kapturów spoglądały srebrzyste, pozbawione źrenic oczy nocnych elfów mamroczących słowa zaklęcia. Ich ciemną, fioletową skórę pokryły kropelki potu, gdy magia wewnątrz wzoru się wzmogła. Wszystkie, oprócz jednego wyglądały na znużone, gotowe poddać się wyczerpaniu. Ten jeden, nadzorujący ich pracę, nie patrzył na wzór srebrnymi oczyma jak reszta, ale sztucznymi czarnymi gałkami poprzecinanymi poziomymi smugami rubinu. Jednak choć oczy miał sztuczne, odnotowywał każdy szczegół, każde słowo pozostałych. Na jego pociągłej twarzy, zbyt wąskiej nawet jak na elfa, malowało się gorączkowe oczekiwanie.

Jeszcze jedna osoba przyglądała się temu wszystkiemu, chłonąc każde słowo i każdy gest. Siedziała na zbyt kownym tronie z kości słoniowej i skóry, bujne, srebrne włosy okalały idealne rysy jej twarzy, a jedwabna suknia - złota jak jej oczy - podkreślała doskonałą figurę. Była

ucieleśnieniem królowej w każdym calu. Odchyłona na oparcie tronu, sączyła wino ze złotego pucharu. Wysadzone klejnotami bransolety dzwoniły przy każdym ruchu jej ręki, a rubiny w noszonej przez nią tiarze migotały w blasku czarodziejskich mocy przyzwanym przez pozostałych.

Od czasu do czasu zerkała ukradkiem na postać o ciemnych oczach, wydymając wargi w nieco podejrzliwym grymasie. Ale gdy elf nagle rzucił okiem w jej stronę, jak gdyby wyczuwając na sobie jej wzrok, wszelkie podejrzenia zniknęły, a ich miejsce zajął omdlewający uśmiech.

Elfy skanowały zakłęcia.

Wody czarnego jeziora kotłowały się wściekle.



Wojna wybuchła i dobiegła końca.

Krasus wiedział, że historia odnotuje to, co się wydarzyło. Jednak niewiele miejsca w tych zapisach zajmą niezliczone osobiste tragedie, spustoszone krainy i niedoszły koniec całego śmiertelnego świata.

W takich okolicznościach ulotne są nawet wspomnienia smoków, przyznał w duchu błada. Rozumiał to aż nadto dobrze, bo choć przypominał chudego elfa o jastrzębich rysach, siwiejących włosach i trzech długich bliznach przecinających prawy policzek, był kimś o wiele znaczniejszym. Większość uważała go za czarodzieja, ale nieliczni znali go pod imieniem Korialstrasz - imieniem, jakie mógł nosić tylko smok.

Krasus urodził się smokiem, majestatycznym czerwonym smokiem, i był najmłodszym z oblubieńców wielkiej Alexstraszy. Ona sama, Dawczyni Życia, była jego najdroższą towarzyszką... a jednak po raz kolejny opuścił ją, aby badać losy i przyszłość żyjących krócej ras.

Z wyciosanej w skale kryjówki, którą wybrał na swój nowy azyl, Krasus spoglądał na świat Azeroth. Błyszczący szmaragdowy kryształ pozwalał mu zobaczyć dowolną krainę, dowolną osobę.

Wszędzie, gdzie spojrzął, smoczy mag widział zniszczenia.

Wydawało się, że minęło zaledwie kilka lat od chwili, gdy groteskowe, zielonoskóre potwory zwane orkami, które najechały świat z zewnątrz, zostały pokonane. Ich niedobitki trzymano w obozach i Krasus wierzył, że świat dojrzał do pokoju. Jednak pokój okazał się krótkotrwały. Sojusz - stworzona koalicja stojąca podczas wojny na czele zbrojnego oporu - zaczął się natychmiast sypać, a jego członkowie zaczęli rywalizować o władzę. Było to po części winą smoków - albo jednego smoka, Skrzydeł Śmierci, - ale przede wszystkim efektem chciwości i pożądlivosti ludzi, krasnoludów i elfów. Ale nawet to nie zmartwiłoby Krasusa, gdyby nie przybycie Płonącego Legionu.

Dziś Krasus przyglądał się odległemu Kalimdorowi leżącemu po drugiej stronie morza. Nawet teraz niektóre obszary kontynentu wyglądały jak po straszliwej erupcji wulkanu. Nie zostało się tam żadne istnienie, nic, co mogłoby uchodzić za cywilizację. Ale nie spowodowała tego żadna naturalna katastrofa. Płonący Legion zostawiał za sobą jedynie śmierć.

Płomienne demony przybyły z miejsca poza rzeczywistością. Szukały magii, a gdy ją znalazły, pożerały. Atakując razem ze swoimi potwornymi sługami, Plagą Nieumarłych, miały zamiar obrócić Azeroth w gruzy. A jednak nie przewidziały najbardziej nieprawdopodobnego z sojuszy...

Orki, będące niegdyś ich marionetkami, zwróciły się przeciwko nim. Dołączyły do ludzi, elfów, krasnoludów i smoków, aby zdziesiątkować demonicznych wojowników i nieumarłe bestie i zepchnąć ich niedobitki do piekielnych zaświatów, z których przybyły. Tysiące zginęły, ale alternatywą było...

Smoczy mag prychnął. Prawdę mówiąc, nie było żadnej alternatywy. Krasus machnął długimi, smukłymi palcami nad kulą, przywołując wizję orków. Obraz zamazał się na chwilę, a potem ukazał górzysty, skalisty teren położony w głębi lądu. Była to surowa kraina, ale wciąż pełna życia i zdolna do wykarmienia nowych osadników.

W głównej osadzie, gdzie rządził wódz orków i jeden z bohaterów wojny, Thrall, wzniesiono już nawet kilka kamiennych budowli. Wysoki, zaokrąglony budynek służący mu za kwaterę był prymitywny według standardów każdej innej rasy, ale orki lubiły prostotę. Już samo posiadanie miejsca stałego zamieszkania było dla orka czymś niezwykłym. Orki były koczownikami i więźniami przez tak długi czas, że pojęcie „domu” stało im się zupełnie obce.

Kilka rosnących zielonych postaci uprawiało pole. Przyglądając się tym brutalnie wyglądającym stworom o sterczących kłach, Krasus nie mógł się nadziwić, że zostały rolnikami. Jednak Thrall był bardzo niezwykłym orkiem i w krótkim czasie przyswoił sobie idee, które miały przywrócić jego ludowi stabilizację.

Stabilizacja była czymś bardzo potrzebnym całemu światu. Kolejnym ruchem ręki smoczy mag odegnał obraz Kalimdoru, przywołując znacznie bliższe miejsce - dumną niegdyś stolicę Dalaran. Rządzony przez potężnych czarodziejów z Kirin Tor Dalaran stał się przyczółkiem Sojuszu w Lordaeronie i jednym z pierwszych i głównych celów ataków demonów.

Połowa Dalaranu leżała w ruinach. Dumne niegdyś iglice zostały strzaskane. Wielkie biblioteki spalone. Wiedza wielu pokoleń utracona... a wraz z nią niezliczone życia. Nawet rada bardzo ucierpiała. Kilka osób, które Krasus uważał za przyjaciół, a przynajmniej godnych szacunku kolegów, zostało zamordowanych. Przywództwo ogarnął chaos i wiedział, że musi wyciągnąć do nich pomocną dłoń. Dalaran powinien mówić

jednym głosem, nawet jeśli tylko po to, żeby utrzymać to, co zostało z rozbitego Sojuszu.

Lecz choć przyszłość malowała się w ponurych barwach, smok nie tracił nadziei. Problemy tego świata nie były nieprzewyciężone. Już nie musieli się obawiać orków ani demonów. Azeroth czekała mozolna walka, ale Krasus był przekonany, że czeka je rozkwit.

Zostawił szmaragdowy kryształ i wstał. Królowa Smoków, jego ukochana Alexstrasza, czekała na niego. Podejrzewała, że pragnie pomóc śmiertelnemu światu i rozumiała to najlepiej ze wszystkich smoków. Zaraz przybierze swoją prawdziwą postać, pożegna się z nią - na jakiś czas - i odleci, zanim zatrzymają go wątpliwości.

Swój azyl wybrał nie tylko ze względu na odludne położenie, ale i jego ogrom. Po wyjściu z mniejszej komnaty Krasus wkroczył do przestronnej pieczary, która dorównywała wysokością zburzonym wieżom Dalaranu. Mogłaby tu rozbić obóz cała armia, a i tak zostałyby jeszcze trochę miejsca.

Wielkość w sam raz dla smoka.

Krasus rozpostarł ramiona... a kiedy to zrobił, jego smukłe palce zrobiły się jeszcze dłuższe i wysunęły się z nich szpony. Grzbiet wygiął się, a spomiędzy łopatek wyrosły bliźniacze wypustki, które błyskawicznie przekształciły się w skrzydła. Pociągłe, elfie rysy twarzy wydłużyły się jeszcze bardziej, przechodząc w gadzie.

Podczas tych przemian ciało Krasusa cały czas rosło. Stał się cztery, pięć, nawet dziesięć razy większy od człowieka i wciąż rósł. Jakiegokolwiek podobieństwo do człowieka czy elfa szybko zniknęło. Z czarodzieja Krasus przedzierzgnął się w Korialstrasza, smoka. Ale w samym środku transformacji usłyszał w umyśle rozpaczliwy głos.

Kor... strasz...

Zawahał się, powracając prawie zupełnie do postaci czarodzieja. Zamrugał, a potem rozejrzał się po ogromnej komnacie, jak gdyby szukał źródła wołania. Nic. Smoczy mag czekał i czekał, ale wołanie się nie powtórzyło. Uznając, że się przesłyszał, rozpoczął ponownie transformację. I znów rozpaczliwy głos zawołał: *Korialstra...*

Tym razem... rozpoznał go. Natychmiast odpowiedział w podobny sposób: *Słyszę cię! Czego chcesz ode mnie?*

Nie otrzymał odpowiedzi, ale wciąż wyczuwał wiszącą w powietrzu desperację. Koncentrując się, spróbował nawiązać kontakt z istotą, która tak bardzo potrzebowała jego pomocy, istotą, której żadna pomoc nie powinna być potrzebna.

Jestem tutaj!, zawołał smoczy mag. *Wycuj mnie! Przekaż mi, co się stało!*

W odpowiedzi poczuł leciutki dotyk, bledy cień czyjegoś niepokoju. Krasus skupił wszystkie myśli na tym lichym połączeniu w nadziei, że...

Przytłaczająca obecność smoka, którego magia tysiąckrotnie przewyższała jego własną, sprawiła, że Krasus się zatoczył. Poczł na sobie brzemie stuleci, podeszłego wieku. Krasus miał wrażenie, że otoczył go sam Czas w swym straszliwym majestacie.

Nie Czas... niezupełnie... ale ten, który był Aspektem Czasu.

Smok Wieków... Nozdormu.

Istniały tylko cztery wielkie smoki, cztery Wielkie Aspekty, z których jego ukochana Alexstrasza była Życiem. Szalony Malygos był Magią, a eteryczna Ysera miała wpływ na Sny. To one, wraz z zadumany Nozdormu, reprezentowały stworzenie.

Krasus się skrzywił. Tak naprawdę było pięć Aspektów. Piąty nazywał się kiedyś Neltharion... Strażnik Ziemi. Ale dawno temu, w czasach, których nawet Krasus dobrze nie pamiętał, Neltharion zdradził swoich

towarzyszy. Strażnik Ziemi zwrócił się przeciwko nim, zyskując nowy, bardziej stosowny tytuł.

Skrzydła Śmierci. Niszczyciel.

Na samą myśl o Skrzydłach Śmierci Krasus zapomniał o zdumieniu. Bezwiednie dotknął palcami trzech blizn na policzku. Czyżby Skrzydła Śmierci powrócił, aby nękać świat? Czy dlatego wielki Nozdormu tak się niepokoił?

Słyszę cię!, odkrzyknął mentalnie Krasus, teraz jeszcze bardziej przestraszony. *Słyszę cię! Czy... czy chodzi o Niszczyciela?*

Ale w odpowiedzi znów zalała go przytłaczająca fala zaskakujących obrazów. Wryły mu się one w pamięć tak mocno, że już nigdy miał ich nie zapomnieć.

Krasus w obu postaciach, choć zdolny i potężny, nie mógł dorównać nieokiełznanej mocy Aspektu. Siła mentalnej potęgi drugiego smoka cisnęła nim o najbliższą ścianę, gdzie osunął się na ziemię.

Dopiero po kilku minutach zdołał wstać, ale nawet wtedy kręciło mu się w głowie. Pokawałkowane, cudze myśli atakowały jego zmysły. Z trudem zachowywał przytomność.

Ale powoli natłok wrażeń ustabilizował się na tyle, że Krasus zdał sobie sprawę z wagi tego, co się właśnie wydarzyło. Nozdormu, Pan Czasu, wołał rozpaczliwie o pomoc... pomoc Krasusa. Specjalnie zwrócił się do pomniejszego smoka, nie do jednego ze swoich towarzyszy.

Ale coś, co mogło do tego stopnia zdenerwować Aspekt, musiało stanowić ogromne zagrożenie dla Azeroth. Dlaczego w takim razie wybrał samotnego czerwonego smoka, a nie Alexstraszę albo Yserę?

Krasus spróbował jeszcze raz nawiązać kontakt z wielkim smokiem, ale znów zakręciło mu się w głowie. Odzyskując równowagę, próbował zdecydować, co robić. Zwłaszcza jeden obraz domagał się ciągle jego

uwagi, widok zasypanej śniegiem górskiej krainy w Kalimdorze. Cokolwiek Nozdormu chciał mu wytłumaczyć, miało to coś wspólnego z tym ponurym miejscem.

Będzie musiał to zbadać, ale potrzebował zdolnego towarzysza, kogoś, kto potrafi się łatwo dostosować. Choć Krasus był dumny z własnych zdolności adaptacyjnych, przedstawiciele jego gatunku byli w większości uparci i przywiązani do swoich zwyczajów. Potrzebował kogoś, kto będzie go słuchał, ale jednocześnie będzie potrafił natychmiast zareagować na rozwój wydarzeń. Nie, do tak nieprzewidywalnego zadania nadawała się tylko jedna osoba. Człowiek.

A zwłaszcza pewien człowiek o imieniu Rhonin.
Czarodziej...



A w Kalimdorze, na stepach dzikiej krainy, stary ork nachylił się nad kopącym ogniskiem. Mamrocząc słowa pochodzące z innego, dawno utraconego świata, zielona jak mech postać dorzuciła kilka liści do ogniska, znad którego uniósł się jeszcze gęstszy dym. Opary wypełniły skromną lepiankę.

Stary łysy ork nachylił się nad ogniem i wciągnął dym w nozdrza. Jego znużone brązowe oczy były przekrwione, a skóra obwisła. Zęby miał pożółkłe, wyszczerbione, a jeden z kłów odłamał się wiele lat temu. Z trudem wstawał samodzielnie, a chodził przygarbiony, wlokąc się noga za nogą.

A jednak nawet najodważniejszy wojownik oddawał mu hołd jako szamanowi. Szczypta sproszkowanej kości, kilka jagód... wszystko to

stanowiło część prastarej tradycji wskrzeszonej przez orków. Ojciec Kalthara nauczył go tego wszystkiego za mrocznych lat przynależności do Hordy, tak jak dziad Kalthara nauczył jego.

A teraz, po raz pierwszy w życiu, sędziwy szaman miał nadzieję, że dobrze go nauczono. W głowie słyszał głosy duchów świata, który orki nazywały teraz domem. Zwykle mamrotały o błahostkach, codziennych sprawach, ale teraz szeptały z niepokojem, ostrzegając... ostrzegając...

Ale przed czym? Musiał się dowiedzieć czegoś więcej.

Kalthar sięgnął do sakiewki przy pasie i wyjął z niej trzy czarne wysuszone liście. Było to prawie wszystko, co zostało z pojedynczej rośliny pochodzącej z dawnego świata orków. Kalthara przestrzegano, żeby użyć ich tylko w razie najwyższej konieczności. Jego ojciec nigdy ich nie użył, jego dziad też nie.

Szaman cisnął liście w płomienie.

Dym natychmiast skręcił się w grubą, błękitną smugę. Nie czarną, ale niebieską. Ork zmarszczył brwi, zdziwiony tą zmianą koloru, ale znów nachylił się nad ogniem i wciągnął w płuca jak najwięcej dymu.

Świat uległ przemianie, a wraz z nim ork. Stał się ptakiem, wielkim ptakiem szybującym nad ziemią. Przelatywał beztrosko nad górami. Jego oczy widziały najmniejsze zwierzęta, najdalsze rzeki. Kalthara ogarnęło uniesienie, jakiego nie zaznał od czasów młodości, ale pokonał je. Poddanie mu się mogło grozić utratą własnego ja. Mógłby już zawsze latać jako ptak, nie wiedząc, kim był kiedyś.

W chwili, w której o tym pomyślał, zauważył jakąś nieprawidłowość w naturze świata, prawdopodobny powód obaw głosów. Było to coś, czego nie powinno tu być. Skręcił w stronę, która wydawała się właściwa, z każdą chwilą czując coraz większy niepokój.

W samym sercu łańcucha górskiego szaman odkrył źródło swojego niepokoju. Jego uczony umysł wiedział, że postrzega ideę, a nie właściwą rzecz. Kaltharowi wydawało się, że widzi lej wodny - ale taki, który pochłaniał i wypluwał jednocześnie. Tym, co wydostawało się i zapadało w jego głębię, były dni i noce, miesiące i lata. Wydawało się, że lej pożera i wyrzuca z siebie czas. Widok ten oszołomił szamana do tego stopnia, że dopiero w ostatniej chwili spostrzegł, iż teraz lej usiłuje wciągnąć jego. Natychmiast spróbował się uwolnić. Załopotał skrzydłami, napiął mięśnie. Umysłem sięgnął ku swojej fizycznej postaci, szarpiąc cienką jak babie lato nici łączącą ciało z duszą, usiłując przerwać trans.

Lej wciąż przyciągał go ku sobie.

Zdesperowany Kalthar zawołał na pomoc swoich duchowych przewodników, modląc się, by dali mu siłę. Przybyli, tak jak się spodziewał, ale z początku działali zbyt wolno. Lej wypełnił całe pole widzenia szamana, wydawało się, że go otacza... Świat gwałtownie okręcił się wokół Kalthara. Lej, góry... wszystko zawirowało wokół niego.

Obudził się z cichym okrzykiem na ustach.

Skrajnie wyczerpany, prawie runął twarzą w płomień ogniska. Głosy, które nie przestawały mamrotać, teraz ucichły. Ork siedział na ziemi w swojej lepiance, próbując przekonać samego siebie, że teraz przebywa już całym sobą w śmiertelnym świecie. Duchowi przewodnicy uratowali go, choć niewiele brakowało. Ale tej pokrzepiającej myśli towarzyszyło wspomnienie tego, czego był świadkiem podczas wizji... i co to oznaczało.

- Muszę powiedzieć Thrallowi... - wymamrotał, zmuszając stare, zmęczone nogi do powstania. - Muszę mu szybko powiedzieć... inaczej znów stracimy nasz dom... nasz świat...

DWA



To zły znak, uznał Rhonin, wpatrując się intensywnie zielonymi oczyma w wynik wróżb. *Każdy czarodziej byłby tego zdania.*

– Jesteś pewien? - zawołała Vereesa z drugiego pokoju. - Sprawdziłeś odczyt?

Rudowłosy mag kiwnął głową, a potem się skrzywił, uświadamiając sobie, że przecież elfka go nie widzi. Musiał jej to powiedzieć stojąc z nią twarzą w twarz. Zaslugiwała na to. *Mam nadzieję, że jest wystarczająco silna.*

Ubrany w granatowe spodnie i kurtkę obszytą złotem bardziej przypominał teraz polityka niż maga, ale przez kilka ostatnich lat musiał być zarówno magiem, jak i dyplomatą. Dyplomacja nigdy nie była jego najmocniejszą stroną - wolał od razu brać byka za rogi. Gęsta grzywa włosów i krótka broda sprawiały, że przypominał trochę lwa, co świetnie pasowało do jego charakteru, kiedy musiał pertraktować z zepsutymi, aroganckimi ambasadorami. Nos, złamany i nigdy nie nastawiony - z jego wyboru - podkreślał jeszcze ognisty temperament.

– Rhoninie... czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś?

Nie mógł kazać jej dłużej czekać. Musiała znać prawdę, jak straszna by ona nie była.

– Idę, Vereeso.

Odłożył magiczne przyrządy, wziął głęboki oddech i wrócił do elfki. Ale na progu przystanął. Widział tylko jej twarz - piękny, idealny owal, w którym osadzone były urzekające migdałowe oczy barwy czystego błękitu, drobny, zadarty nosek i kuszące usta prawie zawsze rozchylone w półuśmiechu. Twarz Vereesy otaczała burza srebrnych włosów, które, gdy stała, sięgały jej do pasa. Mogłaby uchodzić za ludzką kobietę, gdyby nie długie wystające spomiędzy włosów, spiczaste uszy zdradzające jej rasę.

– I co? - zapytała cierpliwie.

– To... to będą bliźnięta.

Jej twarz rozpromieniła się, przez co wydała mu się jeszcze doskonalsza.

– Bliźnięta! Cóż za szczęśliwy traf! Cudownie! Byłam tego pewna.

Zmieniła pozycję na drewnianym łóżku. Szczupła, acz krągła elfia łowczyni była w zaawansowanej ciąży. Nie nosiła napierśnika ani skózanego pancerza. Miała teraz na sobie srebrzystą suknię podkreślającą bliskie rozwiązanie.

To, jak szybko się zaokrągliła, powinno było dać im do myślenia, ale Rhonin nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Byli małżeństwem od zaledwie kilku miesięcy, kiedy odkryła swój stan. Oboje przyjęli to z obawą, bo nie dość, że małżeństwa ludzi z elfami rzadko odnotowywano w annałach, to związki takie nigdy jeszcze nie zaowocowały potomstwem.

A teraz spodziewali się narodzin nie jednego, a dwojga dzieci.

– Chyba nie rozumiesz, Vereeso. Bliźnięta! Bliźnięta maga i elfki!

Ale jej twarzy wciąż promieniała radością i zachwytem.

– Elfki rzadko wydają na świat potomstwo, a jeszcze rzadziej bliźnięta!

Ich przeznaczeniem będą wielkie czyny!

Rhonin nie potrafił powstrzymać kwaśnego grymasu.

– Wiem. Właśnie to mnie martwi...

On i Vereesa mieli już na swoim koncie dość „wielkich czynów”. Razem przedarli się do orczej twierdzy Grim Batol w ostatnich dniach wojny z Hordą, gdzie stawili czoła nie tylko orkom, ale także smokom, goblinom, trollom i innym istotom. Potem podróżowali z jednej krainy do drugiej w charakterze swego rodzaju ambasadorów, których zadaniem było przypominanie członkom Sojuszu, jak ważne jest jego przetrwanie. Nie oznaczało to jednak, że nie ryzykowali wówczas życiem, gdyż pokój, jaki nastał po wojnie, był w najlepszym wypadku chwiejny.

A potem, bez ostrzeżenia, pojawił się Płonący Legion.

Do tego czasu coś, co zaczęło się jako współpraca dwójki nieufnych sprzymierzeńców, przerodziło się w przedziwny związek dwóch bratnich dusz. W trakcie wojny z morderczymi demonami mag i łowczyni walczyli tyleż za swoje krainy, co za siebie nawzajem. Więcej niż raz myśleli już, że to drugie zginęło, i ból, jaki wówczas odczuwali, był dla obojga nie do zniesienia.

Być może ból rozłąki wydawał się gorszy z powodu śmierci tych wszystkich, których kochali, a których zdążyła zabrać śmierć. Zarówno Dalaran, jak Quel'Thalas zostały spustoszone przez Plagę Nieumarłych, a tysiące wymordowane przez gnijące monstra służące straszemu Królowi Liczowi, który był na usługach Legionu. Całe miasta ginęły straszliwą śmiercią, a sytuację jeszcze pogarszał fakt, że wiele ofiar wkrótce wstawało z martwych, a ich przeklęte cielesne powłoki zasilają szeregi Nieumarłych.

Nieliczni członkowie rodziny Rhonina zginęli na samym początku wojny. Jego matka nie żyła od dawna, ale ojciec, brat i dwaj kuzyni zostali zabici podczas upadku miasta Andorhal. Na szczęście zdesperowani obrońcy, nie mając nadziei na ratunek, podpalili miasto. Nawet Nieumarli nie byli w stanie wskrzesić wojowników z popiołów.

Rhonin nie widział się z nimi - nawet z ojcem - odkąd wstąpił w szeregi czarodziejów, ale poczuł w sercu pustkę, gdy dotarły do niego wieści o ich śmierci. Rozbrat między nim a jego krewnymi - spowodowany w dużej mierze wyborem drogi, jakiego dokonał - zniknął w tej samej chwili. Znaczenie miało tylko to, że był ostatnim członkiem swojej rodziny. Był całkiem sam.

Sam, dopóki nie uzmysłowił sobie, że uczucia, jakie budzi w nim odważna elfia łowczyni, są odwzajemnione. Kiedy straszliwe zmagania dobiegły wreszcie końca, pozostało im tylko jedno logiczne wyjście. Wbrew przerażonym głosom ludu Vereesy i mistrzów Rhonina postanowili, że już nigdy się nie rozstaną. Zawarli umowę małżeńską i spróbowali rozpocząć na tyle normalne życie, na ile było to możliwe w świecie przeorany wojenną zawieruchą.

Oczywiście, pomyślał gorzko mag, spokój nie był nam pisany.

Vereesa wstała z łóżka, zanim zdążył jej pomóc. Choć czas rozwiązania był już bliski, wciąż poruszała się szybko i zwinnie. Elfka objęła Rhonina.

– Oj, wy czarodzieje! Zawsze spodziewacie się najgorszego! A myślałam, że to elfy są czarnowidzami! Ukochany, to będzie szczęśliwy poród, szczęśliwa dwójka dzieci! Dopilnujemy tego!

Wiedział, że ma rację. Żadne z nich nie zrobiłoby nic, co mogłoby zaszkodzić dzieciom. Kiedy dowiedzieli się o jej stanie, zrezygnowali z prób odbudowania rozbitego Sojuszu i osiedlili się w jednym z najspokojniejszych regionów, jakie się ostały, niedaleko spustoszonego Dalaranu, ale nie za blisko. Mieszkali w skromnym, ale nie prymitywnym domu, a ludzie z pobliskiego miasteczka darzyli ich szacunkiem.

Jej pewność siebie i nadzieja wciąż go zdumiewały, zważywszy na straty, jakie poniosła. Jeśli Rhonin czuł w sercu pustkę po utracie rodziny, o której prawie zdążył zapomnieć, w sercu Vereesy musiała ziać ogromna

czeluść. Quel'Thalas, kraina bardziej legendarna i z pewnością lepiej chroniona niż nawet rządzony przez magów Dalaran, została zrównana z ziemią. Elfi fortece oszczędzone przez upływ stuleci padły w ciągu kilku zaledwie dni, a ich dumni niegdyś obrońcy zasilili szeregi Nieumarłych równie łatwo jak zwykli ludzie. Wśród nich znaleźli się członkowie klanu Vereesy... i kilku członków jej najbliższej rodziny.

Od swojego dziadka dowiedziała się o rozpaczliwej walce, jaką stoczył z ożywionym trupem własnego syna, jej wuja. Od niego też usłyszała, jak jej młodszy brat został rozszarpany przez wygłodniałą zgraję Nieumarłych pod wodzą ich starszego brata, który później został podpalony i unicestwiony wraz z resztą Plagi przez ocalałych obrońców. Jaki los spotkał jej rodziców, nikt jeszcze nie wiedział, ale ich również uznano za zmarłych.

A Rhonin nie powiedział jej... może nigdy nie będzie miał śmiałości jej powiedzieć o straszliwych pogłoskach, jakie słyszał o jednej z sióstr Vereesy, Sylvanas.

Druga siostra Vereesy, Alleria, była bohaterką Drugiej Wojny. Ale Sylvanas, której żona Rhonina starała się dorównać przez całe życie, dowodziła walką przeciwko zdrajcy Arthasowi, księciu Lordaeron. Niegdyś nadzieja swego kraju, teraz wynaturzony sługa Legionu i Nieumarłych, spustoszył własne królestwo, a potem poprowadził nieumarłą zgraję na elfią stolicę Silvermoon. Sylvanas zastępowała mu drogę na każdym kroku i przez jakiś czas wydawało się, że w końcu go pokona. Ale tam, gdzie zawiodły powłóczące nogami trupy, ponure gargulce i ohydne monstra, czarna nekromancja zapewniła zdrazieckiemu szlachcicowi zwycięstwo.

Zgodnie z oficjalną wersją wydarzeń Sylvanas zginęła bohaterską śmiercią, usiłując przeszkodzić niewolnikom Arthasa w wymordowaniu mieszkańców Silvermoon. Elfi przywódcy, nawet dziad Vereesy, twierdzili,

że ciało łowczyni spłonęło w tym samym pożarze, który strawił połowę stolicy. Z pewnością nie został po niej żaden ślad.

Ale choć dla Vereesy historia kończyła się w tym miejscu, poprzez swoje źródła w Kirin Tor i Quel'Thalas Rhonin dotarł do wiadomości o Sylvanas, które zmroziły mu krew w żyłach. Na wpół oszalały łowca, któremu udało się przeżyć, bełkotał, że jego generał została pojmana, ale nie zabita. Została straszliwie okaleczona, a w końcu uśmiercona dla przyjemności Arthasa. Wreszcie księżę zabrał jej trupa do mrocznej świątyni wzniesionej w przyływie szaleństwa, gdzie splugawił jej ciało i duszę, przemieniając bohaterską elfkę w zwiastunkę złych wieści - udręczone, żałosne widmo zwane banshee, które ponoć wciąż włóczyło się po ruinach Quel'Thalas.

Rhonin nie był w stanie zweryfikować prawdziwości tych pogłosek, ale był pewny, że jest w nich sporo prawdy. Modlił się, by Vereesa nigdy nie usłyszała tej historii.

Tyle tragedii... nic dziwnego, że Rhonin nie potrafił wyzbyć się obaw, gdy chodziło o jego nową rodzinę.

Westchnął.

– Może kiedy się urodzą, poprawię się. Po prostu się denerwuję.

– Co jest cechą troskliwego rodzica. - Vereesa wróciła na łóżko. - Poza tym nie jesteśmy sami. Pomaga nam Jalia.

Jalia była starszą, pulchną kobietą, która urodziła sześcioro dzieci i pomogła przyjść na świat kilka razy większej ich liczbie. Rhonin był pewny, że ludzka kobieta będzie nieufna wobec elfki - nie mówiąc już o elfce, która miała za męża czarodzieja - ale Jalii wystarczył jeden rzut oka na Vereesę i jej instynkt macierzyński wziął górę. Choć Rhonin dobrze jej płacił za czas poświęcony żonie, podejrzewał, że mieszcza pomogłaby im i za darmo, tak bardzo polubiła Vereesę.

– Chyba masz rację - zaczął. - Po prostu...

Głos... znajomy głos rozległ się w jego umyśle.

Głos, który na pewno nie przynosił dobrych wieści.

Rhoninie... Potrzebuję cię...

– Krasus? - wyrwało się magowi.

Vereesa usiadła na łóżku, z jej twarzy zniknęła cała radość.

– Krasus? Co z nim?

Oboje znali mistrza magii, członka Kirin Tor. To Krasus doprowadził do ich spotkania. I to on nie powiedział im całej prawdy o powierzonej im misji, zwłaszcza o roli, jaką sam w niej odgrywał.

Dopiero później odkryli w dramatycznych okolicznościach, że Krasus jest również smokiem Korialstraszem.

– To... to Krasus. - Było to wszystko, co Rhonin potrafił w tej chwili powiedzieć.

Rhoninie... Potrzebuję cię...

Nie pomogę ci!, odpowiedział natychmiast mag. *Zrobiłem już swoje! Wiesz, że teraz nie mogę jej zostawić!*

– Czego chce? - zapytała Vereesa. Tak jak czarodziej wiedziała, że Krasus nie kontaktowałby się z nimi gdyby nie chodziło o coś naprawdę poważnego.

Zanim odrzucisz moją prośbę, pozwól że coś ci pokażę... oznajmił głos. *Pozwólcie, że wam pokażę...*

Rhonin nie zdążył zaprotestować, gdy jego umysł wypełniły obrazy. Przeżył zdumienie Krasusa, gdy skontaktował się z nim Pan Czasu, doświadczył szoku smoczego maga, gdy desperacja Aspektu stała się oczywista. Wszystko, czego doświadczył Krasus, przeżywali teraz czarodziej i jego żona.

W końcu Krasus przytłoczył ich wizją miejsca, które uznał za przyczynę niepokoju Nozdormu, zimnego i nieprzystępnego łańcucha poszarpanych

górkich szczytów.

Kalimdor.

Cała wizja trwała tylko kilka sekund, ale wyczerpała Rhonina. Z łóżka dobiegło go westchnienie. Odwróciwszy się, czarodziej zobaczył, że Vereesa osunęła się na puchową poduszkę.

Ruszył w jej stronę, ale uspokoiła go machnięciem ręki.

– Nic mi nie jest... po prostu zaparło mi dech. Daj mi chwilę...

Rhonin oddałby jej całą wieczność, ale innym nie miał zamiar poświęcić nawet sekundy. Przywołując w myślach obraz Krasusa, czarodziej odpowiedział: *Wysyłaj na swoje wyprawy kogoś innego! Ja już z tym skończyłem! Mam ważniejsze rzeczy na głowie!*

Krasus milczał i Rhonin zastanawiał się, czy ta odpowiedź skłoniła jego dawnego mistrza do poszukania innego pionka. Szanował Krasusa, a nawet go lubił, ale Rhonin, którego szukał smoczy mag, już nie istniał. Teraz obchodziła go tylko jego własna rodzina.

Ale ku jego zaskoczeniu ta, która powinna być jego głównym sojusznikiem, nagle wymruczała:

– Oczywiście będziesz musiał natychmiast wyruszyć.

Popatrzył na Vereesę.

– Nigdzie się nie wybieram!

Wyprostowała się.

– Musisz. Widziałeś to, co ja. Nie wzywa cię dla jakiejś błahostki! Krasus jest bardzo zmartwiony... a to, co martwi jego, mnie przeraża.

– Kiedy nie mogę cię teraz zostawić! - Rhonin upadł na jedno kolano obok łóżka. - Nie zostawię ani ciebie, ani ich!

Na twarz Vereesy wypełzł cień jej łowieckiej przeszłości. Mrużąc groźnie oczy, odparła:

– Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest narażanie cię na niebezpieczeństwa! Nie chcę poświęcić ojca moich dzieci, ale to, co widzieliśmy, może oznaczać straszliwe zagrożenie dla świata, na którym się narodzą! Już tylko z tego powodu twój wyjazd ma sens. Gdyby nie mój stan, stanęłabym u twego boku, wiesz o tym.

– Oczywiście.

– Mówię sobie, że Krasus jest silny. A jeszcze silniejszy jako Korialstrasz! Mówię sobie, że pozwalam ci wyruszyć tylko dlatego, że będziecie razem. Wiesz, że nie prosiłby cię o pomoc, gdyby nie wierzył, że dasz sobie radę.

Była to prawda. Smoki szanowały tylko nielicznych śmiertelników. To, że Krasus, w tej czy innej postaci, prosił go o pomoc, wiele znaczyło... a jako pomocnik lewiatana Rhonin mógł liczyć na najlepszą możliwą ochronę.

Co mogło pójść źle?

Pokonany, Rhonin kiwnął głową.

– Dobrze, już dobrze. Dasz sobie radę do przyścia Jalii?

– Z mojego łuku kładłam trupem orki ze stu jardów. Walczyłam z trollami, demonami i nie tylko. Przemierzyłam wzdłuż i wszerz prawie cały Azeroth... tak, ukochany, myślę, że dam sobie radę do przyścia Jalii.

Pochylił się i pocałował ją.

– Więc lepiej dam Krasusowi znać, że przybędę. Jak na smoka jest strasznie niecierpliwy!

– Wziął na swoje barki sprawy tego świata, Rhoninie.

To wciąż nie wzbudzało w czarodzieju nadmiernego współczucia. Odporny na upływ czasu smok nadawał się znacznie lepiej do zapobiegania straszliwym kryzysom niż zwykły śmiertelny czarodziej czekający na narodziny dziecka.

Skupiając się na zapamiętanym obrazie smoczego maga, Rhonin sięgnął myślą ku swemu dawnemu opiekunowi. *Dobrze, Krasusie, pomogą ci. Gdzie się spot...*

Czarodzieja otoczyła ciemność. Z oddali dobiegł go słaby głos Vereesy wołającej jego imię. Zakręciło mu się w głowie.

Buty czarodzieja stuknęły nagle o twardą skałę. Każda kość w jego ciele zatrzęsała się pod wpływem uderzenia i niewiele brakowało, żeby się przewrócił.

Stał w ogromnej pieczarze, którą wydrążyło coś więcej niż kaprysy natury. Sklepienie było niemal idealnym owalem, a ściany były doskonale gładkie. Słabe oświetlenie bez żadnego widocznego źródła ukazało mu samotną postać w długich szatach czekającą na środku jaskini.

– A więc... - zdołał wykrztusić Rhonin. - A więc spotykamy się tutaj.

Krasus wskazał długą, obleczoną w rękawiczkę dłońią w lewo.

– Tam znajdziesz tobołek z racjami żywności i wodą dla siebie. Weź go i chodź za mną.

– Nawet nie zdążyłem pożegnać się z żoną... - mruknął Rhonin, idąc po duży skórzany tobołek, który zarzucił sobie na ramię.

– Przykro mi - odparł smoczy mag, idąc przodem. - Dopilnowałem, żeby miała pomoc. Będzie bezpieczna podczas naszej nieobecności.

Już po kilku sekundach słuchania Krasusa Rhonin przypomniał sobie, jak często smok zakładał z góry, że młody czarodziej zachowa się w taki czy inny sposób, nie czekając wcale na jego decyzję. Krasus uznał widać, że kwestia zgody Rhonina na udział w wyprawie jest już przesądzona.

Ruszył za wysoką chudą postacią w stronę wylotu wielkiej jaskini. Rhonin wiedział, że Krasus przeniósł swoją kryjówkę po wojnie z orkami, ale nie wiedział dokąd. Teraz zobaczył, że z jaskini roztacza się widok na znajome mu góry, położone wcale nie tak daleko od jego własnego domu.

Jednak w przeciwieństwie do gór Kalimdoru te zamiast budzić grozę miały w sobie majestatyczne piękno.

– Jesteśmy prawie sąsiadami - zauważył sucho.

– Przypadek, ale umożliwił mi sprowadzenie cię tutaj. Gdybym spróbował cię ściągnąć do jaskini mojej królowej, osłabiłoby mnie to o wiele bardziej, a chciałem zachować jak najwięcej mocy.

Ton, jakim to powiedział, sprawił, że Rhonin wyzbył się całej wcześniejszej niechęci. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Krasus był tak zatroskany.

– Wspomniałeś o Nozdormu, Aspekcie Czasu. Czy udało ci się znów z nim skontaktować?

– Nie... i dlatego musimy zachować wszelkie środki ostrożności. Nie wolno nam posłużyć się magią, aby dostać się na miejsce. Będziemy musieli polecieć.

– Ale jak mamy polecieć, skoro nie będziemy używać magii...

Krasus rozpostarł ramiona... które w tej samej chwili uległy przemianie - pokryły się łuskami i wyrosły z nich szpony. Jego ciało gwałtownie zwiększyło rozmiary, a z pleców wyrosły szerokie błoniaste skrzydła. Wąska twarz Krasusa rozciągnęła się i wykręciła, stając się paszczą gada.

– No jasne - mruknął Rhonin. - Głupiec ze mnie...

Smok Korialstrasz spoglądał w dół na swojego maleńkiego towarzysza.

– Wespnij się na mój grzbiet, Rhoninie. Czas na nas.

Czarodziej posłuchał niechętnie, przypominając sobie, jak najlepiej się usadowić, żeby było wygodnie i bezpiecznie. Wsunął stopy pod szkarłatne łuski, a potem przywarł do żyłastego karku smoka. Palce zacisnął na łuskach. Choć wiedział, że Korialstrasz zrobi, co w jego mocy, żeby pasażer się nie zsunął, nie chciał ryzykować. Nigdy nie wiadomo, z czym może się spotkać na niebie smok.

Wielkie, błoniaste skrzydła machnęły raz, drugi i nagle smok wraz z jeźdźcem unieśli się wysoko w niebo. Z każdym uderzeniem skrzydeł pokonywali kolejne mile. Korialstrasz leciał bez żadnego wysiłku, Rhonin czuł pod palcami puls giganta. Choć smok większość czasu spędzał pod postacią Krasusa, wyraźnie czuł się w powietrzu jak ryba w wodzie.

Zimne powietrze otoczyło głowę Rhonina, który zaczynał żałować, że nie miał okazji przebrać się w szaty i płaszcz podróżny. Sięgnął ręką do szyi, chcąc postawić kołnierz... i odkrył, że jego strój ma kaptur.

Zerknął w dół i przekonał się, że oprócz spodni i koszuli ma na sobie granatowy płaszcz i szaty podróżne. Jego towarzysz bez słowa zmienił jego odzienie w coś bardziej odpowiedniego.

Z kapturem naciągniętym na czoło Rhonin zastanawiał się, co ich czeka. Co mogło do tego stopnia wytrącić z równowagi Pana Czasu? Zagrożenie wydawało się bezpośrednie i katastrofalne... mało prawdopodobne, by potrafił mu zaradzić śmiertelny czarodziej.

A jednak Korialstrasz zwrócił się do niego...

Rhonin miał nadzieję, że okaże się godny, nie tylko ze względu na smoka... ale ze względu na własną mającą się powiększyć rodzinę.



Choć wydawało się to niemożliwe, gdzieś po drodze Rhonin zapadł w sen, ale nawet wtedy nie stoczył się w dół ku pewnej śmierci. Korialstrasz z pewnością miał z tym coś wspólnego, choć smok wydawał się lecieć beztrąsko przed siebie.

Słońce prawie już zaszło. Rhonin miał właśnie zapytać towarzysza, czy ma zamiar lecieć przez noc, kiedy Korialstrasz obniżył lot. Wpatrując się w

dół, czarodziej z początku widział tylko wodę, z pewnością Wielkie Morze. Nie przypominał sobie, żeby czerwone smoki przepadały za wodą. Czy Korialstrasz miał zamiar wylądować na falach jak kaczka?

Odpowiedź na swoje pytanie otrzymał chwilę później, gdy w oddali pojawiła się złowieszczo wyglądająca skała. Nie... nie skała, ale wyspa prawie zupełnie pozbawiona roślinności.

Rhonina zdjął strach, taki sam, jaki ogarnął go podczas lotu przez morze do Khaz Modan. Towarzyszyli mu wtedy krasnoludzcy jeźdźcy gryfów, a wyspą, nad którą przelatywali, była Tol Barad, przeklęte miejsce opanowane przez orków. Mieszkańcy wyspy zostali wyrżnięci w pień, ich domy zrównane z ziemią, a wyczulone zmysły czarodzieja odbierały wołania ich duchów domagających się zemsty. Teraz znów słyszał takie same przerażające, żalosne wołania.

Rhonin krzyknął do smoka, ale albo wiatr porwał jego krzyk, albo Korialstrasz udał, że go nie słyszy. Błoniaste skrzydła zmieniły rytm i towarzysze opadli łagodnie w dół.

Wylądowali na wzniesieniu, z którego widać było ciemne ruiny zabudowań. Zbyt małe na miasto, musiały stanowić kiedyś fort, a może warowną posiadłość, uznał Rhonin. Tak czy inaczej, budowle sprawiały przygnębiające wrażenie, które tylko pogłębiło obawy czarodzieja.

– Jak szybko ruszymy w dalszą drogę? - zapytał Korialstrasza, wciąż mając nadzieję, że smok zamierza tu tylko chwilę odpocząć, zanim znów poleci ku Kalimdorowi.

– O wschodzie słońca. Aby dostać się do Kalimdoru, musimy minąć Maelstrom, a do tego potrzebne nam będą świeże umysły i pełnia sił. To jedyna wyspa, jaką widziałem od pewnego czasu.

– Jak się nazywa?

– Tego nie wiem.

Korialstrasz położył się na ziemi, pozwalając Rhoninowi zejść ze swojego grzbietu. Czarodziej oddalił się od smoka na tyle, żeby po raz ostatni rzucić okiem na ruiny, zanim nie ogarnęła ich ciemność.

– Miały tu miejsce tragiczne wydarzenia - zauważył nagle Korialstrasz.

– Ty też je wyczuwasz?

– Tak... choć nie wiem jakie. Ale powinniśmy być tu bezpieczni, a ja nie mam zamiaru zmieniać postaci.

To podniosło Rhonina na duchu, ale i tak postanowił trzymać się jak najbliżej smoka. Choć uchodził za nierozważnego, czarodziej nie był głupcem. Nic nie skłoniłoby go do zejścia w znajdujące się na wyspie ruiny.

Jego gigantyczny towarzysz zasnął prawie natychmiast, ale on, znacznie bardziej rozemocjonowany, wpatrywał się przez jakiś czas w nocne niebo. Przed oczyma stanęła mu Vereesa. Bliźnięta miały wkrótce przyjść na świat, a on miał nadzieję, że nie przegapi ich narodzin z powodu podróży. Narodziny same w sobie były magią, magią, jakiej Rhonin nigdy nie posiadał.

Wspomnienie rodziny uspokoiło maga i zanim się zorientował, zapadł w sen. Tam Vereesa i jego nienarodzone dzieci wciąż dotrzymywały mu towarzystwa, choć nie wiedział, czy są chłopcami, czy dziewczynkami.

Vereesa rozmyśla się w tle, zostawiając Rhonina z bliźniętami. Wołały go, zaklinały, żeby po nie przyszedł. We śnie Rhonin zaczął biec w stronę dzieci, które majaczyły coraz słabiej na horyzoncie. To, co zaczęło się jak zabawa, przerodziło się w pogoń. Wesołe nawoływania przeszły w przerażone krzyki. Dzieci Rhonina potrzebowały go, ale najpierw musiał je znaleźć... i to szybko.

– Tatusiu! Tatusiu! - wołały.

– Gdzie jesteście? Gdzie jesteście? - Czarodziej przedzierał się przez płataninę gałęzi, które zdawały się stawiać tym większy opór, im bardziej

się szarpał. W końcu udało mu się przez nie przedostać, ale teraz stał u stóp niebosiężnego zamku.

Z góry znów usłyszał wołanie dzieci. Zobaczył ich odległe postacie wyciągające ku niemu rączki. Rhonin rzucił czar, aby wznieść się w powietrze, ale w tej samej chwili zamek zaczął rosnać.

Sfrustrowany, siłą woli przyspieszył lot.

– Tatusiu! Tatusiu! - wołały głosy, teraz nieco zniekształcone przez wiatr.

Wreszcie zbliżył się do okienka w wieży, gdzie czekały na niego bliźnięta. Wyciągały ręce, usiłując zmniejszyć odległość dzielącą je od Rhonina. Brakowało zaledwie kilka cali, żeby ich palce się zetknęły...

Nagle jakaś ogromna postać wpadła z impetem w zamek, który zakołysał się aż po fundamenty, a Rhonin i jego dzieci runęli w dół. Czarodziej rozpaczliwie próbował je ocalić, ale jakaś potworna, błoniasta dłoń poderwała go do góry.

– Obudź się! Obudź się!

Czarodziejowi dudniło w głowie. Cały świat wirował wokół niego. Dłoń wypuściła go i znów poleciał ku ziemi.

– Rhoninie! Gdziekolwiek jesteś! Obudź się!

W dole dwie zamglone postacie biegły, żeby go złapać... jego własne dzieci, które teraz próbowały uratować jemu życie. Rhonin uśmiechnął się do bliźnięt, a one odwzajemniły uśmiech.

Ukazując ostre, paskudne kły.

Rhonin ocknął się w ostatniej chwili.

Zamiast spadać, leżał na plecach. Gwiazdy nad jego głową oświetlały pozbawioną dachu ruinę, w której się teraz znajdował. Stęchły zapach zgnilizny zaatakował jego nozdrza, a do uszu wdarł się okropny, syczący dźwięk.

Gdyby ktoś wziął ludzką czaszkę, zanurzył ją w miękkim, stopionym wosku i pozwolił woskowi swobodnie ściekać, przypominałaby ona przyprawiającą o mdłości maskarę, na którą patrzył Rhonin. Obrazu piekielnej szkarady dopełniały ostre jak igły kły i czerwone, puste oczy, które wpatrywały się żarłocznie w czarodzieja.

Potwór szedł ku niemu na nieproporcjonalnie długich nogach, wyciągając kościste ramiona zakończone trzema długimi, zakrzywionymi palcami, które żłobiły rysy w zrytej skale. Makabryczna postać miała na sobie strzępy królewskiej szaty. Była tak chuda, że początkowo Rhonin myślał, że to szkielet, ale potem dostrzegł niemal przezroczystą warstwę skóry, którą obciążnięte były żebra i inne widoczne części ciała.

Czarodziej rzucił się do tyłu w tej samej chwili, w której potwór spróbował złapać go za stopę. Pokryte zaschniętym śluzem usta otworzyły się, ale zamiast syku czy wrzasku dobył się z nich dziecięcy głosik:

– Tatusiu!

Ten sam głos, który Rhonin słyszał we śnie.

Wzdrygnął się, słysząc podobny dźwięk z ust ghula, ale jednocześnie poczuł jakąś dziwną tęsknotę. Znow poczuł się tak, jak gdyby wołały go własne dzieci, co było przecież niemożliwe.

Zrujnowany budynek wypełnił nagle wstrząsający ziemią ryk, który zabił w nim pragnienie rzucenia się w zabójcze szpony demona. Rhonin wskazał stwora ręką, mamrocząc.

Stwora otoczył pierścień ognia. Błady potwór wrzasnął. Wyciągnął się na tyle, na ile pozwalały mu niezgrabne nogi, usiłując przejść nad płomieniami.

– Rhonin! - krzyknął z zewnątrz Korialstrasz. - Gdzie jesteś?

– Tutaj! W środku! W ruinie bez dachu!

W tej samej chwili wychudzona kreatura skoczyła przez ogień.

Płomienie oblizwały w kilku miejscach ciało stwora, który otworzył pysk szerzej, niż wydawało się możliwe; na tyle szeroko, żeby połączyć głowę Rhonina.

Zanim czarodziej zdążył rzucić kolejny czar, ogromny cień przesłonił gwiazdy i wielka łapa chwyciła ghulę w pole. Z kolejnym wrzaskiem, płonący wciąż potwór, przeleciał przez komnatę i grzmotnął o mur z taką siłą, że poruszyły się kamienie.

Płomienny smoczy oddech dokończył to, co zaczęło zakłęcie Rhonina.

Smród prawie obezwładnił czarodzieja. Zasłaniając rękawem nos i usta, patrzył, jak Korialstrasz opada na ziemię.

– Co... co to było? - zdołał wykrztusić Rhonin.

Nawet w ciemności wyczuwał obrzydzenie smoka.

– Wydaje mi się... wydaje mi się, że to jeden z tych nieszczęśników, którzy tu kiedyś mieszkali.

Rhonin przyjrzał się zwęglonej postaci.

– To był kiedyś człowiek? Jak to możliwe?

– Widziałeś, jakie piekło rozpętała Plaga Nieumarłych podczas walk z Legionem, więc nie powinieneś pytać.

– To ich sprawka?

Korialstrasz westchnął. Całe to zajście wytrąciło go z równowagi nie mniej niż Rhonina.

– Nie... to coś znacznie starszego... i jeszcze bardziej plugawego niż jakakolwiek zbrodnia Króla Licza.

– Kras... Korialstrasz, on wtargnął do mojego snu! Manipulował nim!

– Tak, inne usiłowały zrobić to samo ze mną.

– Inne? - Rhonin rozejrzał się dookoła z kolejnym zaklęciem na języku. Był pewny, że ruiny roją się od demonów.

– Jesteśmy bezpieczni... przynajmniej na razie. Z kilku stworów zostało mniej niż z tego tutaj, a pozostałe pochowały się w szczelinach i wyrwach tych ruin. Myślę, że pod spodem są katakumby, w których drzemią, kiedy nie polują na ofiary.

– Nie możemy tu zostać.

– Nie - zgodził się smok. - Nie możemy. Musimy lecieć do Kalimdoru.

Przypadł do ziemi, żeby Rhonin mógł się wspiąć na jego grzbiet, i zaraz zamachał skrzydłami. Dwójka towarzyszy wzbija się w przestworza.

– Kiedy wykonamy naszą misję, wrócę tu i położę kres tej ohydzie - oświadczył Korialstrasz. A cieplejszy głosem dodał: - Na tym świecie jest już dość potworów.

Rhonin nie odpowiedział, po raz ostatni spoglądając w dół. Możliwe, że miał przywidzenia, ale wydawało mu się, że widzi następne ghule wychodzące z kryjówek. Miał wrażenie, że są ich dziesiątki, że wszystkie patrzą łakomie w górę... na niego.

Odwrócił wzrok, zadowolony, że podróżują do Kalimdoru. Po takiej nocy chyba nie mogło ich tam czekać nic gorszego.

Chyba...

TRZY



Korialstrasz dotarł do wybrzeży Kalimdoru wieczorem tego samego dnia. On i Rhonin zatrzymali się tylko po to, żeby coś zjeść - smok posilał się z dala od czarodzieja - po czym wyruszyli ku ogromnemu łańcuchowi górskiemu, który zajmował prawie całą zachodnią część kontynentu. Teraz, gdy byli bliżej celu podróży, Korialstrasz leciał coraz szybciej. Nie powiedział Rhoninowi, że co jakiś czas próbował porozumieć się z Nozdormu... próbował, lecz bezskutecznie. Ale wkrótce nie będzie to już miało znaczenia, bo przekonają się na własne oczy, co tak rozstroiło Aspekt Czasu.

– Ten szczyt! - krzyknął Rhonin. Choć spał trochę podczas lotu, nie czuł się wypoczęty. W snach prześladowały go koszmary o posępnej wyspie. - Poznaję ten szczyt!

Smok kiwnął łbem. To był ostatni punkt orientacyjny przed dotarciem na miejsce. Ale nawet gdyby nie zobaczył go w tej samej chwili, co człowiek, i tak wyczułby jakąś nieprawidłowość w materii rzeczywistości... a to oznaczało, że naprawdę czeka ich coś strasznego.

Pomimo tej pewności lewiatan jeszcze przyspieszył. Nie mieli wyboru. Cokolwiek leżało przed nimi, powstrzymać to mogli tylko on i drobna ludzka postać, którą niósł.



Ale choć bystre oczy człowieka i smoka wypatrzyły cel podróży, nie zauważyły oczu, które dostrzegły ich.

– Czerwony smok... - mruknął pierwszy ork. - Czerwony smok z jeźdźcem.

– Jeden z naszych, Brox? - zapytał drugi. - Ork?

Brox prychnął pogardliwie. Drugi ork był młody, zbyt młody, żeby brać udział w wojnie przeciwko Legionowi, i z pewnością nie mógł pamiętać czasów, gdy to orki, nie ludzie, dosiadały takich bestii. Gaskal znał tylko opowieści, legendy.

– Gaskal, ty głupcze, smok zgodziłby się dziś przenieść orka jedynie we własnym brzuchu!

Gaskal wzruszył obojętnie ramionami. Wyglądał jak przystało na dumnego orczego wojownika - wysoki i muskularny, o szorstkiej zielonkawej skórze i dwóch sporych kłach sterczących w górę z szerokiej dolnej szczęki. Miał kartoflowaty nos i grube, krzaczaste brwi typowe dla orka, a na ramiona spływała mu grzywa ciemnych włosów. W jednej muskularnej łapie dzierżył wielki topór bojowy, a w drugiej trzymał pasek plecaka z kozłej skóry. Tak jak Brox nosił skórzany kilt i sandały owinięte szmatami dla ochrony przed zimnem. Orki były wytrzymałą rasą i potrafiły przetrwać w każdych warunkach, ale wysoko w górach nawet one potrzebowały więcej ciepła.

Brox też był dumnym wojownikiem, ale upływ czasu dał mu się we znaki bardziej niż jakikolwiek nieprzyjaciel. Był o kilka cali niższy od Gaskala, po części dlatego, że ciągle się garbił. Grzywa weterana

przerzedziła się i zaczynała siwieć. Jego szeroką, byczą twarz znaczyły szramy i zmarszczki, a zapach nieustannie malujący się na twarzy jego młodszego towarzysza ustąpił wyrazowi zadumanej nieufności i znużeniu.

Brox uniósł mający już swoje lata młot bojowy i ruszył; przez głęboki śnieg.

– Zmierzają w to samo miejsce, co my.

– Skąd to wiesz?

– A gdzie indziej mieliby lecieć?

Nie znajdując argumentów, Gaskał ucichł, dając Broxowi szansę zastanowienia się nad powodami, dla których wysłano ich obu w to niegościnne miejsce.

Nie było go, kiedy stary szaman zażądał natychmiastowego widzenia z Thrалlem, ale znał szczegóły. Thrall wyraził oczywiście zgodę, ponieważ szanował stare zwyczaje i uważał Kalthara za mądrego doradcę. Skoro Kalthar chciał się z nim natychmiast widzieć, musiał mieć ku temu bardzo dobry powód.

Albo bardzo zły.



Podtrzymywany przez dwóch gwardzistów Thralla zasuszony Kalthar wszedł do środka i usiadł przed najwyższym wodzem. Z szacunku dla starca Thrall usiadł na podłodze, aby ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Na skrzyżowanych nogach Thralla leżał wielki Młot Zagłady o kwadratowej głowicy, postrach nieprzyjaciół Hordy od wielu pokoleń.

Nowy wódz orków był szeroki w barach, umięśniony i, jak na zajmowaną pozycję, stosunkowo młody. Jednak nikt nie wątpił w zdolności

przywódca Thralla. Wyprowadził orków z obozów internowania i zwrócił im ich honor i dumę. Zawarł z ludźmi pakt, który dał Hordzie szansę na nowe życie. Lud już śpiewał o nim pieśni, które będą przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Największy z wojowników, odziany w grubą zbroję płytową z brązu, którą wraz z ogromnym orężem otrzymał od swojego poprzednika, legendarnego Orgrima Młota Zagłady, pochylił nisko głowę i zapytał pokornie:

– Jak mogę ci pomóc, o wielki?

– Wystarczy, że mnie wysłuchasz - odparł Kalthar. - Wysłuchasz uważnie.

Wódz nachylił się do przodu, a jego niesamowite i niezwykle rzadko spotykane u orków błękitne oczy, które jego lud uważał za zwiastun bohaterskich czynów, zwięźły się wyczekująco. Na swojej drodze od niewolnika i gladiatora do władcy Thrall wkroczył też na ścieżkę szamana, a nawet opanował niektóre umiejętności. Lepiej niż inni rozumiał, że kiedy Kalthar przemawia w ten sposób, ma ku temu wyraźne powody.

I tak szaman opowiedział Thrallowi o wizji leja, dla którego czas wydawał się igraszką. Opowiedział mu o głosach i ich ostrzeżeniach, o nieprawidłowości, jaką wyczuł.

Powiedział Thrallowi, czego się obawia, jeśli zlekceważą zagrożenie.

Kiedy Kalthar skończył, wódz się wyprostował. Na szyi nosił pojedynczy medalion, na którym wygrawerowano topór i miecz. Jego oczy zdradzały trzeźwość umysłu i inteligencję, które czyniły go urodzonym przywódcą. Kiedy chodził, nie poruszał się jak nieokrzesany ork, ale z gracją i pewnością siebie przywodzącą na myśl człowieka lub elfa.

– Pachnie mi to magią - zagrzmiał. - Wielką magią. To coś dla czarodziejów... może...

– Możliwe, że już wiedzą - odparł Kalthar. - Ale nie możemy na nich czekać, wielki wodzu.

Thrall zrozumiał.

– Chcesz, żebym wysłał kogoś w miejsce, które widziałeś?

– Wydaje się, że to najrozsądniejsze rozwiązanie. Przynajmniej dowiemy się, z czym mamy do czynienia.

Wódz potarł podbródek.

– Chyba wiem, kogo wysłać. Dzielnego wojownika. - Popatrzył na strażników. - Brox. Sprowadźcie mi tu Broxa.



I tak wezwano Broxa i powierzono mu misję. Thrall bardzo go cenił, gdyż starszy wojownik był bohaterem ostatniej wojny, jedynym ocalałym członkiem drużyny dzielnych żołnierzy broniących przed demonami przełęczy o strategicznym znaczeniu. Swoim młotem Brox własnoręcznie wgniółł czaszki ponad tuzina płomiennych nieprzyjaciół. Jego ostatni towarzysz zginął rozplątany na dwoje w chwili, w której wreszcie dotarły do nich posiłki, zapewniając im zwycięstwo. Poharatany, oblepiony posoką, stojący samotnie wśród rzezi Brox wydał się nowoprzybyłym bohaterem ze starych legend. Jego imię wymawiano z prawie taką samą czcią jak imię Thralla.

Ale coś więcej niż sława weterana zaskarbiło mu szacunek wodza i sprawiło, że to na niego padł wybór. Thrall wiedział, że Brox tak jak on walczy nie tylko rękami, ale i głową. Przywódca orków nie mógł wysłać w góry armii. Musiał powierzyć poszukiwania jednemu albo dwóm wyszkolonym wojownikom, którzy potem przedstawią mu raport.

Szaman opisał drogę przez góry z taką dokładnością, że dwa orki pokonały trasę szybciej, niż się spodziewały. Według szacunków Broxa cel ich podróży znajdował się za następną granią... dokładnie tam, gdzie zniknęli smok i jeździec.

Brox mocniej ścisnął młot w dłoni. Orki zgodziły się zawrzeć pokój, ale on i Gaskal będą walczyć w razie potrzeby, nawet jeśli oznaczałoby to pewną śmierć.

Starszy wojownik powściągnął ponury uśmiech, który prawie wypełził mu na usta na tę ostatnią myśl. Tak, chętnie stoczy śmiertelną walkę. Wzywając do siebie bohatera wojennego Thrall nie wiedział, że Broxa nękało straszliwe poczucie winy, wyrzuty sumienia, które nie dawały mu spokoju od tamtego dnia na przełęcz.

Wszyscy zginęli, wszyscy oprócz Broxa, a on nie potrafił tego zrozumieć. Czuł się winny, że żyje, że nie zginął mężnie wraz z towarzyszami. Dla niego to, że przeżył, było czymś wstydlivym, bo nie dał z siebie wszystkiego tak jak inni. Od tamtego czasu czekał i miał nadzieję, że będzie miał okazję odkupić swoje winy. Odkupić winy... i umrzeć.

Możliwe, że właśnie teraz los dał mu taką szansę.

– Ruszamy! - rozkazał Gaskalowi. - Dopadniemy ich, zanim zdążą się tu zadowić! - Teraz pozwolił sobie na szeroki uśmiech, który jego towarzysz odczytał jako objaw typowego orczego entuzjazmu. - A jeśli zaczną robić jakieś problemy... damy im do zrozumienia, że cała Horda wkroczyła znów na wojenną ścieżkę!



Jeśli wysepka, na której wylądowali, wydawała się ponurym miejscem, to górską przełęcz, na którą teraz opadali, wydawała się czymś niewłaściwym. To było najlepsze słowo, jakim Rhonin potrafił opisać swoje odczucia. Czegokolwiek szukali... nie powinno tu tego być. Miał wrażenie, że sama materia rzeczywistości popełniła jakiś straszliwy błąd...

Doznanie to było tak intensywne, że czarodziej, który zdążył już stawić czoła wszelkim możliwym koszmarom, chciał, żeby smok zawrócił. Nic jednak nie mówił, pamiętając, że już na wyspie podzielił się z nim swoimi wątpliwościami. Korialstrasz mógł już żałować, że w ogóle go wezwał.

Szkarłatny behemot uniósł skrzydła, opadając kilka ostatnich metrów. Jego ogromne łapy przeczesywały śnieg, szukając stabilnego miejsca do wylądowania.

Rhonin przytrzymał się mocniej karku smoka. Wyczuwał każdą wibrację i miał nadzieję, że nie spadnie. Plecak podskakiwał mu boleśnie na plecach.

W końcu Korialstrasz opadł na ziemię. Gadzi pysk odwrócił się w stronę czarodzieja.

– Dobrze się czujesz?

– Tak dobrze... tak dobrze, jak to tylko możliwe! - sapnął Rhonin. Latał już na smokach, ale nigdy tak długo.

Albo Korialstrasz wiedział, że jego pasażer jest wciąż zmęczony, albo sam potrzebował odpoczynku po tak długiej podróży.

– Zostaniemy tu kilka godzin. Zbierzemy siły. Nie wyczuwam żadnych zmian w wyczuwanych emanacjach. Powinniśmy trochę odetchnąć. Tak będzie najrozsądniej.

– Nie będę się z tobą spierał - odrzekł Rhonin, zsuwając się na ziemię.

W górach wiał porywisty wiatr, a wysokie szczyty rzucały głęboki cień, ale dzięki odrobinie magii ukrytemu pod skalnym występem czarodziejowi nie dokuczał chłód. Po rozprostowaniu zdrętwiałych członków Korialstrasz

ruszył w głąb przełęczy, badając okolicę. W pewnej odległości ścieżka skręcała i behemot zniknął za zakrętem.

Naciągnąwszy kaptur na głowę, Rhonin zapadł w drzemkę. Tym razem jego umysł wypełniły same przyjemne obrazy... prawdziwe obrazy Vereesy i zbliżającego się rozwiązania. Czarodziej uśmiechnął się, myśląc o powrocie.

Obudziły go kroki. Ku zaskoczeniu Rhonina jego towarzysz nie powrócił jako smok Korialstrasz, ale jako zakapturzony, opatulony szatami Krasus.

Widząc rozszerzone ze zdumienia oczy człowieka, smok wyjaśnił:

– W pobliżu jest kilka niestabilnych obszarów. Ta postać nie grozi mi zapadnięciem się w siebie. W razie potrzeby zawsze mogę się znów przeobrazić.

– Znalazłeś coś?

Niezupełnie elfia twarz wyduła usta.

– Wyczuwam Aspekt Czasu. Jest tutaj, a jednocześnie go tu nie ma. Niepokoi mnie to.

– Zaczyna...

Ale zanim zdążył dokończyć, straszliwe wycie odbiło się echem od górskich szczytów. Skowyt sprawił, że nerwy Rhonina napięły się jak postronki. Nawet Krasus wyglądał na zdenerwowanego.

– Co to było? - zapytał Rhonin.

– Nie wiem. - Smoczy mag wyprostował się. - Powinniśmy iść dalej. Nasz cel jest już blisko.

– Nie polecimy?

– Czuję, że to, czego szukamy, znajduje się w wąskim przesmyku pomiędzy następnymi górami. Smok się nie zmieści, ale dwaj mali podróżnicy owszem.

Ruszyli na północny wschód, Krasus przodem. Towarzysz Rhonina sprawiał wrażenie odpornego na zimno, choć człowiek musiał wzmocnić zaklęcie ochronne, jakie rzucił na swoje odzienie, to nadal marzły mu palce i twarz.

Wkrótce doszli do przesmyku, o którym mówił Krasus, i Rhonin przekonał się, co miał na myśli jego towarzysz. Przesmyk przypominał ciasny korytarz. Sześć osób mogło nim swobodnie iść ramię w ramię, ale smok ledwo wcisnąłby do środka łeb, nie mówiąc już o reszcie gigantycznego cielska. Wysokie, strome ściany rzucały jeszcze gęstsze cienie i Rhonin zastanawiał się, czy dalej nie będą musieli oświetlać sobie drogi.

Krasus ruszył naprzód bez zastanowienia. Szedł coraz szybciej i szybciej, zupełnie jak opętany.

W naturalnym korytarzu wiatr dmuchał jeszcze silniej, a im głębiej wchodzili, tym bardziej się wzmaczał. Rhonin, który był tylko człowiekiem, z trudem dotrzymywał kroku swojemu dawnemu nauczycielowi.

– Daleko jeszcze? - zawołał w końcu.

– Niedaleko. Zaraz... - Krasus urwał.

– O co chodzi?

Smoczy mag skupił się, marszcząc brwi.

– Nie ma tego... nie ma tego już tam, gdzie powinno być.

– Przesunęło się?

– Tak przypuszczam.

– Czy to normalne? - zapytał płomiennowłosy mag, patrząc spod zmrużonych powiek na ścieżkę przed nimi.

– Tkwisz w błędnym przekonaniu, że wiem doskonale, czego się spodziewać, Rhoninie. Wiem niewiele więcej niż ty.

To nie spodobało się człowiekowi.

– Więc co proponujesz?

Oczy smoczego maga zapłonęły, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Idziemy dalej. Tylko tyle możemy zrobić.

Ale wkrótce natrafili na kolejną przeszkodę, której Krasus nie mógł zobaczyć z wysoka. Korytarz rozgałęział się i choć było możliwe, że dalej dwie odnogi znów się zbiegają, nie mogli mieć takiej pewności.

Krasus przyglądał się obu ścieżkom.

– Obie biegną blisko naszego celu, ale nie potrafię ocenić, która bliżej. Musimy sprawdzić obie.

– Rozdzielamy się?

– Wolałbym tego uniknąć, ale nie mamy wyjścia. Obaj przejdziemy pięćset kroków, a potem zawrócimy i spotkamy się tutaj. Miejmy nadzieję, że wtedy łatwiej nam będzie zdecydować, którą wybrać.

Rhonin skierował się w korytarz po lewej stronie i zastosował do wskazówek Krasusa. Odliczając kroki, doszedł niebawem do wniosku, że jego wybór ma potencjał. Nie dość, że korytarz znacznie się rozszerzał, to czarodziej miał wrażenie, że wyczuwa zakłócenie lepiej niż wcześniej. Choć umiejętności Krasusa znacznie przewyższały jego własne, nawet nowicjusz byłby w stanie wyczuć nieprawidłowość, jaką przesycona była dalsza droga.

Jednak pomimo pewności, że dokonał właściwego wyboru, nie zawrócił. Ciekawość pchała go naprzód. Kilka kroków więcej na pewno nie ma znaczenia...

Ale ledwo zrobił jeden, wyczuł coś nowego, coś bardzo niepokojącego. Zatrzymał się, próbując ustalić, co w anomalii uległo zmianie.

Poruszała się, ale nie tylko to napełniło go obawą.

Poruszała się w jego stronę... i to szybko.

Poczuł ją, zanim zobaczył: miał wrażenie, że cały czas sprężył się, potem rozciągnął, a potem znów sprężył. Poczuł starość, młodość i każdą chwilę życia pomiędzy nimi. Oszołomiony, zawahał się.

Ciemność ustąpiła miriadom kolorów, których części nigdy wcześniej nie widział. Nieustająca eksplozja pierwotnej energii wypełniała zarówno puste powietrze, jak i litą skałę, wznosząc się na fantastyczną wysokość. Ograniczony umysł Rhonina postrzegał zjawisko jako płomienny kwiat, który rozkwitał, spalał się i znów zakwitał... rosnąc z każdym kolejnym kwitnieniem.

Czarodziej wreszcie oprzytomniał. Okręcił się na pięcie i puścił biegiem.

Dźwięki zaatakowały jego uszy. Głosy, muzyka, grzmoty, ptaki, woda... wszystko.

Wbrew jego obawom niesamowite zjawisko zostało w tyle, ale biegł dalej, bojąc się, że w każdej chwili wysforuje się naprzód i go otoczy.

Krasus musiał wyczuć tę ostatnią zmianę. Musiał biec czarodziejowi na spotkanie. Razem wymyślą jakiś sposób, żeby...

Straszliwe wycie napełniło przełęcz echem.

Na maga spadł wielki, ośmionożny wilczy kształt.

Gdyby czarodziej był kimś innym, zginąłby na miejscu, pożarty przez dzikiego szablozębego stwora o czterech lśniących zielonych ślepiach i ośmiu szponiastych łapach. Wilkowate monstrum powaliło go na ziemię, ale okryty magiczną opończą Rhonin okazał się twardym orzechem do zgryzienia. Pazury orały materiał, który powinny były rozerwać na strzępy, ale zamiast tego jeden z nich ułamał się z trzaskiem.

Bestia zawyla z wściekłością, strosząc szare futro. Rhonin wykorzystał okazję, żeby rzucić prosty, acz skuteczny czar, który już wiele razy ratował mu skórę.

Kakofonia światła wybuchła przed szmaragdowymi oczyma stwora, oślepiając go i oszalamiając. Odskoczył w tył, bezskutecznie starając się pacnąć łapą rozbłyskujące wzory.

Już poza zasięgiem stwora, Rhonin zerwał się z ziemi. Nie miał szans na ucieczkę; gdyby odwrócił się plecami do bestii, zaklęcie ochronne zaczęłoby już słabnąć. Jeszcze kilka ciosów pazurami i bestia go rozszarpie.

Na wyspie poradził sobie z ghulem za pomocą ognia i nie widział powodu, dla którego taki wypróbowany czar miałby go teraz zawieść. Wymruczał słowa...

...które w niewytłumaczalny sposób rozległy się wspan. Co gorsza, sam zaczął poruszać się w tył, wracając pod wściekłe szpony oślepionej bestii.

Czas zaczął płynąć wstecz... ale jak?

Odpowiedź zmaterializowała się w głębi wąwozu. Anomalia Krasusa doganiała go. Obok Rhonina przemknęły widmowe obrazy. Rycerze ruszający do boju. Scena zaślubin. Sztorm na morzu. Orki śpiewające pieśni wojenne przy ognisku. Dziwne stwory splecione w walce...

Nagle znów mógł się poruszać do przodu. Wymknął się z zasięgu szponów bestii i odwrócił, aby stawić jej czoła. Tym razem bez wahania rzucił zaklęcie. Płomienie wystrzeliły naprzód, przybierając kształt wielkiej dłoni, ale gdy zbliżyły się do potwora, zwolniły... po czym zatrzymały się, zastygłe w czasie.

Rhonin zaklął i zaczął następny czar.

Stwór o ośmiu łapach jednym susem ominął zastygłe płomienie i z wyciem zaatakował człowieka.

Rhonin rzucił zaklęcie.

Ziemia przed wilkowaną poczwarą eksplodowała, zasypując ją huraganem piachu. Stwór znów zawył i nie zważając na siły usiłujące go powstrzymać z wysiłkiem parł w stronę maga.

Jego nogi i tors obrosły skorupą. Pysk zamknął się, zalepiony warstwą twardej jak skała ziemi. Nieludzkie oczy pokryła warstwa kurzu.

Zaledwie kilka stóp od swojej niedoszłej ofiary stwór znieruchomiał. Wyglądał zupełnie jak idealnie odlany posąg, a nie prawdziwy potwór.

W tej chwili w umyśle Rhonina rozległ się głos Krasusa.

Nareszcie!, zawołał smoczy mag. Rhoninie... anomalia się rozszerza! Już prawie cię dosięgła!

Zajęty przerażającą bestią czarodziej nie patrzył na anomalię. Kiedy to zrobił, oczy rozszerzyły mu się z przerażenia.

Wypełniała przestrzeń dziesięć razy wyższą i z pewnością dziesięć razy szerszą niż przesmyk. Lita skała nic dla niej nie znaczyła. Anomalia przenikała przez nią, jak gdyby ta po prostu nie istniała. Ale po jej przejściu krajobraz ulegał przeobrażeniom. Część skał wyglądała na bardziej zwietrzałe, zaś inne tak, jak gdyby dopiero co ostygły po tytanicznym wysiłku narodzin. Największe zmiany wydawały się zachodzić w miejscach, które dotknął skraj płomiennego kwiatu.

Rhonin nawet nie chciał myśleć o tym, co się z nim stanie, kiedy to coś dotknie jego.

Znów puścił się biegiem.

Nagle zaczęła się rozrastać i poruszać szybciej z niezrozumiałych dla mnie powodów, ciągnął Krasus. Boję się, że nie dotrę do ciebie na czas! Musisz rzucić zaklęcie teleportacji!

Moje czary nie zawsze działają tak, jak powinny! odkrzyknął człowiek. Anomalia zaburza ich działanie!

Pozostaniemy w kontakcie! To powinno wzmocnić twoją inkantację! Doprowadzę cię do mnie i przegrupujemy się!

Rhonin nie miał ochoty teleportować się w miejsca, których nigdy wcześniej nie widział, gdyż groziło to wylądowaniem wewnątrz góry, ale

dzięki pomocy Krasusa zadanie stawało się o wiele prostsze.

Skupił myśli na Krasusie, wyobrażając sobie smoczego maga. Zakłęcie zaczęło nabierać kształtów. Poczuł, że otaczający go świat się zmienia.

Płomienny pęk nagle zwiększył swoje rozmiary prawie dwukrotnie.

Rhonin zbyt późno zrozumiał dlaczego. Reagował na użycie magii... jego magii. Chciał przerwać zakłęcie, ale było już za późno.

Krasusie! Przerwij połączenie! Przerwij je, zanim ty też...

Anomalia wchłonęła go.

Rhonin!

Ale Rhonin nie mógł odpowiedzieć. Młócił powietrze rękami, miotany na wszystkie strony niczym liść porwany przez tornado. Z każdym obrotem leciał coraz szybciej. Znów bombardowały go dźwięki i obrazy. Widział przeszłość, teraźniejszość i przyszłość i rozumiał, czym jest każda z nich. Kątem oka dostrzegł skamieniałą bestię, która minęła go, wpadając w coś, co mógł określić tylko jako wir czasu.

Mijały go też inne rzeczy, przypadkowe przedmioty, a nawet istoty. Obok czarodzieja przemknął i zniknął cały okręt o poszarpanych żaglach i kadłubie wgniecionym blisko dziobu. Za nim przeleciało drzewo, na którym wciąż siedziało stadko ptaków. W oddali zobaczył krakena mierzącego pięćdziesiąt stóp od czubka łba do końca macek, którymi starał się go dosięgnąć, ale zniknął razem z resztą.

Skądś dobiegał go słaby głos Krasusa. *Rhonin...*

Odpowiedział, ale sam nie otrzymał już odpowiedzi.

Wir wypełnił całe jego pole widzenia.

Kiedy go wsysał, Rhonin myślał o Vereesie i dzieciach, których miał nigdy nie poznać.

CZTERY



Wyczuwał powolny, miarowy wzrost liści, gałęzi i korzeni. Wyczuwał ukrytą w nich ponadczasową mądrość, odwieczne myśli. Każdy gigant miał swój własny unikalny charakter, jak gdyby był osobą.

To strażnicy lasu, rozległ się głos jego mentora. Są jego duszą tak samo jak ja. Są lasem. Przerwa. A teraz... wróć do nas...

Umysł Malfuriona Stormrage'a z szacunkiem wycofał się z gigantycznych drzew, najstarszych w tej gęsto zalesionej krainie. W miarę, jak się wycofywał, jego fizyczne otoczenie stopniowo pojawiała się z powrotem, choć z początku było nieco mętne. Zamrugał dwa razy srebrnymi, pozbawionymi źrenic oczyma, aby odzyskać ostrość widzenia. Oddech miał urywany, ale serce rozpierała mu duma. Jeszcze nigdy nie dotarł tak daleko!

– Dobrze ci poszło, młodzieńcze - zagrział głos przypominający ryk niedźwiedzia. - Lepiej, niż mogłem się spodziewać.

Po fioletowej twarzy Malfuriona spływał pot. Jego mistrz nalegał, aby uczynił następny milowy krok w samo południe, a więc w porze, kiedy nocne elfy były najsłabsze. Malfurion był pewny, że w nocy miałyby więcej sił, ale Cenarius powtarzał wiele razy, że mijałoby się to z celem. Jego

mentor nie uczył go czarów nocnych elfów, ale magii będącej niemal ich całkowitym przeciwieństwem.

Malfurion już i tak stał się pod wieloma względami przeciwieństwem swoich pobratymców. Choć elfy lubowały się w krzykliwych strojach, Malfurion ubierał się bardzo skromnie. Lniana tunika, prosta skórzana kamizela i spodnie, buty do kolan... Jego rodzice, gdyby nie zginęli w wypadku przed wielu laty, z pewnością umarliby ze wstydu.

Ciemnozielone włosy do ramion okalały pociągłą twarz o wilczych rysach. Malfurion stał się wśród swoich kimś w rodzaju wyrzutka. Zadawał pytania, sugerował, że dawne tradycje nie muszą być wcale najlepsze, a raz ośmielił się nawet powiedzieć, że ukochana królowa Azshara nie zawsze przedkłada ponad wszystko dobro swoich poddanych. Tego rodzaju wyskoki sprawiły, że miał niewielu towarzyszy i jeszcze mniej przyjaciół.

Prawdę mówiąc, Malfurion zaliczał do grona swoich prawdziwych przyjaciół tylko trzy osoby. Po pierwsze własnego brata bliźniaka, równie nieznośnego Illidana. Choć Illidan nie odrzucał tradycji i sztuki czarodziejskiej nocnych elfów tak jak on, miał skłonność do poddawania w wątpliwość autorytetu starszych, co również uznawane było za wielką zbrodnię.

– Co widziałeś? - zapytał z przejęciem brat Malfuriona, który siedział obok niego na trawie. Illidan wyglądałby identycznie jak Malfurion, gdyby nie granatowe włosy i bursztynowe oczy. Nocne elfy, dzieci księżycy, miały prawie bez wyjątku srebrne oczy. Tym nielicznym, które rodziły się z bursztynowymi, wróżono wielką przyszłość.

Ale jeśli Illidan chciał dokonać wielkich czynów, musiał najpierw powściągnąć swoją zapalczywość. Zgodził się zgłębiać wraz z bratem bliźniakiem nową sztukę, która wykorzystywała moc natury - ich mentor nazywał to „druidyzmem” - w przekonaniu, że okaże się bystrzejszym

uczniem. Jednak często przekręcał zaklęcia i nie potrafił utrzymać koncentracji wystarczająco długo, żeby nie wypaść z transu. Fakt, że dobrze sobie radził z tradycyjną sztuką magiczną, nie wystarczał mu. Pragnął opanować sztukę druidyzmu, ponieważ tak niezwykle umiejętności odróżniałyby go od innych, umożliwiając realizację potencjału, o którym wszyscy mówili od chwili jego narodzin.

– Widziałem... - Nie mogąc wyjaśnić tego nawet własnemu bratu, Malfurion zmarszczył brwi. - Wejrzałem w serca drzew, w ich dusze. I nie tylko ich. Wejrzałem... wydaje mi się, że wejrzałem w duszę całego lasu!

– Cudownie! - westchnął kobiecy głos po jego drugiej ręce.

Malfurion walczył z czernią oblewającą mu policzki, co u nocnych elfów było oznaką zawstydzenia. Od pewnego czasu czuł się coraz bardziej nieswojo w obecności swojej drugiej towarzyszk... ale z drugiej strony nie wyobrażał sobie, że mógłby przebywać z dala od niej.

Razem z braćmi przysła do lasu Tyrande Whisperwind, ich najlepsza przyjaciółka z dzieciennych lat. Cała trójka dorastała razem i byli nierozłączni aż do ubiegłego roku, kiedy to Tyrande przywdziała szaty nowicjuszek w świątyni Elune, bogini księżyca. Tam uczyła się zestrajać z duchem bogini i korzystać z darów, jakimi ta obdarzała wszystkie kapłanki, aby mogły głosić jej naukę. To właśnie Tyrande zachęcała Malfuriona, kiedy młodzieniec postanowił zrezygnować z magii nocnych elfów na rzecz innej, bardziej pierwotnej mocy. Tyrande uważała druidyzm za siłę pokrewną zdolnościom, jakimi miała obdarzyć ją jej własna bogini, kiedy już zakończy naukę.

Ale chudy, blady podłotek, który nie raz pokonał obu braci w wyścigach i na polowaniu, po wstąpieniu do świątyni stał się szczupłą, krągłą piękną o gładkiej, jasnofioletowej skórze i ciemnofioletowych włosach

poprzetykanych srebrem. Myszowata twarz zaokrągliła się, stała się bardziej kobieca i ponętna.

Być może zbyt ponętna.

– Hmmmph! - prychnął Illidan, na którym nie zrobiło to aż takiego wrażenia. - Czy to wszystko?

– To dobry początek - huknął ich nauczyciel. Na trójkę młodych nocnych elfów padł wielki cień, uciszając nawet gadatliwego Illidana.

Choć każde z trójki elfów mierzyło ponad siedem stóp, wydawali się niscy przy Cenariusie, który miał ponad dziesięć stóp wzrostu. Górna połowa jego ciała przypominała tułów nocnych elfów, choć jego ciemna skóra miała lekko szmaragdowy odcień i był znacznie lepiej zbudowany i umięśniony niż obaj jego uczniowie. Na tym kończyły się wszelkie podobieństwa. Cenarius nie był przecież zwykłym nocnym elfem. Nie był nawet śmiertelnikiem.

Cenarius był półbogiem.

Tylko on sam znał swoje pochodzenie, ale był taką samą częścią wielkiej puszczy, jak puszcza częścią jego. Kiedy pojawiły się pierwsze nocne elfy, Cenarius istniał już od dawna. Przyznawał się do pokrewieństwa z nimi, ale nigdy nie zdradził, na czym ono polegało.

Ci nieliczni, którzy przychodzili do niego po radę, pozostawali na zawsze pod jego wrażeniem, na zawsze inni. Niektórzy nigdy go już nie opuszczali, tak odmienieni jego naukami, że postanawiali przyłączyć się do półboga i wraz z nim chronić jego królestwo. Nie byli już elfami, ale leśnymi strażnikami, których fizyczna postać uległa przemianie.

Cenarius z czułością spoglądał na swoich uczniów oczyma barwy czystego złota. Na plecy spływała mu gęsta grzywa zielonych jak mech włosów. Delikatnie poklepał Malfuriona po ramieniu ręką zakończoną szponami z sękatego, starego drewna - szponami, którymi mógłby bez

wysiłku rozszarpać nocnego elfa na strzępy - po czym cofnął się... na czterech mocnych nogach.

Górna połowa ciała półboga przypominała tułów nocnego elfa, ale dolna należała do wielkiego, wspaniałego jelenia. Cenarius poruszał się bez wysiłku, równie szybko i zwinnie jak pozostała trójka. Był chyży jak wiatr i silny jak drzewa. Stanowił odzwierciedlenie żywotności i zdrowia tej ziemi. Był jej ojcem i dzieckiem jednocześnie.

I tak jak jeleni miał poroże - ogromne, wspaniałe poroże ocieniające jego poważną, ojcowską twarz. Poroże od razu rzucało się w oczy, podobnie jak długa, gęsta broda, przypominając, że jakiegokolwiek więzy krwi między półbogiem a nocnymi elfami zaistniały w bardzo odległej przeszłości.

– Wszyscy dobrze się spisaliście - dodał grzmiącym głosem. W brodzie bóstwa rosły liście i gałązki, a włosy drżały mu za każdym razem, gdy się odzywał. - Idźcie już. Przez jakiś czas pobądźcie wśród swoich. Dobrze wam to zrobi.

Cała trójka wstała, ale Malfurion się zawahał. Patrząc na swoich towarzyszy, powiedział:

– Idźcie przodem. Dołączę do was na końcu szlaku. Muszę porozmawiać z Cenariusem.

– Możemy poczekać - odparła Tyrande.

– Nie ma takiej potrzeby. Zaraz was dogonię.

– Oczywiście - wtrącił się szybko Illidan, biorąc Tyrande pod rękę. - Zostawmy go. Chodź, Tyrande.

Elfka rzuciła Malfurionowi ostatnie, przeciągłe spojrzenie, które onieśmieliło go do tego stopnia, że musiał się odwrócić, aby ukryć swoje emocje. Zaczekał, aż dwójka elfów się oddali, zanim zwrócił się do półboga.

Chylące się ku horyzontowi słońce rzucało cienie, które wydawały się tańczyć dla przyjemności Cenariususa. Półbóg uśmiechnął się do roztańczonych cieni, drzew i innych roślin kołyszących się w jednym rytmie. Malfurion padł na jedno kolano ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Mój *shan'do* - zaczął, nazywając Cenariususa tytułem oznaczającym w starej mowie „czcigodnego nauczyciela”. - Wybacz, że pytam...

– Nie powinieneś się tak zachowywać w stosunku do mnie, młodzieńcze. Wstań...

Nocny elf niechętnie usłuchał, ale nie podniósł wzroku.

Półbóg zachichotał i natychmiast zawtórowało mu ożywione ćwierkanie ptaków. Każdej reakcji Cenariususa towarzyszyła zgodna reakcja świata.

– Oddajesz mi większy hołd niż ci, którzy głoszą kazania w moim imieniu. Twój brat nie kłania się przede mną, a Tyrande Whisperwind, choć szanuje moją moc, chyli czoła tylko przed Elune.

– Ofiarowałeś się nauczyć mnie, nas... - odparł Malfurion tego, czego nie nauczył się jeszcze żaden nocny elf... - Wciąż pamiętał ten dzień, kiedy zbliżył się do świętego lasu. Malfurion znał wiele legend o Cenariusie, ale chciał poznać prawdę. Lecz kiedy wołał półboga, tak naprawdę nie spodziewał się odpowiedzi.

Nie spodziewał się też, że Cenarius będzie chciał zostać jego nauczycielem. Nie pojmował, jak półbóg mógł się podjąć tak przyziemnego zadania. A jednak stali tu teraz obok siebie. Byli czymś więcej niż bóstwem i nocnym elfem, więcej niż nauczycielem i uczniem... byli także przyjaciółmi.

– Żaden inny nocny elf nie pragnie poznać dogłębnie moich nauk - odparł Cenarius. - Nawet ci, którzy przybrali posiać strażników lasu... żaden z nich nie podążył ścieżką, którą teraz ci pokazuję. Jesteś pierwszą osobą o odpowiednich zdolnościach i odpowiedniej sile woli, aby nauczyć

się kierować siłami obecnymi w całej naturze. Tak, tak, młody elfie, właśnie ty.

Malfurion został dłużej, aby pomówić o czymś zupełnie innym, więc słowa te zrobiły na nim ogromne wrażenie.

– Ale... ale Tyrande i Illidan...

Półbóg potrząsnął głową.

– O Tyrande już rozmawialiśmy. Obiecała służyć Elune, a ja nie zamierzam wkraczać w domenę Bogini Księżyca! A o twoim bracie mogę powiedzieć tylko tyle, że rokuje wielkie nadzieje... ale są one związane z czymś innym.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć... - I była to prawda. Dowiedzieć się, że on i Illidan nie podążą tą samą ścieżką, że Illidan marnował tu swój czas... Po raz pierwszy sukces miał przypaść w udziale tylko jednemu z bliźniaków. - Nie! Illidan się nauczy! Po prostu jest bardziej uparty! Czuje na sobie tak wielką presję! Jego oczy...

– Są zwiastunem śladu, jaki zostawi po sobie w przyszłości, ale nie będzie do tego potrzebował moich nauk. - Cenarius uśmiechnął się łagodnie do Malfuriona. - Ale będziesz próbował go uczyć sam, prawda? Może uda ci się dokonać tego, czego ja nie potrafiłem zrobić?

Nocny elf spłonął rumieńcem. *Shan'do* odczytał jego myśli. Tak, Malfurion zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby pomóc Illidanowi... ale wiedział, że nie będzie to proste. Uczenie się od półboga to jedno; uczenie się od Malfuriona - drugie. W ten sposób jeszcze dobitniej pokaże Illidanowi, że nie jest pierwszy, lecz drugi.

– No dobrze - dodał cicho władca lasu, gdy mały czerwony ptaszek usiadł mu na porożu, a jego bledsza samiczka wylądowała na ramieniu. Takie rzeczy były w towarzystwie Cenariusza czymś zwyczajnym, ale

zawsze wprawiały Malfuriona w zachwyt. - Przyszedłeś, bo chciałeś mnie o coś zapytać...

– Tak. Wielki Cenariusie... Niepokoi mnie pewien sen... powtarzający się sen.

Złote oczy zwęziły się.

– Tylko sen? To cię niepokoi?

Malfurion skrzywił się. Już i tak miał do siebie pretensje o to, że ośmiela się zawracać półbogowi głowę swoim problemem. Jaką szkodę mógł wyrządzić sen, nawet jeśli się powtarzał? Wszyscy mieli sny.

– Tak... nawiedza mnie, za każdym razem, gdy śpię, a odkąd pobieram u ciebie nauki... stał się jeszcze intensywniejszy, jeszcze bardziej sugestywny.

Myślał, że Cenarius będzie się z niego śmiał, ale władca kniei przyglądał mu się uważnie. Malfurion czuł, jak złote oczy - piękniejsze nawet od oczu jego brata - wwiercają się w niego, czytając w nim jak w otwartej księdze.

W końcu Cenarius wyprostował się. Kiwnął głową i bardziej uroczystym głosem oznajmił:

– Tak, myślę, że jesteś gotowy.

– Gotowy na co?

W odpowiedzi Cenarius uniósł rękę. Czerwony ptaszek zeskoczył mu na dłoń, gdzie dołączyła do niego samiczka. Półbóg pogłaskał oba ptaki po grzbiecie, szepnął coś do nich, po czym pozwolił im odlecieć.

Cenarius spojrział w dół na nocnego elfa.

– Illidan i Tyrande zostaną powiadomieni, że zostaniesz tu jakiś czas. Przekazałem im, że mają odejść bez ciebie.

– Ale dlaczego?

Złote oczy zapłonęły.

– Opowiedz mi o swoim śnie.

Malfurion wziął głęboki oddech i zaczął mówić. Sen zaczynał się zawsze od obrazu Studni Wieczności, która stanowiła jego kluczowy punkt. Początkowo wody jeziora były spokojne, ale potem, od środka, zaczynały się gwałtownie kłębić, tworząc wir... a z głębi wiru wypadały stwory, niektóre niegroźne, inne złowrogie. Wielu z nich nawet nie rozpoznawał, jak gdyby pochodziły z innych światów, innych czasów. Rozbiegały się we wszystkich kierunkach, znikając mu z oczu.

Nagle wir zniknął i Malfurion stał na środku Kalimdoru... ale Kalimdoru pozbawionego wszelkiego życia. Straszliwe zło spustoszyło całą krainę, nie oszczędzając nawet źdźbła trawy czy najdrobniejszego owada. Dumne niegdyś miasta, rozległe, gęste knieje... nic się nie ostało.

Ale jeszcze gorszy był widok osmalonych, pogruchotanych kości nocnych elfów rozrzuconych aż po horyzont. Ich czaszki były wgniecione. W powietrzu unosił się silny odór śmierci. Nikt, nawet starzy, chorzy i dzieci nie zostali oszczędzeni.

Wtedy Malfuriona ogarniał żar, potworny żar. Gdy się odwracał, widział w oddali ogromny ogień, piekło sięgające pod same niebiosa. Ogień spalał wszystko, czego dotknął, nawet sam wiatr. Tam, dokąd zawędrował, nie zostawało nic... zupełnie nic... Lecz choć scena ta była tak przerażająca, powodem, dla którego nocny elf budził się zlany zimnym potem, było coś, co wyczuwał w tych płomieniach.

Płomienie były żywe. Wiedziały, jakie czynią spustoszenie, wiedziały o tym i rozkoszowały się tym. Rozkoszowały się... i pragnęły więcej.

Kiedy Malfurion skończył, z twarzy Cenariususa znikły wszelkie oznaki dobrego humoru. Wzrok półboga powędrował ku ukochanemu lasowi i żyjącym w nim istotom.

- Ten koszmar powtarza się za każdym razem, gdy zasypiasz?
- Za każdym. Bez wyjątku.

– W takim razie obawiam się, że to omen. Od naszego pierwszego spotkania czułem, że masz w sobie zadatki na wieszczka, to jeden z powodów, dla których postanowiłem ci się objawić, ale twój dar jest silniejszy, niż sądziłem.

– Ale co to oznacza? - zapytał błagalnie nocny elf. - Skoro twierdzisz, że to omen, muszę wiedzieć, co zwiastuje.

– I postaramy się tego dowiedzieć. Powiedziałem już przecież, że jesteś gotowy.

– Gotowy na co?

Cenariusz założył ręce na piersi.

– Aby wkroczyć w Szmaragdowy Sen - oświadczył poważniejszym tonem.

W swoich dotychczasowych naukach półbóg nigdy nie wspominał o Szmaragdowym Śnie, ale sposób, w jaki wymówił tę nazwę, uzmysłowił Malfurionowi doniosłość kolejnego kroku.

– Co to jest?

– Raczej czym nie jest. Szmaragdowy Sen to świat poza jawą. To świat ducha, świat śniących. To świat, jaki mógłby istnieć, gdybyśmy my, obdarzone czuciem istoty, nie zrujnowali go. W Szmaragdowym Śnie można dzięki odpowiedniej praktyce zobaczyć wszystko, pójść wszędzie. Twoje ciało wejdzie w trans, a twoja senna postać oddzieli się od niego i poleci tam, dokąd będziesz chciał.

– To brzmi...

– Niebezpiecznie? Bo jest niebezpieczne, młody Malfurionie. Nawet dobrze wyszkolone, doświadczone osoby mogą się zatracić w Szmaragdowym Śnie. Zauważ, że nazywam go Szmaragdowym Snem. To kolor jego pani, Ysery, Wielkiego Aspektu. To domena jej i jej stada. Pilnie go strzeże i pozwala wkroczyć weń tylko nielicznym. Moje własne driady i

strażnicy korzystają czasem ze Szmaragdowego Snu przy wypełnianiu swoich obowiązków, ale rzadko.

– Nigdy o nim nie słyszałem - przyznał Malfurion, potrząsając głową.

– Pewnie dlatego, iż nie wkroczył weń żaden mroczny elf oprócz tych, które mi służą... a i to dopiero wtedy, gdy przestały już należeć do twojej rasy. Będziesz pierwszym ze swojego rodzaju, który podąży tą ścieżką... jeśli tego pragniesz.

Pomysł ten wydał się Malfurionowi niepokojący i ekscytujący zarazem. Byłby to następny etap jego nauki, a może także sposób na zrozumienie znaczenia prześladowającego go koszmaru. A jednak... Cenarius nie ukrywał, że Szmaragdowy Sen mógł się okazać zabójczy.

– Co... co może się wydarzyć? Co może pójść źle?

– Nawet ktoś doświadczony może zgubić drogę powrotną, jeśli się rozproszy - odrzekł półbóg. - Nawet ja. Musisz przez cały czas pozostać skupiony, pamiętać o swoim celu. Inaczej... inaczej twoje ciało może zasnąć na zawsze.

Nocny elf podejrzewał, że to nie wszystko, ale Cenarius z jakichś powodów chciał, aby sam się o tym przekonał - jeśli postanowi wkroczyć w Szmaragdowy Sen.

Uznał, że nie ma innego wyjścia.

– Od czego mam zacząć?

Cenarius z czułością dotknął czubka głowy ucznia.

– Jesteś pewny?

– Tak.

– Więc najpierw usiądź tak jak podczas naszych lekcji. - Kiedy drobniejsza postać usłuchała, Cenarius ugiął cztery nogi i przysiadł na ziemi. - Najpierw cię poprowadzę, potem wszystko zależy od ciebie. Spójrz mi w oczy, nocny elfie.

Złote oczy półboga wpiły się w Malfuriona. Nawet gdyby chciał, oderwanie wzroku wymagałoby od niego gigantycznego wysiłku. Czuł, że zostaje wciągnięty w głąb umysłu Cenariususa, wciągnięty w świat, gdzie wszystko jest możliwe.

Malfurion poczuł się bardzo lekki.

Czy czujesz śpiew kamieni, taniec wiatru, śmiech płynącej wody?

Z początku młodzieniec nie czuł żadnej z tych rzeczy, ale potem usłyszał powolny, miarowy zgrzyt przesuwającej się ziemi. Z opóźnieniem dotarło do niego, że tak rozmawiają ze sobą kamienie i skały przemieszczające się z jednego końca świata na drugi.

Potem usłyszał wyraźnie inne dźwięki. Każdy element natury miał swój własny, niepowtarzalny głos. Wiatr wirował drobnymi kroczkami, gdy był zadowolony, albo dmuchał gwałtownymi porywami, gdy wpadał w mroczniejszy nastrój. Drzewa potrząsały koronami, a wzburzone wody pobliskiej rzeki śmiały się perliście, gdy zamieszkujące je ryby mknęły na tarło.

Ale w tle... Malfurion miał wrażenie, że wyczuwa jakiś odległy dysonans. Spróbował się na nim skupić, ale mu się nie udało.

Jeszcze nie jesteś w Szmaragdowym Śnie. Najpierw musisz się pozbyć swojej ziemskiej powłoki... poinstruował go głos Cenariususa. Kiedy osiągniesz stan snu, zsuniesz z siebie ciało tak jak płaszcz. Zaczynaj od serca i umysłu, bo stanowią ogniwa najmocniej wiążące cię ze śmiertelnym planem. Widzisz? Tak się to robi...

Malfurion dotknął myślami swojego serca, otwierając je jak drzwi i wyrywając się duchem na wolność. To samo uczynił z umysłem, choć wzbraniała się przed tym przyziemna, praktyczna strona każdej żywej istoty.

Poddaj się swojej podświadomości. Pozwól się jej prowadzić. Zna krainę śnienia i zawsze chętnie tam powraca.

Gdy Malfurion posłuchał, runęły ostatnie bariery. Czuł się tak, jak gdyby rzucił skórę. Wypełniło go uniesienie i prawie zapomniał, po co w ogóle to robi.

Ale Cenarius ostrzegał go, żeby pozostał skoncentrowany, więc nocny elf zwalczył euforię.

A teraz... wstań.

Malfurion podniósł się... ale jego ciało, siedzące ze skrzyżowanymi nogami, pozostało na swoim miejscu. Jego senna postać unosiła się kilka stóp nad ziemią, wolna od wszelkich ograniczeń. Wiedział, że gdyby tylko zechciał, mógłby polecieć do samych gwiazd.

Ale Szmaragdowy Sen rozpościerał się w innym kierunku.

Zwróć się do swojej podświadomości, polecił półbóg. Wskaże ci drogę, bo ta leży wewnątrz, nie na zewnątrz.

Kiedy nocny elf posłuchał Cenariususa, zobaczył, że świat wokół niego ulega dalszym przemianom. Wszystko stało się zamglone. Obrazy, niezliczone obrazy, nakładały się na siebie, ale kiedy się skupił, odkrył, że potrafi zobaczyć każdy z osobna. Słyszał szepty i uświadomił sobie, że są to wewnętrzne głosy śniących z całego świata.

Dalej musisz iść sam.

Poczuł, że więzy łączące go z Cenariusem słabną. Półbóg musiał się wycofać, aby Malfurion mógł się skupić. Jednak wciąż pozostawał obecny, gotowy w razie potrzeby pospieszyć uczniowi z pomocą.

Gdy Malfurion ruszył naprzód, świat wokół niego przybrał olśniewająco szmaragdową barwę. Mgiełka zgęstniała, a szepty stały się bardziej wyraźne. Rozmyty krajobraz wydawał się go zapraszać.

Stał się częścią Szmaragdowego Snu.

Kierując się instynktem, Malfurion ruszył w głąb sennego krajobrazu. Tak jak mówił Cenarius, miejsce to wyglądało tak, jak mógłby wyglądać świat, gdyby nie pojawiły się nocne elfy i inne istoty. W Szmaragdowym Śnie panował taki spokój, że Malfurion miał ochotę zostać w nim na zawsze, ale zdołał oprzeć się pokusie. Musiał poznać prawdę o swoich snach.

Początkowo nie miał pojęcia, dokąd prowadzi go jego podświadomość, ale podejrzewał, że ku odpowiedziom, które tak bardzo pragnął poznać. Malfurion leciał nad pustym rajem, zachwycając się wszystkim, co widział.

Ale wkrótce, podczas tej cudownej podróży, znów poczuł, że coś jest nie tak. Wcześniejsze odczucie lekkiego dysonansu wzmogło się. Malfurion usiłował je zignorować, ale nękało go jak wyrzut sumienia. W końcu skierował swoją duchową postać w tamtą stronę.

Nagle zobaczył przed sobą wielkie, czarne jezioro. Malfurion zmarszczył brwi, pewny, że rozpoznaje ten złowieszczy akwen. Ciemne fale omywały jego brzegi, a środek emanował mocą.

Studnia Wieczności.

Ale jeśli to była Studnia, gdzie było miasto? Malfurion przyglądał się sennemu krajobrazowi w miejscu, gdzie powinna się znajdować stolica, starając się przywołać jej obraz. Przybył tu z określonego powodu, a teraz nabrał pewności, że ma to coś wspólnego z miastem. Studnia Wieczności była czymś niezwykłym, ale stanowiła tylko źródło mocy. Dysonans, jak wyczuwał nocny elf, pochodził z innego miejsca.

Wpatrywał się w pusty świat, chcąc ujrzeć rzeczywistość.

Nagle senne ja Malfuriona zmaterializowało się bez żadnego ostrzeżenia nad Zin-Azshari, stolicą nocnych elfów. Zin-Azshari oznaczało „Chwałę Azshary”. Królowa w chwili objęcia tronu była tak kochana, że lud nalegał, aby zmienić nazwę miasta na jej cześć.

Myśląc o swojej królowej, Malfurion zobaczył nagle sam pałac, wspaniałą budowlę otoczoną wysokimi, dobrze strzeżonymi murami. Zmarszczył brwi, poznając to miejsce. Była to, oczywiście, okazała siedziba jego królowej. Choć czasami wytykał jej błędy, tak naprawdę podziwiał ją bardziej niż inni przypuszczali. W ogólnym rozrachunku Azshara zrobiła wiele dobrego dla swojego ludu, ale czasami miał wrażenie, że po prostu zapominała, co jest najważniejsze. Podejrzewał, że przyczyna problemu musi mieć jakiś związek ze Szlachetnie Urodzonymi, którzy zarządzali królestwem w jej imieniu.

Im bliżej był pałacu, tym wyraźniej wyczuwał dysonans, Malfurion wytrzeszczył oczy, widząc dlaczego. Wzywając obraz Zin-Azshari, wezwał również bardziej aktualny obraz Studni. Wody czarnego jeziora kłębiły się jak szalone, a z jego głębin wystrzeliwało coś, co przypominało monstrualne pasma wielobarwnej energii. Ze szczytu najwyższej wieży czerpano ze Studni ogromną moc, bez wątpienia w celu rzucenia niezwykle potężnego zaklęcia.

Ciemne wody u stóp pałacu falowały z taką gwałtownością, że Malfurion miał wrażenie, iż kipią. Im więcej mocy czerpały elfy ukryte w wieży, tym większa była furia żywiołów. W górze zaciągnięte chmurami niebo grzmiało i błyskało. Wzburzone wody groziły zatopieniem niektórych budynków na skraju Studni.

Co oni robią?, zastanawiał się Malfurion, zapominając o własnym zadaniu. Dlaczego nie przerwą czarów podczas dziennego osłabienia?

Ale „dzień” był teraz tylko słowem. Zniknęło słońce osłabiające zdolności nocnych elfów. Choć wieczór jeszcze nie nadszedł, było ciemno, jak gdyby nad Zin-Ashari zapadła noc... nie, jeszcze ciemniej. To nie było naturalne, a na pewno niebezpieczne. W co takiego bawiły się elfy w wieży?

Malfurion przepłynął nad murami, mijając strażników o kamiennych twarzach nieświadomych jego obecności. Dotarł do samego pałacu, ale kiedy spróbował dostać się do środka, pewny, że jego senna postać przeniknie przez coś tak zwyczajnego jak kamień, odkrył nieprzekraczalną barierę.

Ktoś otoczył pałac tak misternymi i potężnymi zaklęciami ochronnymi, że Malfurion nie był w stanie się przez nie przedrzeć. To go tylko jeszcze bardziej zaciekało, wzmogło jego determinację. Zanurkował w dół, a potem wzniósł się w górę ku tajemniczej wieży. Musiało istnieć jakieś wejście. Musiał się dowiedzieć, jakich szaleństw się tam dopuszczano.

Jedną ręką sięgnął ku plątaninie ochronnych zaklęć, szukając punktu, w którym się splatały, punktu, w którym można by je było rozplątać...

Nagle przeszył go niewyobrażalny ból. Wrzasnął bezgłośnie, gdyż żaden dźwięk nie był w stanie oddać jego cierpienia. Obraz pałacu, Zin-Azshari, znikł. Znalazł się w szmaragdowej próżni, pochwycony przez burzę czystej magii. Siły żywiołów były bliskie rozdarcia jego sennej postaci na tysiąc kawałków i rozrzucenia ich na wszystkie strony świata.

Ale w samym środku tego potwornego chaosu nagle usłyszał ciche wołanie znajomego głosu.

Malfurionie... moje dziecko... wróć do mnie... Malfurionie... musisz wracać...

Nocny elf rozpoznał rozpaczliwe wezwanie Cenariususa. Uczepił się go, jak tonący na środku morza łapie się kawałka dryfującego drewna. Malfurion czuł, jak umysł leśnego bóstwa sięga ku niemu, prowadzi go we właściwą stronę.

Ból zelżał, ale Malfurion był niewyobrażalnie wręcz wyczerpany. Jakaś część jego osoby pragnęła unosić się dalej wśród śniących, nie wracając już

nigdy do ciała. Uświadomił sobie jednak, że oznaczałoby to jego koniec, więc zaczął walczyć z tym śmiercionośnym pragnieniem.

Kiedy ból stał się jeszcze słabszy, a dotyk Cenariususa mocniejszy, Malfurion nawiązał łączność ze swoją śmiertelną postacią. Podążył ku niej, mknąc coraz szybciej i szybciej przez Szmaragdowy Sen...

Młodzieniec obudził się z cichym okrzykiem.

Malfurion zwałił się bezwładnie na trawę. Mocne, ale delikatne ręce pomogły mu powrócić do pozycji siedzącej. W ustach poczuł wodę.

Otworzył oczy i zobaczył zatroskaną twarz Cenariususa. Nauczyciel trzymał jego własny bukłak z wodą.

– Dokonałeś czegoś niezwykłego - zamruczał bóg jeleni. - I niewiele brakowało, a zatraciłbyś się na zawsze. Co się z tobą działo, Malfurionie? Straciłem cię z oczu...

– Wyczułem... wyczułem coś strasznego...

– Przyczynę twoich koszmarów?

Nocny elf potrząsnął głową.

– Nie... nie wiem... Czułem, że przyciąga mnie coś w Zin-Azshari... - Spróbował opowiedzieć, co widział, ale słowa nie oddawały sprawiedliwości jego przeżyciom.

Cenariusus sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zatroskanego niż on sam, co zmartwiło Malfuriona.

– To nie wróży nic dobrego... oj, nie. Jesteś pewien, że to był pałac? To musiała być Azshara i jej Szlachetnie Urodzeni?

– Nie wiem, czy razem, czy osobno... ale mam przeczucie, że królowa jest w to zamieszana. Azshara jest zbyt uparta. Nawet Xavius nie potrafi jej kontrolować... jak sądzę. - Doradca królowej był enigmatyczną postacią do której odnoszono się z niechęcią dorównującą miłości do królowej.

– Musisz się zastanowić nad tym, co mówisz, młody Malfurionie. Sugerujesz, że władczyni nocnych elfów, której imię jest codziennie przywoływane w pieśniach, jest zamieszana w jakieś czary, które stanowią zagrożenie nie tylko dla twojego rodzaju, ale także dla reszty świata. Czy wiesz, co to oznacza?

Obraz Zin-Azshari nałożył się na widok spustoszonego krajobrazu... i Malfurion uznał, że pasują do siebie. Może nie były ze sobą bezpośrednio powiązane, ale miały coś wspólnego. Ale co to było, jeszcze nie wiedział.

– Wiem jedno - mruknął, przypominając sobie idealnie piękną twarz swojej królowej i entuzjazm, jaki wywoływało nawet jej najkrótsze pojawienie się. - Wiem, że muszę poznać prawdę, dokądkolwiek mnie ona zaprowadzi... nawet jeśli na końcu będę musiał zapłacić za to własnym życiem...



Mroczna postać dotknęła szponem małej złotej kuli trzymanej w pokrytej łuską dłoni. Kula ożyła. Wewnątrz niej zmaterializował się drugi, prawie identyczny cień. Blask kuli nie był w stanie rozproszyć mroku otaczającego postać, tak że obie pozostawały ukryte przed wzrokiem rozmówcy. Magia chroniąca tożsamość ich obu była stara i bardzo silna.

– Studnia jest wciąż w straszliwej agonii - zauważył ten, który nawiązał kontakt.

– Już od pewnego czasu - odparł drugi, machając nerwowo ogonem. - Nocne elfy igrają z mocami, których nie doceniają.

– Czy twoja strona już się wypowiedziała?

Zaciemniona głowa wewnątrz kuli poruszyła się na boki.

– Jeszcze nie... ale co właściwie mogą zrobić, może oprócz unicestwienia siebie samych? Nie byłby to pierwszy raz, kiedy jedna z efemerycznych ras zrobiła coś takiego i z pewnością nie ostatni.

Pierwsza postać kiwnęła głową.

– Tak sądzimy... my i reszta.

– Cała reszta? - syknęła druga, a w jej głosie po raz pierwszy pojawiła się nutka zaciekawienia. - Nawet ci ze stada Strażnika Ziemi?

– Nie... nie mówili, co o tym myślą... jak zwykle ostatnimi czasy. I tak we wszystkim słuchają Nelthariona.

– A więc to nieistotne. Tak jak wy będziemy nadal obserwować poczynania nocnych elfów, ale wątpię, by skończyło się to czymś więcej niż zagładą ich gatunku. Jeśli zagrożenie okaże się poważniejsze, będziemy działać, jeśli otrzymamy taki rozkaz od naszego pana Malygosa.

– Pakt pozostaje w mocy - odparła pierwsza postać. - My też będziemy działać tylko na rozkaz jej wysokości, wspaniałej Alexstraszy.

– W takim razie to koniec rozmowy. - Po tych słowach kulę wypełniła czerń. Druga postać przerwała połączenie.

Pierwsza wstała i odłożyła kulę. Z sykiem potrząsnęła głową, nie mogąc się nadziwić ignorancji niższych ras. Bez przerwy, mieszały się w sprawy wykraczające poza ich możliwości i często płaciły za to ostateczną cenę. Ich cierpienie było nieistotne dopóty, dopóki nie wpływało na cały świat. Gdyby miało do tego dojść, smoki będą musiały wkroczyć do akcji.

– Głupie, głupie nocne elfy...



W miejscu pomiędzy światami, w samym środku wcielonego chaosu, płomienne oczy rozbłysły nagłym zainteresowaniem. Dokonania Szlachetnie Urodzonych królowej Azshary dotarły także do nich.

Gdzieś, uświadomił sobie ten, który patrzył, gdzieś ktoś przyzywał moc. Ktoś czerpał z mocy w błędnym przekonaniu, że on i tylko on o niej wie i potrafi nią władać... ale gdzie?

Szukał, już prawie odkrył źródło, a potem je zgubił. Było jednak blisko, bardzo blisko.

Zaczeka. Tak jak pozostali zaczynał być głodny. Jeśli zaczeka trochę dłużej, odkryje, na którym ze światów znajdują się czarodzieje. Czuł zapach ich zapału, ich ambicji. Nie będą w stanie zrezygnować z magii. Wkrótce... wkrótce odnajdzie drogę do ich małego światka...

A wtedy on i reszta się pożywią.

PIĘĆ



Brox miał bardzo złe przeczucia co do tej misji.

– Gdzie oni są? - wymruczał. - Gdzie oni są?

Ork chętnie by się dowiedział, jak udało im się ukryć smoka. Tropy były wyraźne do pewnego miejsca, ale potem on i Gaskał mogli znaleźć tylko ślady człowieka, może dwóch. Ponieważ orki znajdowały się na tyle blisko, żeby zauważyć smoka wzbijającego się w powietrze - a nie widziały tak niezwykłego widoku - jedyne sensowne rozwiązanie zagadki było takie, że lewiatan wciąż znajdowały się gdzieś w pobliżu.

– Może poszli tędy - podsunął młodszy wojownik, na którego czole pojawiły się głębokie zmarszczki. - Tym wąwozem.

– Za wąski - warknął Brox. Wciągnął powietrze w nozdrza. Wypełnił je odór smoka, który prawie zagłuszał słabszy zapach człowieka. Smoki i czarodzieje.

Pał lichy traktat pokojowy, to będzie dobry dzień, aby umrzeć... jeśli tylko Broxowi uda się odszukać nieprzyjaciół.

Kiedy weteran ukląkł, aby lepiej przyjrzeć się śladom, musiał przyznać, że słowa Gaskala miały sens. Dwie pary śladów prowadziły w głąb wąskiego wąwozu, zaś tropy smoka po prostu zniknęły. Jednak w razie konfrontacji orków z intruzami bestia z pewnością się pokaże.

W żaden sposób nie zdradzając towarzyszowi swoich prawdziwych zamiarów, starszy wojownik wstał.

– Idziemy.

Z bronią w pogotowiu wbiegli truchtem w przesmyk. Brox prychnął, przyglądając mu się w biegu. Zdecydowanie za mały dla smoka, nawet niewyrośniętego. Gdzie się podziała ta bestia?

Z głębi wąwozu dobiegło ich potworne wycie jakiegoś zwierza. Dwa orki popatrzyły po sobie, ale nie zwolniły. Żaden prawdziwy wojownik nie uciekał na sam dźwięk niebezpieczeństwa.

Wbiegały coraz głębiej. Cienie miały wzrok, przez co miały wrażenie, że wszędzie wokół nich czają się nadnaturalnie wielkie istoty. Brox oddychał ciężko, starając się dotrzymać kroku Gaskalowi. Topór coraz bardziej ciążył mu w dłoni.

W niewielkiej odległości przed nimi rozległ się echem krzyk - ludzki krzyk.

– Brox... - zaczął młodszy ork.

Ale w tej samej chwili ich pole widzenia wypełnił potworny widok, płomienne zjawisko nie przypominające niczego, co do tej pory widziały.

Wypełniało cały przesmyk, rozlewając się nawet na skały. Nie wydawało się żywe, a jednak poruszało się tak, jak gdyby miało jakiś cel. Dźwięki - przypadkowe, chaotyczne dźwięki - wypełniły uszy orków, a kiedy Brox przyjrzał się środkowi anomalii, miał wrażenie, że patrzy w Wieczność.

Orki nie były strachliwymi istotami, ale ta potworna i z pewnością magiczna wizja oszołomiła dwóch wojowników. Brox i Gaskal stali nieruchomo, świadomi, że zwykła broń na nic się im nie zda.

Brox pragnął bohaterskiej śmierci, ale nie takiej. W takiej śmierci nie było nic szlachetnego. To coś mogło go połknąć tak szybko i bezrefleksyjnie, jak gdyby był komarem.

To pomogło mu podjąć decyzję.

– Gaskal! W nogi! Uciekaj!

Ale sam Brox nie zdążył uciec. Odwracał się już, żeby wziąć nogi za pas, ale pośliznął się jak niezdarne dziecko na śliskim śniegu. Wielki ork runął na ziemię, uderzając się w głowę. Broń wypadła mu z ręki i potoczyła się poza jej zasięg.

Gaskal, nieświadomy losu towarzysza, zamiast biec z powrotem uskoczył w bok, chowając się w zagłębieniu w jednej ze ścian przesmyku. Ukrył się w środku, pewny, że lita skała zapewni mu ochronę. Walczący z oszołomieniem Brox pojął błąd Gaskala. Podnosząc się na kolana, krzyknął:

– Nie tam! Dalej!

Ale jego ostrzeżenie utonęło w kakofonii dźwięków. Straszliwa anomalia posuwała się naprzód... a Brox patrzył z przerażeniem, jak zahacza samym skrajem o Gaskala.

Gaskal wydał z siebie tysiąc okrzyków, starzejąc się i młodniejąc jednocześnie. Wybałuszył oczy, a jego ciało zafalowało jak ciecz. Rozciągał się i kurczył...

Z ostatnim, nieludzkim wrzaskiem młodszy ork skurczył się w sobie, robiąc się coraz mniejszy... aż zupełnie zniknął.

– Na Horde... - sapnął Brox, wstając. Gapił się na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Gaskal, wciąż mając nadzieję, że jego towarzysz wróci w nie jakimś cudownym sposobem, cały i zdrowy.

W końcu dotarło do niego, że za kilka sekund ta sama potworność otoczy także jego. Odwrócił się, instynktownie łapiąc za topór, i puścił się pędem. Nie czuł wstydu. Żaden ork nie mógł walczyć z tym czymś. Umrzeć w taki sposób jak Gaskal byłoby pustym gestem. Lecz choć biegł najszybciej jak potrafił, płomienne zjawisko było szybsze. Brox zgrzytnął

zębami, prawie ogłuszony kakofonią dźwięków i głosów. Wiedział, że już się mu nie wymknie, nie teraz, ale nie dawał za wygraną... Zdołał zrobić jeszcze dwa kroki, zanim anomalia pochłonęła go w całości.



Każda kość, każdy mięsień, każdy nerw w ciele Krasusa rwał nieznośnym bólem. Był to jedyny powód, dla którego smoczy mag wydobył się w końcu z czarnej otchłani nieświadomości.

Co się stało? Wciąż nie był pewny. W jednej chwili starał się dotrzeć do Rhonina, a w następnej, choć znajdował się daleko od anomalii, też został przez nią wchłonięty. Mentalna więź z ludzkim czarodziejem pociągnęła Krasusa za nim.

Przez jego zamroczony umysł przemknęły jakieś obrazy. Pejzaże, stwory, artefakty. Krasus doświadczył czasu w jego ostatecznym aspekcie, przeszłości, terażniejszości i przyszłości jednocześnie.

Aspekcie? To słowo przywołało kolejną straszną wizję, o której na szczęście nie pamiętał - aż do tej chwili. W samym środku chaotycznego wiru czasu Krasus zobaczył coś, co złamało mu serce i odebrało nadzieję. Tam, w centrum żywiołu, zobaczył wielkiego Nozdormu, Aspekt Czasu... uwięzionego jak mucha w pajęczynie.

Nozdormu tkwił tam w całej swojej straszliwej chwale, ogromny smok nie z ciała, lecz ze złotych piasków wieczności. Jego błyszczące oczy podobne do klejnotów, oczy koloru słońca, były szeroko otwarte, ale nie zauważyły drobnej postaci Krasusa. Wielki smok miotał się w agonii; choć był uwięziony, walczył o utrzymanie wszystkiego razem - absolutnie wszystkiego.

Nozdormu był jednocześnie ofiarą i zbawicielem. Schwytyany w pułapkę czasu, chronił go przed rozpadem. Gdyby nie Aspekt materia rzeczywistości zawałiłaby się tam i wtedy. Świat, jaki znał Krasus, zniknąłby na zawsze. Byłoby tak, jak gdyby nigdy nie istniał.

Nowy spazm bólu targnął Krasusem. Krzyknął w prastarym języku smoków, tracąc na chwilę panowanie nad sobą. Ale bólowi towarzyszyła świadomość, że wciąż żyje. Ta wiedza kazała mu walczyć, odzyskać w pełni przytomność...

Otworzył oczy.

Nad sobą zobaczył drzewa. Wysokie, gęste drzewa o zielonych koronach, które przesłaniały prawie całe niebo. Las w pełnym rozkwicie. Ptaki śpiewały, jakieś stworzenia przemykały z szelestem przez poszycie. Z roztargnieniem odnotował zachodzące słońce i puchate obłoczki sunące po niebie.

Otoczający go krajobraz był tak sielski, że smoczy mag zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem nie zginął i nie odszedł w zaświaty. Ale zaraz potem jego uwagę przykuł nieco mniej sielankowy odgłos - wymruczane pod nosem przekleństwo. Krasus popatrzył w lewo.

Rhonin pocierał potylicę, usiłując się trochę podnieść. Płomiennowłosa człowiek wylądował tylko kilka jardów od swojego dawnego mentora. Czarodziej wypluł grudki ziemi i trawy, a potem zamrugał. Przez czysty przypadek najpierw popatrzył w stronę Krasusa.

– Co...? - zdołał wykrztusić.

Krasus spróbował się odezwać, ale z jego ust wydobył się tylko chrapliwy skrzek. Przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz.

– Nie... nie wiem. Nic... nic ci nie jest?

Rhonin, krzywiąc się, rozprostował ręce i nogi.

– Wszystko mnie boli... ale... ale chyba nic nie złamałem.

Po podobnym badaniu smoczy mag doszedł do takich samych wniosków. Fakt, że nie odnieśli żadnego uszczerbku, zdumiewał go, ale potem przypomniał sobie magię Nozdormu działającą wewnątrz anomalii. Być może Aspekt Czasu zauważył ich w końcu i zrobił co w jego mocy, aby ocalić dwóch towarzyszy.

Ale skoro tak...

Rhonin przewrócił się na plecy.

– Gdzie jesteśmy?

– Nie wiem. Czuję, że powinienem to wiedzieć, ale... - Krasus urwał, bo nagle zakręciło mu się w głowie. Opadł z powrotem na ziemię i zamknął oczy, czekając, aż mu przejdzie.

– Krasusie? Co się stało?

– Nic takiego... Chyba jeszcze nie doszedłem do siebie po tym, co się stało. To minie. - Zauważył jednak, że Rhonin już wygląda znacznie lepiej, a nawet siedzi i próbuje się przeciągnąć. Dlaczego kruchy człowiek miałby lepiej znieść zawirowania anomalii?

Z ponurą determinacją Krasus usiadł. Znów zakręciło mu się w głowie, ale zwalczył to uczucie. Starając się nie myśleć o swoich problemach, rozejrzał się wokół siebie. Tak, otoczenie z pewnością wydawało się znajome. Kiedyś odwiedził to miejsce, ale kiedy?

Kiedy?

To proste pytanie napełniło go grozą.

Nozdormu uwięziony w wieczności... cały czas otwarty na anomalie...

Gęsty las i wydłużające się cienie rzucane przez zachodzące słońce uniemożliwiały zorientowanie się w sytuacji. Musiał wzbić się w powietrze. Krótki lot powinien być bezpieczny. Wydawało się, że w okolicy nie ma żadnych osad.

– Rhoninie, zostań tutaj. Rozejrzę się z góry i zaraz wrócę.

– Czy to rozsądne?

– Myślę, że to absolutnie konieczne. - To powiedziawszy, Krasus rozpostarł ramiona i zaczął się przeobrażać.

A raczej spróbował się przeobrazić. Smoczy mag zgiął się wpół z bólu i obezwładniającej słabości. Miał wrażenie, że jego ciało wywróciło się na lewą stronę, przez co zupełnie stracił poczucie równowagi.

Silne ramiona pochwyciły go, gdy upadał. Rhonin ostrożnie zaciągnął go w miejsce, gdzie ziemia była miękka, a potem pomógł mu usiąść.

– Nic ci nie jest? Wyglądałeś, jak gdyby...

– Rhonin... - przerwał mu Krasus. - Nie mogłem się przeobrazić. Nie mogłem się przeobrazić...

Młody czarodziej zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

– Jesteś wciąż słaby, mistrzu Krasusie. Podróż przez to coś...

– Ale ty stoisz. Nie obraż się, człowieku, ale po tym, co przeszliśmy, powinieneś być w o wiele gorszym stanie niż ja.

Rhonin kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Myślałem, że wyczerpały cię próby utrzymania mnie przy życiu.

– Obawiam się, że w chwili, w której znaleźliśmy się w tym czymś, nie mogłem zrobić dla ciebie więcej niż dla siebie. Prawdę mówiąc, gdyby nie Nozdormu...

– Nozdormu? - Rhonin zrobił wielkie oczy. - A co on ma z tym wspólnego?

– Nie widziałeś go?

– Nie.

Smoczy mag odetchnął i opisał to, co widział. W miarę jak opowiadał, wyraz twarzy Rhonina robił się coraz bardziej posępny.

– Niemożliwe... - wyszeptał w końcu.

– Przeróżające - poprawił go Krasus. - A teraz muszę ci jeszcze powiedzieć, że nawet jeśli Nozdormu faktycznie ocalił nas przed dzikimi siłami anomalii, obawiam się, że nie odesłał nas tam, skąd przybyliśmy... ani nawet w ten sam czas.

– Myślisz... myślisz, że jesteśmy w innym czasie?

– Tak... ale w jakiej epoce... nie wiem. Nie wiem też, jak dostaniemy się z powrotem do naszej własnej ery.

Rhonin zgarbił się i popatrzył w przestrzeń pustym wzrokiem.

– Vereesa...

– Nie trać odwagi! Powiedziałem, że nie wiem, jak wrócimy do naszych czasów, ale to nie znaczy, że nie będziemy próbować! Ale najpierw musimy zadbać o jedzenie i schronienie... i poznać okolicę. Jeśli ustalimy, gdzie jesteśmy, może uda się nam uzyskać pomoc. No dalej, pomóż mi wstać.

Z pomocą człowieka Krasus dźwignął się z ziemi. Po kilku ostrożnych krokach uznał, że czuje się na tyle dobrze, aby wyruszyć w drogę. Po krótkiej dyskusji nad wyborem kierunku postanowili pójść na północ, ku widocznym w oddali wzgórzom, licząc na to, że dostrzegą z ich szczytu jakąś wioskę albo miasteczko.

Szli dopiero godzinę, gdy słońce skryło się za horyzontem, ale wędrowali dalej. Na szczęście Rhonin miał w jednej z sakw trochę prowiantu, a mijany krzak dostarczył im kilku garści jadalnych, acz kwaśnych jagód. Poza tym w mniejszej, prawie elfiej osobie Krasus potrzebował znacznie mniej jedzenia niż w swojej prawdziwej postaci. Mimo to obaj zdawali sobie sprawę, że jeśli chcą przeżyć, jutro będą musieli zdobyć coś bardziej pożywne.

Kiedy zapadła ciemność, grubsze odzienie przystosowane do warunków panujących w górach okazało się idealną ochroną przed chłodem.

Doskonały wzrok Krasusa pozwalał im też omijać przeszkody na drodze. Mimo to szli powoli i zaczynało im doskwierać pragnienie.

Wreszcie cichy szum doprowadził ich do niewielkiego strumyka. Rhonin i Krasus uklękli z wdzięcznością i zaczęli i pić.

– Piątce niech będą dzięki - powiedział smoczy mag. Rhonin skinął w milczeniu głową, zbyt pochłonięty próbą wypicia całej wody ze strumienia.

Kiedy zaspokoili pragnienie, usiedli. Krasus chciał ruszać dalej, ale ani on, ani człowiek nie mieli już na to sił. Musieli odpocząć przez noc, a w dalszą drogę ruszyć o pierwszym brzasku.

Zasugerował to Rhoninowi, który zgodził się skwapliwie.

– Chyba nie byłbym w stanie zrobić ani kroku więcej - wyznał czarodziej. - Ale myślę, że mógłbym jeszcze wyczarować ognisko, gdybyś chciał.

Pomysł rozpalenia ogniska nęcił Krasusa, ale coś mówiło mu, że to niebezpieczne.

– W tych strojach powinno nam być wystarczająco ciepło. W naszej sytuacji lepiej przesadzić z ostrożnością, niż potem żałować.

– Pewnie masz rację. Mogliśmy wylądować podczas inwazji Hordy.

Zważywszy na spokój, jaki panował w lesie, Krasusowi wydało się to dość nieprawdopodobne, ale upływ wieków stwarzał też inne zagrożenia. Na szczęście ich obecne miejsce pobytu było dość dobrze ukryte przed większością istot przechodzących w pobliżu. Zbocze pagórka tworzyło naturalną osłonę, za którą mogli się schronić.

Bardziej ze zmęczenia niż w wyniku świadomej decyzji zostali tam, gdzie byli, zasypiając tak jak siedzieli. Jednak Krasus zapadł w niespokojną drzemkę, w której śnił o minionych wydarzeniach.

Znów zobaczył Nozdormu zmagającego się z tym, co stanowiło jego naturę. Zobaczył cały czas splątany, bezładny i z każdą chwilą istnienia

anomalii coraz mniej stabilny.

Krasus zobaczył coś jeszcze: płomienne spojrzenie, prawie jak oczy, omiatające żarłocznie wszystko wokół. Smoczy mag zmarszczył brwi przez sen. Jego podświadomość usiłowała przypomnieć sobie, dlaczego podobny obraz wydaje mu się tak strasznie znajomy...

Ale w chwili, gdy już, już miał sobie przypomnieć, czym są te płonące ślepia, rozległ się cichy brzęk metalu o metal, który zmącił jego sen, rozprasząc go bezpowrotnie.

Poruszył się, ale dłoń Rhonina zamknęła mu usta. Kiedyś podobny afront skłoniłby smoka do udzielenia śmiertelnej istocie bolesnej lekcji manier, ale teraz Krasus nie tylko był bardziej cierpliwy niż w młodości, ale i miał w sobie więcej ufności.

Znów rozległ się szcęk metalu. Cichy, ale w wyczulonych uszach obu magów brzmiał niemal jak grzmot.

Rhonin wskazał palcem w górę. Krasus kiwnął głową. Obaj wstali ostrożnie, próbując wyrzeć z za zbrocza. Odkąd zasnęli, musiało minąć wiele godzin. W lesie panowała cisza, jeśli nie liczyć brzęczenia nielicznych owadów. Gdyby nie krótkie, nienaturalne dźwięki, które usłyszeli, Krasus byłby przekonany, że wszystko jest w porządku.

Wtem za wzniesieniem pojawiła się para wielkich, niemal potwornych kształtów. Początkowo nie potrafili ich rozpoznać, ale potem bystry wzrok Krasusa powiedział mu, że nie są to dwie istoty, lecz cztery. Dwóch jeźdźców dosiadających wielkich, muskularnych panter.

Byli wysocy i bardzo szczupli, ale musieli być wojownikami. Nosili pancerze koloru nocy i wysokie, zwieńczone pióropuszcami hełmy z nosalami. Krasus nie widział dokładnie ich twarzy, ale poruszali się z płynnością jakiej nie widział u większości ludzi. Zarówno jeźdźcy, jak i ich wierzchowce o czarnym lśniącym futrze zachowywali się tak, jak gdyby

ciemność w niczym im nie przeszkadzała, co kazało smoczemu magowi ostrzec towarzysza.

– Zobaczą cię, zanim ty zobaczysz ich wyraźnie - wyszeptał Krasus. - Kim są nie wiem, ale nie należą do twojej rasy.

– Jest ich więcej! - odszepnął Rhonin. Miał gorszy wzrok, ale patrzył akurat w stronę, z której wyłoniła się następna para jeźdźców.

Czterej żołnierze poruszali się w niemal całkowitej ciszy. Tylko od czasu do czasu parsknięcia wierzchowców albo metaliczny szczęk zdradzały ich obecność. Wyglądali, jakby brali udział w polowaniu...

Krasus z przerażeniem doszedł do wniosku, że szukają Rhonina i jego. Jeden z jeźdźców na przedzie ściągnął wodze swojego potwornego, szablozębego wierzchowca, zatrzymał się, po czym uniósł dłoń do twarzy. Krótki rozbłysk niebieskiego blasku oświetlił na chwilę obszar wokół niego. W obleczonej w pancerną rękawicę dłoni jeździec trzymał mały kryształ, który zogniskował na mrocznym krajobrazie. Po chwili przykrył przedmiot drugą dłonią tłumiąc światło.

Krasus nie przejął się aż tak bardzo użyciem magicznego kryształu. O wiele bardziej zaniepokoił go widok gniewnej fioletowej twarzy łowcy.

– Nocne elfy... - wyszeptał.

Jeździec dzierżący kryształ natychmiast spojrział w jego stronę.

– Zobaczyli nas! - wymamrotał Rhonin.

Przeklinając swoją głupotę, Krasus pociągnął czarodzieja za sobą.

– Uciekamy w gąszcz! To nasza jedyna szansa!

Nocną ciszę przerwał pojedynczy okrzyk... a potem las wypełnił się jeźdźcami. Ich przerażające, gibkie rumaki skoczyły zwinnie naprzód. Poduszki łap tłumiły ich kroki. Tak jak ich panowie miały lśniące srebrne oczy, które pozwalały im dobrze widzieć zwierzynę pomimo ciemności. Pantery ryczały donośnie, nie mogąc się doczekać pochwylenia ofiar.

Rhonin i Krasus zsunęli się ze wzgórza w zarośla. Minął ich jeden z jeźdźców, ale kolejny odwrócił się i kontynuował pościg. W tyle kilkunastu innych rozproszyło się, chcąc odciąć im drogę ucieczki.

Dwójka towarzyszy dopadła gęstwiny, ale pierwszy jeździec następował im już na pięty. Rhonin odwrócił się i wykrzyczał pojedyncze słowo.

Oślepiająca kula czystej mocy uderzyła nocnego elfa prosto w pierś, zrzucając go z wierzchowca i ciskając nim w pień drzewa, o który uderzył z głośnym hukiem.

Potężny atak sprawił, że pozostali rzucili się za nimi z jeszcze większą determinacją. Choć teren im nie sprzyjał, popędzali pantery. Krasus zerknął na wschód i zobaczył, że kilku zajężdża im drogę z boku.

Instynktownie rzucił zaklęcie. Wypowiedziane w języku czystej magii, powinno było stworzyć ścianę płomieni, która miała powstrzymać ich prześladowców. Zamiast niej w przypadkowych miejscach zapłonęły małe ogniska, które nie stanowiły żadnej przeszkody. W najlepszym wypadku rozproszyły na chwilę garstkę jeźdźców. Większość nocnych elfów nawet nie zwróciła na nie uwagi. Co gorsza, Krasus zgiął się wpół, owładnięty bólem i słabością.

Rhonin znów przyszedł mu z pomocą. Powtórzył słabszą wariację zaklęcia rzuconego przez smoczego maga, ale tam, gdzie Krasus za swoje wysiłki został nagrodzony miernymi rezultatami i fizycznym bólem, ludzki czarodziej osiągnął nadspodziewanie dobre efekty. Las przed ich prześladowcami eksplodował żarłocznymi, buchającymi płomieniami, przez co opancerzeni jeźdźcy poszli w kompletną rozsypkę.

Rhonin był zaskoczony efektem nie mniej niż nocne elfy, ale szybciej odzyskał przytomność umysłu. Podbiegł do Krasusa i pomógł obolałemu magowi uciec w gąszcz.

– Zaraz... - Krasus z trudem łapał oddech. - Zaraz znajdą drogę naokoło!
Wygląda na to, że dobrze znają to miejsce!

– Jak ich nazwałś?

– To nocne elfy, Rhoninie. Przypominasz je sobie?

Zarówno smoczy mag, jak i człowiek przebywali podczas wojny z Płonącym Legionem w Dalaranie albo w pobliżu niego, ale z daleka dochodziły ich wieści o pojawieniu się nocnych elfów, legendarnej rasy, z której wywodzili się pobratymcy Vereesy. Nocne elfy pojawiły się, kiedy nieszczęście wydawało się nieuchronne, i można było bez żadnej przesady powiedzieć, że gdyby nie przyłączyły się do obrońców, wynik wojny mógł być zupełnie inny.

– Skoro to nocne elfy, czy nie jesteśmy sojusznikami?

– Zapominasz, że wcale nie musimy być w naszej epoce. Prawdę mówiąc, aż do ich powrotu nawet smoki sądziły, że ta rasa wymarła, kiedy... - Krasus umilkł, nie do końca pewny, czy ma ochotę doprowadzić to rozumowanie do logicznej konkluzji.

W pobliżu rozległy się krzyki. Nacierali na nich trzej jeźdźcy z zakrzywionymi szablami. Na czele jechał ten dzierzący niebieski kryształ. Płomienie Rhonina oświetliły mu twarz, której typową elfią urodę zeszpeciła na zawsze wielka blizna biegnąca od lewego oka do kącika ust.

Krasus spróbował rzucić kolejne zaklęcie, ale osunął się tylko na kolana. Rhonin przytrzymał go, po czym odwrócił się do napastników.

– Rytonus Zerek! - krzyknął.

Gałęzie najbliższych nocnych elfów zbiły się nagle, tworząc barierę przypominającą sieć. Jeden z jeźdźców zaplątał się w nią i zsunął z wierzchowca. Drugi szarpnął za wodze protestującej pantery i wrył ją ziemię zaraz za tym, który spadł.

Ich dowódca przedarł się przez gałęzie jak przez masło; jego klinga zostawiała w powietrzu czerwoną smugę podobną do błyskawicy.

– Rhonin! - zdołał zawołać Krasus. - Uciekaj! Biegnij!

Jego dawny uczeń nie miał najmniejszego zamiaru posłuchać, ale smoczy mag zachowałby się tak samo na jego miejscu. Rhonin sięgnął do sakiewki przy pasie i wyciągnął z niej coś, co na pierwszy rzut przypominało pas rozżarzonej rtęci. Rtęć szybko scalała się w lśniące ostrze, które Rhonin otrzymał w prezencie od elfiego dowódcy pod koniec wojny.

W blasku klingi czarodzieja na hardym obliczu dowódcy nocnych elfów pojawiło się zaskoczenie. Mimo to natarł na Rhonina.

Sypnęły się purpurowe i srebrne iskry. Całe ciało Rhonina drżało. Nocny elf prawie wyleciał z siodła. Pantera zaryczała, ale z powodu jeźdźca nie była w stanie dosięgnąć przeciwnika ostrymi jak brzytwy pazurami.

Znów wymienili ciosy. Rhonin był wprawdzie czarodziejem, ale w ciągu swojego życia zdążył się już przekonać, jak cenna jest umiejętność walki wręcz. Vereesa wyszkoliła go tak, że mógł stawić czoła nawet zaprawionym w bojach wojownikom, a dzięki elfiej klindze miał duże szanse w walce z każdym wrogiem.

Ale nie z tak liczebnym. Kiedy odpierał ataki nocnego elfa i jego pantery, pojawili się trzej kolejni, w tym dwaj manipulujący jakąś siecią. Krasus usłyszał za plecami hałas, a kiedy się odwrócił, zobaczył jeszcze trzech, którzy też nieśli wielką sieć.

Choć bardzo się starał, nie był w stanie wydobyć z siebie słów mocy. On, smok, był bezradny. Rhonin zauważył pierwszą sieć i cofnął się. Trzymał miecz w pogotowiu na wypadek, gdyby nocne elfy spróbowały go nią omotać. Dowódca podjechał w jego stronę, skupiając na sobie jego uwagę.

– Za... za tobą! - zawołał Krasus, znów słabnąc. - Mają jeszcze jedną...

Obuta stopa kopnęła osłabionego maga w bok głowy. Krasus nie stracił przytomności, ale pociemniało mu przed oczami.

Zamglonym wzrokiem patrzył, jak ciemne postacie nocnych elfów atakują jego towarzysza. Rhonin odbił kilka ciosów, odgonił jednego wielkiego kota... a potem z tyłu spadła na niego sieć.

Zdołał ją częściowo rozciąć, ale spadła na niego druga siatka, w którą zupełnie się zaplątał. Otworzył usta, ale dowódca podjechał do niego i grzmotnął go w szczękę rękawicą bojową.

Ludzki czarodziej padł na ziemię.

Rozwścieczony Krasus zdołał otrząsnąć się z zamroczenia. Wymruczał coś pod nosem i wskazał dowódcę. Tym razem jego czar zadziałał, ale chybił celu. Złota błyskawica, zamiast trafić w elfa, uderzyła w drzewo obok jednego z łowców. Trzy wielkie konary oderwały się i spadły na jednego z jeźdźców, przygniatając go razem z wierzchowcem.

Dowódca rzucił Krasusowi wściekle spojrzenie. Smoczy mag bezskutecznie próbował się bronić przed gradem ciosów i kopniaków, które zmusiły go do uległości... a w końcu pozbawiły przytomności.



Patrzył, jak jego podkomendni biją dziwną postać, która bardziej przez przypadek niż dzięki swoim umiejętnościom zabiła jednego z nich. Jeszcze na długo po tym, jak ofiara straciła przytomność, pozwalał, by jego wojownicy wyładowywali własną frustrację na nieruchomym ciele. Pantery syczały i warczały, czując zapach krwi, i nocne elfy z trudem powstrzymały

je przed przyłączeniem się do kaźni. Kiedy uznał, że dalsze bicie może zagrozić życiu więźnia, kazał im przestać.

– Lord Xavius chce ich widzieć żywymi - warknął nocny elf z blizną na twarzy. - Nie chcemy go rozczarować, prawda?

Pozostali wyprostowali się, w ich oczach pojawił się nagle strach. I *szuszenie*, pomyślał, bowiem lord Xavius nagradzał niedbalstwo śmiercią... bolesną, powolną śmiercią. I często wymierzał ją za pośrednictwem chętej ręki Varo'thena.

– Byliśmy ostrożni, kapitanie Varo'thene - powiedział szybko jeden z żołnierzy. - Obaj przeżyją podróż...

Kapitan kiwnął głową. Wciąż zachodził w głowę, jak doradca królowej wykrył obecność tych niezwykłych przybyszów. Kiedy Xavius przywołał wiernego Varo'thena, powiedział tylko, że miała miejsce jakaś dziwna manifestacja, i że chce, aby kapitan zbadał to i przyprowadził każdego, kogo znajdzie w pobliżu. Zawsze czujny Varo'then zauważył lekkie zmarszczenie brwi lorda, jedyną oznakę tego, że Xavius jest bardziej zaniepokojony tą dziwną „manifestacją”, niż dał po sobie poznać.

Varo'then przyjrzał się jeńcom, których związane ciała przerzucono przez grzbiet jednej z panter. Takiej pary doradca z pewnością się nie spodziewał. Ten słaby, który rzucił ostatnie zaklęcie, przypominał nieco nocnego elfa, ale skórę miał bladą, niemal białą. Drugi, wyraźnie młodszy i znacznie bardziej utalentowany mag... Varo'then nie wiedział, co o nim myśleć. Nie różnił się aż tak bardzo od nocnego elfa, ale zdecydowanie nim nie był. Nie przypominał żadnej istoty, jaką weteran kiedykolwiek widział.

– Nieważne, lord Xavius się tym zajmie - mruknął sam do siebie Varo'then. - Nawet jeśli będzie musiał rozerwać ich na sztuki, albo obdrzeć żywcem ze skóry, aby poznać prawdę...

Cokolwiek postanowi doradca, dobry, wierny kapitan Varo'then chętnie przyjdzie mu z pomocą.

SZEŚĆ



Malfurion powrócił zatroskany do swojego domu położonego nieopodal wodogrzmotów, w niewielkiej odległości od Suramaru, osady nocnych elfów. Wybrał to miejsce ze względu na panujące w nim spokój i piękno pierwotnej natury. Nigdzie indziej nie czuł się tak dobrze, może oprócz gaju Cenariusza.

Prosty dom Malfuriona, przysadzisty, zaokrąglony budynek z drewna i ziemi, nie przypominał zupełnie domostw większości nocnych elfów. Nie dla niego były jaskrawe kolory świadczące o skłonności jego pobratymców do przyćmiewania sąsiadów. Malfurion zbudował swój dom w barwach ziemi i życia: leśnych zieleniach, głębokich, żyznych brązach i pochodnych odcieniach. Próbował dostosować się do otoczenia, zamiast zmuszać je, aby dostosowało się do niego, jak to miał w zwyczaju jego lud.

Ale tej nocy nawet własny dom nie był w stanie przynieść mu ukojenia. W głowie, wciąż wściekle wyraźne, kłębiły mu się myśli i obrazy, których doświadczył w Szmaragdowym Śnie. Otworzyły w jego wyobraźni drzwi, które rozpaczliwie pragnął zamknąć z powrotem, ale wiedział, że to niemożliwe.

– Wizje, jakie masz w Szmaragdowym Śnie, mogą oznaczać wiele rzeczy - twierdził z przekonaniem Cenarius - bez względu na to, jak

prawdziwe się wydają. Nawet to, co uważamy za prawdziwe, tak jak twoja wizja Zin-Azshari, może być fałszywa, bo kraina snów płata figle naszym ograniczonym umysłem...

Malfurion wiedział, że półbóg stara się go tylko pocieszyć, i że to, co widział, było prawdą. Zdawał sobie sprawę, że Cenarius jest tak samo zaniepokojony lekkomyślnymi praktykami magicznymi w pałacu Azshary jak on.

Moc, którą przyzywali Szlachetnie Urodzeni... do czego im służyła? Czy nie czuli, jak napięta stała się materia świata wokół Studni? Wciąż nie potrafił pojąć, jak królowa mogła tolerować tak nieostrożne i potencjalnie destrukcyjne działania... a jednak był przekonany, że bierze w tym udział tak samo jak jej podwładni. Azshara nie była zwykłą marionetką; naprawdę rządziła, nawet swoimi aroganckimi Szlachetnie Urodzonymi.

Próbował zająć się codziennymi obowiązkami w nadziei, że pomoże mu to zapomnieć o trapiących go zmartwieniach. Domostwo elfa składało się tylko z trzech pomieszczeń, co było kolejnym przejawem zamiłowania do prostoty, jakże rzadkim u jego ludu. W jednym pokoju znajdowało się łóżko oraz kilka księzek i zwojów poświęconych naturze i jego ostatnim studiom. W drugim, na tyłach, mieściła się spiżarnia i mały, prosty stół, gdzie przygotowywał posiłki.

Malfurion traktował oba te pomieszczenia czysto użyteczne. Trzecie, największe, było jego ulubionym miejscem. Tutaj, gdzie przez okno widać było skrzące się wodospady i gdzie w nocy wpadało jasne światło księżyca, siadywał i medytował. Tutaj, pijąc miodowy nektar tak lubiany przez nocne elfy, przeglądał księgi i starał się zrozumieć to, czego Cenarius nauczył go na poprzedniej lekcji. Tutaj, przy krótkim stoliku z kości słoniowej, który można było zastawić jadłem, przyjmował Tyrande i Illidana.

Ale tego wieczora nie spodziewał się odwiedzin ani brata, ani elfki. Tyrande wróciła do świątyni Elune, aby kontynuować swoje nauki, a bliźniak Malfuriona, co było kolejną oznaką pogłębiających się różnic między nimi, wolał wrzawę Suramaru od spokoju panującego w lesie.

Malfurion odchylił się na oparcie krzesła, blask księżyca oświetlił mu twarz. Zamknął oczy w nadziei, że ukoi to jego nerwy...

W tej samej chwili coś wielkiego przemknęło przez plamę księżycowego światła, na krótko pogrążając Malfuriona w całkowitej ciemności.

Nocny elf otworzył gwałtownie oczy, przed którymi mignął jeszcze jakiś wielki, złowieszczy kształt. Malfurion przyskoczył do drzwi i rozwarł je na oścież. Ale ku swojemu zaskoczeniu zobaczył tylko spienione wody pobliskiego wodospadu.

Wyszedł na zewnątrz i rozejrzył się dookoła. Żadna istota tej wielkości nie mogła się poruszać tak szybko. Słyszał o przypominających byki taurenach i niedźwiedzio podobnych furbolgach, ale choć odpowiadały cieniowi wielkością, żadna z tych dwóch ras nie odznaczała się chyżością. Kilka gałązek zaszumiało na wietrze, gdzieś w oddali śpiewał nocny ptak, ale Malfurion nie widział nigdzie ani śladu intruza.

To tylko nerwy, zganił się w końcu. Twoje własne wątpliwości. Wróciwszy do środka, Malfurion usiadł z powrotem, znów błądząc myślami wokół trapiących go problemów. Był pewny, że w przeciwieństwie do intruza nie wyobraził sobie ani nie odczytał błędnie niczego, co miało związek z pałacem i Studnią. Musiał dowiedzieć się czegoś więcej, więcej, niż Szmaragdowy Sen był mu teraz w stanie wyjawić.

I będzie to musiał zrobić bardzo, bardzo szybko.



Niewiele brakowało, a zostałyby złapany. Jak dziecko, które dopiero co nauczyło się chodzić, o mały włos nie wpakował się prosto do kryjówki tej istoty. Ork weteran nie popisał się opanowanymi do perfekcji umiejętnościami, z których słynął.

Brox nie bał się, że w razie starcia z obcym nie uda mu się obronić, ale nie był to dobry czas na szukanie chwalebnej śmierci. Poza tym na tyle, na ile zdążył się przyjrzeć samotnej postaci, nie stanowiła ona dla niego większego wyzwania. Wysoka, ale zbyt patykowata, zbyt bezbronna. Ludzie byli znacznie bardziej interesującymi i godnymi przeciwnikami...

Znów pękała mu głowa. Przyłożył dłoń do skroni, walcząc z bólem. W jego umyśle panował chaos. Ork wciąż nie był do końca pewny, co się z nim działo przez kilka ostatnich godzin. Zamiast zostać rozdartym na strzępy tak jak Gaskał, czego się spodziewał, trafił w sam środek szaleństwa. Przed oczyma pojawiały mu się i znikwały rzeczy wykraczające poza pojmowanie prostego wojownika; pamiętał, że miotał nim wir chaotycznych sił i przez cały czas atakowały go niezliczone odgłosy i dźwięki, które prawie go ogłuszyły. W końcu nie był już w stanie więcej znieść. Brox stracił przytomność, pewny, że już nigdy jej nie odzyska.

Odzyskał ją, rzecz jasna, ale nie znajdował się ani w górach, ani wewnątrz oszalałego wiru. Odkrył, że otacza go niemal sielski krajobraz składający się z wysokich drzew i falujących wzgórz, które ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Słońce zachodziło, a jedynym odgłosem wydawanym przez żywe istoty były melodyjne nawoływania ptaków.

Ale nawet gdyby trafił w sam środek straszliwej bitwy a nie w to spokojne miejsce, i tak leżałby na ziemi, nie będąc w stanie kiwnąć palcem. Ponad godzinę zajęło mu dojście do siebie na tyle, żeby móc wstać, nie mówiąc już o dalszej wędrówce. Na szczęście, kiedy czekał z niepokojem na odzyskanie sił, odkrył cud. Jego topór, który uznał za stracony, został pochłonięty wraz z nim i teraz leżał tylko kilka jardów dalej. Nie będąc jeszcze w stanie używać nóg, Brox podczołgał się do broni. Nie mógł jej unieść, ale zaciśnięcie dłoni na trzonku przyniosło mu pokrzepienie.

Gdy tylko był w stanie chodzić, wyruszył w drogę. W obcej krainie, jak spokojnie by ona nie wyglądała, nie opłacało się zostawać dłużej w jednym miejscu. Nawet w tych najspokojniejszych sytuacja zawsze się kiedyś zmieniała, a doświadczenie podpowiadało mu, że zwykle była to zmiana na gorsze.

Ork usiłował zrozumieć, co się z nim stało. Słyszał o czarodziejach podróżujących za pomocą dziwaczkich zaklęć z jednego miejsca w drugie, ale jeśli to było takie zaklęcie, mag, który je rzucił, musiał być szalony. Albo inkantacja była nieudana, co też mogło się zdarzyć.

Samotny i zagubiony, Brox zdał się na swój instynkt. Bez względu na to, co się wydarzyło do tej pory, Thrall chciałby, żeby dowiedział się czegoś więcej o mieszkańcach tego miejsca i ich zamiarach. Jeśli sięgnęli magią do nowej ojczyzny orków, czy to przez przypadek, czy też umyślnie, stanowili potencjalne zagrożenie. Brox mógł zginąć później; jego pierwszym obowiązkiem była ochrona własnego ludu.

Teraz miał przynajmniej jakieś pojęcie, jaka rasa zamieszkuje te ziemie. Przed wojną z Płonącym Legionem Brox nigdy nie widział ani nie słyszał o nocnych elfach, ale nie potrafił zapomnieć ich niezwykłego wyglądu. Jakimś cudem wylądował w rządzonej przez nie krainie, co przynajmniej dawało mu nadzieję na powrót do domu, kiedy już zbierze potrzebne

informacje. Nocne elfy walczyły razem z orkami w Kalimdorze, co oznaczało, że Brox wylądował w jakiejś odległej części kontynentu. Był pewny, że wystarczy mu krótki rekonesans, aby zorientować się, w którą stronę powinien ruszyć, aby dostać się na ziemię orków.

Brox nie miał najmniejszego zamiaru po prostu podejść do jednego z nocnych elfów i zapytać o drogę. Nawet jeśli były to te same istoty, które sprzymierzyły się z orkami i ludźmi, nie mógł mieć pewności, że osobniki zamieszkujące tę krainę okażą się przyjazne wobec intruza. Ostrożny ork zamierzał trzymać się na uboczu, dopóki nie dowie się czegoś więcej.

Choć nie natrafił od razu na następne domostwa, zauważył w oddali lunę, która prawdopodobnie oznaczała jakąś większą osadę. Po chwili zastanowienia ork uniósł topór i ruszył w jej stronę.

Ledwo podjął taką decyzję, z przeciwnej strony wyłoniły się z lasu cienie. Przyciśnięty płasko do grubego pnia, patrzył na zbliżającą się parę jeźdźców. Zmrużył ze zdumienia oczy, widząc, że zamiast koni dosiadają olbrzymich, rączych panter. Ork zgrzytnął zębami, gotując się do starcia, w razie gdyby zauważyli go jeźdźcy albo ich wierzchowce.

Ale opancerzone postacie przemknęły obok niego, jak gdyby się dokądś spieszyły. Wydawało się, że mrok wcale im nie przeszkadza, co przypomniało orkowi, że nocne elfy widzą w nocy równie dobrze jak on w dzień. To nie wróżyło nic dobrego. Orki widziały w nocy całkiem nieźle, ale nawet w połowie nie tak dobrze jak nocne elfy.

Wzniósł topór. Może i widziały w ciemnościach lepiej od niego, ale Brox mógł się zmierzyć z każdą z chuderlawych postaci, które do tej pory widział. Za dnia czy w nocy, topór w rękach wyszkolonego orczego wojownika był tak samo śmiertcionośny. Nawet wymyślne pancerze, jakie zauważył u jeźdźców, nie ochronią ich długo przed jego ukochanym orężem.

Kiedy elfy znikły mu z oczu, Brox bardzo ostrożnie ruszył dalej. Musiał dowiedzieć się czegoś więcej o tych nocnych elfach, a jedynym sposobem było przyjrzenie się ich osadzie. Może tam uda mu się dowiedzieć czegoś, co pozwoli mu stwierdzić, gdzie się teraz błąka. Wtedy będzie mógł wrócić do Thralla. Thrall będzie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Thrall poradzi sobie z tymi nocnymi elfami, które igrały z niebezpieczną magią.

To bardzo, bardzo proste...

Zamrugął. Był tak pochłonięty własnymi myślami, że dopiero teraz zobaczył przed sobą wysoką kobietą postać odzianą w srebrne, prześwieczone księżycem szaty. Nocna elfka wyglądała na równie zaskoczoną jak on... a potem otworzyła usta i krzyknęła.

Brox wyciągnął ku niej ręce - chciał jej tylko zatkać usta - ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, rozległy się następne okrzyki i ze wszystkich stron zaczęły się zbiegać nocne elfy. Z jednej strony chciał zostać tam, gdzie stał, i walczyć do śmierci, ale jakaś jego część, ta część, która służyła Thrallowi, przypomniała mu, że nic w ten sposób nie osiągnie. Nie wypełni powierzonej mu misji i zawiedzie swój lud.

Z wściekłym warknięciem obrócił się i rzucił do ucieczki w kierunku, z którego przybył. Ale teraz zza każdego grubego pnia drzewa, zza każdego wzniesienia terenu, wyłaniały się postacie elfów - i każda krzyczała ostrzegawczo na widok rosłego orka. Zagrały rogi. Brox zaklął, wiedząc, co oznacza ten dźwięk. I rzeczywiście, za chwilę usłyszał kocie pomruki i stanowcze nawoływania.

Zerkając przez ramię, zobaczył nadciągający pościg. W przeciwieństwie do pary, przed którą ukrywał się wcześniej, ci jeźdźcy mieli na sobie tylko szaty i napierśniki, ale to wcale nie czyniło z nich mniej groźnych przeciwników. Każdy był uzbrojony, a ich wierzchowce stanowiły jeszcze większe zagrożenie. Jedno machnięcie łapą wystarczyłoby, żeby rozpruć

mu trzewia, jedno kłapnięcie szczęk wyposażonych w podobne szablom kły mogło urwać mu głowę.

Brox miał ochotę rąbać na oślepie toporem, nie oszczędzając ani jeźdźców, ani ich wierzchowców, zostawiając za sobą ślad z krwi i okaleczonych ciał. Lecz choć pragnął uśmiercić tych, którzy mu zagrażali, nauki i rozkazy Thralla powstrzymały go przed podobną masakrą. Brox warknął i uderzył pierwszego jeźdźcę płazem żeleźca. Zrzucił jednego z elfów na ziemię, a potem, uchylając się przed pazurami kota, odwrócił się, aby złapać następnego za nogę. Ork cisnął drugim nocnym elfem w pierwszego, pozbawiając obydwu tchu.

Nad głową świsnęło mu ostrze. Brox z łatwością roztrzaskał wąską klingę potężnym toporem. Nocny elf cofnął się przezornie, wciąż ściskając w dłoni kikut oręża.

Ork wykorzystał tę lukę, aby prześliznąć się między prześladowcami. Część elfów wcale nie paliła się do pościgu za nim, co podniosło go na duchu. Bardziej niż własny honor liczyła się dla niego wiara, jaką pokładał w nim Thrall, wiara, która powstrzymywała go przed zawróceniem i stoczeniem bezsensownej walki na śmierć i życie. Nie zawiedzie swojego wodza.

Ale kiedy myślał już, że zdoła uciec, drogę zastąpił mu kolejny nocny elf odziany w mieniące się zielone szaty ozdobione na piersi złotymi i rubinowymi gwiazdami. Większą część jego wąskiej, pociągłej twarzy zasłaniał kaptur, ale nie wydawał się przerażony atakiem wielkiego, brutalnego orka.

Brox zawinął toporem i wrzasnął, chcąc wystraszyć elfa.

Zakapturzona postać uniosła jedną dłoń na wysokość piersi, kierując palec wskazujący i środkowy ku rozświetlonemu księżycową poświatą niebu.

Ork zrozumiał, że elf rzuca zaklęcie, ale było już za późno.

Ku zaskoczeniu Broxa z nieba spadł na niego okrągły skrawek księżyca, spowijając go niczym miękkiej, mglistej koc. Ramiona orka zrobiły się ciężkie, a nogi słabe. Musiał walczyć z opadającymi powiekami.

Topór wyśliznął mu się ze zwiotczącej ręki i Brox upadł na kolana. Przez srebrzystą mgiełkę widział, jak otaczają go kolejne postacie w podobnych strojach. Zakapturzone kształty stały cierpliwie, najwyraźniej obserwując działanie zaklęcia.

Broxa ogarnęła furia. Z niskim warknięciem zdołał dźwignąć się z ziemi. To nie była wspaniała śmierć, jakiej pragnął! Nocne elfy chciały, żeby padł im do stóp jak bezradny osesek! Nie da im tej satysfakcji!

Palcami wymacał trzonek topora. Z zadowoleniem zauważył, że kilka zakapturzonych postaci cofnęło się. Nie spodziewały się takiego oporu.

Ale kiedy próbował unieść oręż, spadł na niego następny srebrzysty woal. Siły, jakie zdołał zebrać, znów go opuściły. Upuszczając topór na ziemię, Brox wiedział, że tym razem już go nie podniesie.

Ork zrobił jeden chwiejny krok i padł na twarz. Nawet wtedy próbował się podczołgać do swoich wrogów, zdecydowany utrudnić im zwycięstwo. Trzecia zasłona opadła na Broxa... i ork stracił przytomność.



Trzy noce... trzy noce i wciąż nie mamy się czym pochwalić...

Xavius był niezadowolony.

Trzej Szlachetnie Urodzeni czarodzieje przerwali czary. Natychmiast zastąpili ich ci, którzy zdążyli uzupełnić nadwątlone siły odrobiną zaległego odpoczynku. Sztuczne czarne oczy Xaviusa zwróciły się ku tym,

którzy właśnie skończyli. Jeden z nich zauważył czarne gałki zwrócone w ich kierunku i się skulił. Szlachetnie Urodzeni byli najwspanialszymi sługami królowej, ale lord Xavius był najwspanialszym - i najbardziej niebezpiecznym - z nich.

– Jutro wieczorem... jutro wieczorem zwiększymy pole mocy dziesięciokrotnie - oświadczył, a karmazynowe smugi w jego oczach rozbłysły.

Nie będąc w stanie spojrzeć mu w oczy, jeden ze Szlachetnie Urodzonych zebrał się jednak na odwagę, żeby powiedzieć:

– Z ca...całym szacunkiem, lordzie Xaviusie, to ogromne ryzyko! Taki dodatkowy wzrost mocy może zdestabilizować wszystko, co udało nam się do tej pory osiągnąć.

– Czyli co, Peroth'arnie? - Xavius pochylił się nad pozostałymi postaciami. W świetle zaklęcia jego cień wydawał się poruszać zupełnie niezależnie od niego. - Co takiego osiągnęliśmy?

– Ależ władamy większą mocą niż jakikolwiek nocny elf przed nami!

Xavius kiwnął głową, posępniejąc.

– Tak, i dzięki temu możemy zmiażdżyć owada młotem wielkości góry! Jesteś krótkowzrocznym głupcem, Peroth'arnie! Ciesz się, że twoje umiejętności są nam potrzebne.

Zaciskając wargi, nocny elf pochylił z wdzięcznością głowę.

Doradca królowej spojrział ze wzgardą na resztę Szlachetnie Urodzonych.

– Aby osiągnąć nasz cel, musimy mieć pełnię władzy nad Studnią! Musimy być w stanie zabić owada tak, aby nawet się nie zorientował, że ginie! Musimy osiągnąć taką precyzję, taką subtelność, aby nie było żadnych wątpliwości, że uda nam się zrealizować co do joty nasz ostateczny cel! Musimy...

– Znów prawisz innym kazania, mój drogi Xaviusie?

Melodyjny głos byłby w stanie skłonić każdego Szlachetnie Urodzonego elfa do popełnienia samobójstwa, gdyby tylko zapragnęła tego jego właścicielka, ale nie Xaviusa o onyksowych oczach. Niedbałym gestem odprawił znużonych magów i odwrócił się do jedynej osoby w pałacu, która nie okazywała mu należnego szacunku.

Była ucieleśnieniem doskonałości, a jego magiczne oczy jeszcze zwielokrotniały blask, jaki wokół siebie roztaczała. Stanowiła chlubę mrocznych elfów, była ich ukochaną panią. Jej oddech pozbawiał tłumy tchu. Kiedy dotknęła policzka cieszącego się łaską wojownika, ten gotów był walczyć ze smokami i nie tylko, nawet jeśli oznaczało to niechybną śmierć.

Królowa nocnych elfów była wysoka jak na elfkę, wyższa nawet od niektórych mężczyzn. Tylko Xavius górował nad nią wzrostem. Ale pomimo to poruszała się jak wiatr, a każdy jej krok odznaczał się cichą gracją. Żaden kot nie stąpał tak bezszelestnie jak Azshara i nikt nie poruszał się z taką pewnością siebie.

Jej skóra barwy głębokiego fioletu była niemal tak gładka jak delikatny jedwab, z którego uszyta była jej szata. Włosy, długie, gęste, bujne i srebrzyste jak blask księżyca, opadały jej kaskadą na plecy, kończąc się na wysokości zmysłowo wciętej talii. Inaczej niż podczas poprzedniej wizyty, kiedy kolor szat miał podkreślać barwę jej oczu, tym razem miała na sobie zwiewną suknię tego samego koloru, co przepiękne włosy.

Nawet Xavius pożądał jej skrycie, ale na swoich własnych zasadach. Własne ambicje były dla niego o wiele większym afrodyzjakiem niż mogłyby nim być jej wdzięki. Mimo to uważał jej obecność za wielce pożyteczną, tak samo jak ona jego, o czym wiedział. Mieli ten sam ostateczny cel, ale na każde z nich czekała na końcu inna nagroda.

Kiedy wreszcie osiągną cel, Xavius pokaże Azsharze, kto tu naprawdę rządzi.

– Światło Księżycyca - zaczął z posłusznym wyrazem twarzy. - Głoszę wyłącznie twoją czystość, twą nieskazitelność! Przypominam im tylko o ich obowiązkach, nie, o ich miłości wobec ciebie. Dlatego powinno im zależeć na tym, żeby cię nie zawieść...

– Ponieważ wtedy zawiedliby także ciebie, mój drogi doradco. - Dwie służki niosły za swoją oszałamiająco piękną królową tren długiej, prześwitującej sukni. Przesunęły się z nim w bok, kiedy Azshara spoczęła na specjalnym tronie, który kazała wznieść Szlachetnie Urodzonym, aby móc siedzieć wygodnie, gdy przyglądała się ich wysiłkom. - I myślę, że ich strach przed tobą jest większy niż ich miłość do mnie.

– Nic podobnego, moja pani!

Królowa usadowiła się na tronie, układając suknię w taki sposób, aby podkreślała jej idealne kształty.

Xavius pozostał niewzruszony. Będzie ją miał, ją i wszystko, czego zapragnie, kiedy tylko uda im się wypełnić ich wielką misję.

Uwagę obojga przykuł nagły rozbłysk oślepiającego światła. W środku kręgu utworzonego przez Szlachetnie Urodzonych unosiła się kula buzującej energii, która nieustannie się odnawiała. Miriady jej odśłon miały hipnotyczny efekt, w dużej mierze dlatego, że często wydawały się otwierać portal. Zwłaszcza Xavius wpatrywał się przez długie godziny w dzieło nocnych elfów, widząc swoimi sztucznymi oczyma rzeczy, których nie dostrzegał nikt oprócz niego.

Ale teraz doradca spochmurniał. Zmrużył oczy, studiując bezdenną głębię wewnątrz kuli. Mógłby przysiąc, że przez nieskończenie krótki moment widział...

– Chyba mnie nie słuchasz, drogi Xaviusie! Czy to w ogóle możliwe?

Zdołał dojść do siebie.

– Równie niemożliwe, jak życie bez oddychania, Córko Księżyca... ale przyznaję, że byłem na tyle rozkojarzony, że mogłem cię nie zrozumieć. Mówiłaś znowu o czymś...

Królowa Azshara wybuchła krótkim, gardłowym śmiechem, ale nie zaprzeczyła mu.

– A co tu jest do rozumienia? Powiedziałam po raz kolejny, że wkrótce zatriumfujemy! Wkrótce będziemy dysponować mocą i zdolnościami, które pozwolą nam oczyścić naszą krainę z niedoskonałości, uczynić ją idealnym rajem...

– I tak się stanie, moja królowo. Tak się stanie. Już niedługo zapanuje wielki złoty wiek. To królestwo, twoje królestwo, zostanie oczyszczone. Świat pozna wieczną chwałę! - Xavius pozwolił sobie na lekki uśmiech. - A skażone, nieczyste rasy, które w przeszłości uniemożliwiały ziszczenie się tej wizji, przestaną istnieć.

Azshara nagrodziła jego słowa pełnym zadowolenia uśmiechem, po czym rzekła:

– Cieszę mnie twoje zapewnienia, że nastąpi to już wkrótce. Znowu niepokoiłi mnie dziś interesanci, lordzie doradco. Obawiają się gwałtownych zawirowań wewnątrz i wokół wielkiej Studni. Pytali mnie o ich przyczynę i czy są niebezpieczne. Oczywiście skierowałam ich do ciebie.

– I słusznie, pani. Postaram się uspokoić ich na czas potrzebny nam do realizacji naszego planu. Potem będziesz miała przyjemność obwieścić, co zrobiliśmy dla dobra twojego ludu...

– Za co będą mnie kochać jeszcze bardziej - mruknęła Azshara, a jej oczy zwężyły się, jak gdyby wyobrażała sobie przepełnione wdzięcznością tłumy.

– Jak gdyby mogli cię kochać jeszcze bardziej niż teraz, moja wspaiała królowo.

Azshara spuściła na moment skośne oczy, przyjmując komplement, po czym z płynną gracją, do jakiej tylko ona była zdolna, wstała z tronu. Jej służki szybko zaczęły manipulować przy trenie, aby w żaden sposób nie ograniczał jej ruchów.

– Wkrótce ogłoszę tę cudowną wieść, lordzie Xaviusie - oznajmiła, odwracając się od doradcy. - Dopilnuj, aby do tego czasu wszystko było gotowe.

– Poświęcę temu każdą chwilę na jawie - odparł, składając ukłon jej oddalającej się sylwetce. - I będę o tym śnił, kiedy zasnę.

Ale gdy tylko ona i jej służki znikły, przez twarz doradcy przemknął grymas niezadowolenia. Skinął na jednego ze strażników, którzy stali z niewzruszonymi minami przy wejściu do komnaty.

– Jeśli następnym razem nie zostanę ostrzeżony, że jej wysokość postanowiła do nas dołączyć, zapłacisz za to głową. Zrozumiano?

– Tak, panie - odparł strażnik. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę.

– Oczekuję też, że zostanę powiadomiony przed jej wysokością o powrocie kapitana Varo'thena. Nie ma powodu, by powierzone mu zadanie zbrukało jej dłonie. Dopilnuj, żeby kapitana i każdego, kto będzie mu towarzyszył, przyprowadzono prosto do mnie.

– Tak, panie.

Xavius odprawił strażnika i zajął się na powrót nadzorowaniem czarujących Szlachetnie Urodzonych.

Płomienną sferę, która odnawiała się raz po raz, otaczała teraz sieć pulsującej magicznej energii. Na oczach Xaviusa kula zwinęła się w sobie, jak gdyby próbowała pochłonąć samą siebie.

– Fascynujące... - wyszeptał. Z tak bliska lord doradca czuł intensywne emanacje, z ledwością spętane siły zaczerpnięte ze źródła potęgi wszystkich nocnych elfów. To Xavius jako pierwszy zaczął podejrzewać, że jego rasa tylko musnęła powierzchnię potencjału mrocznego jeziora. Studnię Wieczności trafnie nazwano, bo im dłużej ją badał, tym większą miał pewność, że jej zasoby są nieograniczone. Fizyczne rozmiary Studni były jedynie tworem ograniczonego umysłu... prawdziwa Studnia istniała w tysiącach wymiarów, tysiącach miejsc jednocześnie.

I z każdego jej aspektu, każdej wersji, Szlachetnie Urodzeni nauczą się czerpać wszystko, czego zapragną.

Ten potencjał oszalał nawet jego.

Energie i kolory, niewidoczne nawet dla pozostałych, tańczyły przed magicznymi oczyma Xaviusa. Przyciągały go swą uwodzicielską mocą. Lord doradca upajał się tym fantastycznym widokiem...

Ale nagle poczuł, że gdzieś z głębi, gdzieś spoza fizycznego świata, coś na niego patrzy.

Tym razem nocny elf wiedział, że to nie pomyłka. Xavius wyczuł czyjąś obecność, odległą obecność. A jednak pomimo niewiarygodnej odległości potęga, którą wyczuwał, była oszalała.

Spróbował się wycofać, ale było już za późno. Głęboko, tak głęboko wewnątrz spętanych mocy Studni, że jego umysł został nagle wciągnięty poza rzeczywistość, poza wieczność... aż...

Długo cię szukałem... powiedział głos. To było życie, śmierć, stworzenie, zniszczenie... i nieograniczona władza.

Nawet gdyby chciał, Xavius nie byłby w stanie oderwać wzroku od otchłani wewnątrz. Czyjeś oczy uwięziły go... oczy nowego boga lorda doradcy.

A teraz ty przyszedłeś do mnie...



Jezioro bulgotało jak gotująca się woda. Wielkie fale raz po raz wznosiły się i rozbijały z hukiem. Błyskawice strzelały z niebios i z głębi Studni.

Potem rozległy się szepty.

Pierwsze nocne elfy, które je usłyszały, myślały, że to tylko wycie wichury. Wkrótce przestały zwracać na nie uwagę, bardziej zaniepokojone niebezpieczeństwem grożącym ich eleganckim domostwom.

Kilku bardziej przenikliwych, lepiej zestrojonych z niesamowitymi mocami Studni, rozpoznało, czym są: głosami z głębi samej Studni. Ale nawet większość z nich nie wiedziała, co mówią.

Jednego czy dwóch, którzy wyraźnie je słyszeli, ogarnął strach... ale nie rozmawiali o tym z innymi, gdyż obawiali się, że zostaną uznani za szalonych i wyrzuceni ze społeczności. W ten sposób zlekceważyli jedyne ostrzeżenia, jakie mieli otrzymać.

Głosy mówiły tylko o głodzie. Były głodne wszystkiego. Życia, energii, dusz... chciały się dostać na świat, do nieskazitelnej krainy nocnych elfów.

A kiedy już się tam znajdą pożreć ją...

SIEDEM



Nocne elfy, które ich pojmały, zrobiły się bardzo niespokojne, przez co zdaniem Rhonina były jeszcze bardziej groźne. Miało to coś wspólnego z tą częścią lasu, w której się właśnie znaleźli. Rhonin miał wrażenie, że różni się ona od mrocznych ostępów, przez które do tej pory przejeżdżali. Tutaj nocne elfy wydawały się nie tyle panami tej ziemi, co nieproszonymi gośćmi.

Zbliżał się świt. On i Krasus, który wydawał się wciąż nieprzytomny, zostali związani i bezceremonialnie przerzuceni przez grzbiet jednego ze zwierząt. Każdy ruch wielkiej pantery groził czarodziejowi połamaniem żeber, ale siłą woli powstrzymywał się przed wydaniem choćby dźwięku czy zrobieniem jakiegoś ruchu, który zdradziłby nocnym elfom, że odzyskał świadomość.

A zresztą jakie to mogło mieć znaczenie? Próbował już kilka razy rzucić jakieś zaklęcie, ale za swoje wysiłki został nagrodzony wyłącznie potwornym bólem głowy. Na szyi powieszono mu mały szmaragdowy amulet, prostą błyskotkę będącą źródłem jego frustracji. Za każdym razem, gdy mag za bardzo koncentrował się na swoich czarach, jego myśli stawały się mętne, a głowa zaczynała pulsować bólem. Nie był nawet w stanie rzucić z siebie amuletu. Nocne elfy zamocowały go bardzo starannie.

Krasus miał na szyi taki sam, ale z jego strony nocne elfy nie miały się chyba czego obawiać. Rhonin widział, co się działo za każdym razem, gdy jego dawny mentor usiłował mu pomóc w walce. Krasus miał jeszcze mniejszą władzę nad własną mocą niż on, co było niepokojącym objawem.

– To nie jest ścieżka, którą tu przyjechaliśmy - warknął oszpecony dowódca, którego pozostali nazywali Varo'thenem. - To nie jest właściwa droga...

– Wracamy tą samą drogą, kapitanie - odpowiedział jeden z pozostałych. - Nie zboczyliśmy ze...

– Czy to wygląda jak wieże Zin-Azshari na horyzoncie? - warknął Varo'then. - Widzę tylko te przekłete drzewa, Kolthariusie... i coś mi się w nich nie podoba! Jakimś cudem, choć patrzyliśmy uważnie i znaleźliśmy drogę, zjechaliśmy z niej!

– Czy mamy zawrócić? Wrócić po śladach?

Rhonin nie widział twarzy kapitana, ale wyobrażał sobie malującą się na niej wściekłość.

– Nie... nie... jeszcze nie...

Lecz choć Varo'then nie chciał się jeszcze poddać, czarodziej coraz bardziej martwił się o siebie. Z każdym krokiem w głąb gęstego, wysokiego lasu, wyczuwał czyjąś narastającą obecność, obecność, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył. Do pewnego stopnia przypominała mu sposób, w jaki odbierał osobę Krasusa, kiedy smoczy mag się z nim kontaktował, ale to było coś większego... coś znacznie większego.

Ale co?

– Słońce prawie już wzeszło - mruknął jeden z żołnierzy.

Rhonin zdołał do tej pory ustalić, że choć nocne elfy mogą funkcjonować przy dziennym świetle, nie lubią go. Blask słońca je osłabiał. Były magicznymi istotami - nawet jeśli pojedyncze osobniki nie władały

jakąś wielką mocą - ale ich magia wywodziła się z nocy. Gdyby tylko zdołał pozbyć się amuletu, kiedy słońce wzejdzie, miałyby większe szanse na ucieczkę.

Upewniwszy się, że nikt nie patrzy, ukradkiem potrząsnął głową. Amulet zakołysał się w przód i w tył, ale nadal tkwił na swoim miejscu. W końcu Rhonin spróbował podrzucić głową w nadziei, że w ten sposób uda mu się go usunąć. Istniało ryzyko, że elfy zauważą ten manewr, ale musiał je podjąć.

W porannej szarówce z pobliskich liści wyjrzała na niego twarz. Nie... twarz była częścią listowia. Listki i gałązki tworzyły jej rysy, a nawet gęstą brodę. Jagody zastępowały oczy, a wyrwa w gąszczu przypominała szelmowski uśmiech. Twarz zniknęła w gęstwinie tak szybko, jak się pojawiła, i Rhonin nie był pewny, czy po prostu jej sobie nie wyobraził. Czyżby brzask płątał jego oczom figle? Niemożliwe! Nie w takich szczegółach.

A jednak...

Jego uwagę przykuł zgrzyt dobywanej broni. Jeden za drugim nocne elfy szykowały się do walki, której nie rozumiały, ale wiedziały, że ich czeka. Nawet dzikie koty wyczuły kłopoty, bo nie dość, że przyspieszyły kroku, to wyginały grzbiety w łuk i szczyrzyły kły.

Nagle Varo'then wskazał na prawo.

– Tędy! Tędy! Szybko!

W tej samej chwili las eksplodował życiem.

W dół opadły pokryte bujnym listowiem konary, przesłaniając twarze jeźdźców. Z ziemi poderwały się krzewy, stając się niskimi, zwinnymi postaciami o zielonych, uśmiechniętych twarzach. Poszycie lasu wydawało się chwytać łapy panter, zrzucając kilku jeźdźców na ziemię. Nocne elfy

wrzeszczały do siebie, usiłując się zorganizować, ale wznagało to tylko ogólny chaos.

W pobliżu rozległ się niski jęk. Rhonin uchwycił ruch tylko kątem oka, ale był pewny, że widział, jak ogromne drzewo pochyła się i porywa gęstą liściastą koroną dwa nocne elfy wraz z wierzchowcami.

Las wypełnił się przekleństwami. Varo'then bezskutecznie próbował odzyskać panowanie nad swoją drużyną. Te elfy, które zdołały utrzymać się w siodłach, usiłowały się bronić przed rojącymi się wokół nich stworami, utrzymując jednocześnie w ryzach zdenerwowane pantery. Wielkim kotom nie podobało się to nowe zagrożenie i często cofały się, nawet jeśli ich jeźdźcy kazali im ruszać naprzód.

Varo'then krzyknął coś i nagle z różnych punktów w lesie wystrzeliły jaskrawofioletowe macki promiennej energii. Jedna z nich uderzyła w zbliżający się duch krzewu, który natychmiast stanął w płomieniach. Ale choć wydawało się, że istotę spotkał straszny koniec, pędziła dalej, zostawiając za sobą ognisty ślad.

Niemal natychmiast wiatr, który przedtem był prawie nieobecny, zawył i zaryczał, jak gdyby rozwścieczony tym atakiem. Wiał z taką furją, że podrywał z ziemi kurz, połamane gałęzie i liście, które wypełniły powietrze, zmniejszając już i tak słabą widoczność. Płomienie zgasły, ale ich niedoszła ofiara pozostała równie obojętna na ten niezwykły ratunek jak na wcześniejsze zagrożenie. Ogromny latający konar powalił na ziemię elfa obok Varo'thena.

– Przegrupować się! – zawołał oszpecony dowódca. - Przegrupować się i odwrót! Szybko, do cholery!

Liściasta dłoń przykryła Rhoninowi usta. Znów patrzył na tę samą zaskakującą twarz. Poczuł, że czyjeś ręce łapią go za nogi. Dość bezceremonialne pchnięcie zrzuciło maga z grzbietu pantery. Bestia

zauważyła to i zaryczała. Kilka drobnych istot przypominających krzaki otoczyło kota, drażniąc się z nim. Świat zawirował wokół Rhonina, który kątem oka dostrzegł, jak Varo'then okręca się w siodle, żeby zobaczyć, co się stało. Ponury elf zaklął, widząc porwanie jeńców, ale zanim zdążył choćby podnieść dłoń, żeby temu zapobiec, w dół opadły kolejne gałęzie, oplatając ramiona i twarz kapitana i zupełnie go oślepiając.

Krzakowate stwory zdążyły pochwycić Rhonina, zanim grzmotnął głową w ziemię. Niosły go teraz w milczeniu w głąb puszczy, jak gdyby był taranem. Czarodziej miał tylko nadzieję, że Krasus też został uratowany, ale nie widział nic prócz liściastych postaci przed sobą. Pomimo drobnych rozmiarów jego towarzysze byli bardzo silni.

Nagle, ku jego rozpacz, drogę zastąpił im samotny nocny elf dosiadający warczącej pantery. Czarodziej rozpoznał tego, którego nazywano Kolthariusem. W oczach miał desperację, jak gdyby ucieczka Rhonina oznaczała dla niego najgorsze. Z tego, co mag zdążył się dowiedzieć o dowódcy, było to całkiem prawdopodobne.

Nie tracąc czasu, nocny elf zmusił panterę do natarcia. Elfy, które znał Rhonin, zwłaszcza jego ukochana Vereesa, odnosiły się do przyrody z najwyższym szacunkiem. Jednak pobratymcom Kolthariususa była ona widać zupełnie obojętna; elf siekł zagrządzające mu drogę gałęzie i krzaki z nieokiełznaną furią. Nic nie mogło go powstrzymać.

A przynajmniej tak mu się wydawało. Z listowia w górze spadły nagle wielkie, czarne ptaszyska, które otoczyły nocnego elfa, nękając go bezlitośnie. Koltharius opędał się mieczem jak oszalały, ale nie uciał nawet piórka skrzydlatym napastnikom.

Nocny elf był tak pochłonięty odbijaniem tego ostatniego ataku, że nie zauważył innego niebezpieczeństwa wynurzającego się z ziemi. Drzewa,

które musiał zaraz minąć, uniosły się o ponad dwie stopy, jak gdyby chciały rozprostować korzenie.

Wierzchowiec Kolthariusza, doprowadzony przez ptaki do szaleństwa, nie patrzył, którędy biegnie. Zwinny zazwyczaj kot najpierw się potknął, a potem przewrócił, gdy łapy zaplątały mu się w korzenie. Runął na bok, wyjąc żałośnie. Jeździec usiłował utrzymać się w siodle, ale to tylko pogorszyło sytuację. Wielka pantera obróciła się, przez co Kolthariusz wylądował pomiędzy nią a dwoma potężnymi pniami drzew. Schwytyany w pułapkę nocny elf został zmiażdżony, jego pancerz zmięty jak kartka papieru. Panterę spotkał podobny los - hukowi gniecionej stali towarzyszył ohydny chrupot gruchotanego karku zwierzęcia.

Ulistnieni towarzysze Rhonina maszerowali dalej, jak gdyby nigdy nic. Jeszcze przez kilka minut czarodziej słyszał odgłosy szamotaniny, ale potem dźwięki ucichły, jak gdyby Varo'thenowi udało się w końcu wyprowadzić z potrzasku swoją zmaltretowaną drużynę.

Malutkie istoty wciąż niosły go przed siebie. Zauważył jakiś ruch po prawej stronie i odkrył coś, co wyglądało jak nieruchoma postać smoczego maga niesiona w podobny sposób. Rhonina po raz pierwszy ogarnął niepokój. Co zamierzają z nimi zrobić ich wybawcy? Czy zostali odebrani nocnym elfom tylko po, by spotkał ich jeszcze straszniejszy los?

Duchy lasu zwolniły kroku, a w końcu zatrzymały się na skraju otwartego terenu. Choć słońce kryło się jeszcze za horyzontem, pierwsze promienie brzasku oświetlały już polanę. Maleńkie ptaszki szczebiotały radośnie. Na polanie kwitły tysiące kwiatów w setkach kolorów, a wysoka trawa kołysała się łagodnie, zupełnie jak gdyby zapraszała przybyszów.

Pole widzenia czarodzieja wypełniła znów liściasta twarz. Luka imitująca uśmiech rozwarła się i ku swemu zaskoczeniu Rhonin zobaczył, że w środku kwitnie mały, zupełnie biały kwiatuszek. Z kwiatka wystrzelił

obłoczek pyłku, obsypując nos i usta człowieka. Rhonin zakaszłał. Zakręciło mu się w głowie. Poczuł, że istoty znów się poruszają, niosąc go w pełne słońce. Ale zanim pierwszy promień dotknął jego twarzy, czarodziej zemdłał.



Choć Rhonin myślał, że jest inaczej, Krasus pozostawał przytomny przez prawie cały czas. Był osłabiony, owszem, prawie pragnął pogрузić się w ciemności, to prawda, ale walczył dzielnie z fizycznym i psychicznym osłabieniem i nawet jeśli nie odniósł zwycięstwa, to na pewno nie poniósł porażki.

Smoczy mag też zauważył strażników lasu, ale natychmiast rozpoznał w nich sługi puszczy. Obdarzony czulszymi zmysłami niż jego ludzki towarzysz, Krasus rozumiał, że nocne elfy zostały ściągnięte w to miejsce celowo. Jakaś siła chciała czegoś od tych opancerzonych postaci i nie trzeba było wyteżać umysłu, żeby odgadnąć, iż chodzi o niego i Rhonina.

Dlatego podczas zamieszania pozostał zupełnie nieruchomy. Siłą woli opanował się przed zrobieniem czegokolwiek, kiedy drużyna została zaatakowana i leśne istoty porwały jego i Rhonina sprzed nosa elfów. Krasus nie podejrzewał wybawców o złe zamiary, ale to nie oznaczało, że nie może ich spotkać krzywda. Przez całą podróż przez las zachował czujność w nadziei, że tym razem przyda się bardziej niż ostatnio.

Ale kiedy dotarli na skąpaną w słońcu polanę, przeliczył się. Twarz ukazała się zbyt szybko, chuchnęła na niego zbyt nieoczekiwanie. Tak jak Rhonin Krasus stracił przytomność.

Ale w przeciwieństwie do Rhonina spał tylko kilka minut.

Obudził go mały czerwony ptaszek, który usiadł na jego przykrytym szatą kolanie. Ten widok tak zaskoczył smoczego maga, że sapnął głośno i ptaszek uciekł między gałęzie nad jego głową.

Krasus rozejrzał się bardzo ostrożnie dookoła. Wszystko wskazywało na to, że on i Rhonin leżą na środku magicznej polany, miejsca przesyconego intensywną magią przynajmniej tak prastarą jak smoki. To, że słońce świeciło tu tak jasno, że trawa, kwiaty i ptaki emanowały takim spokojem, nie było przypadkiem. Znaleźli się w sanktuarium jakiejś istoty, którą Krasus powinien znać - ale teraz nie mógł sobie za nic przypomnieć.

Był to problem, o którym nie odważył się porozmawiać szczerze ze swoim towarzyszem. Pamięć Krasusa była pełna luk. Rozpoznał nocne elfy, ale wspomnienia wielu innych rzeczy, czasem zupełnie zwyczajnych, jak gdyby wyparowały. Kiedy usiłował się na nich skupić, odnajdywał wyłącznie pustkę. Umysł smoczego maga był równie osłabiony jak jego ciało.

Ale dlaczego? Dlaczego ucierpiał o wiele bardziej niż Rhonin? Choć Rhonin był ludzkim czarodziejem o imponujących umiejętnościach, wciąż pozostawał kruchym człowiekiem. Jeśli ktokolwiek powinien był ucierpieć podczas tego szaleńczego lotu przez czas i przestrzeń, to właśnie pośledniejszy z dwóch podróżników.

W chwili, w której to pomyślał, ogarnęło go poczucie winy. Bez względu na powody lepszego stanu Rhonina, żałując, że nie stało się odwrotnie, Krasus, tylko przynosił wstyd samemu sobie. Rhonin już kilkakrotnie prawie oddał życie za swojego nauczyciela.

Pomimo obezwładniającej słabości i dojmującego bólu zdołał wstać. Nigdzie nie widział istot, które ich tu przyniosły. Zapewne stały się na powrót częścią lasu, dopóki znów nie zostaną przywołane przez swego pana. Krasus zdawał sobie doskonale sprawę, że byli to najniżsi z leśnych

strażników. Nocne elfy stanowiły stosunkowo błahe zagrożenie. Ale czego władająca tym miejscem potęga chciała od dwóch zabłąkanych wędrowców?

Rhonin wciąż spał głęboko i Krasus, sądząc po własnej reakcji na pyłek, podejrzewał, że nieprędko się obudzi. Ponieważ w zasięgu wzroku nie widział niczego niepokojącego, ośmielił się zostawić śpiącego człowieka i zbadać granice ich wolności.

Gęsty kobierzec kwiatów otaczał krąg miękkiej murawy niczym ogrodzenie. Wydawało się, że tyle samo kwiatów zwróconych jest do wewnątrz, co na zewnątrz. Krasus podszedł do najbliższych pąków, przyglądając się im nieufnie.

Kiedy znalazł się o stopę od nich, odwróciły się w jego stronę, otwierając się w pełni. Smoczy mag natychmiast się cofnął... i zobaczył, że rośliny ponownie zwijają płatki. Prosta, miękka ściana skutecznych strażników. Jemu i Rhoninowi nie zagrażało żadne niebezpieczeństwo z zewnątrz, ale jednocześnie nie mogli w żaden sposób zaszkodzić puszczy.

W swoim obecnym stanie Krasus nawet nie brał pod uwagę próby przeskoczenia nad kwiatami. Poza tym podejrzewał, że w ten sposób obudziłby tylko jakiegoś innego ukrytego wartownika, być może już mniej łagodnego.

Pozostawało tylko jedno wyjście. Aby oszczędzać siły, usiadł i skrzyżował nogi. Potem, wziął głęboki oddech, rozejrzał się po otaczającej go polanie po raz ostatni... i powiedział:

– Chciałbym z tobą porozmawiać.

Wiatr podchwycił jego słowa i poniósł je w las, gdzie echo powtórzyło je kilkakrotnie. Ptaki ucichły. Trawa przestała falować.

Potem znów zerwał się wiatr... a wraz z nim nadeszła odpowiedź.

– Więc porozmawiajmy...

Krasus czekał. Z oddali dobiegł go tętent kopyt, jak gdyby jakieś zwierzę zabłąkało się w te strony w tak ważnej chwili. Zmarszczył brwi, gdy tętent zbliżył się, a potem dostrzegł ciemną postać nadbiegającą z głębi lasu. Rogaty jeździec dosiadający jakiegoś potwornego wierzchowca?

Ale gdy postać przystanąła nad kwietnymi strażnikami i padło na nią słońce, ukazując ją w całym jej majestacie, smok w śmiertelnej postaci mógł tylko przyglądać się jej z otwartymi ustami jak zwykle ludzkie dziecko.

– Znam cię... - zaczął Krasus. - Słyszałem o tobie...

Ale imię, tak jak tyle innych wspomnień, gdzieś mu umknęło. Nie potrafił nawet powiedzieć, czy spotkał już kiedyś tę mityczną istotę, co świadczyło dobitnie o ogromie luk w jego pamięci.

– A ja wiem coś o tobie - powiedziała wysoka postać, której górna połowa ciała przypominała tułów nocnego elfa, a dolna należała do jelenia. - Ale nie tyle, ile bym chciał...

Władca puszczy przeszedł na czterech potężnych nogach przez barierę z kwiatów, które rozstały się przed nim jak wierne psy przed swoim panem. Niektóre z kwiatów i traw musnęły jego kopyta z czułością.

– Nazywam się Cenarius... - powiedział do siedzącej przed nim niepozornej postaci. - A to moje władztwo.

Cenarius... Cenarius... przez skołatany umysł Krasusa przemknęły jakieś legendarne skojarzenia, kilka zapuściło nawet korzenie, ale większość po prostu się rozviała. Cenarius. Znany elfom i innym mieszkańcom lasu. Nie bóg, ale... prawie. A więc półbóg. Na swój sposób dorównujący potęgą wielkim Aspektom.

Ale było coś więcej, znacznie więcej. Lecz choć smoczy mag bardzo się starał, nie potrafił przywołać właściwych wspomnień. Jego twarz musiała

zdradzać wielki wysiłek, bo surowe oblicze Cenariususa przybrało bardziej życzliwy wyraz.

– Źle się czujesz, podróżniku. Może powinieneś jeszcze odpocząć.

– Nie. - Krasus dźwignął się z wysiłkiem, stając wyprostowany przed półbogiem. - Nie. Chcę z tobą porozmawiać.

– Jak sobie życzysz. - Rogate bóstwo przekrzywiło brodatą głowę w bok, przyglądając się gościowi. - Jesteś kimś więcej, niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka, podróżniku. Widzę podobieństwo do nocnych elfów, ale wyczuwam znacznie, znacznie więcej. Prawie przypominasz mi... ale to mało prawdopodobne. - Rosła postać wskazała Rhonina. - A on nie przypomina żadnej istoty mieszkającej w mojej krainie ani poza nią.

– Przebyliśmy szmat drogi i zgubiliśmy się, o wielki. Nie wiemy, gdzie jesteśmy.

Ku zaskoczeniu maga półbóg wybuchnął gromkim śmiechem. Jego śmiech sprawił, że zakwitło jeszcze więcej kwiatów, na gałęziach wokół nich przysiadły ptaki i zerwał się lekki wiosenny wietrzyk, który musnął policzki Krasusa niczym kochanek.

– Więc musicie pochodzić z bardzo daleka! Gdzie indziej możecie być, przyjacielu? Gdzie indziej, jeśli nie w Kalimdorze?

Kalimdor. To miało jakiś sens, bo gdzie można było spotkać tyle nocnych elfów? Ale wciąż nie znał odpowiedzi na inne dręczące ich pytania.

– Tak przypuszczałem, mój panie, ale...

– Odkryłem niepokojącą zmianę w świecie - przerwał mu Cenarius. - Zachwianie równowagi. W tajemnicy szukałem źródła tego zjawiska... i choć nie znalazłem wszystkiego, czego szukałem, dotarłem do waszej dwójki. - Minął Krasusa, aby jeszcze raz przyjrzeć się drzemiącemu Rhoninowi. - Dwaj wędrowcy znikąd. Dwie zagubione dusze. Obaj

stanowicie dla mnie zagadkę. Wolałbym, żebyście się tu w ogóle nie pojawili.

– Uwolniłeś nas z niewoli...

Władca lasu prychnął niczym najpotężniejszy rogacz.

– Nocne elfy robią się coraz bardziej aroganckie. Biorą to, co do nich nie należy, i zapuszczają się tam, gdzie nie są mile widziane. Są przekonane, że wszystko im wolno. Choć właściwie nie wtargnęły na mój teren, skłoniłem je do tego, aby nauczyć je pokory i dobrych manier - Uśmiechnął się ponuro. - A poza tym... ułatwiły mi zadanie przynosząc tutaj to, na czym mi zależało.

Krasus poczuł, że załamują się pod nim nogi. Miał coraz większe problemy z utrzymaniem pozycji stojącej. Tylko dzięki determinacji udało mu się ustać.

– One też wydawały się wiedzieć o naszym nagłym przybyciu.

– Zin-Azshari ma swoje sposoby. Koniec końców, sprawują pieczę nad samą Studnią.

Smoczy mag zachwiał się, ale tym razem nie z powodu osłabienia. W ostatnim zdaniu Cenarius użył dwóch słów, które zasiały niepokój w jego sercu.

– Zin... Zin-Azshari?

– Tak, śmiertelniku. Stolica królestwa nocnych elfów! Położona na brzegu Studni Wieczności! Nawet tego nie wiesz?

Nie zważając na słabość, jaką okazywał przed półbogiem, Krasus osunął się na ziemię i usiadł w trawie, usiłując przetrwać zdumiewającą prawdę.

Zin-Azshari.

Studnia Wieczności.

Pomimo ogromnych luk w pamięci znał obie te nazwy. Niektóre rzeczy stanowiły część tak wielkiej legendy, że konieczne byłoby wymazanie

całego umysłu Krasusa, aby o nich zapomniał.

Zin-Azshari i Studnia Wieczności. To pierwsze stanowiło serce magicznego imperium, którym władały nocne elfy. Cóż za głupiec z niego, że nie wpadł na to, gdy zostali pojmami. Zin-Azshari stanowiło pępek świata przez kilka wieków.

Drugie, Studnia Wieczności, było samo w sobie miejscem magicznym, niezgłębionym źródłem mocy, o którym przez wiele wieków magowie i czarodzieje szeptali z nabożnym podziwem w głosie. Stanowiła jądro czarodziejskiej mocy nocnych elfów, pozwalając im na rzucanie zaklęć, przed którymi nawet smoki czuły respekt.

Ale oba te miejsca należały do przeszłości... odległej przeszłości. Ani Zin-Azshari, ani cudowna i złowieszcza Studnia Wieczności już nie istniały. Dawno, dawno temu zniknęły w katastrofie, która... która...

Pamięć znów zawiodła Krasusa. Wiedział, że wydarzyło się coś strasznego, coś, co zniszczyło miasto i jezioro, rozdarło cały świat na dwie części... ale za żadne skarby nie potrafił sobie przypomnieć, co to było.

– Jeszcze nie doszedłeś do siebie - stwierdził Cenarius z troską w głosie.
- Powinienem był pozwolić ci odpocząć.

Wciąż usiłując przypomnieć sobie coś więcej, mag odpowiedział:

– Dojdę do siebie... dojdę do siebie, zanim mój przyjaciel się obudzi. Odejdziemy, gdy tylko odzyskamy siły, i nie będziemy wam sprawiać więcej kłopotów.

Bóstwo spochmurniało.

– Mój mały, źle mnie zrozumiałeś. Obaj jesteście dla mnie zagadką i moimi gośćmi... i tak długo, jak będziecie pierwszym, pozostaniecie drugim. - Cenarius odwrócił się, idąc w stronę kwiatów-strażników. - Myślę, że powinniście się posilić. Wkrótce otrzymacie coś do jedzenia. Odpoczywajcie.

Cenarius nie czekał na protesty, a Krasus nawet nie próbował oponować. Doskonale rozumiał, że kiedy istota taka jak władca lasu nalega, żeby zostali, sprzeciw jest bezcelowy. On i Rhonin byli gośćmi Cenariusza tak długo, jak półbóg sobie życzył... co mogło oznaczać nawet do końca ich życia.

Jednak Krasusa o wiele bardziej martwiło to, że ich życie może się okazać bardzo, ale to bardzo krótkie.

Zin-Azshari i Studnia zostały unicestwione wskutek jakiejś potwornej katastrofy... a im dłużej smoczy mag się nad tym zastanawiał, tym większą miał pewność, że kataklizm już nadciąga.



– Ostrzegam cię, mój drogi doradco, uwielbiam niespodzianki, ale mam nadzieję, że ta będzie wyjątkowo smakowita.

Xavius uśmiechnął się, prowadząc królową za rękę do komnaty, gdzie pracowali Szlachetnie Urodzeni. Przychodząc do niej, wykrzeszał z siebie tyle uniżoności, na ile tylko potrafił się zdobyć, prosząc uprzejmie, aby zechciała do niego dołączyć i zobaczyć, co osiągnęli jego czarodzieje. Doradca wiedział, że Azshara spodziewa się czegoś niezwykłego, i że nie będzie zawiedziona... choć władczyni nocnych elfów mogła oczekiwać czegoś innego.

Strażnicy uklękli, gdy weszli do środka. Choć mieli taki sam wyraz twarzy jak zawsze, oni też zostali dotknięci tak jak Xavius. Wszyscy obecni w komnacie rozumieli, wszyscy oprócz Azshary.

Ale za chwilę i ona dozna objawienia.

Popatrzyła na wir kłębiący się wewnątrz wzoru, a jej głos ociekał rozczarowaniem, gdy powiedziała:

– Wygląda tak samo.

– Musisz przyrzeć mu się z bliska, Światło Tysiąca Księżyców. Wtedy zrozumiesz, co udało nam się osiągnąć.

Azshara zmarszczyła brwi. Na jego prośbę przysłała bez swoich służek i teraz zaczynała tego żałować. Niemniej jednak była królową i powinna udowodnić, że nawet bez obstawy zawsze panuje nad sytuacją.

Pełnym gracji krokiem podeszła do samej krawędzi wzoru. Najpierw przyjrzała się pracy Szlachetnie Urodzonych, którzy akurat czarowali, a potem raczyła przenieść wzrok na piekło szalejące wewnątrz wiru.

– Wciąż wydaje mi się, że wygląda tak samo, drogi Xaviusie. Spodziewałam się czegoś więcej po...

Krzyknęła cicho i choć doradca nie widział w całości jej twarzy, zobaczył dość, by wiedzieć, że Azshara już rozumie.

A głos, który słyszał wcześniej, głos jego boga, przemówił tak, by wszyscy słyszeli...

Nadchodzę...

OSIEM



Rytuał Wysokiego Księżyca dobiegł końca i teraz Tyrande miała czas tylko dla siebie. Elune oczekiwała od swoich kapłanek oddania, ale nie żądała od nich, by poświęcały jej każdą chwilę. Księżycowa Matka była łagodną kochającą panią i właśnie to przyciągnęło młodą elfkę do jej świątyni. Wstąpienie do nowicjatu uśmierzyło nieco niepokój Tyrande i rozproszyło dręczące ją wątpliwości.

Ale jedna sprawa nie dawała jej spokoju. Z upływem czasu zmieniły się relacje między nią Malfurionem a Illidanem. Zakończył się etap młodzieńczej przyjaźni. Prostota dzieciństwa musiała ustąpić złożoności dorosłych związków.

Uczucia, jakie żywiła wobec nich obu, uległy zmianie i wiedziała, że ich stosunek do niej też się zmienił. Między braćmi zawsze istniała przyjacielska rywalizacja, ale ostatnio zaostrzyła się w sposób, który nie przypadł Tyrande do gustu. Teraz walczyli ze sobą jak gdyby ubiegali się o jakąś nagrodę.

Tyrande rozumiała - nawet jeśli oni nie - że to ona jest tą nagrodą. Choć pochlebiało to nowicjuszcze, nie chciała zranić żadnego z nich. Jednak zrani przynajmniej jednego z braci, gdyż w głębi serca wiedziała, że gdy przyjdzie czas wybrać towarzysza życia, będzie nim Illidan albo Malfurion.

Odziana w srebrną suknię z kapturem, strój nowicjuszki, szła szybkim krokiem przez wysokie, marmurowe komnaty świątyni. Magiczny fresk nad jej głową przedstawiał niebo. Zwykły gość mógłby nawet pomyśleć, że świątynia nie ma dachu, tak doskonała była to iluzja. Ale tylko wielka sala, gdzie odprawiano rytuały, rzeczywiście pozbawiona była sklepienia. Tam Elune nawiedzała kapłanki pod postacią promieni księżyca, dotykając swoje wierne służki jak matka dotyka ukochanych dzieci.

Tyrande minęła wysokie posągi przedstawiające ziemskie wcielenia bogini - te, które w przeszłości służyły jako wysokie kapłanki - i wkroczyła wreszcie na rozległą marmurową posadzkę przedsionka. Tu misterna mozaika przedstawiała stworzenie świata przez Elune i innych bogów, oczywiście ze szczególnym podkreśleniem roli Księżycowej Matki. Z kilkoma wyjątkami bogowie mieli niewyraźne postacie o zamazanych twarzach, gdyż żadna śmiertelna istota nie była godna oddania ich prawdziwego wyglądu. Tylko półbogowie, dzieci i sługi bóstw miały wyraźne rysy. Wśród nich znalazł się, oczywiście, Cenarius, którego wielu uważało za syna Słońca i Księżycy. Cenarius nie potwierdzał, ani nie zaprzeczał, ale Tyrande lubiła myśleć, że to prawdziwa historia.

Chłodne powietrze na zewnątrz przyniosło jej ulgę. Tyrande zeszła po białych alabastrowych stopniach i wmieszała się w tłum. Wielu pochyliło przed nią głowy z szacunkiem, inni rozstępowali się, robiąc jej przejście. Bycie nawet nowicjuską Elune miało swoje zalety, ale w tej chwili Tyrande wolałaby być po prostu sobą.

Suramar nie był tak wspaniały jak Zin-Azshari, ale miał swoją własną osobowość. Gdy weszła na główny plac, gdzie kupcy wszelkiego rodzaju zachwalali swoje towary, w oczy uderzyły ją żywe, jaskrawe kolory. Dygnitarze w bogatych, wysadzanych diamentami szatach w barwach słonecznej czerwieni i płomiennego oranżu przechadzali się z zadartymi

nosami wśród nocnych elfów z niższych kast odzianych w skromniejsze, zielone, żółte, niebieskie lub wielobarwne stroje. Na rynku każdy starał się dobrze zaprezentować, aby zrobić jak najlepsze wrażenie.

Nawet budynki we wszystkich kolorach tęczy świadczyły o zamożności ich właścicieli. Niektóre sklepy pomalowano aż na siedem odcieni, a większość miała na każdej ze ścian teatralne malowidła. Większość była oświetlona pochodniami, gdyż tańczące płomienie uważano za ożywczy akcent.

Tych kilka osób nie będących nocnymi elfami, które Tyrande zdążyła poznać w swoim krótkim życiu, twierdziło, że jej lud jest pretensjonalny, a nawet ośmielało się twierdzić, że rasa Tyrande musi być ślepa na kolory. Choć jej własne gusta były bardziej konserwatywne, acz nie tak bardzo jak upodobania Malfuriona, Tyrande czuła, że nocne elfy bardziej niż inni doceniają różnorodność wzorów i barw istniejących na świecie.

Zauważyła, że na środku placu zebrał się spory tłumek. Większość elfów gestykulowała z ożywieniem, drwiąc z czegoś albo dając wyraz swemu obrzydzeniu. Zaciekawiona, podeszła, żeby sprawdzić, co wzbudza takie zainteresowanie.

Z początku gapie nawet nie zauważyli jej obecności, co było widowym znakiem, że oglądają jakieś rzadkie dziwo. Grzecznie dotknęła najbliższej postaci, która, rozpoznawszy kapłankę, natychmiast odsunęła się w bok. W ten sposób udało jej się dostać w głąb cizby.

W środku tłumu stała klatka tylko nieco niższa od niej. Wykonana z solidnych metalowych prętów, z pewnością kryła w sobie jakąś potężną bestię, ponieważ grzechotała głośno, a ze środka wydobywał się raz po raz zwierzęcy pomruk, po którym znów rozlegały się szepty.

Ci stojący tuż przed nią nie chcieli się przesunąć, nawet gdy odkryli, kto poklepał ich po ramieniu. Zirytowana i zaciekawiona, wcisnęła się między

jedną z par, usiłując coś zobaczyć.

To, co ujrzała, sprawiło, że krzyknęła cicho.

– Co to jest? - wydusiła Tyrande.

– Nikt tego nie wie, siostró - odparł osobnik, który okazał się strażnikiem pełniącym wartę. Nosił napierśnik i szaty Straży Suramarskiej. - Księżycowa Gwardia musiała rzucić aż trzy zaklęcia, żeby go powalić.

Tyrande instynktownie rozejrzała się za jednym z zakapturzonych, odzianych na zielono czarodziejów, ale żadnego nie dostrzegła. Z pewnością zaczarowali klatkę, po czym zostawili unieszkodliwionego stwora w rękach Straży, a sami poszli zdecydować, co z nim zrobić.

Ale jakiego stwora?

Nie był to krasnolud, choć zbudowany był podobnie do krasnoluda. Gdyby stał wyprostowany, byłby o stopę niższy od nocnego elfa, ale prawie dwukrotnie potężniejszy. Musiała to być istota posługująca się brutalną siłą, bo Tyrande jeszcze nigdy nie widziała takiej muskulatury. Choć wiedziała, że na klatkę rzucono zaklęcia, dziwiła się, że stwór nie wygiął po prostu prętów i nie uciekł.

Nagle jakiś elf należący do wyższej kasty szturchnął pochyloną postać złotą laską, co wywołało u stwora kolejny atak furii. Nocny elf ledwo zdążył wyciągnąć kijek z zasięgu grubych, umięśnionych łap. Kwadratową twarz o wyraźnie zarysowanej szczęce wykrzywił grymas gniewu. Stwór bez problemu wyrwałby laskę, gdyby nie grube łańcuchy pętające mu nadgarstki, kostki i kark. To właśnie one zmuszały go do stania w pochylonej pozycji i uniemożliwiały wyłamanie prętów, nawet gdyby był wystarczająco silny i zdeterminowany.

Zamiast przerażenia i obrzydzenia Tyrande poczuła litość. Świątynia i Cenarius nauczali szacunku dla życia, nawet tego, które na pierwszy rzut oka wydawało się potworne. Zielonoskóra istota nosiła prymitywne

odzienie, co oznaczało, że wykazuje się - ona albo on, chociaż raczej to drugie - jakąś inteligencją. Nie godziło się wystawiać jej na pokaz jak zwierzę.

Dwie puste brązowe miski powiedziały nowicjuszcze, że więźniowi dano przynajmniej coś do jedzenia, ale przypuszczała, że nie dość, aby mógł się najeść.

– Potrzebuje więcej jedzenia i wody - zwróciła się do strażnika.

– Nie otrzymałem takich rozkazów, siostró - odparł z szacunkiem strażnik, nie spuszczać wzroku z tłumu.

– Do tego nie powinny być potrzebne rozkazy.

Strażnik skwitował to wzruszeniem ramion.

– Starszyzna nie zdecydowała jeszcze, co z nim zrobić. Może uważają, że więcej jedzenia i picia nie będzie mu już potrzebne, siostró.

Jego sugestia wydała jej się wstrętna. Sprawiedliwość nocnych elfów potrafiła być iście drakońska.

– Jeśli przyniosę mu trochę jedzenia, czy będziesz próbował mnie powstrzymać?

Teraz żołnierz wyglądał na zakłopotanego.

– Nie powinnaś tego robić, siostró. Ta bestia gotowa oderwać ci ramię i pożreć je zamiast tego, co jej przyniesiesz, Postąpiłabyś rozsądniej zostawiając ją w spokoju.

– Zaryzykuję.

– Siostró...

Ale zanim zdążył ją od tego odwieść, Tyrande już się odwróciła. Skierowała się prosto do najbliższego kramarza sprzedającego jedzenie, chcąc nabyć dzbanek wody i miskę zupy. Stwór w klatce wyglądał na mięsożercę, dlatego zdecydowała się też na kawałek świeżego mięsa. Kupiec odmówił przyjęcia zapłaty od kapłanki, więc obdarzyła go

błogosławieństwem, na którym, jak wiedziała, mu zależało, po czym podziękowała i wróciła na plac.

Gdy Tyrande dotarła na jego środek, tłum, najwyraźniej znudzony, zdążył się już prawie rozejść. Dzięki temu było jej łatwiej stanąć twarzą w twarz z więźniem. Podniósł wzrok na widok zbliżającej się nowicjuszki, początkowo biorąc ją pewnie za kolejnego uprzykrzonego gapia. Dopiero gdy zauważył, co niesie, zainteresował się nią bardziej.

Usiadł na tyle wygodnie, na ile pozwalały mu łańcuchy, przypatrując się jej spod grubych, krzaczastych brwi głęboko osadzonymi ślepiami. Tyrande uznała, że znajduje się już w jesieni życia, ponieważ włosy miał posiwiałe, a jego brutalną twarz znaczyły blizny i szramy świadczące o wielu przejściach.

Nocna elfka zatrzymała się w miejscu, które według jej szacunków znajdowało się tuż poza jego zasięgiem. Kątem oka zauważyła, że strażnik z uwagą przygląda się jej poczynaniom. Zdawała sobie sprawę, że użyje włóczni, aby wypatroszyć stwora, jeśli ten spróbuje ją skrzywdzić. Tyrande miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Byłaby to okrutna ironia losu, gdyby jej chęć pomocy cierpiącej istocie doprowadziła do jej śmierci.

Z wdziękiem i troską uklękła przed klatką.

– Czy mnie rozumiesz?

Stwór chrząknął, a w końcu kiwnął głową.

– Przyniosłam ci coś. - Najpierw wyciągnęła w jego stronę miskę zupy.

Nieufne ślepie, tak inne od jej oczu, wbiły się w miskę. Mogła wyczytać w nich kalkulację. W pewnej chwili stwór rzucił okiem w stronę najbliższego strażnika. Jego prawa dłoń zacisnęła się, a potem otworzyła.

Powoli, bardzo powoli, wyciągnął do niej rękę. Gdy zbliżyła się do jej własnej, Tyrande zobaczyła, jak wielka i gruba jest w rzeczywistości, dość

potężna, by objąć bez trudu oba jej ramiona. Wyobraziła sobie ukrytą w niej siłę i prawie cofnęła wysunięty ku niemu dar.

Potem, z delikatnością, która ją zaskoczyła, więzień odebrał od niej miskę, położył bezpiecznie przed sobą i nadal przyglądał się jej wyczekująco.

Zadowolona, że przyjął od niej jedzenie, uśmiechnęła się do niego, ale stwór nie odwzajemnił uśmiechu. Już trochę spokojniejsza, podała mu jeszcze mięso, a w końcu dzban z wodą.

Kiedy to wszystko znalazło się przed stworzem, zaczął jeść. Wychylił zawartość miski jednym wielkim łykiem, aż odrobina brązowej cieczy pociekła mu na brodę. Potem zabrał się za mięso, bez wahania wgryzając się w surowizną ostrymi, pożółkłymi kłami. Tyrande przełknęła ślinę, ale nie okazała w żaden inny sposób skrępowania, jakie wywołały u niej potworne maniery więźnia. W takich warunkach mogłaby się zachować wcale nie lepiej niż on.

Kilku gapiów przyglądało się temu tak, jak gdyby obserwowali występ minstrela, ale Tyrande nie zwracała na nich uwagi. Czekwała cierpliwie, aż jeniec skończy się posilać. Poradził sobie z każdym skrawkiem mięsa na kości, którą później złamał na pół i wyssał z niej szpik z takim apetytem, że reszta gapiów, których wrażliwość nie mogła ścierpieć tak odrażającego widoku, w końcu sobie poszła.

Kiedy ostatni z nich odchodzili, stwór nagle odrzucił kawałek kości i ze zdumiewająco głośnym rechotem sięgnął po dzban. Przez cały czas nawet na sekundę nie spuścił wzroku z nowicjuszek.

Kiedy wychylił zawartość dzbana, otarł szerokie usta ramieniem i mruknął:

– Dobrze.

Dźwięk mowy zaskoczył Tyrande, choć wcześniej domyśliła się, że skoro ją rozumie, to pewnie potrafi także mówić. Uśmiechnęła się znowu, a nawet oparła się o pręty, co zaniepokoiło strażników.

– Siostró! - krzyknął jeden z nich. - Nie powinnaś podchodzić tak blisko! Rozszarpie cię...

– Nic nie zrobi - zapewniła ich spiesźnie. Zerkając na stwora, dodała: - Prawda?

Potrząsnął głową i na znak, że nie kłamie, przyciągnął ręce do klatki piersiowej. Strażnicy cofnęli się, ale pozostali czujni. Nie zwracając na nich uwagi, Tyrande zapytała:

– Chcesz jeszcze coś? Więcej jedzenia?

– Nie.

Zawahała się, a potem powiedziała:

– Mam na imię Tyrande. Jestem kapłanką Elune, Księżycowej Matki.

Postać w klatce wydawała się niechętna dalszej rozmowie, ale kiedy stwór zorientował się, że elfka jest zdecydowana czekać, w końcu odpowiedział:

– Brox... Broxigar. Zaprzysiężony sługa wodza Thralla, władcy orków.

Tyrande spróbowała przetrwać to, co powiedział. To, że był wojownikiem, zdradzał sam jego wygląd. Służył jakiemuś przywódcy, Thrallowi. Imię to wydało jej się jeszcze dziwniejsze niż imię więźnia, gdyż rozumiała jego znaczenie i zdawała sobie sprawę ze sprzecznej natury władcy noszącego taki tytuł.

Ten Thrall był władcą orków, czyli rasy, do której musiał należeć Brox. W świątyni pobierała wszechstronne nauki, ale nigdy nie słyszała tam ani nigdzie indziej o rasie zwanej orkami. Jeśli wszystkie były podobne do Broxa, nocne elfy z pewnością dobrze by je zapamiętały.

Postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej.

– Skąd jesteś, Broksie? Jak się tu dostałeś?

Tyrande natychmiast pojęła, że popełniła błąd. Ślepia orka zwężyły się, stwór zacisnął usta. Jak mogła nie wpaść na to, że Księżycowa Gwardia już go przesłuchiwała - i to nie tak uprzejmie jak ona. Teraz musiał pomyśleć, że wysłano ją, aby życzliwością wyciągnęła z niego to, czego nie udało im się dowiedzieć przy użyciu siły i magii.

Wyraźnie chcąc zakończyć ich spotkanie, Brox podniósł miskę i wyciągnął ją w stronę kapłanki z ponurym i nieufnym wyrazem twarzy. Bez żadnego ostrzeżenia błyskawica energii uderzyła w klatkę zza pleców nowicjuszki, trafiając orka w dłoń.

Brox z dzikim warknięciem złapał się za poparzone palce, ściskając je mocno. Spojrzał na Tyrande tak morderczym wzrokiem, że musiała wstać i się cofnąć. Strażnicy natychmiast przyskoczyli do klatki, włóczniami zmuszając jeńca do cofnięcia się pod jej tylną ścianę. Silne ręce chwyciły ją za ramiona, a znajomy głos wyszeptał z niepokojem:

– Nic ci nie jest, Tyrande? Ta plugawa bestia nie zrobiła ci krzywdy?

– Wcale nie zamierzał zrobić mi krzywdy! - zawołała, odwracając się do swojego domniemanego wybawcy. - Illidanie! Jak mogłeś!

Przystojny nocny elf zmarszczył brwi, a jego niesamowite złote oczy straciły nieco blasku.

– Bałem się o ciebie! Ta bestia jest zdolna...

Tyrande przerwała mu.

– W tej klatce nie jest do niczego zdolna... i to nie jest żadna bestia!

– Nie? - Illidan nachylił się, aby się przyjrzeć Broxowi. - Ork wyszczerzył kły, ale oprócz tego nie zrobił nic, co mogłoby rozdrażnić nocnego elfa. Brat Malfuriona prychnął z pogardą. - Jak dla mnie nie wygląda na cywilizowaną istotę.

– Po prostu próbował oddać mi miskę. A gdybym miała kłopoty, w pobliżu stali strażnicy.

Illidan zmarszczył brwi.

– Przepraszam, Tyrande. Może zareagowałem zbyt gwałtownie. Ale musisz przyznać, że mało kto, i myślę tu także o kapłankach, podjąłby tak wielkie ryzyko jak ty! Może tego nie wiesz, ale podobno kiedy się przebudził, prawie zadusił jednego z członków Księżycowej Gwardii.

Nowicjuszka popatrzyła na strażnika o obojętnym wyrazie twarzy, który niechętnie skinął głową. Zapomniał wspomnieć jej o tej drobnostce. Ale nawet to niewiele by zmieniło. Brox był maltretowany, a ona czuła potrzebę przyjścia mu z pomocą.

– Doceniam twoją troskę, Illidanie, ale powtarzam ci, że nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. - Zmrużyła oczy, zauważając zranioną dłoń orka. Palce miał poczerniałe, a z jego oczu wyzierał ból, nie krzyknął jednak, ani nie poprosił o uzdrowienie.

Zostawiając Illidana, Tyrande znów uklękła przy klatce. Bez wahania włożyła rękę między pręty.

Illidan wyciągnął do niej rękę.

– Tyrande!

– Nie zbliżajcie się! Wszyscy! - Napotykając złowrogie spojrzenie orka, wyszeptała: - Wiem, że nie chciałeś mnie skrzywdzić. Mogę to uleczyć. Proszę. Pozwól mi.

Brox warknął, ale tak, jak gdyby nie był zły, tylko zastanawiał się, co zrobić. Illidan wciąż stał obok Tyrande, która uświadomiła sobie, że znów skrzywdzi orka, gdy tylko coś przebiegnie nie po jego myśli.

– Illidanie... muszę prosić, żebyś się na chwilę odwrócił.

– Co takiego? Tyrande...

– Dla mnie, Illidanie.

Czuła jego wzbierającą wściekłość. Zastosował się jednak do jej prośby, okręcił na pięcie i stanął twarzą do jednego z budynków otaczających plac.

Tyrande znów popatrzyła na Broxa. Jego wzrok pobiegł ku Illidanowi i przez krótką chwilę dostrzegła w nim satysfakcję. Potem ork skupił się na niej i ostrożnie podał jej okaleczoną rękę.

Ujęła ją w dłoń i zszokowana obejrzała ranę. Dwa palce zostały opalone do kości, a trzeci był czerwony i zaogniony.

– Co mu zrobiłeś? - zapytała Illidana.

– Coś, czego się ostatnio nauczyłem - odparł.

Z pewnością nie nauczył się tego w lesie Cenariususa. To była wysoka magia nocnych elfów, zaklęcie niewymagające większej koncentracji. Dowodziło to tylko, jak zdolny potrafił być brat Malfuriona, jeśli coś go interesowało. Wyraźnie przedkładał czarodziejskie manipulacje nad bardziej wyważony druidyzm.

Tyrande nie była pewna, czy podoba jej się ten wybór.

– Księżycowa Matko, usłysz moje błagania... - Ignorując przerażone miny strażników, ujęła palce orka i ucałowała delikatnie każdy z nich. Potem szeptem poprosiła Elune, aby obdarzyła ją mocą ulżenia Broxowi, uleczenia tego, co Illidan, w swej porywczosci, uszkodził.

– Wyciągnij rękę najdalej jak możesz - poleciła jeńcowi.

Patrząc na strażników, Brox przysunął się do przodu, starając się wysunąć potężne ramię poprzez pręty. Tyrande spodziewała się jakiegoś magicznego oporu, ale nic się nie wydarzyło. Przypuszczała, że skoro ork nie próbował ucieczki, zaklęcia nałożone na klatkę nie zadziałały.

Nowicjuszka spojrzała w niebo, gdzie nad jej głową wisiał księżyc.

– Księżycowa Matko... napełnij mnie swoją czystością, swoją łaską, swoją miłością... obdarz mnie mocą uleczenia tego...

Gdy Tyrande powtarzała swą prośbę, usłyszała stłumiony okrzyk jednego ze strażników. Illidan zaczął się obracać, ale zaraz się zreflektował, widocznie nie chcąc się jej bardziej narazić. Strumień srebrnego blasku - blasku Elune - otoczył młodą kapłankę. Tyrande błyszczała, jak gdyby sama była Księżycem. Czuła, jak chwała bogini staje się jej częścią.

Brox prawie się jej wyrwał, oszołomiony tym cudownym widokiem. Zaufał jej jednak i pozwolił umieścić swoją dłoń w snopie światła. Gdy blask księżyca dotknął palców orka, spalone mięso ozdrowiało, dziury, przez które widać było kości, zarosły ciałem, i straszliwa rana zadana mu przez Illidana zupełnie zniknęła. Trwało to zaledwie kilka sekund. Ork stał nieruchomo z oczyma wielkimi jak u zdumionego dziecka.

– Dziękuję ci, Księżycowa Matko - wyszeptała Tyrande, wypuszczając dłoń Broxa.

Strażnicy upadli na jedno kolano, pochylając głowy przed akolitką. Ork zbliżył dłoń do twarzy, wpatrując się w każdy z palców i poruszając nimi ze zdumieniem. Dotknął skóry, najpierw delikatnie, a potem, gdy nie poczuł ukłucia bólu, z ogromną satysfakcją. Z jego ust wyrwało się zadowolone stęknienie.

Nagle Brox zaczął się szamotać wewnątrz klatki. Tyrande przestraszyła się, że odniósł jeszcze inne obrażenia, które dopiero teraz się odezwały, ale ork zaraz znieruchomiał.

– To dla mnie zaszczyt, szamanko - powiedział, kłaniając się przed nią na tyle, na ile pozwalały mu pęta. - Jestem twoim dłużnikiem.

Wdzięczność Broxa była tak wielka, że Tyrande poczuła, jak oblewa się rumieńcem zawstydenia. Wstała i zrobiła krok w tył.

Illidan odwrócił się natychmiast i złapał ją za ramiona, jak gdyby chcąc ją podtrzymać.

– Nic ci nie jest?

– Ja... - Jak wytłumaczyć mu, jak się czuła, gdy została dotknięta przez Elune? - Gotowe - dokończyła, nie wiedząc, co powiedzieć.

Strażnicy wstali wreszcie z kolan. Ich szacunek wobec niej jeszcze wzrósł. Ten stojący najbliżej podszedł do niej z czcią.

– Siostrze, czy mogę otrzymać twoje błogosławieństwo?

– Oczywiście! - Kapłanki nie szczędziły innym błogosławieństw Elune, bowiem zgodnie z nauczaniem Księżycowej Matki im więcej osób zostało przez nią dotkniętych, tym więcej rozumiało miłość i jedność, jakie reprezentowała, i szerzyło je wśród innych.

Otwartą dłonią dotknęła serca, a potem czoła każdego ze strażników, wskazując na symboliczną jedność umysłu i ducha. Każdy z nich podziękował jej wylewnie.

Illidan znów wziął ją pod ramię.

– Potrzebujesz odpoczynku, Tyrande. Chodź! Znam pewne miejsce...

Z klatki dobiegł ich szorstki głos Broxa:

– Szamanko, czy ktoś tak nikczemny jak ja też może otrzymać twoje błogosławieństwo?

Strażnicy drgnęli, ale nie odezwali się. Skoro bestia tak grzecznie prosiła o błogosławieństwo wybranki Elune, jak mogli się sprzeciwić?

Oni nie, ale Illidan mógł.

– Dość już zrobiłaś dla tego stwora. Ledwo się trzymasz na nogach! Chodź...

Ale Tyrande nie mogła odmówić orkowi. Uwolniła się z uścisku Illidana i znów uklękła przed Broxem. Bez wahania wyciągnęła do niego rękę, dotykając chropowatej, owłosionej skóry i twardej, łysawej głowy.

– Niech Elune ma cię w swojej opiece... - wyszeptała nowicjuszka.

– Niech twoje ramię mężnie dzierży topór - odparł.

Zmarszczyła brwi, słysząc tę dziwną odpowiedź, ale zaraz sobie przypomniała, jakiego rodzaju życie musiał wieść. Na swój dziwny sposób ork życzył jej zdrowia i pomyślności.

– Dziękuję - odrzekła z uśmiechem.

Gdy wstawała, Illidan wtrącił się raz jeszcze:

– Czy teraz możemy...

Nagle poczuła się zmęczona. Było to jednak przyjemne zmęczenie, jak gdyby pracowała długo i ciężko dla swej pani i wiele osiągnęła w jej imieniu. Nagle przypomniała sobie, od jak dawna nie spała. Ponad dobę. Mądrość Księżycowej Matki nakazywała jej wrócić do świątyni i pójść do łóżka.

– Proszę, wybacz mi, Illidanie - wymamrotała Tyrande. - Jestem zmęczona. Chciałabym wrócić do moich sióstr. Rozumiesz to, prawda?

Jego oczy zwęziły się na moment, ale zaraz się uspokoił.

– Tak, pewnie tak będzie najlepiej. Czy mam cię odprowadzić?

– Nie ma takiej potrzeby. Zresztą i tak wolę pobyć sama.

Illidan nic nie odpowiedział, skłonił się tylko lekko na znak, że szanuje jej decyzję.

Po raz ostatni uśmiechnęła się do Broxa. Ork kiwnął głową. Tyrande odeszła, mimo fizycznego wyczerpania czując, że jej umysł jest dziwnie świeży. Kiedy tylko będzie to możliwe, pomówi z wysoką kapłanką o Broksie. Świątynia na pewno mogła coś zrobić dla tego wyrzutka.

Księżycowy blask oświetlał idącą kapłankę. Tyrande czuła coraz wyraźniej, że przeżyła tej nocy coś, co odmieni ją na zawsze. Jej spotkanie z orkiem musiało być zamysłem Elune...

Nie mogła się już doczekać rozmowy z wysoką kapłanką...



Illidan patrzył za odchodzącą Tyrande, która na pożegnanie nie obdarzyła go nawet spojrzeniem. Znał ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż jej myśli wciąż zaprzęta chwila służby bogini. Nie zwracała uwagi na nic innego, wliczając w to jego.

– Tyrande... - Miał nadzieję, że uda mu się porozmawiać z nią o swoich uczuciach, ale stracił tę szansę. Czekał wiele godzin, aż się pojawi, obserwując ukradkiem świątynię. Wiedział, że nie będzie to dobrze wyglądało, jeśli dołączy do niej w chwili, w której opuściła przybytek, więc czekał w tyle, chcąc udać, że spotkali się przypadkiem.

A potem Tyrande odkryła stwora schwytanego przez Księżycową Gwardię i cały jego przemyślny plan spalił na panewce. Teraz nie tylko stracił okazję, ale okrył się w jej oczach wstydem, wyszedł na niegodziwca... i to wszystko z powodu tego czegoś!

Zanim zdołał się opanować, z jego ust wyrwały się ciche słowa, a prawa ręka zacisnęła się kurczowo.

Od strony klatki dobiegł go krzyk. Szybko spojrzał w tamtą stronę.

Klatka rozbłysła jasno, ale nie był to srebrzysty blask księżyca. Celę otoczyła wściekle czerwona poświata, która wydawała się ją pochłaniać... ją i trzymanego w niej jeńca.

Plugawa istota w środku zaryczała z bólu. Strażnicy biegali wokół klatki nie wiedząc, co robić.

Illidan szybko wymamrotał słowa kontr zaklęcia.

Aura zbladła. Więzień przestał wrzeszczeć.

Niezauważony przez nikogo, Illidan uciekł szybko z miejsca zdarzenia. Pozwolił, by gniew wziął nad nim górę i wyładował go na najbliższej ofierze. Młodzieniec dziękował opatrzości, że strażnicy nie domyślili się prawdy, i że Tyrande zdążyła już opuścić plac, dzięki czemu nie zobaczyła go w chwili wściekłości.

Był także wdzięczny tym członkom Księżycowej Gwardii, którzy otoczyli klatkę magicznymi barierami... bo tylko ich zaklęcia ochronne ocaliły stwora przed śmiercią.

DZIEWIĘĆ



Umierali wszędzie wokół niego.

Gdziekolwiek spojrzeł, widział konających towarzyszy. Garno, z którym dorastał, który był mu właściwie bratem, padł następny, porąbany na kawałki przez świszczące ostrze wielkiej ognistej postaci o rogatym łbie i paszczy najeżonej ostrymi zębami. Demon zginął kilka sekund później z ręki Broxa, który rzucił się na zabójcę Garno z wrzaskiem tak okropnym, że nawet przerażająca istota zawahała się na moment, i rozplątał stwora na dwoje, choć ten miał na sobie lśniący pancerz.

Ale Legioniści wciąż napływali, a liczba orków topniała w oczach. Została już tylko garstka obrońców i w każdej minucie ginął kolejny.

Thrall kazał zablokować drogę, aby Legion nie zdołał się przedrzeć. Zbierano już posiłki, ale Horda potrzebowała czasu. Potrzebowała Broxa i jego chłopców.

A ich było coraz mniej. Duun zginął nagle. Jego głowa toczyła się po przesiąkniętej posoką ziemi przez kilka sekund, zanim jego tułów zwałił się na ziemię. Fezhar leżał już martwy, jego szczątki były prawie nierozpoznawalne - otoczyła go fala nienaturalnie zielonych płomieni, którymi zionął jeden z demonów, płomieni, które nie tyle spaliły jego ciało, co je rozpuściły.

Raz po raz potężny topór Broxa spadał na straszliwych nieprzyjaciół, zabijając potworne istoty. Lecz za każdym razem, gdy ocierał pot z czoła i patrzył przed siebie, widział ich jeszcze więcej.

I jeszcze więcej...

Teraz już tylko on stawiał im opór. Stawiał czoła rozwrzeszczanemu, żarłocznemu morzu potworów pragnących zagłady całego świata.

I kiedy opadły samotnego obrońcę... Brox się obudził.

Ork trzął się w klatce, ale nie z zimna. Wydawałoby się, że po ponad tysiącu powtórek powinien się już uodpornić na potworności, jakie wskrzeszał jego umysł. Jednak za każdym razem koszmary powracały z nową intensywnością, przynosząc nową falę bólu.

Nowe poczucie winy.

Brox powinien był wtedy zginąć. Powinien był zginąć wraz ze swymi towarzyszami. Zdobyli się na ostateczne poświęcenie dla Hordy, ale on ocalał, żył dalej. To nie było w porządku.

Jestem tchórzem, pomyślał po raz kolejny. Gdybym dał z siebie więcej, byłbym teraz z nimi.

Lecz choć powiedział to Thrallowi, wódz pokręcił głową i rzekł: „Nikt nie dał z siebie więcej niż ty, stary druhu. Blizny są na swoim miejscu, zwiadowcy widzieli, jak walczyłeś. Oddałeś swoim towarzyszom, swojemu ludowi, taką samą przysługę jak ci, którzy zginęli...”

Brox zaakceptował wdzięczność Thralla, ale nie jego słowa.

A teraz siedział tu, uwięziony przez te aroganckie istoty jak świnia czekająca na rzeź. Gapili się na niego, jak gdyby miał dwie głowy, i nie mogli się nadziwić jego brzydocie. Tylko młoda kobieta, szamanka, okazała mu szacunek i troskę.

Wyczuł w niej moc, o jakiej opowiadał jego lud, starą magię. Uleczyła samą modlitwą do księżyca ranę, którą zadał mu jej znajomy. Miała wielki

talent, a Brox czuł się zaszczycony otrzymanym od niej błogosławieństwem.

Nie żeby na dłuższą metę miało to jakieś znaczenie. Ork nie miał żadnych wątpliwości, że elfy wkrótce zdecydują, jak go stracić. To, czego się od niego do tej pory dowiedzieli, na nic się im nie zda. Odmówił udzielenia im jakichkolwiek informacji na temat swojego ludu, zwłaszcza tego, gdzie mieszkali orki. To prawda, sam dobrze nie wiedział, jak wrócić do domu, ale wolał zakładać, że cokolwiek powie, może się okazać dla nocnych elfów wystarczającą wskazówką. W przeciwieństwie do tych nocnych elfów, które sprzymierzyły się z orkami, te miały dla przybyszów tylko pogardę... a zatem stanowiły zagrożenie dla Hordy.

Brox obrócił się na tyle, na ile pozwalały mu więzy. Jeszcze jedna noc i zginie, ale nie w sposób, jaki sam wybierze. Nie będzie wspaniałej bitwy, pieśni o jego bohaterskich czynach...

– Wielkie duchy - wymruczał. - Wysłuchajcie swojego niegodnego sługi. Pozwólcie mi na ostatnią walkę, ostatnią misję. Pozwólcie mi odzyskać godność...

Brox wbił wzrok w niebo, modląc się w duchu. Ale w przeciwieństwie do młodej kapłanki wątpił, by moce czuwające nad światem chciały wysłuchać tak podłej istoty jak on.

Jego los leżał w rękach nocnych elfów.



Malfurion nie był do końca pewny, co kazało mu wyruszyć do Suramaru. Przez trzy noce siedział samotnie w swoim domu, medytując nad tym wszystkim, co usłyszał od Cenariusza, i co widział w Szmaragdowym

Śnie. Trzy noce, a mimo to nie znalazł odpowiedzi na swoje rosnące obawy. Nie miał żadnych wątpliwości, że w Zin-Azshari wciąż czarowano, i że im dłużej ktoś czegoś nie robi, tym bardziej dramatyczna będzie sytuacja.

Ale nikt inny nawet nie zauważył, że jest jakiś problem.

W końcu Malfurion uznał, że być może wybrał się do Suramaru, aby znaleźć jakiś inny głos, jakiś inny umysł, z którym będzie mógł przedyskutować swoje wątpliwości. W tym celu postanowił jednak odszukać Tyrande, a nie brata bliźniaka. Tyrande nie robiła nic bez głębszego namysłu, podczas gdy Illidan miał skłonność do pochopnych działań, bez względu na to czy miał jakiś plan, czy nie.

Tak, dobrze będzie porozmawiać z Tyrande... po prostu się z nią zobaczyć.

Ale kiedy zmierzał w kierunku świątyni Elune, natknął się na duży oddział jadący z przeciwnej strony. Malfurion zszedł na bok ulicy, patrząc, jak mija go pospiesznie kilku żołnierzy w szarozielonych pancerzach, dosiadających panter o lśniącym, doskonale utrzymanym futrze. Na przedzie drużyny jeden z jeźdźców dzierżył kwadratowy proporzec w kolorze ciemnego fioletu, na środku którego widniał czarny ptak.

Proporzec lorda Kur'talosa Ravencresta.

Jadący na czele dowódca dosiadał największej pantery o najpiękniejszym futrze - dominującej samicy w stadzie. Sam Ravencrest był wysokim, chudym mężczyzną o królewskiej postawie. Jechał tak, jak gdyby nic nie mogło go odwieść od raz powziętego zamiaru. Za nim wzdymał się na wietrze złoty płaszcz, a jego wysoki hełm wieńczył czerwony pióropusz z kruczych piór.

Ptasie były także rysy jego twarzy, wąskiej, pociągłej, o haczykowatym nosie przypominającym dziób. Krzaczasta broda i surowe spojrzenie przydawały jego postaci mądrości i siły. Jeśli nie liczyć Szlachetnie

Urodzonych, Ravencrest uchodził za jednego z najbardziej wpływowych ludzi w królestwie, a władczyni często zasięgała u niego rady.

Malfurion zganił się w duchu za to, że nie pomyślał o nim wcześniej, ale nie była to najlepsza okazja do rozmowy ze szlachcicem. Ravencrest i jego elitarna gwardia wydawali się jechać z jakąś wyjątkowo pilną misją i Malfurion zadał sobie natychmiast pytanie, czyjego obawy co do Zin-Azshari zdążyły się już potwierdzić. Ale wątpił, by reszta miasta zachowała spokój, gdyby rzeczywiście tak było - siły działające w stolicy zwiastowały niewyobrażalną katastrofę, która szybko dotknęłaby także Suramar.

Kiedy jeźdźcy zniknęli, Malfurion ruszył dalej. Taka ilość ludzi stłoczonych w jednym miejscu sprawiała, że po długim pobycie w lesie czuł się lekko klaustrofobicznie. Opanował się jednak, wiedząc, że wkrótce zobaczy Tyrande. Choć ostatnio czuł się nieco skrępowany w jej towarzystwie, jej obecność uspokajała go bardziej niż cokolwiek innego, nawet medytacje.

Wiedział, że będzie też musiał zobaczyć się z bratem, ale tego wieczoru nie była to zbyt pociągająca perspektywa. Chciał się spotkać z Tyrande, spędzić z nią trochę czasu. Z Illidanem zawsze zdąży się jeszcze spotkać.

Zauważył jakieś zbiegowisko na środku placu, ale pragnienie zobaczenia Tyrande było na tyle silne, że nie sprawdził, o co chodzi. Miał nadzieję, że szybko ją znajdzie i nie będzie musiał o nią wypytywać jednej akolitki za drugą. Choć nowicjuszki Elune nie miały nic przeciwko wizytom przyjaciół czy rodziny, z jakiegoś powodu Malfurion czuł się bardziej nieswojo niż zwykle. Miało to mniej wspólnego z jego obawami co do Zin-Azshari, a więcej z dziwnym niepokojem, jaki odczuwał za każdym razem, gdy znajdował się w pobliżu swojej przyjaciółki z dzieciństwa.

Kiedy wchodził do świątyni, dwie strażniczki obrzuciły go czujnym spojrzeniem. Zamiast szat nosiły kilty i lśniące srebrne napierśniki

ozdobione na środku wzorem w kształcie półksiężyca. Tak jak wszystkie nowicjuszki były świetnie wyszkolone w sztukach walki i samoobrony. Sama Tyrande strzelała z łuku lepiej od Malfuriona i Illidana. Pokojowe nauki Księżycowej Matki nie wymagały od jej najwierniejszych córek rezygnacji z prawa do obrony koniecznej.

– W czym możemy ci pomóc, bracie? - zapytała uprzejmie pierwsza strażniczka. Ona i jej towarzyszka stały na baczność, gotowe w każdej chwili wycelować w niego włócznie.

– Szukam nowicjuszki Tyrande. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Nazywam się...

– Malfurion Stormrage - dokończyła druga, bliższa mu wiekiem. Uśmiechnęła się. - Tyrande dzieli komnatę ze mną i dwiema innymi kapłankami. Kilka razy widziałam was razem.

– Czy mógłbym z nią porozmawiać?

– Jeśli skończyła medytować, powinna być o tej porze wolna. Poproszę kogoś, żeby to sprawdził. Możesz poczekać w Komnacie Księżyca.

Komnata Księżyca była oficjalną nazwą pozbawionej sklepienia sali w środku świątyni, gdzie odprawiano wielkie rytuały. Kiedy nie korzystały z niej wysokie kapłanki, była otwarta dla wszystkich, którzy chcieli pomedytować w ciszy i spokoju.

Malfurion poczuł obecność Księżycowej Matki w chwili, w której przestąpił próg prostokątnej komnaty. Przylegał do niej ogród, w którym rosły kwitnące nocą kwiaty, a na środku znajdowało się niewielkie podwyższenie, z którego przemawiała wysoka kapłanka. Okrężna kamienna ścieżka wiodąca ku podium była wykonana z mozaiki przedstawiającej roczne cykle księżyca. Podczas poprzednich wizyt w świątyni Malfurion zauważył, że bez względu na pozycję księżyca na niebie, jego łagodny blask zawsze oświetlał całą komnatę.

Wyszedł na środek i usiadł na jednej z kamiennych ławek przeznaczonych dla nowicjuszek i wiernych. Choć otoczenie miało na niego kojący wpływ, wkrótce zaczął się niecierpliwić. Martwił się też, że Tyrande może być niezadowolona z jego nagłego przybycia. W przeszłości zawsze najpierw umawiali się na spotkanie. Dziś po raz pierwszy ośmielił się wkroczyć bez ostrzeżenia w jej świat.

– Malfurionie...

Gdy podniósł wzrok, wszystkie jego zmartwienia odeszły w niepamięć na widok Tyrande wchodzącej w krąg księżycowego światła. Jej srebrzyste szaty nabrały mistycznego blasku i w oczach młodzieńca sama Księżycowa Matka nie mogłaby wyglądać wspanialej. Włosy elfki spływały luźno, okalając jej piękną twarz i kończąc się tuż nad dekoltem. Nocne światło podkreślało kolor jej oczu, a kiedy nowicjuszka się uśmiechnęła, miał wrażenie, że rozświetliła całą Komnatę Księżyca swoją osobą.

Oszołomiony Malfurion z opóźnieniem wstał, by ją powitać. Był pewien, że się rumieni, ale nie mógł na to nic poradzić - mógł mieć tylko nadzieję, że Tyrande niczego nie zauważy.

– Czy wszystko u ciebie w porządku? - zapytała nowicjuszka z nagłą troską w głosie. - Czy coś się stało?

– Nic mi nie jest. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Na jej twarzy znów zagościł uśmiech, jeszcze piękniejszy niż wcześniej.

– Ty nigdy mi nie przeszkadzasz, Malfurionie. Właściwie bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Też chciałam się z tobą zobaczyć.

Nawet jeśli wcześniej nie zauważyła rumieńców na jego policzkach, teraz już musiała je dostrzec. Mimo to Malfurion brnął dalej.

– Tyrande, czy możemy wyjść na zewnątrz?

– Jeśli tam będziesz się czuł swobodniej, oczywiście.

Gdy wychodzili z komnaty, zaczął:

– Pamiętasz, jak mówiłem, że mam powracające sny.

– Pamiętam.

– Rozmawiałem o nich z Cenariusem, kiedy ty i Illidan już poszliście, spróbowaliśmy zrozumieć, dlaczego się powtarzają.

W jej głos wkradł się niepokój:

– I odkryliście coś?

Malfurion kiwnął głową, ale milczał, kiedy mijali dwie strażniczki i wychodzili ze świątyni. Dopiero kiedy znaleźli się na jej zewnętrznych stopniach, podjął:

– Zrobiłem postępy, Tyrande. Większe niż wyobrażaliście sobie ty i Illidan. Cenarius pokazał mi drogę do świata umysłu... nazwał go Szmaragdowym Snem. Ale to było coś więcej. Dzięki temu... dzięki temu mogłem zobaczyć realny świat w sposób, w jaki nigdy wcześniej go nie widziałem...

Wzrok Tyrande padł na nieduży tłumek na środku placu.

– I co zobaczyłeś?

Odwrócił ją twarzą do siebie, aby zrozumiała w pełni wagę tego, co odkrył.

– Zobaczyłem Zin-Azshari... i Studnię, którą widać z miasta.

Niczego nie opuszczając, Malfurion opisał całą swoją wędrówkę i niepokojące doświadczenia. Opisał swoje próby zrozumienia prawdy i to, jak jego senne ja zostało odepchnięte, gdy usiłował zobaczyć, czym zajmują się Szlachetnie Urodzeni i królowa.

Tyrande wpatrywała się w niego bez słowa, równie oszołomiona jak on, gdy dokonał tego ponurego odkrycia. Odzyskawszy głos, zapytała:

– Królowa? Azshara? Jesteś pewny?

– Niezupełnie. Tak naprawdę nie widziałem tego, co działo się w środku, ale nie wyobrażam sobie, jak takie szaleństwo mogłoby mieć miejsce bez

jej wiedzy. To prawda, lord Xavius ma na nią wielki wpływ, ale nawet ona nie przymknęłaby oka na coś takiego. Jestem pewny, że wie, jakie ponoszą ryzyko... ale nie sądzę, by którekolwiek z nich zdawało sobie sprawę, jak wielkie jest ono w rzeczywistości! Studnia... Gdybyś mogła poczuć to, co czułem, gdy przebywałem w Szmaragdowym Śnie, Tyrande, bałabyś się tak samo jak ja.

Położyła mu rękę na ramieniu, starając się go pocieszyć.

– Nie wątpię w twoje słowa, Malfurionie, ale musimy się dowiedzieć czegoś więcej! Twierdzić, że Azshara naraża swoich poddanych na niebezpieczeństwo... musisz zachować ostrożność.

– Myślałem, żeby porozmawiać o tym z lordem Ravencrestem. On też ma na nią wpływ.

– To rozsądny pomysł... - Jej wzrok znów powędrował w stronę środka placu.

Malfurion miał już coś powiedzieć, ale podążył za jej spojrzeniem, zastanawiając się, co odciąga jej uwagę od jego rewelacji. Większość zebranych gapiów zdążyła już sobie pójść, odsłaniając to, na co wcześniej nie zwrócił uwagi.

Strzeżona klatka... a w niej stwór w niczym nie przypominający nocnego elfa.

– Co to takiego? - zapytał, pochmurniejąc.

– Coś, o czym ja chciałam porozmawiać z tobą, Malfurionie. Nazywa się Broxigar... i nie przypomina żadnej istoty, jaką do tej pory widziałam albo słyszałam. Wiem, że twoja opowieść jest ważna, ale chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę i go poznał.

Gdy Tyrande prowadziła go w stronę klatki, Malfurion zauważył wzmożoną czujność straży. Ku jego zaskoczeniu po chwili wpatrywania się w jego towarzyszkę nagle upadli na jedno kolano, oddając jej hołd.

– Witaj ponownie, siostrze - powiedział jeden z nich. - To dla nas zaszczyt.

Tyrande była wyraźnie zakłopotana tą demonstracją.

– Proszę! Proszę, wstańcie! - Kiedy usłuchali, zapytała: - Jak on się ma?

– Lord Ravenscrest przejął kontrolę nad sytuacją - odparł inny strażnik. - W tej chwili bada miejsce, w którym pochwycono jeńca, szukając śladów dalszych wtargnięć, ale kiedy wróci, podobno ma zamiar przesłuchać więźnia osobiście. To oznacza, że najpóźniej jutro stwór zostanie przetransportowany do cel Gawroniej Twierdzy. - Gawronia Twierdza była siedzibą lorda Ravenscrest, istną fortecą.

To, że strażnik tak chętnie udzielał im informacji, dziwiło Malfuriona, dopóki nie uświadomił sobie, pod jakim wpływem Tyrande znajduje się żołnierz. To prawda, była nowicjuską Elune, ale musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że była dla tych żołnierzy kimś aż tak ważnym.

Tyrande wyglądała na zdenerwowaną tą wiadomością.

– To przesłuchanie... na czym będzie polegać?

Strażnik nie potrafił już dłużej patrzeć jej w oczy.

– To zależy tylko od lorda Ravenscrest, siostrze.

Kapłanka nie pytała dalej. Dłoń, którą trzymała na ramieniu Malfuriona, zacisnęła się kurczowo.

– Czy możemy z nim porozmawiać?

– Tylko przez chwilę, siostrze, ale musimy cię poprosić, żebyś rozmawiała tak, abyśmy cię słyszeli. Rozumiesz.

– Tak. - Tyrande doprowadziła Malfuriona do klatki, gdzie oboje uklękli.

Malfurion stłumił okrzyk zdumienia. Z bliska zwałista postać zrobiła na nim ogromne wrażenie. U Cenariusza uczył się o wielu dziwnych i niezwykłych stworach, ale nigdy nie słyszał o istocie podobnej do tej.

– Szamanko... - wymamrotało... nie, wymamrotał stwór głębokim, donośnym... i zbolałym głosem.

Tyrande przysunęła się bliżej, wyraźnie zaniepokojona.

– Broxigarze... jesteś chory?

– Nie, szamanko... to tylko wspomnienia. - Więcej nie wyjaśnił.

– Broxigarze, przyprowadziłam ze sobą przyjaciela. Chciałabym, żebyś go poznał. Nazywa się Malfurion.

– Jeśli to twój przyjaciel szamanko, jestem zaszczycony.

Przysuwając się bliżej, Malfurion uśmiechnął się w wymuszony sposób.

– Witaj, Broxigarze.

– Broxigar jest orkiem, Malfurionie.

Elf kiwnął głową.

– Nigdy nie słyszałem o orkach.

Skuta postać prychnęła.

– Znam ja nocne elfy. Walczyliście z nami przeciwko Legionowi... ale widać sojusz przestaje obowiązywać w czasach pokoju.

Jego słowa nie miały sensu, jednak obudziły w Malfurionie jakiś niepokój.

– Jak... jak się tu dostałeś, Broxigarze?

– Szamanka może mnie nazywać Broxigarem. Dla ciebie jestem Brox. - Odetchnął, po czym wbił wzrok w Tyrande. - Szamanko, pytałaś mnie o to poprzednim razem, a ja nie chciałem ci odpowiedzieć. Ale jestem twoim dłużnikiem. Teraz powiem ci to, co powiedziałem tym tutaj - Brox wskazał pogardliwym gestem strażników - i ich panom, ale nie uwierzysz mi, tak jak oni mi nie uwierzyli...

Opowieść orka zaczynała się niewiarygodnie i z każdym słowem stawała się coraz bardziej fantastyczna. Starał się nie mówić o swoim ludzie, ani o tym, gdzie mieszka, zdradził tylko, że na rozkaz wodza on i jeszcze jeden

ork odbyli podróż w góry, aby zbadać dziwne pogłoski. Tam odkryli coś, co ork potrafił opisać tylko jako „dziurę” w świecie - dziurę, która sunąc nieubłaganie naprzód, pochłaniała całą materię.

Pochłonęła Broxa... i zmasakrowała jego towarzysza.

Słuchając, Malfurion znów zaczął odczuwać strach. Każde następne zdanie orka pogłębiało ów lęk i elf kilka razy przyłapał się na tym, że myśli o Studni Wieczności i mocy czerpanej z niej przez Szlachetnie Urodzonych. Magia Studni z pewnością mogła stworzyć tak straszliwy wir...

To niemożliwe!, przekonywał sam siebie Malfurion. *To nie może mieć nic wspólnego z Zin-Azshari! Szlachetnie Urodzeni nie są aż tak szaleni!*

A jeśli są?

Ale im dłużej Brox opowiadał o wirze i rzeczach, które widział i słyszał, kiedy się w nim miotał, tym trudniej było Malfurionowi zaprzeczyć istnieniu jakiegoś związku. Co gorsza wyraz twarzy orka, choć ten nie wiedział nawet, jakie wrażenie robi to na nocnym elfie, dokładnie odzwierciedlał stan ducha Malfuriona, gdy ten unosił się nad pałacem i Studnią.

– Zaburzenie - powiedział ork. - Coś, czego nie powinno tam być - dodał chwilę później. Te i inne opisy wydały się Malfurionowi uderzająco trafne.

Nawet nie zauważył, kiedy opowieść Broxa dobiegła koca, tak uderzyła go bijąca z niej prawda. Tyrande musiała ścisnąć go za rękę, żeby zwrócić na siebie jego uwagę.

– Dobrze się czujesz, Malfurionie? Wyglądasz, jakby było ci zimno...

– Nic... nic mi nie jest. Opowiedziałeś o tym - zapytał Broxa - lordowi Ravencrestowi?

Ork wyglądał niepewnie, ale strażnik odpowiedział za niego.

– Ano, opowiedział dokładnie to samo, słowo w słowo! - Strażnik zarechotał ochryple. - A lord Ravencrest nie dał temu wiary tak jak i wy!

Przyjdźcie jutro, na pewno wyciągnie do tego czasu prawdę z tej bestii... a jeśli jego znajomkowie są gdzieś w pobliżu, nie będziemy już takim łatwym celem, co?

A więc Ravencrest podejrzewał inwazję orków. Malfurion czuł się zawiedziony. Wątpił, by elfi dowódca dopatrywał się związku pomiędzy tym, co przeżył, a opowieścią Broxa. Prawdę powiedziawszy, im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej wątpił w to, że Ravencrest w ogóle mu uwierzy. Oto Malfurion miał zamiar powiedzieć szlachcicowi, że ich ukochana królowa może mieć jakiś udział w lekkomyślnych praktykach magicznych, które mogą sprowadzić nieszczęście na jej lud. Młodzieniec samo ledwo w to wierzył.

Gdyby tylko miał więcej dowodów.

Strażnik poruszył się niespokojnie.

– Siostró, obawiam się, że muszę prosić ciebie i twojego towarzysza o odejście. Niebawem pojawi się nasz kapitan. Ale i tak nie powinienem był...

– Oczywiście, rozumiem.

Gdy zaczęli się podnosić, Brox zbliżył się do prętów, wyciągając jedną rękę w stronę Tyrande.

– Szamanko... ostatnie błogosławieństwo, jeśli tylko możesz go udzielić.

– Oczywiście...

Kiedy znów uklękła, Malfurion zadał sobie pytanie, co robić. Właściwie powinien zgłosić wszelkie podejrzenia lordowi Ravencrestowi, ale miał wrażenie, że to przegrana sprawa. Gdyby tylko mógł porozumieć się z Cenariusem, ale do tego czasu ork może już...

Cenarius...

Malfurion zerknął na Tyrande i Broxa, podejmując brzemienną w skutki decyzję. Pożegnawszy się z orkiem, Tyrande znów wstała. Malfurion ujął ją

pod rękę i oboje podziękowali strażnikom za poświęcony im czas. Gdy odeszli, twarz młodej kapłanki spochmurniała, ale Malfurion nie odzywał się, myśląc gorączkowo.

– Musi być jakieś wyjście - wyszeptała w końcu elfka.

– Co masz na myśli?

– Jutro zabiorą go do Gawroniej Twierdzy. Kiedy się tam znajdzie... - Tyrande urwała. - Szanuję lorda Ravencresta, ale...

Malfurion tylko kiwnął głową.

– Rozmawiałam z matką Dejahną, wysoką kapłanką, ale twierdzi, że możemy się tylko modlić za jego duszę. Pochwaliła mnie za okazane mu współczucie, ale poradziła, by zostawić sprawy własnemu biegowi.

– Własnemu biegowi... - wymruczał Malfurion, patrząc przed siebie. Zgrzytnął zębami. Trzeba to zrobić teraz. Nie będzie już odwrotu, jeśli jego obawy się potwierdzą. - Skręć tutaj - rozkazał nagle, wpychając ją w boczną uliczkę. - Musimy się zobaczyć z Illidanem.

– Illidanem? Ale dlaczego?

Biorąc głęboki oddech i myśląc o orku oraz Studni, Malfurion odpowiedział:

– Ponieważ zamierzamy zostawić sprawy ich własnemu biegowi... pod naszym kierunkiem, ma się rozumieć.



Xavius stał przed płomienną kulą, wpatrując się w ziejącą w niej dziurę w nabożnym skupieniu. Z jej głębi patrzyły na niego oczy jego boga, z którym właśnie rozmawiał.

Słyszałem twoje błagania... mówił do doradcy. I znam twoje sny... świat oczyszczony ze wszystkiego, co nieczyste, niedoskonałe. Spełnię twoje pragnienia, jesteś pierwszym spośród moich wiernych...

Nie odrywając wzroku nawet na chwilę, Xavius ukląkł. Pozostali Szlachetnie Urodzeni wciąż czarowali, starając się rozbudować to, co stworzyli.

– A więc przybędziesz do nas? - zapytał nocny elf, a jego sztuczne oczy błysnęły. - Przybędziesz na nasz świat i dokonasz tego?

Droga nie jest jeszcze otwarta... musi zostać wzmocniona... musi wytrzymać moje wspaniałe nadejście...

Doradca kiwnął głową na znak, że rozumie. Portal nocnych elfów był zbyt słaby, żeby mogła przez niego przejść tak wspaniała, tak wielka potęga. Rozerwałaby go sama obecność boga. Musiał być większy, mocniejszy, bardziej stabilny.

Xavius nie kwestionował faktu, że jego bóstwo nie potrafi dokonać tego samo. Był zbyt pochłonięty wspaniałością swojego nowego pana.

– Co możemy zrobić? - zapytał błagalnie. Choć bardzo się starali, elfi czarodzieje, w tym Xavius, osiągnęli granicę swoich możliwości i umiejętności.

Wyślę jednego z moich pomniejszych sług, aby was poprowadził... on może przejść do waszego świata... ale musicie się przygotować na jego przybycie...

Nocny elf zerwał się na równe nogi i rozkazał:

– Niech nikt nie ustaje w wysiłkach! Zostaniemy pobłogosławieni przybyciem jednego z jego sług!

Szlachetnie Urodzeni zdwoili wysiłki, komnata zaczęła się skrzyć od surowej, straszliwej energii czerpanej prosto ze Studni. Na zewnątrz niebo

ryczało z wściekłością i każdy, kto spojrzałby na wielkie czarne jezioro, odwróciłby wzrok z przerażeniem.

Ognista kula wewnątrz wzoru powiększyła się, a ziejąca w niej dziura przypominała teraz rozwartą szeroko paszczę. Komnatę wypełniło wycie tysiąca głosów brzmiące w uszach Xaviusa jak najpiękniejsza muzyka.

Nagle jeden z magów zasłabł. Obawiając się najgorszego, Xavius wpełchnął się do kręgu, wspomagając pozostałych swoją mocą i umiejętnościami. Nie zawiedzie swojego boga! Nie zawiedzie go!

Jednak z początku wydawało się, że nie dadzą rady. Portal naprężył się, ale nie rósł. Xavius włożył w magię całą swoją determinację, poszerzając w końcu otwór.

A potem - cudowne, oślepiające światło zmusiło Szlachetnie Urodzonych do cofnięcia się. Ale pomimo zdumienia nie przestali czarować.

W głębi zmaterializowała się jakaś dziwna postać. Początkowo miała zaledwie kilka cali wysokości, ale w miarę, jak przesuwała się szybko w ich kierunku, rosła... rosła... i rosła...

Kolejni magowie nie wytrzymali wysiłku. Dwaj upadli na ziemię, jeden z nich ledwo oddychał. Pozostali chwiali się, ale pod szaleńcze dyktando Xaviusa po raz kolejny odzyskali kontrolę nad portalem.

Nagle zatrzęśli się, słysząc upiorne ujadanie psów. Doradca o sztucznych oczach jako pierwszy zobaczył to, co wyłoniło się z bramy.

Bestie były wielkie jak konie i miały nisko osadzone rogi, zagięte w dół i do przodu. Ich pokryta łuską, nakrapiana czarno skóra miała trupioczerwony odcień, a z grzbietu wyrastał im grzebień zmierzwionego brązowego futra. Każda z trójpalczastych łap tych żylastych, muskularnych myśliwych kończyła się ostrymi pazurami mierzącymi ponad pół stopy. Każdy ze stworów miał tylne nogi nieco krótsze od przednich, ale Xavius

nie wątpił w ich szybkość i zwinność. Ich najłżejsze poruszenie świadczyło o morderczych skłonnościach.

Z grzbietu wyrastały im dwie długie błoniaste macki, które kończyły się małymi przyssawkami. Podobne do biczów wyrostki kołysały się w przód i w tył, jak gdyby wyczuwały obecność magów.

Pyski stworów przywodziły na myśl jakąś osobliwą krzyżówkę wilka z gadem. Z wydłużonych, żarłocznych szczęk sterczały długie, ostre kły. Oczy były wąskie i pozbawione źrenic, ale wyzierała z nich złowroga inteligencja niespotykana u zwykłych zwierząt.

A potem, zza nich, wyszła ogromna postać ich pana.

Miał na sobie pancerz z płynnej stali, a w wielkiej, obleczonej w pancerną rękawicę dłoni dzierżył bicz, który strzelał błyskawicami. Jego pierś i bary, o wiele szersze od reszty tułowia, były tak potężne, że nawet najpotężniejszy wojownik wydałby się przy nim cherlawy. Tam, gdzie nie okrywał go pancerz, pokryta łuską nieziemska postać promieniowała czystym ogniem.

Znad szerokich barów spoglądała na nocne elfy płomienna twarz. Choć przypominała ponurą czaszkę o wielkich zakrzywionych rogach, Szlachetnie Urodzeni ani przez chwilę nie wątpili, iż oto stoi przed nimi niebiański posłaniec, zesłany, aby im pomóc w stworzeniu raju na ziemi.

– Wiedźcie, iż jestem sługą waszego boga... - zasyczał, a płomienie będące jego oczyma rozпалиły się do czerwoności. - Przybyłem, aby pomóc wam otworzyć drogę dla jego zastępów i jego wspaniałej osoby!

Jedna z bestii zawyla, ale przybysz trzaśnięciem bata posłał błyskawicę w stronę stwora, natychmiast go uciszając.

– Jestem Łowczym... - ciągnął olbrzymi rycerz, wbijając płomienny wzrok w klęczącego doradcę. - Jestem Hakkar...

DZIESIĘĆ



W końcu Rhonin się ocknął.

Przebudził się niechętnie, bo podczas magicznej drzemki jego umysł wypełniły sny. Większość z nich obracała się wokół Vereesy i narodzin bliźniąt, ale w przeciwieństwie do ponurej wieży były to szczęśliwe wizje życia, które go czekało.

Kiedy się obudził, przypomniał sobie, że może już nigdy nie zobaczyć swojej rodziny.

Otworzył oczy i zobaczył znajomy, choć niekoniecznie upragniony widok. Nachylała się nad nim zatroskana twarz Krasusa. To tylko jeszcze bardziej rozdrażniło człowieka, którego zdaniem to właśnie smoczy mag był winny temu, że się tu znalazł.

Początkowo nie rozumiał, dlaczego widzi wszystko tak niewyraźnie, ale zaraz uświadomił sobie, że patrzy na Krasusa nie w świetle słońca, ale w blasku księżyca oświetlającego polanę z intensywnością, w której nie było nic naturalnego.

Coraz bardziej zaciekawiony, zaczął się podnosić... ale natychmiast poczuł potworny ból zeszywniałych członków.

– Powoli, Rhoninie. Spałeś ponad dobę. Twoje ciało potrzebuje kilku minut, żeby się dobudzić.

– Gdzie...? - Młody czarodziej rozejrzał się wokół. - Pamiętam tę polanę... niesiono mnie tutaj...

– Jesteśmy gośćmi jej władcy od chwili, gdy tu trafiliśmy. Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, Rhoninie, ale muszę ci od razu powiedzieć, że nie możemy się stąd wydostać.

Rhonin usiadł i się rozejrzał. Wyczuwał wokół czyjąś obecność, ale nic, co wskazywałoby na to, że zostali uwięzieni. Jednak Krasus nigdy nie zmyślał.

– Co się stanie, jeśli spróbujemy stąd odejść?

Jego towarzysz wskazał rzędy kwiatów.

– One nas powstrzymają.

– One? Rośliny?

– Zaufaj mi, Rhoninie,

Choć kusilo go, żeby sprawdzić, co takiego zrobią kwiaty, postanowił nie ryzykować. Krasus twierdził, że nic im nie grozi tak długo, jak długo nie będą się stąd ruszać. Jednak teraz, kiedy już obaj byli przytomni, może znajdą jakiś sposób ucieczki.

Zaburczało mu w brzuchu. Rhonin przypomniał sobie, że spał ponad dobę i nic w tym czasie nie jadł.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Krasus podał mu misę owoców i dzban wody. Człowiek spałaszował szybko owoce i choć nie zaspokoił do końca głodu, pusty żołądek nie dokuczał mu już tak bardzo.

– Nasz gospodarz od rana nie przyniósł nam nic do jedzenia. Spodziewam się, że wkrótce się pojawi... tym bardziej, że pewnie już wie, że się obudziłeś.

– Wie? - To nie spodobało się Rhoninowi. Ten, który ich pojmał, wydawał się mieć pełną kontrolę nad sytuacją. - Kim on jest?

Na twarzy Krasusa odmalowało się zakłopotanie.

– Nazywa się Cenarius. Przypominasz sobie to imię?

Cenarius... coś mu to mówiło, ale co? Cenarius. Chyba spotkał się z tym imieniem podczas studiów, ale nie było bezpośrednio związane z magią. To imię przywodziło mu na myśl opowieści, mity...

Leśny bóg?

Rhonin zmrużył oczy.

– Jesteśmy gośćmi leśnego bóstwa?

– Dokładniej półboga... co wciąż czyni go potęgą, z jaką liczy się nawet mój rodzaj.

– Cenarius...

– Mówisz o mnie i jestem tu! - Zewsząd rozległ się śmiech. - Witaj człowieku zwany Rhoninem!

Księżycowy blask scalił się, tworząc wielką, nieludzką postać - pół nocnego elfa, pół jelenia - która górowała wzrostem nawet nad wysokim, tyczkowatym Krasusem. Rhonin z nieskrywanym podziwem wpatrywał się w poroże, brodatą twarz i niepokojące ciało.

– Długo spałeś, młodzieńcze, więc wątpię, by przyniesione wcześniej jedzenie zdołało zaspokoić twój głód. - Wskazał coś za ich plecami. - Teraz wystarczy dla was obu.

Rhonin spojrział przez ramię. Tam, gdzie przed chwilą stała pusta misa po owocach, teraz stała inna, tym razem wypełniona po brzegi. Oprócz tego obok misy na drewnianym półmisku leżał gruby kawał mięsa upieczony, sądząc po unoszącym się zapachu, dokładnie tak, jak lubił czarodziej. Rhonin nie miał żadnych wątpliwości, że dzban też jest znowu pełny.

– Dziękuję - zaczął, starając się nie zwracać uwagi na posiłek. - Ale tak naprawdę chciałem zapytać...

– Będzie też czas na pytania. Teraz proszę do stołu, abym mógł uczynić zadość wymogom gościnności.

Krasus wziął Rhonina za ramię. Czarodziej kiwnął głową i razem ze swoim dawnym nauczycielem najedli się do syta. Kiedy przyszła kolej na mięso, Rhonin się zawahał. Nie dlatego, że nie miał na nie ochoty, ale dlatego, że był zaskoczony, iż mieszkaniec lasu taki jak Cenarius jest gotów poświęcić powierzone jego pieczy zwierzę dla dwóch nieznanym.

Półbóg odgadł jego zdziwienie.

– Każde zwierzę, każda istota, służy wielu celom. Wszystkie stanowią część leśnego cyklu. To oznacza także konieczność jedzenia. Jesteście jak wilk albo niedźwiedź, które polują swobodnie w moim władztwie. Nic się tu nie marnuje. Wszystko powraca jako pokarm dla nowego życia. Jeleń, którego teraz zjecie, odrodzi się, aby znów odegrać swoją rolę, i nie będzie pamiętał o złożonej z siebie ofierze.

Rhonin zmarszczył brwi, nie do końca rozumiejąc tłumaczenie Cenarius, ale nie odważył się prosić o dalsze wyjaśnienia. Półbóg uważał ich obu za drapieżników i nakarmił ich zgodnie z ich naturą. To wszystko.

Kiedy skończyli jeść, czarodziej poczuł się znacznie lepiej. Otworzył usta, żeby poruszyć temat ich niewoli, ale Cenarius odezwał się pierwszy.

– Nie powinno was tu być.

Ani Rhonin, ani Krasus nie wiedzieli, co na to odpowiedzieć.

Cenarius przechadzał się po polanie.

– Rozmawiałem z innymi, przedyskutowałem z nimi wasze przybycie, dowiedziałem się, co wiedzą... i wszyscy zgadzamy się, że nie powinno was tu być. Nie pasujecie tutaj, ale musimy dopiero ustalić dlaczego.

– Może ja wyjaśnię - wtrącił się Krasus. Wciąż wyglądał na osłabionego, ale nie aż tak bardzo jak w chwili, gdy zmaterializowali się w tym czasie.

– Właśnie - przytaknął młodszy czarodziej.

Smoczy mag zerknął na towarzysza. Rhonin nie widział powodu, dla którego mieliby ukrywać prawdę. Cenarius wydawał się pierwszą istotą,

jaką tu poznali, która mogła być w stanie im pomóc.

Ale to, co Krasus opowiedział ich gospodarzowi, różniło się od wersji, jakiej spodziewał się człowiek.

– Przybyliśmy z krainy za morzem... z daleka, ale to nieważne. Ważny jest powód, z jakiego tu trafiliśmy...

W wersji Krasusa to on, nie Nozdormu, odkrył szczelinę. Smoczy mag opisał ją nie jako rozdarcie w czasie, ale anomalię, która uszkodziła materię rzeczywistości, co groziło o wiele większą katastrofą. Wezwał jeszcze jednego czarodzieja, któremu ufał - Rhonina - i obaj wyruszyli w podróż do miejsca, w którym Krasus wyczuł kłopoty.

– Dotarliśmy w wysokie pasmo gór na dzikiej północy naszej krainy, gdzie wyczuwałem anomalię najsilniej. Tam natrafiliśmy na nią i na potworności, które z siebie wypływała. Obu nas uderzyła niewłaściwość tego czegoś, ale kiedy chcieliśmy zbadać ją z bliska, ruszyła naprzód, pochłaniając nas. Zostaliśmy wyrwani z naszej krainy...

– I wyrzuceni w krainie nocnych elfów - dokończył półbóg.

– Tak - kiwnął głową Krasus. Rhonin nie dodał nic więcej i miał nadzieję, że wyrazem twarzy nie zdradzi towarzysza. Oprócz zatajenia ich prawdziwego pochodzenia, dawny nauczyciel czarodzieja pominął też jeszcze jedną ważną informację, która mogłaby zainteresować Cenariususa.

Nawet słowem nie wspomniał o tym, że jest smokiem.

Cofnąwszy się o krok, leśny bóg przyglądał się obu postaciom. Rhonin nie potrafił odczytać wyrazu jego twarzy. Czy uwierzył w opowieść Krasusa, czy może podejrzewał, że jego „goście” nie są z nim do końca szczerzy?

– Muszę bezzwłocznie porozmawiać z innymi - oświadczył w końcu Cenarius, patrząc w dal. Potem przeniósł wzrok z powrotem na Rhonina i

Krasusa. - Podczas mojej nieobecności wasze potrzeby będą zaspokajane... a potem znów porozmawiamy.

Zanim którykolwiek z nich zdążył coś powiedzieć, władca lasu wtopił się w księżycowy blask, znów zostawiając ich samych.

– To bez sensu - mruknął Rhonin.

– Być może. Ale chciałbym wiedzieć, kim są ci inni.

– Inni półbogowie tacy jak on? To chyba najbardziej prawdopodobne.

Dlaczego nie powiedziałaś mu, że jesteś...

Smoczy mag rzucił mu tak ostre spojrzenie, że wojownik urwał. O wiele spokojniejszym głosem Krasus odparł:

– Jestem smokiem pozbawionym sił, mój młody przyjacielu. Nie masz pojęcia, jakie to uczucie. Bez względu na to, kim jest Cenarius, chcę, aby pozostało to tajemnicą, dopóki nie dowiem się, dlaczego nie mogę wrócić do własnej postaci.

– A... reszta opowieści?

Krasus odwrócił wzrok.

– Mówiłem ci, że mogliśmy wylądować w przeszłości.

– Rozumiem to.

– Moja pamięć... jest równie dziurawa, jak uszczuplone są moje siły. Nie wiem dlaczego. Ale na podstawie tego, czego dowiedziałem się, kiedyś spałeś, zdołałem sobie przypomnieć jedną rzecz. Wiem, co to za czas.

– To świetnie! - wypalił Rhonin, odzyskując animusz. - To nam daje jakiś punkt zaczepienia! Teraz możemy zdecydować, kogo...

– Proszę, pozwól mi skończyć. - Posępna mina Krasusa nie wróżyła nic dobrego. - Miałem dobry powód, żeby zmienić naszą historię. Podejrzewałem, że Cenarius wie coś o tym, co się dzieje, zwłaszcza o anomalii. Ale nie mogłem mu zdradzić, że domyślałem się, co to może zwiastować.

Im cichszy i bardziej ponury stawał się głos starszego maga, tym bardziej rósł niepokój Rhonina.

– Co takiego?

– Obawiam się, że trafiliśmy w czas tuż przed pierwszym pojawieniem się Płonącego Legionu.

Nie mógł powiedzieć Rhoninowi niczego bardziej przerażającego. Młodego czarodzieja, który walczył z demoniczną hordą i jej sprzymierzeńcami i kilka razy prawie zginął, wciąż nawiedzały potworne koszmary. Tylko Vereesa, która też musiała się uporać z makabrycznymi snami, potrafiła go zrozumieć. Dopiero ich rosnąca miłość i ciąża elfki zdołały ukoić ich serca i dusze, a i tak trwało to kilka miesięcy.

A teraz Rhonin znów znalazł się w środku koszmaru.

Zerwawszy się na równe nogi, zawołał:

– Więc musimy powiedzieć Cenariusowi, wszystkim, komu się da! Muszą...

– Nie mogą się o niczym dowiedzieć. Obawiam się tylko, że może już być za późno, żeby wszystko zostało po staremu. – Krasus wstał i spojrzał w dół na swojego dawnego ucznia. - Rhoninie, Płonący Legion został pokonany po straszliwej, krwawej wojnie dającej przedsmak wojen, do jakich doszło w naszych własnych czasach.

– Tak, oczywiście, ale...

Najwyraźniej zapominając, że jeszcze przed chwilą obawiał się, iż Cenarius może ich usłyszeć, Krasus złapał Rhonina za ramiona. Pomimo osłabienia, długie palce starszego maga wbiły się boleśnie w ciało człowieka.

– Wciąż nie rozumiesz! Rhoninie... trafiając tutaj, przebywając tutaj... mogliśmy zmienić bieg historii! Możliwe, że jesteśmy odpowiedzialni za to, że Płonący Legion tym razem zwycięży w pierwszym starciu... a to

może oznaczać nie tylko śmierć wielu niewinnych istot tutaj, ale wymazanie naszego własnego czasu.



Malfurion musiał się napracować, żeby przekonać Illidana do planu, który naprędce obmyślił. Malfurion nie miał wątpliwości, że decydujące znaczenia miały nie jego słowa, lecz żarliwa prośba Tyrande. Pod jej spojrzeniem stopniał nawet Illidan, który zgodził się im towarzyszyć, choć widać było, że więzień ani trochę go nie obchodzi. Malfurion wiedział, że coś zaszło między jego bratem a orkiem, coś, w czym Tyrande też brała udział, i co wykorzystwała, aby przeciągnąć Illidana na ich stronę.

A teraz musieli zrealizować plan.

Czterej strażnicy stali na baczność, każdy zwrócony w jedną z czterech stron świata. Do wchodu słońca brakowało zaledwie kilku minut i na placu nie było nikogo oprócz nich i jeńca. Większość nocnych elfów spała o tej porze, więc był to idealny moment, żeby uderzyć.

– Ja zajmę się strażnikami - zaproponował Illidan, zaciskając już lewą dłoń w pięść.

Malfurion szybko przejął dowodzenie. Nie kwestionował umiejętności brata, ale nie chciał też, aby jakaś krzywda spotkała strażników, którzy wykonywali tylko swoje obowiązki.

– Nie. Mówiłem, że ja się nimi zajmę. Daj mi chwilę.

Zamknął oczy i rozluźnił się tak, jak pokazywał mu Cenarius. Wycofał się ze świata, ale jednocześnie widział go wyraźniej, ostrzej. Wiedział dokładnie, co ma robić.

Na jego prośbę przyszła mu z pomocą przyroda. Chłodny wietrzyk musnął delikatnie jak kochanka twarz każdego ze strażników. Wraz z wiatrem dotarła do nich łagodna woń kwiatów rosnących wokół Suramaru i kojące wołanie nocnego ptaka. Uspakajająca, uwodzicielska kombinacja bodźców otoczyła każdego z wartowników, wciągając ich niezauważenie w przyjemny i bardzo głęboki letarg, przez co stali się zupełnie nieświadomi tego, co się wokół nich dzieje.

Zadowolony, że wszyscy czterej znaleźli się pod wpływem zaklęcia, Malfurion zamrugał, a potem wyszeptał:

– Chodźcie...

Illidan zawahał się i ruszył dopiero wtedy, gdy Tyrande wyszła za jego bratem na otwartą przestrzeń. Cała trójka szła powoli w stronę klatki i strażników. Choć Malfurion był pewien swojego zaklęcia, wciąż obawiał się, że lada chwila strażnicy popatrzą w ich stronę. Ale nawet wtedy, gdy stanęli zaledwie kilka jardów od żołnierzy, ci wciąż pozostawali nieświadomi ich obecności.

– Zdziałało... - wymamrotała ze zdumieniem Tyrande.

Illidan zatrzymał się przed pierwszym strażnikiem i pomachał mu ręką przed czujnymi oczyma - bez skutku.

– Niezła sztuczka, braciszku, ale ile to potrwa?

– Nie wiem. Dlatego musimy się pośpieszyć.

Tyrande uklękła przed klatką, zaglądając do środka.

– Wydaje mi się, że Broxigar też znalazł się pod wpływem twojego zaklęcia, Malfurionie.

Rzeczywiście, wielki ork leżał bezwładnie pod tylną ścianą swojego więzienia, patrząc pustym wzrokiem na Tyrande. Nie poruszył się nawet wtedy, gdy zawołała go cicho po imieniu.

Po chwili namysłu Malfurion polecił:

– Dotknij lekko jego ramienia i zawołaj go jeszcze raz po imieniu. Tylko tak, żeby od razu cię zobaczył i wiedział, że ma być cicho.

Illidan zmarszczył brwi.

– Na pewno wrzaśnie.

– Zakłęcie wytrzyma, Illidanie, ale musisz być gotowy odegrać swoją rolę w odpowiedniej chwili.

– To nie ja narażam nas na ryzyko - prychnął brat Malfuriona.

– Nie ruszajcie się obaj... - Tyrande włożyła rękę między pręty i ostrożnie dotknęła przedramienia orka, jednocześnie wołając go po imieniu.

Brox wzdrygnął się. Wytrzeszczył oczy, otwierając usta do ogłuszającego krzyku.

Ale równie szybko je zacisnął, tak że wyrwało mu się tylko ciche chrząknięcie. Ork zamrugał kilkakrotnie, jak gdyby nie był pewny, czy to, co widzi, dzieje się naprawdę. Tyrande dotknęła jego ręki, a potem, skinąwszy głową, znów spojrzała mu w oczy.

Patrząc na brata, Malfurion mruknął:

– Teraz! Szybko!

Illidan wyciągnął ręce, jednocześnie szepcząc pod nosem. Kiedy chwycił pręty, jego dłonie rozblęły jasną żółcią, a całą klatkę spowiła nagle czerwona energia. Rozległo się ciche brzęczenie.

Malfurion spojrzał niepewnie na strażników, ale nawet ten niezwykły widok umknął ich uwadze. Odetchnął z ulgą i dalej przyglądał się Illidanowi.

Magia nocnych elfów miała swoje zalety, a jego brat nauczył się nią władać. Niesamowity żółty blask otaczający jego dłoń zalał całą klatkę, gwałtownie pochłaniając czerwień. Pot spływał z czoła czarującego elfa, ale nie przerwał nawet na chwilę.

W końcu wypuścił pręty i poleciał w tył. Malfurion złapał brata, zanim ten wpadł na jednego z wartowników. Dłonie Illidana żarzyły się jeszcze przez chwilę.

– Możesz już otworzyć klatkę, Tyrande...

Elfka puściła Broxa i dotknęła drzwi klatki... które natychmiast stanęły otworem, jak gdyby z własnej woli.

– Łańcuchy - przypomniał Illidanowi Malfurion.

– Oczywiście, bracie. Pamiętam.

Ukucnąwszy, Illidan sięgnął do kajdan orka. Brox w pierwszej chwili nie zareagował, mrużąc nieufnie oczy na widok nocnego elfa. Tyrande musiała złapać go za ręce i podsunąć je swojemu towarzyszowi.

Mrucząc pod nosem, brat Malfuriona dotknął zamków przy kajdanach, które otworzyły się z trzaskiem. Przypominały małe żarłoczne paszcze czekające, aż ktoś je nakarmi.

– Nie ma za co - powiedział Illidan z niezwykle zadowolonym uśmiechem.

Ork, zeszywniały po długim pobycie w ciasnej klatce, wyszedł powoli na zewnątrz. Kiwnął głową Illidanowi na znak wdzięczności, ale patrzył na Tyrande, czekając na dalsze polecenia.

– Broxigarze, słuchaj uważnie. Chcę, żebyś poszedł z Malfurionem. Zabierze cię w bezpieczne miejsce. Spotkam się tam z tobą później.

Ta kwestia stała się zresztą powodem sprzeczki między Tyrande a Malfurionem, bo elfka chciała sama odprowadzić orka w bezpieczne miejsce. Malfurion - przy bardziej niż chętnym poparciu Illidana - przekonał ją wreszcie, że po ucieczce Broxa ostatnią rzeczą jakiej potrzebowali, było jej zniknięcie, skoro widziano, jak się o niego troszczy. Księżycowa Gwardia bez trudu skojarzy ze sobą te dwa fakty.

– Szybko do tego dojdą - upierał się Malfurion. - Tylko ty udzieliłaś mu pomocy. Dlatego musisz tu zostać. O mnie raczej nie pomyślą a jeśli nawet, wątpię, żeby obwiniali o to ciebie. Jesteś nowicjuską Elune. To, że mnie znasz, nie jest żadnym przestępstwem, o które mogliby cię oskarżyć.

Choć Tyrande uległa, wciąż nie podobało jej się, że Malfurion bierze na siebie całą odpowiedzialność. To prawda, to on obmyślił ten szalony plan, ale to ona do tego doprowadziła poznając Malfuriona z uwięzionym orkiem.

Teraz młoda kapłanka prosiła orka, żeby zaufał komuś, kogo dobrze nie znał. Brox przyjrzał się Malfurionowi, a potem rzucił wrogie spojrzenie Illidanowi.

– Z nim też?

Illidan wyduł wargi.

– Właśnie ocaliłem ci skórę, zwierzaku...

– Dość, Illidanie! Jest wdzięczny! - A Broxowi odpowiedziała: - Tylko z Malfurionem. Zabierze cię w miejsce, gdzie nikt cię nie znajdzie! Proszę! Możesz mu zaufać!

Ujmując jej dłoń w swoją wielką pięść, zwalista postać upadła na jedno kolano.

– Ufam tobie, szamanko.

W tej chwili Malfurion zauważył, że jeden z wartowników zaczyna się wiercić.

– Zakłęcie przestaje działać! - syknął. - Illidan! Zabieraj Tyrande i uciekajcie! Brox! Chodź!

Z zaskakującą szybkością i wdziękiem zwalisty ork zerwał się z ziemi i pobiegł za nocnym elfem. Malfurion nie oglądał się za siebie, modląc się w duchu, by jego druidyczny czar wytrzymał wystarczająco długo. O Tyrande

i brata się nie obawiał. Ich celem była kwatery Illidana, niedaleko od placu. Nikt nie będzie ich podejrzewał o dwulicowość.

Ale on i Brox nie byli bezpieczni. Trudno było pomylić orka z kimś innym. Musieli jak najszybciej uciec z miasta.

Jednak kiedy wpadli w kręte uliczki Suramaru, rozległ się dźwięk, którego Malfurion najbardziej się obawiał.

Jeden ze strażników musiał się ocknąć. Jego krzykom szybko zawtórowali jego towarzysze, a kilka sekund później powietrze wypełniło granie rogu.

– Tędy! - ponaglił orka. - Czekają na nas wierzchowce!

Tak naprawdę Malfurion nie musiał nic mówić, gdyż ork, pomimo mocnej budowy biegł równie szybko jak jego wybawiciel. Nocny elf podejrzewał, że gdyby znajdowali się w dziczy, Brox mógłby go nawet przegonić.

Zewsząd słychać było granie rogów i krzyki. Suramar obudził się do życia... zbyt szybko jak na gust Malfuriona.

W końcu nocny elf zauważył miejsce, którego szukał.

– Tutaj! Zaraz za rogiem!

Ale kiedy skręcili w boczną uliczkę, Brox zatrzymał się raptownie, wytrzeszczając oczy na wierzchowce przygotowane przez Malfuriona.

Wielkie pantery przypominały czarne, żylaste cienie. Zawarczały i zasyczały na widok przybyszów, ale uspokoiły się, gdy Malfurion do nich podszedł. Poklepał je po bokach.

Brox potrząsnął głową.

– Mamy jechać na tym?

– Oczywiście! Pospiesz się!

Ork zawahał się, ale zbliżające się krzyki zmusiły go do podjęcia decyzji. Złapał podane mu wodze i popatrzył na Malfuriona, który pokazał

mu, jak dosiąć bestię.

Byłemu jeńcowi dopiero za trzecim razem udało się dosiąć wielkiego kota, a kolejną minutę zajęła mu nauka siedzenia na nim. Malfurion cały czas oglądał się za siebie w obawie, że w każdej chwili pojawią się strażnicy, albo, co gorsza, Księżycowa Gwardia. Nie pomyślał, że Brox może nie umieć jeździć na nocnej panterze. Jakiego innego stworzenia się spodziewał?

Poprawiając pozycję po raz ostatni, Brox kiwnął niechętnie głową. Malfurion wziął głęboki oddech i kazał wierzchowcowi ruszać, a ork robił co mógł, żeby za nim nadążyć.

W ciągu zaledwie kilku minut nocny elf na zawsze odmienił swoją przyszłość. Tak zuchwałym czynem zasłużył sobie na Gawronią Twierdzę, ale wiedział, że nie może przegapić tej szansy. Brox miał jakiś związek z czarami Szlachetnie Urodzonych... i bez względu na wszystko musiał się dowiedzieć, jaki. Miał okropne przeczucie, że zależy od niego los całego Kalimdoru.



Varo'then nie miał ochoty stanąć przed lordem Xaviusem, ale to nie on decydował. Kazano mu się stawić przed doradcą w chwili, w której przybył do pałacu, a rozkazy wydane przez lorda Xaviusa należało wykonywać równie szybko, jak gdyby wydała je sama królowa Azshara... a może nawet szybciej.

Doradcy nie spodoba się raport kapitana. Jak wytłumaczyć, że zostali sprowadzeni na manowce i zaatakowani przez las? Varo'then miał zamiar zwalić całą winę na zmarłego Kolthariususa, po którym nikt nie płakał, ale

wątpił, by Xavius przyjął tak żałosne tłumaczenie. Varo'then dowodził i dla Xaviusa tylko to miało znaczenie.

Nie musiał pytać, gdzie szukać doradcy, bo jego pan nie wychodził prawie z komnaty, w której odbywały się czary. Prawdę powiedziawszy, kapitan Varo'then przedkładał oręż nad magię i komnata nie należała do jego ulubionych miejsc. Wprawdzie sam posiadał odrobinę mocy, ale pomysły Xaviusa i królowej przytłaczały go.

Na jego widok strażnicy stanęli na baczność, lecz choć zareagowali z należnym mu szacunkiem, coś w sposobie ich zachowania wydało mu się inne... niemal niepokojące.

Prawie tak jak gdyby lepiej niż on wiedzieli, co go czeka.

Drzwi otworzyły się przed nim. Ze spuszczonym wzrokiem kapitan Varo'then wkroczył do sanktuarium Szlachetnie Urodzonych... i jego oczom ukazała się koszmarna bestia.

– Na Elune! - Działając instynktownie, dobył zakrzywionej klingi. Piekielny stwór zawył, a dwie groźne macki wiszące nad jego muskularną postacią wyciągnęły się żarłocznie w stronę elfa. Kapitan nie wierzył w swoje szanse w starciu z podobnym potworem, ale miał zamiar walczyć najlepiej jak potrafił.

Ale wtedy sykliwy głos, który zmroził Varo'thena do szpiku kości, powiedział coś w nieznanym mu języku. Trzasnął przerażający bicz i bestia przygarbiła się.

Kuląc się, demoniczny pies zrobił kilka kroków do tyłu, a Varo'then wpatrywał się z otwartymi ustami w tego, który go odwołał.

– Nazywa się Hakkar - oznajmił uprzejmie lord Xavius, który wyłonił się z boku. - Piekielne ogary są mu całkowicie podporządkowane. Przewspaniały wysłał go, aby pomógł nam w otwarciu bramy...

– Prze...wspaniały, mój panie?

Ku przerażeniu kapitana doradca objął go prawie ojcowskim gestem, prowadząc ku ognistej kuli wiszącej nad wzorem. Coś się zmieniło w wyglądzie sfery, przez co elf miał straszne wrażenie, że jeśli stanie wystarczająco blisko, pochłonie go wraz z ciałem i duszą.

– Wszystko w porządku, kapitanie. Nie masz się czego obawiać...

Miał zostać ukarany za swoją porażkę. Skoro tak, przynajmniej przyzna się do swoich błędów, żeby nie stracić twarzy.

– Lordzie Xaviusie, straciliśmy jeńców! Las zwrócił się przeciwko nam...

Ale doradca tylko się uśmiechnął.

– Wkrótce będziesz mógł się zrehabilitować, kapitanie. Najpierw musisz zrozumieć wspaniałą prawdę...

– Mój panie, nie...

Urwał, wlepiając oczy w kulę.

– Teraz już rozumiesz - stwierdził Xavius, mrużąc z satysfakcją sztuczne oczy.

Varo'then czuł obecność boga, czuł, jak ta cudowna istota wwierca się w głąb jego jestestwa. Bóg wewnątrz płomiennej kuli zajrzał w najgłębsze zakamarki duszy Varo'thena... i cieszyło go to, co tam odkrył.

Ty też będziesz mi dobrze służył...

Varo'then upadł na jedno kolano, oddając honory temu, który zaszczycił go swoją obecnością.

– Wkrótce do nas przybędzie, kapitanie - wyjaśnił Xavius, gdy żołnierz powstał. - Ale jest tak wspaniały, że musimy wzmocnić bramę, aby wytrzymała przejście jego wszechogarniającej osoby! Wysłał tego oto szlachetnego strażnika, aby otworzył drogę jego pozostałym sługom, którzy pomogą nam wzmocnić wir... i doprowadzić do spełnienia naszych marzeń!

Varo'then kiwnął głową, czując jednocześnie zadowolenie i wstyd.

– Mój panie, nie udało mi się pojmać intruzów znalezionych w pobliżu zakłócenia...

– Twoja porażka nie ma znaczenia - przerwał mu syczący głos Hakkara.
- Zosstaną ssschwytni... prześświetny jest bardzo zainteresssowany tym, co ussłyszał od lorda Xaviusssa o tym... zakłóceniu i ich ewentualnym związku z nim!

– Ale jak ich odszukacie? Nad lasem panuje półbóg Cenarius! Jestem pewien, że to jego sprawka!

– Cenarius jest tylko leśnym bóstwem - przypomniał mu doradca. - Teraz stoi za nami o wiele większa potęga.

Hakkar odwrócił się plecami do nocnych elfów i strzelił z biczka. W kamienną posadzkę uderzyła zielona błyskawica.

Podłoga wokół tego miejsca rozjarzyła się jasno. Szmaragdowy blask zaczął się gwałtownie rozrastać, jednocześnie nabierając kształtów.

Dwa ogary zawyły, napinając przerażające macki, ale Hakkar przytrzymał je.

Na posadzce tworzył się czworonożny kształt, coraz większy i większy. Szybko przybrał znaną już kapitanowi postać, która potwierdziła swoją tożsamość mrozącym krew w żyłach skowytem.

Nowy ogar otrząsnął się, a potem dołączył do pozostałych. Nocne elfy patrzyły zahipnotyzowane, jak Hakkar kolejny raz strzela z bata, przyzywając czwartą potworną bestię, która stanęła obok reszty.

Potem zaczął wywijać biczem, tworząc kolisty wzór, który jarzył się coraz jaśniejszym światłem, aż w końcu pojawił się przed nim otwór jego wzrostu i dwa razy szerszy od niego.

Hakkar rzucił rozkaz w jakimś mrocznym języku.

Piekielne ogary skoczyły w otwór, znikając. Kiedy zniknął ostatni z nich, otwór rozproszył się.

– Wiedzą, czego szukać - poinformował oszołomione elfy Hakkar. - I znajdą to, czego szukają... - Płomienna postać zwinęła bicz, przenosząc ponury wzrok na czarujących Szlachetnie Urodzonych. - A teraz zajmiemy ssię naszym zadaniem...

JEDENAŚCIE



Minął cały dzień, nim Krasus zdał sobie sprawę, że on i Rhonin są obserwowani. Minęło kolejne pół dnia, zanim doszedł do wniosku, że obserwator nie ma nic wspólnego z Cenariusem. Kto potrafił ukryć swoją obecność przed potężnym półbogiem, smoczy mag nie wiedział. Inne bóstwo? Mało prawdopodobne. Władca lasu na pewno znał ich sługi i sztuczki, jakimi mogliby się posłużyć. Nocne elfy? Krasus odrzucił natychmiast taką możliwość, podobnie jak to, że ukradkowym obserwatorem mógł być jakikolwiek śmiertelnik.

Pozostawało tylko jedno logiczne rozwiązanie: ten, kto śledził Cenariusza i jego dwóch „gości” musiał należeć do ludu Krasusa.

W jego własnych czasach smoki wysyłały obserwatorów, którzy mieli śledzić osoby mogące wpłynąć na losy świata w pozytywny lub negatywny sposób. Ludzie, orki, każda rasa miała swoich szpiegów. Smoki uważały to za zło konieczne; młodsze rasy pozostawione samym sobie miały skłonność do powodowania katastrof. Nawet w tak zamierzchłych czasach musieli istnieć jacyś szpiegowie. Nie wątpił, że ktoś obserwuje bacznie Zin-Azshari, ale znał swój gatunek i wiedział, że smoki nie zrobią nic, dopóki nie będą mieć absolutnej pewności, że katastrofa jest nieunikniona.

Ale w tym wypadku będzie już za późno.

Nie zdradził swoich sekretów Cenariusowi, ale jednemu ze swych pobratymców, nawet z przeszłości, zamierzał wyjawić prawdę. Jeśli ktokolwiek był w stanie zapobiec katastrofie, jaką mogła już spowodować obecność jego i Rhonina, to tylko smoki... ale pod warunkiem, że go wysłuchają.

Zaczekał, aż człowiek zaśnie i powrót Cenariusza stanie się mało prawdopodobny. O potrzeby Krasusa i Rhonina dbały nieme, niewidzialne duchy lasu. Jedzenie materializowało się o określonych porach, a jego resztki znikają, kiedy skończyli jeść. Inne potrzeby zaspokajali w podobny sposób. Dzięki temu Cenarius mógł prowadzić ze swoimi pobratymcami tajemnicze dyskusje - co w przypadku bóstw mogło trwać dni, tygodnie, miesiące, albo jeszcze dłużej - i nie martwić się, że dwóch przybyszów umrze z głodu pod jego nieobecność.

Bez względu na fazę księżyca na polanie cały czas było jasno jak w dzień. Krasus upewnił się, że Rhonin twardo śpi, wstał cicho i podszedł do kwietnej bariery.

Choć była noc, kwiaty natychmiast skierowały kielichy w jego stronę. Smoczy mag podszedł najbliżej, jak się dało, i wbił wzrok w las po drugiej stronie polany, przyglądając się ciemnym drzewom. Lepiej niż ktokolwiek znał sekrety pozostania niezauważonym wykorzystywane przez swój gatunek, lepiej nawet niż półbóg. To, co Cenarius mógł przeoczyć, Krasus na pewno odnajdzie.

Początkowo miał wrażenie, że wszystkie drzewa wyglądają tak samo. Przyglądał się każdemu po kolei, a potem jeszcze raz, wciąż bezskutecznie. Jego ciało domagało się odpoczynku, ale nie poddawał się nienaturalnemu osłabieniu. Obawiał się, że jeśli raz się podda, już nigdy nie dojdzie do siebie.

Jego wzrok zatrzymał się nagle na strzelistym dębie o wyjątkowo grubym pniu. Przypatrując mu się bacznie, znużony mag osłonił mentalnie swoje myśli i skupił na nim całą uwagę.

Znam cię... wiem, kim jesteś... obserwatorze...

Nic się nie wydarzyło. Nie otrzymał odpowiedzi. Krasus zastanawiał się przez chwilę, czy nie popełnił błędu, ale wieki doświadczenia mówiły mu coś innego.

Spróbował jeszcze raz.

Znam cię... pod pozorem części drzewa obserwujesz nas i władcę lasu. Zastanawiasz się, kim jesteśmy, dlaczego tu jesteśmy.

Krasus odebrał jakieś ożywienie. Obserwator czuł się skrępowany tym nagłym wtargnięciem w jego myśli i nie miał na razie ochoty się ujawniać.

Jest wiele rzeczy, które mogę ci powiedzieć, a które zataiłem przed władcą lasu... ale nie będę rozmawiał z pniem drzewa...

Narazasz nas obu na niebezpieczeństwo, odpowiedział w końcu czyjś arogancki umysł. Półbóg może nas obserwować...

Smoczy mag ukrył zadowolenie, jakie sprawiło mu wyciągnięcie odpowiedzi z obcego.

Wiesz równie dobrze jak ja, że go tu nie ma... i że możesz ukryć nas przed każdym obserwatorem...

Przez chwilę nic się nie działo. Krasus zaniepokoił się, że posunął się za daleko...

Część pnia oderwała się nagle od drzewa, przybierając humanoidalną postać pokrytą pomarszczoną korą. W miarę, jak się zbliżała, kora opadła, przeobrażając się w długie zwiewne szaty i szczupłą twarz zaciemnioną dla niepoznaki zaklęciem, które Krasus sam doskonale znał.

Bezimienna postać odziana w zielono-brązowe szaty zatrzymała się na obrzeżu magicznej polany. Ukryte oczy badały Krasusa od stóp do głów i

choć uwięziony mag nie mógł odczytać wyrazu twarzy nieznajomego, był pewien, że maluje się na niej frustracja.

– Kim jesteś? - zapytał cicho obserwator.

– Możesz nazywać mnie bratnią duszą.

Jego słowa spotkały się z niedowierzaniem.

– Nie wiesz, co sugerujesz...

– Wiem to doskonale - odparł zdecydowanym głosem Krasus. - Równie dobrze jak to, że ta, która zwie się Alexstrasza, jest Królową Życia, ten, który zwie się Nozdormu, jest Czasem, Ysera jest Śnieniem, a Malygos Magią Wcieloną...

Postać przetrawiała te imiona, a po chwili, jakby mimochodem, zauważyła:

– Nie wymieniłeś jednego.

Tłumiąc sapnięcie, Krasus skinął głową.

– A Neltharion jest ziemią i skałami, Strażnikiem Ziemi.

– Imiona te są znane nielicznym spoza mojej rasy, ale jednak. Jak brzmi twoje imię, skoro mam cię uważać za krewniaka?

– Jestem znany jako... Korialstrasz.

Nieznajomy cofnął się.

– Nie mogę nie znać tego imienia, gdyż należy ono do oblubieńca Królowej Życia, ale coś mi tu nie pasuje. Przyglądam się wam od chwili, gdy zostaliście pojmani, i nie zachowujesz się jak jeden z naszych. Cenarius jest potężny, bardzo potężny, ale przetrzymywanie cię tu nie powinno mu przychodzić tak łatwo, nie gdybyś nazywał się Korialstrasz...

– Odniosłem poważne obrażenia. - Krasus machnął ręką. - Czas nagli! Muszę dotrzeć do Alexstraszy i powiedzieć jej, co wiem! Możesz mnie do niej zabrać?

– Tak po prostu? Arogancją faktycznie dorównujesz smokom! Dlaczego miałbym na podstawie samej twojej wątpliwej tożsamości narażać wszystkie smoki na gniew leśnego bóstwa? Od tej pory będzie wiedział, że jest obserwowany, i wpłynie to na jego zachowanie.

– Ponieważ potencjalne zagrożenie dla świata, naszego świata, jest ważniejsze niż naruszenie godności półboga. - Smoczy mag wziął oddech, po czym dodał: - I jeśli tylko pozwolisz, wyjaśnię ci, co mam na myśli...

– Nie wiem, czy ci ufać - powiedział zaciemniony obserwator, przekrzywiając głowę w bok. - Ale z drugiej strony w takim stanie nie jesteś dla mnie groźny. Jeśli wiesz jak... pokaż mi, co przepelnia twoje słowa takim niepokojem.

Pomimo rosnącej niechęci do drugiego smoka Krasus zmilczał ciętą ripostę.

– Jeśli jesteś gotowy...

– Zrób to.

Ich umysły zetknęły się... i Krasus wyjawiał obcemu prawdę.

Pod natłokiem intensywnych obrazów smok zatoczył się w tył. Zakłęcie otaczające jego twarz mrokiem osłabło na chwilę, ukazując osobliwą twarz będącą połączeniem rysów gadzich i elfich, na której malowało się całkowite niedowierzanie.

Ale cień okrył ją równie szybko, jak się rozproszył. Choć widać było, że obserwator wciąż przetrawia to, co zobaczył, doszedł już trochę do siebie.

– To niemożliwe...

– Powiedziałbym, że prawdopodobne.

– To czyste wytwory twojej wyobraźni!

– Chciałbym, żeby tak było - powiedział ze smutkiem Krasus. - Teraz rozumiesz, dlaczego muszę porozmawiać z naszą królową?

Drugi smok potrząsnął głową.

– To, o co prosisz...

Oba smoki zamarły, wyczuwając jednocześnie czyjaś przemożną obecność.

Cenariusz. Półbóg powracał nieoczekiwanie.

Obserwator zaczął się natychmiast wycofywać. Krasus, bojąc się, że straci jedyną szansę, wyciągnął do niego rękę.

– Nie. Nie możesz tego zlekceważyć! Muszę zobaczyć Alexstraszę!

Jego ręka przesunęła się nad kwiatami. Pąki zareagowały natychmiast, rozwierając się szeroko i obsypując go swoim magicznym pyłkiem.

Świat zawirował wokół Krasusa. Chwiejąc się, poleciał do przodu, w sam ich środek.

Nagle pochwyciły go silne ramiona. Usłyszał ciche, zniecierpliwione syknięcie i zobaczył, że złapał go drugi smok.

– Jestem głupcem, że się na to godzę! - sapnął.

Krasus podziękował mu w myślach za podjętą decyzję, ale padając, nagle coś sobie uświadomił. Spróbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie dobrać głosu.

Kiedy osuwał się w ciemność, jego myśli nie przepelniała już wdzięczność dla drugiego smoka, który zdecydował się go ze sobą zabrać... ale wściekłość na siebie samego, że nie dopilnował, by Rhonin też został włączony do ucieczki.



Pantery mknęły przez leśny gąszcz, ta należąca do Broxa z taką gwałtownością że nieszczęsny ork z trudem utrzymywał się na jej grzbiecie. Choć był przyzwyczajony do dosiadania wielkich wilków, jakie hodował

jego lud, kot poruszał się nieco inaczej niż one, co bez przerwy wytrącało Broxa z równowagi.

Przed sobą widział ciemną postać Malfuriona nachyloną nisko nad własnym wierzchowcem, kierującą go to w jedną, to w drugą stronę. Brox cieszył się, że jego wybawca zna drogę, ale miał nadzieję, że uciążliwa podróż wkrótce się skończy.

Nadchodził świt. Ork myślał, że to źle, bo będą wtedy widoczni z większej odległości, ale Malfurion dał mu do zrozumienia, że nadejście dnia zadziała na ich korzyść. Jeśli będzie ich ścigać Księżycowa Gwardia, moc elfich czarodziejów osłabnie, gdy rozproszy się mrok.

Oczywiście zostawali jeszcze żołnierze, z którymi będą sobie musieli poradzić.

Za sobą Brox słyszał wzmagające się odgłosy pościgu - granie rogów, krzyki, od czasu do czasu ryk pantery. Miał nadzieję, że plan Malfuriona przewiduje coś więcej niż pozostawienie ścigających ich jeźdźców w tyle, ale nic na to nie wskazywało. Jego wybawca nie był wojownikiem tylko osobą która chciała spełnić dobry uczynek.

Mrok nocy zaczynał ustępować szarówce, ale w powietrzu wisiała gęsta poranna mgła. Ork przyjął to z zadowoleniem, choćby nawet miała wkrótce opaść, miał tylko nadzieję, że jego wierzchowiec nie zgubi w niej pantery Malfuriona.

Dookoła pojawiały się i znikwały niewyraźne kształty. Raz po raz miał wrażenie, że dostrzegł jakiś ruch. Brakowało mu zaufanego topora, który zarekwirowały nocne elfy. Malfurion nie dał mu żadnej broni, być może przez ostrożność.

Znów odezwały się rogi, tym razem znacznie bliżej. Weteran warknął. Malfurion znikł we mgle. Brox wyprostował się, usiłując dostrzec towarzysza i bojąc się, że teraz jego własny wierzchowiec pobiegnie w

zupełnie innym kierunku. Pantera skręciła raptownie, wymijając dużą skałę. Ork, zaskoczony nagłym manewrem, stracił równowagę. Z przerażonym stęknieniem zsunął się ze śliskiego kociego grzbietu, spadł na twardą nierówną ziemię i koziółkując, wpadł w gęsty krzak. Wyćwiczone odruchy wzięły górę. Brox zerwał się do przysiadu, gotowy dosiąść z powrotem pantery. Niestety kot, nie zważając na jego upadek, biegł dalej, znikając we mgle.

Odgłosy pościgu jeszcze się wzmogły.

Brox natychmiast rozejrzył się za czymś, co mogło mu posłużyć jako broń. Podniósł z ziemi ułamaną gałąź, ale ta rozpadła się w jego potężnym uścisku. Leżące w pobliżu kamienia były albo za małe, żeby mogły się na coś przydać, albo tak duże, że aż nieporęczne.

Coś dużego zaszeleściło w gęstwinie po jego lewej stronie.

Ork napiął mięśnie. Jeśli był to żołnierz, miał spore szanse. Jeśli członek Księżycowej Gwardii, znacznie mniejsze, ale miał zamiar drogo sprzedać swoją skórę. Z zasnutego mgłą lasu wypadł wielki, dyszący, czworonożny kształt.

Brox prawie przyplacił szok życiem, gdyż nie była to wcale pantera. Wycie stworza przypominało nieco skowyt wilka albo psa, ale bestia była do nich tylko trochę podobna. Wysokością w kłębie prawie dorównywała orkowi, a z pleców wyrastały jej dwie ohydne, błoniaste macki. Pysk miała najeżony ostrymi kłami. Z wielkiej żarłocznej paszczy ciekła gęsta zielonkawa ślina.

Umysł orka zalały potworne wspomnienia. Widział już takie monstra, nawet jeśli sam z nimi nie walczył. Biegły przed innymi demonami, stada śliniących się, złowrogich potworów.

Piekielne ogary... zwiastuny Płonącego Legionu.

Brox otrząsnął się z koszmarnych wspomnień w ostatniej chwili. Rzucił się naprzód, pod ogromnego stwora. Bestia spróbowała dosięgnąć go pazurami, ale pęd działał przeciwko niej. Masywny zwierz zarył gwałtownie w ziemię i obejrzał się za ofiarą.

Ork wyrznął go kułakiem w nos.

Większość przedstawicieli innych ras pewnie przypłaciłaby podobny atak utratą dłoni, ale Brox był orkiem, i to szybkim i silnym. Nie tylko uderzył, zanim bestia zdążyła zareagować, ale zrobił to z całą wściekłością i mocą, na jaką potrafił się zdobyć.

Cios złamał demonicznemu ogarowi nos. Bestia zachwiała się, z pyska wyrwał się jej mrozący krew w żyłach skowyt. Z rany pociekła gęsta ciemnozielona ciecz.

Z ręką pulsującą bólem Brox patrzył przeciwnikowi prosto w ślepią. Wiedział, że nie wolno okazywać żadnemu zwierzęciu, zwłaszcza tak piekielnemu jak to, strachu ani chęci ucieczki. Tylko stawiając mu czoła miał jakiegokolwiek szanse przeżycia, nawet jeśli mizerne.

Z mgły, w której wcześniej znikła, wypadła pantera Broxa. Wrzask kota sprawił, że piekielny ogar odwrócił się, tracąc wszelkie zainteresowanie orkiem. Dwa behemoty zderzyły się z furją, szarpiąc przeciwnika kłami i pazurami.

Wiedząc, że nie może nic zrobić dla pantery, Brox zaczął się wycofywać. Zdążył jednak zrobić tylko kilka kroków, gdy zza pleców usłyszał ciężki, miarowy oddech. Powoli, bardzo ostrożnie, ork spojrzął przez ramię.

W niewielkiej odległości gotował się do skoku drugi ogar.

Nie mając innego wyboru, sfrustrowany wojownik rzucił się w końcu do ucieczki. Drugi demon z wyciem puścił się za nim w pogoń. Obie walczące bestie zignorowały ich, pochłonięte sobą. Pantera zdążyła już odnieść dwie poważne rany. Brox podziękował jej w duchu za ratunek, nawet jeśli

odciągnęła od niego potwora tylko na chwilę, i skupił się na umykaniu drugiemu prześladowcy przez zasnuty mgłą las.

Wciskał się wszędzie tam, gdzie ścieżka była najwęższa. O wiele większy ogar musiał omijać naturalne przeszkody, albo, jeśli było to możliwe, przedzierać się przez nie, dzięki czemu Broxowi udawało się pozostać tuż poza jego zasięgiem. Nie podobało mu się to, że musi uciekać, ale bez broni nie miał żadnych szans na pokonanie potwora.

Po krótkiej chwili żalosne wycie konającego zwierzęcia obwieściło Broxowi, że pantera przegrała walkę i wkrótce będą go ścigać dwie krwiożercze bestie.

Rozproszony wyciem konającego kota nie patrzył dość uważnie pod nogi. Nagle potknął się o wystający korzeń. Udało mu się utrzymać na nogach, ale straciwszy równowagę, poleciał na oślep w bok. Spróbował złapać się cienkiego, bezlistnego drzewka wyższego od niego zaledwie o głowę, ale ułamał cały pień i zderzył się z o wiele większym, potężniejszym drzewem.

Ból głowy uniemożliwiał mu skupienie wzroku na szarżującym behemocie. Zamachnął się trzymanym wciąż w ręku drzewkiem i dźgnął nim jak włócznią.

Demoniczny ogar pacnął łapą tę prowizoryczną broń, łamiąc ją w dwóch trzecich długości i zostawiając na szczycie kikuta ostre drzazgi. Ściskając mocno to, co zostało z drzewka, wciąż lekko zamroczony ork zaatakował potwora.

Prowizoryczna włócznia stała się nagle śmiercionośną bronią. Napierając z całej siły, Brox wepchnął odłamany koniec głęboko w rozdziawioną paszczę bestii.

Demon spróbował się cofnąć ze stłumionym wyciem, ale Brox wciąż napierał, ze wszystkich sił właczając dzidę coraz głębiej. Jedna z macek

wyciągnęła się w jego stronę. Ork puścił drąg jedną ręką, złapał zbliżającą się więc i szarpnął najmocniej jak potrafił.

Macka oderwała się z mokrym kłaśnięciem.

Przednie nogi bestii, zbryzgane jej własnymi obmierzłymi płynami, załamały się. Brox nie wypuścił drzewka, starając się dostosować nacisk do coraz bardziej rozpaczliwych ruchów przeciwnika.

Tylne nogi załamały się pod potworem. Rzucając wściekle ogonem, straszliwa bestia darła łapami dzidę wciskającą jej się do gardła. W końcu udało jej się złamać oręż Broxa na dwoje, ale przednia część wciąż tkwiła w jej przelyku. Wiedząc, że piekielny ogar może jeszcze dojść do siebie, ork z desperacją rozejrzał się za czymś, co mogło zastąpić utraconą włócznię. Zamiast tego zobaczył ogara, który po wygranej z panterą zbliżał się ku niemu.

Ogar miał szramy na całym ciele, a oprócz zgruchotanego nosa wydarty kawał mięsa z prawej łopatki. Ale pomimo swojego stanu wciąż wyglądał na zdolnego do zabicia wyczerpanego orka. Chwyciwszy za grubą, ułamaną gałąź, Brox zasłonił się nią jak mieczem. Wiedział jednak, że szczęście przestało mu dopisywać. Gałąź była zbyt krucha, żeby zdołał nią odegnać wielkiego potwora.

Bestia spięła się do skoku...

Ale kiedy skoczyła, las ożył, przychodząc Broxowi z pomocą. Dzikie trawy i chwasty pod łapami demonicznego stwora wystrzeliły nagle ku górze z zadziwiającą szybkością, chwytając go w chwili, w której oderwał się od ziemi. Zaplątany stwór warczał i kłapał paszczą. Bliźniacze macki wyciągnęły się w dół, usiłując dotknąć przytrzymujących bestię roślin.

– Brox!

Zobaczył nadjeżdżającego Malfuriona, który wydawał się równie zmęczony. Nocny elf zatrzymał się obok orka i wyciągnął do niego rękę.

– Znów jestem twoim dłużnikiem - zagrzemiał weteran.

– Nic podobnego. - Malfurion rzucił okiem na uwięzionego ogara. -
Zwłaszcza, że zaraz uda mu się uwolnić!

Rzeczywiście, tam, gdzie makabryczne macki dotknęły trawy i chwastów, rośliny usychały. Ogar uwolnił już jedną łapę, którą starał się dosięgnąć Broxa i nocnego elfa.

– Magia... - mruknął Brox, przypominając sobie podobne widoki. -
Pożera magię...

Malfurion z ponurą miną pomógł mu wsiąść na grzbiet pantery. Zwierzę stęknęło, ale nie protestowało przeciwko zwiększonemu obciążeniu.

– W takim razie lepiej się stąd zabierajmy.

Znów rozległo się granie rogu, ale tym razem tak blisko, że Brox prawie spodziewał się dojrzeć trębacza. Pościg z Suramaru prawie się z nimi zrównał.

Nagle Malfurion zawahał się.

– Wpadną prosto na bestię! Jeśli któryś należy do Księżycowej Gwardii...

– Magia może zabić piekielnego ogara, jeśli jest odpowiednio potężna, nocny elfie... ale jeśli chcesz tu zostać i walczyć z nimi przeciwko bestii, stanę u twego boku. - Brox nie dodał, że będzie to oznaczało jego śmierć lub ponowne pojmanie. Nie opuści Malfuriona, który już dwa razy go uratował.

Poranna mgła zaczęła się już rozwiewać i w oddali widać było niewyraźne postacie. Ściskając mocniej wodze, Malfurion zawrócił panterę, oddalając się od bestii i nadjeżdżających elfów. Nie odzywając się do Broxa, spiął wierzchowca, narzucając mu jak najszybsze tempo i zostawiając w tyle oba zagrożenia.

Za nimi demon uwolnił kolejną kończynę, pochłonięty już coraz głośniejszymi odgłosami obwieszczającymi pojawienie się nowej ofiary...



Coś wyrwało Rhonina ze snu, coś, co wzbudziło w nim duży niepokój. Nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów, podniósł powieki na tyle, żeby móc się rozejrzeć dookoła. Przebłyski słonecznego światła pozwalały mu rozróżnić pobliskie drzewa, złowieszczą linię kwiatów-strażników i trawę, na której leżał.

Nigdzie nie było jednak ani śladu Krasusa.

Usiadł, rozglądając się za smoczym magiem. Krasus musiał przecież być gdzieś na polanie. Ale po dokładnych oględzinach okolicy nie mógł dłużej zaprzeczać jego zniknięciu. Czarodziej wstał ostrożnie i podszedł do skraju polany. Kwiaty odwróciły się w jego stronę, otwierając szeroko pąki. Kusilo go, żeby sprawdzić, jaką mają moc, ale przypuszczał, że półbóg nie umieściłby ich tutaj, gdyby nie potrafiły sobie poradzić z byle śmiertelnikiem.

Przyglądając się lasowi, zawołał półgłosem:

– Krasus?

Nic.

Mag zmarszczył brwi wpatrując się w drzewa sąsiadujące z jego więzieniem. Coś się zmieniło w ich wyglądzie, ale nie potrafił powiedzieć co. Cofnął się, próbując się zastanowić... i nagle odkrył, że stoi w cieniu.

– Gdzie drugi? - zapytał Cenarius bez cienia życzliwości w głosie. Choć niebo było czyste, nagle zagrzmiało. Podmuch wiatru smagnął człowieka jak batem. - Gdzie twój przyjaciel?

Rhonin obrócił się do górującego nad nim półboga, zachowując spokojny wyraz twarzy.

– Nie wiem. Właśnie się obudziłem i już go nie było.

Złote oczy rogatej postaci zapłonęły, a grymas, jaki wykrzywił twarz bóstwa, sprawił, że Rhoninowi ciarki przeszły po grzbiecie.

– Dzieją się niepokojące rzeczy. Niektórzy właśnie wyczuli intruzów, stwory o nienaturalnym pochodzeniu, węszące po lesie, szukające czegoś... albo kogoś. - Przyjrzał się bacznie czarodziejowi. - Pojawiały się zaraz po tym, jak zjawiliście się tu ty i twój przyjaciel...

Rhonin mógł się tylko domyślać, o jakie nienaturalne istoty chodzi. Jeśli tak, on i Krasus mieli jeszcze mniej czasu, niż podejrzewali.

Widząc, że jego „gość” nie ma nic do powiedzenia, Cenarius dodał:

– Twój przyjaciel nie mógł uciec bez czyjejś pomocy, ale zostawił cię samego. Dlaczego?

– Ja...

– Niektórzy domagali się, żebym was im natychmiast oddał, aby mogli w bardziej gruntowny sposób zbadać przyczyny waszego pojawienia się tutaj i zainteresowania, jakie wywołało ono wśród nocnych elfów. Aż do tej pory odwodziłem ich od tego.

Wyostrome zmysły Rhonina wyczuły nagłe pojawienie się jeszcze jednej potężnej siły, na swój sposób dorównującej Cenariusowi.

– Teraz widzę, że muszę się podporządkować większości - dokończył niechętnie władca lasu.

– Usłyszeliśmy twoje wołanie... - zahuczał niski, tubalny głos. - Przyznajesz, że się myliłeś...

Czarodziej spróbował się odwrócić, żeby zobaczyć, kto to powiedział, ale nogi - całe ciało - odmówiło mu posłuszeństwa.

Ktoś jeszcze większy od półboga stanął za człowiekiem.

Cenarius wydawał się niezadowolony z uwag nieznajomego.

– Przyznaję tylko, że należy podjąć inne kroki.

– Poznamy prawdę... - Ciężka, porośnięta futrem ręka o grubych pazurach otoczyła ramię Rhonina, ściskając je boleśnie. - I to wkrótce...

DWANAŚCIE



Powinnaś zostać w świątyni - nalegał Illidan. - Malfurion uważał, że tak będzie najlepiej, a ja się z nim zgadzam!

Ale Tyrande nie dawała się przekonać.

– Muszę wiedzieć, co się dzieje! Widziałeś, jak liczny był pościg! Jeśli go schwytali...

– Nie schwytali. - Zmrużył oczy przed oślepiającym słońcem. Czuł, jak jego moc słabnie, jak uchodzi z niego magia. Illidan nie lubił tego uczucia. Delektował się magią w każdej postaci. Był to jeden z powodów, dla których próbował podążać ścieżką druida - to i fakt, że dzień i noc nie miały wpływu na to, czego nauczał Cenarius.

Stali niebezpiecznie blisko placu, gdzie wrócili wskutek nalegań Tyrande, gdy zamieszanie trochę się uspokoiło. Księżycowa Gwardia i żołnierze odjechali za Malfurionem, zostało tylko kilku zbrojnych, którzy mieli zbadać klatkę. Jednak zgodnie z oczekiwaniami Illidana nie znaleźli niczego, co naprowadziłoby ich na trop winowajców. Prawdę powiedziawszy, Illidan uważał się za równie biegłego w sztuce magicznej jak królewscy czarodzieje, jeśli nawet nie bardziej.

– Powinnam pojechać za...

Czy ona nigdy nie da za wygraną?

– Tylko narazisz nas wszystkich! Chcesz, żeby zabrali tego twojego pupilka do twierdzy lorda Ravencresta? Jeśli o to chodzi, nas też mogą tam...

Illidan urwał raptownie. Z przeciwnej strony na plac wjechało kilku zbrojnych... a na ich czele lord Kur'talos Ravencrest we własnej osobie.

Było już za późno, żeby się ukryć. Kiedy dowódca nocnych elfów przejeżdżał obok nich, jego wzrok najpierw padł na Tyrande, a potem na jej towarzysza.

Na widok Illidana Ravencrest zatrzymał się gwałtownie.

– Znam cię, chłopcze... Illidan Stormrage, zgadza się?

– Tak, panie. Spotkaliśmy się raz.

– A to kto?

Tyrande ukłoniła się.

– Tyrande Whisperwind, nowicjuszka w świątyni Elune.

Jeźdźcy z szacunkiem wykonali znak księżyca. Ravencrest łaskawie skinął Tyrande głową, po czym znów zainteresował się Illidanem.

– Przypominam sobie nasze spotkanie. Studiowałaś wtedy sztuki magiczne. - Potarł podbródek. - Nie należysz jeszcze do Księżycowej Gwardii, co?

Sposób, w jaki zadał to pytanie, świadczył o tym, że zna już na nie odpowiedź. Widocznie po spotkaniu z Illidanem miał go na oku, co z jednej strony napełniło młodego nocnego elfa dumą, a z drugiej ogromnym niepokojem. Nie przypominał sobie, żeby zrobił coś, czym mógłby zwrócić na siebie uwagę dowódcy.

– Nie, panie.

– A więc nie jesteś związany żadnymi zobowiązaniami? - Wspominając o zobowiązaniach dowódca miał na myśli śluby, jakie składał każdy czarodziej wstępujący do legendarnego bractwa. Księżycowa Gwardia była

samodzielną jednostką i nie odpowiadała przed nikim prócz samej królowej, co oznaczało, że jej członkowie nie musieli wypełnić rozkazów możliwych panów takich jak lord Ravencrest.

– Raczej nie.

– Dobrze. Bardzo dobrze. W takim razie liczę na pomoc.

Teraz zarówno Illidan, jak i Tyrande wyglądali na zmieszanych.

– Lordzie Ravencrest, będziemy zaszczyceni... - zaczęła młoda kapłanka, zapewne w obawie o bezpieczeństwo Illidana.

Więcej nie zdążyła powiedzieć. Dowódca nocnych elfów uniósł rękę, uciszając ją.

– Nie twoją, siostrze, choć błogosławieństwo Księżycowej Matki jest zawsze mile widziane. Chodzi mi tylko o tego młodzieńca, z którym teraz rozmawiam.

Starając się nie okazać rosnącego niepokoju, Illidan zapytał:

– Ale w czym mogę ci być pomocny, panie?

– W tej chwili w dochodzeniu w sprawie ucieczki stwora, którego tu wzięliśmy! Przed chwilą doszły mnie wieści, że zbiegł. Jeśli nie został jeszcze złapany, mam pewien pomysł, jak go znaleźć. Przyda mi się jednak odrobina magii, a choć członkowie Księżycowej Gwardii są biegli w czarodziejskim rzemiośle, wolę kogoś, kto słucha rozkazów.

Odmówienie prośbie nocnego elfa tak znacznego jak lord Ravencrest byłoby wysoce podejrzanym, ale dołączając do niego, narażał Malfuriona. Tyrande zerknęła na niego ukradkiem, starając się odczytać jego myśli. On sam żałował, że elfka nie może mu doradzić, jak postąpić w tej sytuacji.

Prawdę mówiąc, miał tylko jeden wybór.

– Będę zaszczycony, mogąc do Ciebie dołączyć, panie.

– Doskonale! Rol'tharak! Wierchowiec dla naszego młodego przyjaciela!

Wezwany oficer podprowadził idącą luzem panterę, zupełnie jak gdyby Ravencrest spodziewał się spotkać Illidana. Zwierzę przysiadło, aby nowy jeździec mógł go dosiąść.

– Słońce wysoko już stoi, panie - zauważył Rol'tharak, podając wodze bratu Malfuriona.

– Damy sobie radę... ty też, co, czarodzieju?

Illidan świetnie zrozumiał tę zawołaną wiadomość. Dowódca wiedział, że jego moc osłabnie w świetle dnia, ale dowódca mimo to uważał, że się na coś przyda. Zaufanie, jakim obdarzył go Ravencrest, sprawiło, że Illidanowi zakręciło się w głowie.

– Nie zawiodę cię, panie. - Wyśmienicie, chłopcze!

Siadając na grzbiecie pantery Illidan rzucił Tyrande krótkie spojrzenie, aby dać jej do zrozumienia, że ma się nie martwić o Malfuriona i orka. Pojedzie z Ravencrestem i pomoże mu, ale tak, aby dwójka zbiegów pozostała bezpieczna.

Tyrande obdarzyła go krótkim, pełnym wdzięczności uśmiechem, jedyną nagrodą, jakiej pragnął. Całkiem zadowolony z siebie, Illidan skinął dowódcy na znak, że jest gotowy.

Lord Ravencrest krzyknął i machnął ręką, dając zbrojnym sygnał do wyjazdu. Illidan nachylił się nad grzbietem pantery, zdecydowany dotrzymać szlachcicowi kroku. Za jednym zamachem zadowolony Ravencresta i uchroni swojego uczynnego brata przed trafieniem do Gawroniej Twierdzy. Malfurion dobrze znał leśne ostępy, co oznaczało, że żołnierze i Księżycowa Gwardia raczej go nie dogonią, ale w razie gdyby pościg dosięgnął jednak jego i pupilka Tyrande, Illidan będzie musiał wziąć pod uwagę poświęcenie Broxa, aby ocalić brata. Tyrande to rozumie. Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby tego uniknąć, ale więzy krwi były najważniejsze...

Jak to często bywało, krajobraz spowiała poranna mgła. Gęsty opar wkrótce się rozproszy, ale na razie działał na korzyść Malfuriona. Illidan nie odrywał wzroku od ścieżki przed sobą, zastanawiając się, czy to ta sama, którą podążył jego brat. Było też całkiem możliwe, że Księżycowa Gwardia pognała za zbiegami w złym kierunku, co oznaczało, że on i lord Ravenscrest ścigają ich na darmo.

Ale kiedy zapuścili się w głąb kniei, mgła szybko ustąpiła. Poranne słońce wydawało się pozbawiać go mocy z taką samą gorliwością, z jaką rozpraszało mgłę, ale zacisnął zęby i starał się o tym nie myśleć. Nie miał zamiaru rozczarować szlachcica. Zaczynał coraz bardziej traktować polowanie na orka jako okazję do wkupienia się w hierarchię świata nocnych elfów.

Ale w chwili, w której wjechali na grzbiet kolejnego wzgórza, widok w dole sprawił, że Illidan zmarszczył brwi, a lord Ravenscrest zaklął. Dowódca natychmiast zwolnił, a reszta oddziału poszła w jego ślady. Przed nim wzdłuż szlaku rozsiane były dziwne kopczyki. Nocne elfy, trzymając broń w pogotowiu, ostrożnie zjechały na drugą stronę wzgórza. Illidan modlił się w duchu, żeby nie okazało się, iż przecenił swoje dzienne umiejętności.

– Na oczy Błogosławionej Azshary! - wymamrotał Ravenscrest.

Illidan nie był w stanie wydusić słowa. Mógł tylko patrzeć na masakrę, jaka się tu odbyła. Co najmniej pół tuzina nocnych elfów, w tym dwóch członków Księżycowej Gwardii, leżało martwych, z ciałami poszarpanymi na strzępy, a w przypadku dwóch czarodziejów - jak gdyby wyssanymi przez jakąś wampiryczną siłę. Dwaj gwardziści przypominali pomarszczone owoce, które leżały zbyt długo w słońcu. Pozycja ich wyniszczonych ciał świadczyła o katuszach, jakie musieli cierpieć, gdy dosięgła ich straszliwa śmierć. Martwych było też pięć nocnych panter,

niektóre miały rozerwane gardła, inne Wyprute wnętrzności. Pozostałych nigdzie nie było widać.

– Miałem rację! - warknął Ravencrest. - Ten zielonoskóry stwór nie był sam! Musiało ich być dwa tuziny albo i więcej... i to przeciwko Księżycowej Gwardii!

Illidan nie zwracał na niego uwagi, bardziej zmartwiony losem Malfuriona. *To nie mogła być robota jego brata ani orka. Czy lord Ravencrest miał rację? Czy Brox zdradził Malfuriona i naprowadził na niego swoich dzikich kamratów?*

Powinienem był zabić tę bestię, kiedy miałem okazję! Zacisnął pięść, czując, jak gniew potęguje jego moc. Gdyby miał teraz cel, udowodniłby szlachcicowi swoją wartość.

Nagle jeden z żołnierzy zauważył coś z prawej strony poboju.

– Mój panie! Chodź zobaczyć! Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem!

Ominawszy trupy, Illidan i Ravencrest patrzyli rozszerzonymi ze zgrozy oczyma na bestię znaną przez jednego ze zbrojnych.

To była bestia rodem z koszmarów, trochę podobna do wilka, ale potwornie zniekształcona, jak gdyby jakiś szalony bóg stworzył ją w chwili obłądzenia. Nawet po śmierci nie straciła nic ze swej potworności.

– Co o tym sądzisz, czarodzieju?

Illidan zapomniał na moment, że to on jest tutaj krynicą wiedzy magicznej. Potrząsając głową, odpowiedział z całą szczerością:

– Nie mam pojęcia, lordzie Ravencrest... nie mam pojęcia.

Choć potwór wyglądał przerażająco, ktoś ostro go potraktował, wpychając mu w gardło zaimprovizowaną włócznię, przez co monstrum zadławiło się na śmierć.

Myśli Illidana znów pobiegły ku bratu, którego widział po raz ostatni, gdy ten zmierzał do tego właśnie lasu. *Czy Malfurion to zrobił? Mało prawdopodobne. A może jego bliźniak leżał gdzieś w pobliżu, rozszarpany jak dwaj członkowie Księżycowej Gwardii?*

– Bardzo dziwne - mruknął Ravencrest. Nagle wyprostował się, rozglądając się wokół. - Gdzie reszta pierwszego oddziału? - zapytał, nie kierując pytania do nikogo w szczególności. - Liczył dwa razy więcej osób, niż znaleźliśmy!

Jak gdyby w odpowiedzi z południa, gdzie las opadał gwałtownie, przez co teren stawał się bardziej zdradliwy, dobiegło ich żalosne granie rogu.

Dowódca wskazał mieczem w tamtą stronę.

– Tam... ale zachowajcie ostrożność... w okolicy może być więcej tych potworów!

Elfy zaczęły zjeżdżać w dół. Wszystkie, Illidana nie wyłączając, obserwowały z trwogą gęstniejący las. Róg nie odezwał się już, co nie było pomyślną wróżbą.

Kilka jardów niżej natknęli się na kolejną nocną panterę. Cały bok miała rozszarpany ostrymi pazurami, a grzbiet zgruchotany przez dwa młode dęby, z którymi się zderzyła. W niewielkiej odległości od niej, przyciśnięty do wielkiej skały, leżał następny Księżycowy Gwardzista, a jego wyniszczone ciało i przerażony wyraz twarzy zmroziły nawet zaprawionych w bojach żołnierzy lorda Ravencresta.

– Spokojnie - rozkazał cicho szlachcic. - Zachować szyk...

Znów rozległo się słabe granie rogu, tym razem znacznie bliżej i dokładnie na wprost.

Ruszyli w jego stronę. Illidan nie mógł się pozbyć okropnego wrażenia, że coś się mu przygląda, ale za każdym razem, gdy się odwracał, widział tylko drzewa.

– Następny, panie! - zawołał nocny elf, zwany Rol'tharakiem, wskazując przed siebie.

Rzeczywiście, na ziemi leżała następna piekielna bestia, rozciągnięta w taki sposób, jak gdyby nawet konając starała się dosięgnąć kolejnej ofiary. Oprócz zgruchotanego nosa i rozdartego barku miała na nogach kilka dziwnych śladów przypominających odciski pęt. Zginęła jednak od kilku celnych pchnięć w szyję zadanych elfimi mieczami. Jedna z kling wciąż tkwiła w gardle bestii.

W pobliżu znaleźli jeszcze dwóch żołnierzy. Doskonale wyszkoleni wojownicy leżeli rozrzuconi jak szmaciane lalki. Illidan zmarszczył brwi ze zdziwieniem. *Skoro nocne elfy zdołały zabić oba potwory, gdzie się podziiali ci, którzy ocalili?*

Chwilę później znaleźli niedobitków.

Jeden żołnierz siedział oparty o drzewo, lewą rękę miał urwaną. Potworna rana była nieudolnie obandażowana. Patrzył pustym wzrokiem na przybyszów, trzymając róg w ręce, która mu została. Tułów miał zbroczone krwią.

Obok niego leżał drugi ocalały elf - jeśli słowo „ocalały” mogło oznaczać to, że miał rozerwane pół twarzy i jedną nogę zagiętą pod siebie pod niemożliwym kątem. Oddychał nierówno, jego pierś ledwo się unosiła.

– Hej ty! - ryknął Ravencrest do tego z rogiem. - Spójrz na mnie!

Żołnierz zamrugał powoli, a potem z trudem skupił wzrok na szlachcicu.

– Czy to wszyscy? Jest was więcej?

Okaleczony wojownik otworzył usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk.

– Rol'tharak! Opatrz mu rany! Daj wody, jeśli jej potrzebuje!

– Tak, panie!

– Reszta rozproszyć się! Już!

Illidan został przy szlachcicu, patrząc nieufnie, jak pozostali okrążają ich, starając się stworzyć strefę bezpieczeństwa. Fakt, że tyłu ich towarzyszy, w tym trzech magów, zostało zmasakrowanych z taką łatwością, nie działał korzystnie na morale.

– Mów! - zaryczał Ravencrest. - Rozkazuję ci! Kto za to odpowiada? Zbiegły więzień?

Słyszając to, zakrwawiony żołnierz zaśmiał się dziko, co przeraziło Rol'thara do tego stopnia, że aż się cofnął.

– W ogóle ggo nnie widzieliśmy, ppanie! - odpowiedziała okaleczona postać. - Pewnie sssam został pożarty!

– Więc to te potwory, tak? Te psy!

Ranny nocny elf kiwnął głową.

– Co się stało z Księżycową Gwardią? Dlaczego ich nie powstrzymali? Chyba nawet za dnia...

Ranny żołnierz znów się roześmiał.

– Ppanie! Magowie zginęli jako pierwsi...

Z trudem wyciągnęli z niego całą historię. Żołnierze i gwardziści ścigali zbiegłego stwora i jeszcze jedną niezidentyfikowaną postać nie zważając na mgłę i wstające słońce. Nie widzieli uciekinierów, ale byli pewni, że dogonienie ich jest tylko kwestią czasu.

Wtedy, niespodziewanie, natknęli się na pierwszą bestię.

Żaden z nich nie widział nigdy czegoś podobnego. Nawet martwa wytrąciła nocne elfy z równowagi. Hargo'then, główny czarodziej, wyczuł w niej jakąś magię. Rozkazał reszcie poczekać kilka kroków z tyłu, a sam podjechał zbadać trupa. Nikt się nie sprzeciwił.

– To wbrew naturze - oświadczył Hargo'then, zsiadając z pantery. - Tyr'kyn... - zawołał do jednego z gwardzistów. - Chcę, żebyś...

I wtedy spadła na niego kolejna bestia.

– Wskoczyła zza najbliższych drzew, ppanie... i rzuciła się od razu... na Hargo'thena! Zabiła jego wierzchowca jednym machnięciem pazurów, a ppotem...

Czarodziej nie miał szans. Zanim oszołomione nocne elfy zdążyły zareagować, z pleców stwora wystrzeliły dwie straszliwe macki, przysysając się do piersi i czoła Hargo'thena niczym pijawki. Dowódca Księżycowej Gwardii wrzasnął tak, jak nie krzyczał jeszcze żaden nocny elf, i na ich oczach skurczył się nagle do suchej, bezwładnej łupiny, którą zaśliniony czworonożny potwór odrzucił szybko na bok. Otrząsnąwszy się wreszcie z szoku, pozostali zaatakowali bestię, chcąc przynajmniej pomścić śmierć Hargo'thena.

Zbyt późno zdali sobie sprawę, że z tyłu zaczęła się na nich trzecia bestia. Atakujący stali się ofiarami, uwięzionymi między bliźniaczymi demonicznymi siłami.

W efekcie doszło do strasznej rzezi, o czym nowoprzybyli mogli się przekonać. Gwardziści, których osłabione magiczne zdolności uczyniły ich łatwą ofiarą, zginęli szybko. Żołnierzom powiodło się niewiele lepiej, choć ich miecze na coś się im przynajmniej zdały w starciu z demonami.

Im bliżej końca opowieści, tym mniej zborne stawały się wypowiedzi ocalałego wojownika. Kiedy dotarł do momentu, w którym on i trzech inni znaleźli się w tym miejscu, lord Ravenscrest i Illidan nie byli już w stanie nic zrozumieć z jego bełkotu.

Rol'tharak podniósł głowę.

– Znów zemdłał, panie. Obawiam się, że może się już nie ocknąć.

– Zróbcie, co w waszej mocy, aby ulżyć mu w bólu. I sprawdźcie, jak się ma ten drugi. - Szlachcic zmarszczył brwi. - Chcę się jeszcze raz przyjrzeć temu pierwszemu truchłu. Czarodzieju, chodź ze mną.

Illidan podążył za Ravencrestem z powrotem w górę szlaku. Dwaj strażnicy zeszli z posterunku i też ruszyli za nimi. Pozostali żołnierze krążyli po okolicy, daremnie starając się znaleźć jakichś ocalałych towarzyszy.

– Co o tym wszystkim sądzisz? - zapytał Illidana dowódca. - Słyszałeś kiedyś o takich bestiach?

– Nigdy, panie... ale nie jestem członkiem Księżycowej Gwardii, więc nie mam dostępu do całej ich wiedzy tajemnej.

– I co im z niej przyszło? Hargo'then zawsze był zbyt pewny siebie! Jak zresztą większość gwardzistów!

Illidan chrząknął niezobowiązująco.

– Oto ona...

Makabryczna bestia wyglądała tak, jak gdyby wciąż usiłowała wydobyć z gardła wepchnięty weń klin. Choć miała otwarte rany, nie interesowali się nią żadni padlinożercy, nawet muchy. Mieszkańcy lasu wydawali się czuć obrzydzenie do martwego intruza.

– Sprawdźcie ścieżkę, którą tu przyjechaliśmy - rozkazał dwóm żołnierzom Ravencrest. - Sprawdźcie, czy ślad, za którym podążyła pierwsza drużyna i my, się nie urywa. Wciąż chcę dorwać tego zielonoskórego bydlaka... bardziej niż kiedykolwiek!

Gdy dwójka żołnierzy pojechała dalej, Illidan i szlachcic zeskoczyli na ziemię. Dowódca dobył też miecza. Nocne pantery nie miały ochoty stać tak blisko trupa, więc podprowadzili je do grubego drzewa w pewnej odległości od bestii i przywiązali wodze do pnia.

Gdy podeszli z powrotem do trupa, lord Ravencrest ukląkł.

– Po prostu okropne! Przez całe swoje życie nie widziałem istoty tak doskonale przystosowanej do zadawania śmierci... - Uniósł błoniastą

mackę. - Dziwaczny wyrostek. A więc to tym czymś drugi potwór wysał Hargo'thena na wiór! Co o tym sądzisz?

Starając się nie odsuwać od plugawej wici wyciągniętej w jego stronę, Illidan zdołał wykrztusić:

– Charakter wampiryczny, panie. Niektóre zwierzęta piją krew, ale ten stwór żywi się magiczną energią. - Rozejrzał się. - Druga została urwana.

– Tak, rzeczywiście. Pewnie przez jakieś zwierzę...

Podczas gdy szlachcic kontynuował swoje obrzydliwe oględziny, Illidan zastanawiał się, jak potwór zginął. Żołnierz twierdził, że pierwszy był już martwy, kiedy się na niego natknęli. Młodzieniec szybko wydedukował, że mogli go zabić tylko Malfurion i Brox... a zważywszy na próbę sił, jaka miała tu miejsce, Illidan stawiał raczej na potężniejszego orka.

Stojące z boku koty coraz gwałtowniej protestowały przeciwko bliskości stwora. Illidan starał się nie zważać na ich posykiwania, wciąż zamartwiając się o brata. Nie znaleźli żadnych trupów prócz tych należących do członków pierwszego oddziału i drugiej z trzech wspomnianych bestii, ale...

Unosząc gwałtownie głowę, Illidan zawołał:

– Lordzie Ravencrest! Nie znaleźliśmy jeszcze...

Warczenie nocnych panter osiągnęło crescendo.

Illidan wyczuł za plecami czyjąś obecność.

Rzucił się w bok, przez przypadek zderzając się z niespodziewającym się niczego szlachcicem i obalając go na ziemię. Młody elf rozłożył się jak długi na dowódcy, klinga Ravencresta poszybowała w bok, daleko poza zasięg któregośkolwiek z nich.

Ogromny, szponiasty kształt, który skoczył na Illidana, przeleciał nad truchłem swojego pobratymca.

– Co na... - zdołał wykrztusić Ravencrest. Nocne pantery usiłowały zaatakować, ale wodze trzymały mocno, uniemożliwiając im przyjscie elfom z pomocą.

Illidan, który pierwszy doszedł do siebie, podniósł głowę i zobaczył, że piekielny stwór zawraca, szykując się do następnego ataku. Ten martwy wydawał mu się wystarczająco okropny, ale widok żywego i gotującego się właśnie do szarży był tak przerażający, że prawie rzucił się do ucieczki.

Ale zamiast skoczyć, podobne do psa monstrum wystrzeliło w stronę Illidana dwie macki wyrastające mu z pleców. Nocnemu elfowi stanęły przed oczyma wysrane powłoki, które były kiedyś potężnymi Księżycowymi Gwardzistami.

Ale kiedy obmierzłe wici szukały jego magii i ciała, instynkt samozachowawczy wziął górę. Pamiętając, że jedna z macek zabitej bestii została urwana, błyskawicznie obmyślił plan ataku.

Nie próbował ugodzić potwora bezpośrednio, wiedząc, jak mizerne dałoby to rezultaty. Zapewne wchłonąłby jego zaklęcie, a potem zapewne i jego. Zamiast tego Illidan rzucił czar na miecz lorda Ravencresta, który leżał poza zasięgiem wzroku piekielnego przeciwnika.

Ożywiony miecz uniósł się szybko w powietrze i zaczął wirować, coraz szybciej i szybciej. Illidan skierował go ku plecom stwora, mierząc w pasożytnicze wyrostki.

Wirujące ostrze z chirurgiczną precyzją przeleciało nad barkami zębatego behemota, odrąbując obie macki z taką łatwością, jak gdyby to były źdźbła trawy.

Bestia zawyla jak szalona, gęsta zielonkawa ciecz obryzgała jej barki i plecy. Warknęła, groźnie spoglądając spod zmrużonych powiek na tego, kto ją okaleczył.

Ośmielony sukcesem Illidan teraz, gdy zagrożenie dla jego czarodziejstwa zostało wyeliminowane, ponownie skierował miecz Ravencresta przeciwko bestii. Kiedy stwór rzucił się na niego, młodzieniec uśmiechnął się do niego ponuro. Z siłą spotęgowaną własną zintensyfikowaną wolą zatopił oręż w twardej czaszce zwierza.

Nogi potwora się ugięły. Zachwiał się niezdarnie. Straszliwe ślepie zaszyły mgłą. Wielka bestia zrobiła dwa niepewne kroki w stronę Illidana... po czym zwała się bezwładnie na ziemię.

Młodzieńca ogarnęło niesamowite wyczerpanie, ale towarzyszyła mu ogromna satysfakcja i triumf. Prawie bez wysiłku dokonał tego, co nie udało się trzem Księżycowym Gwardzistom. To, że nauczył się na ich błędach, nie obchodziło go. Wiedział tylko, że sam stawił czoła demonowi i zwyciężył go bez trudu.

– Dobra robota! - Ciężkie klepnięcie w plecy sprawiło, że prawie wpadł na trupa potwornego przeciwnika. Kiedy walczył o utrzymanie równowagi, lord Ravencrest minął go, aby podziwiać jego dokonania. - Doskonały kontratak! Usunąć największe zagrożenie, a potem zadać śmiertelny cios, kiedy wróg zbiera siły! Doskonale!

Szlachcic postawił but na przedniej łapie demona i spróbował wyciągnąć swój miecz. Na szlaku pojawili się dwaj żołnierze, a zza pleców dobiegły Illidana okrzyki następnych, do których dotarła groza sytuacji.

– Panie! - krzyknął jeden z dwóch żołnierzy. - Usłyszeliśmy...

Rol'tharak podjechał do przodu.

– Lordzie Ravencrest! Zabiłeś jedną z bestii! Nie jesteś ranny?

Illidan spodziewał się, że Ravencrest przypisze sobie zasługę zabicia zwierza - koniec końców, broń szlachcica wciąż tkwiła w łbie potwora - ale zamiast tego starszy elf wyciągnął rękę, wskazując jego.

– Nie! Tu stoi ten, który najpierw zasłonił mnie własnym ciałem, a potem szybko uporał się z zagrożeniem nie dbając o własne życie! Od początku poznałem się na tobie, Illidanie Stormrage! Zdolniejszy od tuzina Księżycowych Gwardzistów!

Zarumieniony młodzieniec przyjął dowody uznania potężnego dowódcy. Lata wysłuchiwania, że zostanie bohaterem, obrońcą swojego ludu, stanowiły dla niego ciężkie brzemię. Ale teraz czuł, że jego przeznaczenie wreszcie się ujawniło - i to za pośrednictwem wrodzonej magii, którą prawie odrzucił dla wolniejszych, bardziej subtelných zaklęć druidycznych, których nauczał Cenarius.

Byłem głupcem odrzucając moje dziedzictwo, uświadomił sobie Illidan. Ścieżka Malfuriona nigdy nie była moją ścieżką. Nawet za dnia potrafię władać magią nocnych elfów...

Pokrzepiło go to, bowiem dziwnie się czuł idąc w ślady brata. Jaki bohater w historii kroczył śladami innego? Illidan był stworzony do przewodzenia.

Żołnierze - zaprawieni w bojach weterani - patrzyli na niego z szacunkiem.

– Rol'tharak! - zawołał szlachcic. - Czuję, że dziś szczęście mi sprzyja! Chcę, żebyś poprowadził połowę wojowników tropem zbiegów! Wciąż mamy szansę znaleźć więźnia i tego, kto go uwolnił!

– Tak, panie! - Rol'tharak zwołał kilku żołnierzy i kiedy wszyscy dosiedli wierzchowców, poprowadził ich w kierunku, w którym prawdopodobnie uciekli Malfurion i Brox.

Illidan nie zaprzętał już sobie głowy bratem, zakładając, że opóźnienie wywołane atakiem bestii dało Malfurionowi dość czasu, żeby zgubić prześladowców. Myślał za to o Tyrande, która powinna być zadowolona nie

tylko z tego, że udało mu się opóźnić pościg, ale i z pochwał, jakimi obsypał go lord Ravencrest.

Wyglądało zresztą na to, że szlachcic ma zamiar obsypać swojego wybawcę nie tylko pochwałami. Ravencrest podszedł do Illidana, położył mu na ramieniu rękę w pancernej rękawicy i oświadczył:

– Illidanie Stormrage, Księżycowa Gwardia mogła się nie poznać na twoim męstwie, ale ja owszem. Od tej pory jesteś członkiem załogi Gawroniej Twierdzy... i moim osobistym czarodziejem! Oznacza to, że otrzymujesz stanowisko poza Księżycową Gwardią, jesteś równy rangą każdemu z ich magów, ale nie podlegasz ich rozkazom! Odpowiadasz tylko przede mną i swoją królową, Światłem Świateł, Azsharą!

Na wzmiankę o królowej pozostałe nocne elfy przyłożyły lewe dłonie do piersi i pochyliły głowy w hołdzie.

– Jestem... zaszczycony... panie...

– Chodź! Natychmiast zawracamy! Chcę zebrać większy oddział, żeby przewieźć te trupy do mojej twierdzy! Muszą zostać dokładnie zbadane! Jeśli nie chcemy najazdu jakiejś piekielnej hordy, musimy dowiedzieć się wszystkiego, co się da, a potem ostrzec jej wysokość!

Ogarnięty euforią Illidan nie zwracał większej uwagi na wzmianki o Azsharze. Gdyby to jednak zrobił, może wzbudziłoby to jego niepokój, bo właśnie z jej powodu Malfurion narażał się na gniew nowego patrona swojego brata. Malfurion upierał się, że to właśnie ona bierze udział w szaleństwie, które może się okazać katastrofalne dla całej rasy nocnych elfów.

Ale w tej chwili Illidan był w stanie myśleć wyłącznie o tym, że wreszcie znalazł swoje przeznaczenie...

TRZYNAŚCIE



Ma silny umysł, silną duszę, silne ciało... powiedział donośny, agresywny głos w głowie Rhonina. *Przymioty godne podziwu...* w innych okolicznościach... odparł drugi, cichszy, ale poza tym identyczny głos. *Poznamy prawdę,* upierał się pierwszy. *Jeszcze nigdy nie poniosłem porażki...*

Rhonin miał wrażenie, że unosi się poza własnym ciałem, ale gdzie - nie wiedział. Czuł się tak, jak gdyby wisiał między życiem a śmiercią, snem a jawą, ciemnością a światłem... nic nie wydawało się zupełnie właściwe ani całkiem niewłaściwe.

Dość tego!, wtrącił się trzeci głos, jakby znajomy. *Dość już przeszedł! Oddajcie mi go... na razie...*

I nagle Rhonin obudził się na polanie Cenariususa.

Słońce stało wysoko na niebie, choć nie potrafił powiedzieć, czy to południe, czy może kwestia magii tego miejsca. Spróbował wstać, ale tak jak wcześniej ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Usłyszał jakieś poruszenie i nagle niebo przesłoniło rogate wcielenie leśnego bóstwa.

– Jesteś odporny, czarodzieju Rhoninie - zagrzmiał Cenarius. - Zaskoczyłeś kogoś, kogo niełatwo zaskoczyć. I, co istotniejsze, nie

zdradziłeś swoich sekretów, choć na dłuższą metę może się to okazać niemądre.

– Nie mam nic... do ukrycia... - Rhonin był zdumiony, że jest w stanie poruszać ustami.

– To się dopiero okaże. Dowiemy się, co się stało z twoim towarzyszem i dlaczego wy, którzy nie powinniście byli się tu znaleźć, jednak tu trafiliście. - Wyraz twarzy półboga złagodniał. - Ale na razie odpocznij. Należy ci się.

Przesunął dłonią nad twarzą Rhonina... i czarodziej zasnął.



Krasus też chciałby znać odpowiedź na pytanie, gdzie się właściwie znajduje. Jaskinia, w której się ocknął, nie budziła żadnych wspomnień. Nie wyczuwał obecności żadnej innej istoty, zwłaszcza swojej rasy, i to go martwiło. Czy obserwator przyniósł go tutaj, żeby się go pozbyć? Czy liczył na to, że Krasus tu umrze?

To ostatnie stanowiło bardzo realne niebezpieczeństwo. Ból i wyczerpanie wciąż dawały mu się we znaki. Krasus czuł się tak, jak gdyby ktoś rozerwał go na pół. Pamięć wciąż go zawodziła i obawiał się, że wszystkie te dolegliwości będą się tylko pogłębiać z czasem... czasem, którego nie miał.

Nie! Nie poddam się rozpaczy! Nie ja! Wstał z trudem i rozejrzał się wokoło. Dla człowieka lub orka mrok panujący w pieczarze byłby niemalże nieprzenikniony, ale Krasus widział jej wnętrze tak wyraźnie, jak gdyby w środku świeciło słońce. Widział wielkie, podobne do kłów stalaktyty i stalagmity, dostrzegał wszystkie pęknięcia i rozpadliny w ścianach,

zauważał nawet małeńkie ślepe jaszczurki smyrgające wokół najdrobniejszych szczelinek.

Niestety, nie widział nigdzie wyjścia.

– Nie mam czasu na takie gierki! - warknął. Jego słowa, odbite echem od ścian, z każdym powtórzeniem brzmiały coraz bardziej szyderczo.

Coś musiało mu umknąć. Z pewnością znalazł się w tym miejscu z jakiegoś powodu... *ale jakiego?*

Wtedy Krasus przypomniał sobie zwyczaje swego ludu, zwyczaje, które istotom nie będącym smokami mogły się wydać bardzo okrutne. Na jego twarz wypełził ponury uśmiech.

Zakapturzony mag wyprostował się i zaczął powoli obracać, nie mrugając ani razu powiekami. Jednocześnie zaczął recytować rytualne powitanie w języku starszym niż świat. Powtórzył pozdrowienie trzy razy, kładąc nacisk na niuanse, które znać mógł tylko ktoś, kto nauczył się go u samego źródła.

Jeśli to nie zwróci uwagi tych, którzy go pojмали, nic już nie zdoła.

– Mówi językiem tych, którzy stworzyli niebo i ziemię... - zagrzemiał ktoś. - Tych, którzy powołali nas do życia.

– Musi być jednym z nas - rzekł inny - bo z pewnością nie jest jednym z nich...

– Musimy dowiedzieć się więcej.

I nagle w pustej przestrzeni wokół drobnej postaci zmateriałizowały się cztery gigantyczne czerwone smoki. Siedziały wokół Krasusa z olbrzymimi skrzydłami złożonymi z godnością na grzbiecie, przyglądając mu się tak, jak gdyby był małym, acz łakomym kąskiem.

Jeśli sądziły, że oszołomią go rzekomo prymitywne zmysły, to rozczarowały się po raz kolejny.

– Zdecydowanie jeden z nas - mruknął potężny samiec, o którego płci świadczył większy grzebień. Prychnął, wysyłając w stronę Krasusa kłęby dymu.

– I właśnie to skłoniło mnie, żeby go tu przynieść - zauważył gorzko mniejszy samiec. - To... i jego nieustanne marudzenie.

Krasus, nie przejmując się zupełnie dymem, zwrócił się do drugiego samca:

– Gdybyś wykazał się rozsądkiem, jakim obdarzyli cię stwórcy, natychmiast zorientowałbyś się, kim jestem, i jak pilne jest moje ostrzeżenie! Oszczędziłoby nam to chaotycznej ucieczki z krainy władcy lasu!

– Wciąż nie jestem pewny, czy nie popełniłem błędu sssprowadzając cię tutaj!

– Tutaj, to znaczy gdzie?

Wszystkie cztery smoki cofnęły głowy z lekkim zdumieniem. Teraz odezwała się jedna z samic.

– Skoro jesteś jednym z nas, mały smoku, powinieneś znać to miejsce równie dobrze jak własne gniazdo...

Krasus przeklął swą zmaconą pamięć. To mogło być tylko jedno miejsce.

– Jestem w domowej pieczarze? We władztwie ukochanej Alexstraszy, Królowej Życia?

– Chciałeś ssię tu dostać - przypomniał mu młodszy samiec.

– Pozostaje wciąż pytanie - wtrąciła druga samica, młodsza i bardziej lśniąca niż pozostałe. - Czy pozwolimy mu pójść dalej?

– Pójdzie tak daleko, jak zechce - wtrącił się nowy głos. - Jeśli tylko odpowie mi na jedno pytanie.

Cztery lewiatany i Krasus odwrócili się w stronę miejsca, gdzie siedział piąty, o wiele dojrzalszy smok. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych samców miał imponujący grzebień ciągnący się od czubka głowy aż poniżej barków. Był cięższy od drugiego co do wielkości smoka o kilka ton, a same jego pazury były większe od drobnej postaci stojącej pośród behemotów.

Ale pomimo swych rozmiarów i wyraźnie dominującej pozycji oczy miał bystre i pełne mądrości. Krasus domyślił się, że to on bardziej niż którykolwiek z pozostałych zadecyduje o powodzeniu jego podróży.

– Jeśli pomimo postaci, jaką przybrałeś, jesteś jednym z nas, musisz wiedzieć, kim jestem - huknął smok.

Mag sięgnął ku strzępkom wspomnień. Oczywiście, że wiedział, kto to jest, ale nie był w stanie przypomnieć sobie jego imienia. Cały stęzał, walcząc z mgłą spowijającą umysł. Wiedział, że jeśli nie zwróci się do olbrzyma po imieniu, zostanie na zawsze odrzucony, na zawsze pozbawiony możliwości ostrzeżenia swoich pobratymców, czym grozi jego obecność w tym czasie.

I wtedy, dzięki tytanicznemu wysiłkowi, wyrwało mu się z ust imię, które powinien znać prawie tak dobrze jak swoje własne:

– Jesteś Tyranastrasz... Tyran Uczony... oblubieniec Alexstraszy!

Duma, jaką przepełniło go przypomnienie sobie imienia i tytułu szkarłatnego olbrzyma musiała być zauważalna, bo Tyranastrasz wydał z siebie głośny, prawie ludzki rechot.

– Naprawdę jesteś jednym z nas, choć nie potrafię cię jeszcze zidentyfikować! Ten, który cię tu sprowadził, podał mi twoje imię, ale musi być ono fałszywe, gdyż wśród nas imię otrzymuje na wyłączność tylko jeden osobnik.

– Nie jest fałszywe - upierał się smoczy mag. - I mogę wyjaśnić dlaczego.

Oblubieniec Alexstraszy potrząsnął łbem. Z jego nozdrzy popłynęła smużka dymu.

– Obserwator przekazał nam twoje wyjaśnienia, malutki... i wciąż uważamy, że są zbyt zdumiewające, by mogły być prawdziwe! To, o czym opowiadasz, stanowi domenę Wiecznego, Nozdormu, ale nawet on nie byłby aż tak nieostrożny, żeby zrobić coś takiego!

– Pomieszało mu się w głowie, to jasne jak słońce - powiedział obserwator z lasu. - To jeden z nas, ręczę za to, ale słabuje na umyśle.

– Być może... - Tyranastrasz zaskoczył pozostałe smoki, schylając łeb na wysokość głowy Krasusa. - Ale poznając mnie, odpowiedziałeś na moje pytanie! Należysz do stada, a zatem masz prawo i przywilej wejść do najgłębszych zakamarków tej pieczary. Chodź, zabiorę cię do tej, która rozstrzygnie za nas tę kwestię, do tej, która zna całe swoje stado tak, jak zna wszystkie swoje dzieci! Ona rozpozna ciebie i dzięki temu pozna prawdę...

– Zabierzesz mnie do Alexstraszy?

– Do niej samej. Wespnij mi się na kark, jeśli zdołasz.

Pomimo fizycznego osłabienia Krasus żwawo wdrapał się na grzbiet smoka. Skrzydeł dodawała mu nie tylko myśl, że wreszcie znalazł pomoc, ale i okazja zobaczenia raz jeszcze swej ukochanej, nawet jeśli miało się okazać, że go nie rozpozna.

Ogromny smok niósł Krasusa przez zwietrzałe korytarze i komnaty, które powinien był z łatwością rozpoznać, a nie rozpoznawał. Co jakiś czas budziły jakieś wspomnienia, ale nie na tyle, żeby go zadowolić. Nawet kiedy mijali inne smoki, żaden nie wydał się mu znajomy, jemu, który kiedyś znał wszystkie czerwone smoki.

Żałował, że był nieprzytomny, kiedy obserwator go tu niósł. Krajobraz otaczający władztwo czerwonego stada mógł obudzić jakieś wspomnienia. A poza tym czy mógł istnieć wspanialszy widok niż smoki u szczytu swej potęgi? Raz jeszcze zobaczyć wysokie, niebosiężne wierzchołki gór, a w każdym urwisku setki otworów, z których każdy stanowił wejście do królestwa Alexstraszy. Od tego czasu minęły niezliczone wieki i Krasus zawsze opłakiwał jego odejście, opłakiwał przeminięcie Wieku Smoków.

Może kiedy ją przekonam... pozwoli mi spojrzeć po raz ostatni na krainę smoków... zanim postanowi, co ze mną zrobić.

Wielki Tyranastrasz przemierzał bez wysiłku wysokie, gładkie tunele. Krasus poczuł ukłucie zazdrości, gdyż miał zaraz porozmawiać ze swoją ukochaną i był zmuszony zrobić to w tej mizernej, śmiertelnej postaci. Kochał bardzo pomniejsze rasy, cieszył się czasem spędzonym wśród nich, ale teraz, kiedy jego życie wisiało na włosku, wołałby wrócić do swojej prawdziwej postaci.

Przed nimi pojawił się jasny, ale miły dla oka blask. Kiedy zbliżyli się do niego, czerwony żar ogrzał Krasusa z zewnątrz i od wewnątrz, przypominając mu dzieciństwo, naukę wzrastania na ziemi i na niebie. Ulotne wspomnienia z całego życia zatańczyły mu przed oczami i po raz pierwszy od przybycia w ten czas smoczy mag prawie poczuł się sobą.

Potem ukazało im się źródło tego wspaniałego blasku, wylot ogromnej pieczary. Uklękawszy przed nim, Tyranastrasz pochylił głowę i zagrzmiął:

– Za twoim przyzwoleniem, moja miłości, moje życie.

– Zawsze - odpowiedział mu głos łagodny i wszechmocny zarazem. -
Zawsze twoja.

Krasus znów poczuł ukłucie zazdrości, ale wiedział, że ta, która przemówiła, kochała go równie mocno jak lewiatana, którego w tej chwili dosiadał. Królowa Życia miała w sobie dość miłości, by obdarzyć nią nie

tylko swoich oblubieńców, ale całe swoje stado. Tak naprawdę kochała wszystkie istoty na świecie, choć ta miłość nie powstrzymywała jej przed zabijaniem tych, którzy zagrażali pozostałym.

I to był właśnie fakt, który umyślnie ukrył przed Rhoninem. Krasus dość wcześniej uświadomił sobie, że jedynym sposobem uniknięcia dalszych zakłóceń w biegu wydarzeń może się okazać usunięcie tych obiektów, które znalazły się w niewłaściwym miejscu i czasie.

Możliwe, że aby ocalić historię przed dalszymi wypaczeniami, Alexstrasza będzie musiała zabić jego i ludzkiego czarodzieja.

Kiedy on i Tyranastrasz weszli do środka, wszystkie myśli o tym, co go czeka, pierzchły na widok tej, która na zawsze miała pozostać władczynią jego serca i duszy.

Źródłem cudownego blasku, który docierał do każdego zakątka i każdej szczeliny wielkiej komnaty, była sama czerwona smoczyca. Alexstrasza była największą przedstawicielką swojej rasy, dwa razy większą od giganta, którego dosiadał Krasus. Ale mimo to miała w sobie jakąś przyrodzoną łagodność - właśnie odsunęła od siebie delikatnie kruche jajo i umieściła je w dymiącym kominie, gdzie było bezpieczne.

Wszędzie wokół niej leżały jaja. Był to ostatni lęg, piękny lęg. Każde jajo miało tylko stopę wysokości - dużo zgodnie z ogólnie przyjętymi standardami, choć wydawały się maleńkie w porównaniu z tą, która je złożyła. Krasus doliczył się trzech tuzinów. Tylko z połowy z nich miały się wykluć smoki, a z nich z kolei tylko połowa miała dożyć dorosłości, ale było to normalne u smoków - trudne początki zapowiadały życie pełne chwały i cudów.

Całą tę scenę otaczały różne rośliny kwitnące, które nie powinny były rosnąć w takich warunkach, a zwłaszcza pod ziemią. Były wśród nich oplatające ściany powoje i rozłożyste dywany purpurowych floksów. Złote

lilie zdobiły okolice gniazda, a róże i orchidee znaczyły miejsce, gdzie spoczywała sama Alexstrasza. Każda roślina kwitła obficie, zasilana wspaniałą obecnością Królowej Życia.

Przez pieczarę, w zasięgu pyska smoczy, przepływał kryształowo czysty strumień, aby w każdej chwili mogła się napić. Cichy szum podwodnego potoku nadawał całej scenie jeszcze bardziej sielski charakter.

Wierzchowiec Krasusa pochylił łeb, aby maleńki jeździec mógł zsiąść. Nie spuszczając wzroku z Alexstraszy, smoczy mag stanął na posadzce jaskini, po czym ukląkł na jedno kolano.

– Moja królowo...

Ale ona popatrzyła na wielkiego samca, który przyniósł Krasusa.

– Tyranastraszu... czy mógłbyś zostawić nas samych na pewien czas?

Behemot bez słowa wycofał się z komnaty. Królowa Życia przeniosła wzrok na Krasusa, ale nic nie powiedziała. Klęczał przed nią, czekając na jakiś znak, że go rozpoznała, ale nie doczekał się. Nie będąc w stanie zachować milczenia ani chwili dłużej, Krasus zawołał:

– Moja królowo, mój świecie, czy to możliwe, że ty, ze wszystkich istot, nie poznajesz mnie?

Przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek, zanim odpowiedziała:

– Wiem, co wyczuwam i co czuję, dlatego poważnie rozważyłam historię, którą opowiedziałeś pozostałym. Zdecydowałam już, co należy uczynić, ale jest jeszcze ktoś, z kim musimy się spotkać, ponieważ jego opinia jest mi równie droga jak moja własna...aa. Oto i on!

Z innego korytarza wyłonił się dorosły samiec tylko nieco mniejszy od Tyranastrasza. Przybysz poruszał się ociężale, jak gdyby stawiał z mozołem każdy krok. Wyblakłe karmazynowe łuski i znużone oczy sprawiły, że początkowo wydał się Krasusowi znacznie starszy niż oblubieniec

Alexstraszy - dopóki nie uświadomił sobie, że to nie wiek dolega temu smokowi, lecz jakaś nieznana choroba.

– Wezwałaś mnie... Alexstraszo?

Kiedy Krasus usłyszał głos osłabionego olbrzyma, cały jego świat wywrócił się do góry nogami. Zachwiał się, odsuwając się od samca z nieskrywanym przerażeniem.

Królowa Życia dostrzegła jego reakcję, choć przede wszystkim patrzyła na przybysza.

– Tak, prosiłam cię o przybycie. Wybacz mi, jeśli to dla ciebie zbyt duży wysiłek.

– Nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił, moja miłości, mój świecie.

Wskazała maga, który wciąż stał jak rażony piorunem.

– Oto... jak się nazywasz?

– Kor... Krasus, moja królowo. Krasus...

– Krasus? A więc oto Krasus... - Ton jej głosu sugerował, że rozbawił ją ten wybór imienia. Znów odwróciła się w stronę chorego lewiatana. - A to, Krasusie, jeden z moich najukochańszych poddanych, mój ostatni oblubieniec i ktoś, na czyją pomoc zawsze mogę liczyć. Będąc jednym z nas, może o nim słyszałeś. Nazywa się Korialstrasz...



Jechali krętą leśną ścieżką i Malfurion zaczynał wierzyć, że wreszcie udało im się zgubić pościg. Wybrał trasę wiodącą przez skały i miejsca, gdzie łapy nocnych panter nie zostawiały wielu śladów, w nadziei, że ci, którzy ich ścigają, pojedą w złym kierunku. Oznaczało to, że dotarcie do

miejsca, gdzie zawsze spotykał się z Cenariusem, zajmie im więcej czasu, ale uznał, że musi podjąć to ryzyko. Wciąż nie wiedział, co pomyśli sobie władca lasu, kiedy dowie się, co zrobił jego uczeń.

Gdy zbliżali się do miejsca spotkań, Malfurion zwolnił tempo jazdy. Brox, nieco bardziej niezdarnie, zrobił to samo.

– Zatrzymujemy się? - burknął ork, rozglądając się dookoła i widząc same drzewa. - Tutaj?

– Prawie. Jeszcze kilka minut. Wkrótce powinniśmy zobaczyć dąb.

Choć byli już tak blisko celu, nocny elf odczuwał coraz większy niepokój. W pewnej chwili miał wrażenie, że ktoś ich obserwuje, ale kiedy się odwrócił, zobaczył tylko spokojny las. Wciąż nie dawała mu spokoju myśl, że jego życie nieodwołalnie się zmieni. Jeśli Księżycowa Gwardia go zidentyfikuje, może zostać wykluczony, co oprócz śmierci było dla nocnego elfa najsurowszą karą. Jego lud będzie się od niego odwracał, już zawsze traktując go jak martwego, choć będzie wciąż oddychał. Nikt nie będzie z nim rozmawiał, nie spojrzy mu w oczy.

Nawet Tyrande i Illidan.

Jego zbrodnia była tym straszniejsza, że nie pomógł żołnierzom w walce z demonicznym stworem, którego Brox nazywał piekielnym ogarem. Jeśli ogar zranił albo zabił któregoś z członków pościgu, Malfurion nie będzie już miał żadnych szans na naprawę sytuacji, a na domiar złego będzie odpowiedzialny za śmierć niewinnych istot. Ale co innego mógł zrobić? Jedynym wyjściem było oddanie Broxa w ręce Księżycowej Gwardii, a tym samym skazanie go na Gawronią Twierdzę.

Nagle ukazał się przed nimi dąb, którego szukał, odrywając go na chwilę od rozmyślań nad kłopotami, w jakie się wpakował. Dla każdego innego byłoby to po prostu drzewo, ale dla Malfuriona był to prastary strażnik, jeden z tych służących Cenariusowi dłużej od innych. Drzewo to, wysokie,

o grubym pniu i bardzo pomarszczonej korze, widziało, jak rósł las. Przeżyło niezliczone inne drzewa i obserwowało tysiące pokoleń ulotnych zwierzęcych istnień.

Poznało podchodzącego Malfuriona - liście rozłożystej korony zaszumiały, choć nie wiał wiatr. Była to starożytna mowa wszystkich drzew i nocny elf czuł się zaszczycony, że Cenarius dość wcześnie nauczył go ją rozumieć.

- Broksie... muszę cię poprosić o przysługę.
- Wiele ci zawdzięczam. Proś.
- Zsiądź i podejdź do tego drzewa - powiedział Malfurion, wskazując dąb. - Przyłóż dłoń do pnia w miejscu, gdzie kora jest pofałdowana.

Ork wyraźnie nie miał pojęcia, dlaczego miałby to zrobić, ale ponieważ prosił go o to Malfurion, natychmiast wypełnił polecenie. Oddawszy wodze nocnemu elfowi, Brox podszedł do strażnika. Rosły wojownik przyjrzał się uważnie pniu, po czym położył wielką dłoń w miejscu wskazanym przez Malfuriona.

Przekręcając głowę, żeby spojrzeć na towarzysza, ork huknął:

- Co mam teraz...

Warknął zaskoczony, gdy dłoń zapadła się w korę, jak gdyby to było błoto. Brox prawie wyrwał rękę, ale Malfurion szybko rozkazał mu stać nieruchomo.

- Nic nie rób! Po prostu stój! Ono uczy się ciebie! Poczujesz łaskotanie, ale to wszystko!

Nie wyjaśnił jednak, że łaskotanie oznacza, iż drobne korzonki wewnątrz strażnika zagłębiają się w ciało orka. Dąb uczył się Broxa poprzez stanie się, choć na bardzo krótko, jego częścią. Roślina i zwierzę splecione ze sobą. Dąb już zawsze będzie pamiętał Broxa, bez względu na to, ile wieków minie.

Żył na karku orka pulsowała jak szalona, świadcząc o jego narastającym niepokojem. Trzeba mu było jednak przyznać, że stał nieruchomo jak dąb, z wzrokiem wbitym w punkt, w którym zniknęła jego dłoń.

Nagle poleciał o krok w tył, gdy drzewo wypuściło jego rękę równie gwałtownie, jak ją wchłonęło. Brox poruszył dłonią sprawdzając stan palców, a może nawet je licząc.

– Teraz droga jest dla nas otwarta - oświadczył Malfurion.

Kiedy ork znów dosiadł pantery, ruszyli w dalszą drogę. Kiedy mijali strażnika, Malfurion wyczuł subtelną zmianę w powietrzu. Gdyby nie otrzymali pozwolenia, on i Brox mogliby jechać w nieskończoność i nigdy nie odnaleźliby polany. Tylko ci, którym Cenarius pozwalał się odwiedzać, odnajdywali ścieżkę za linią strażników.

Im dalej w głąb lasu się zapuszczali, tym większe zmiany zachodziły w otaczającej ich przyrodzie. Chłodził ich orzeźwiający wietrzyk. Ptaki przeskakiwały z gałęzi na gałąź i śpiewały na pobliskich drzewach. Same drzewa drżały wesoło, witając przede wszystkim nocnego elfa, który potrafił je zrozumieć. Obaj rozluźnili się do tego stopnia, że Malfurion dostrzegł nawet cień uśmiechu na surowej twarzy orka.

Nagle drogę zagrodziła im gęstwina drzew. Brox popatrzył na Malfuriona, który dał znak, że mają teraz zsiąść. Potem Malfurion poprowadził orka wąską ścieżką między drzewami, której ten w pierwszej chwili nie zauważył. Po kilku minutach wyszli na oświetloną jasno polanę porośniętą wysoką, miękką trawą i kwiatami o jaskrawych płatkach.

Polanę władcy lasu.

Ale postaci otoczonej pierścieniem kwiatów na środku polany nie sposób było pomylić z Cenariusem. Siedząca tam osoba zerwała się na

widok dwójki przybyszów, wwiercając się wzrokiem w Broxa, jak gdyby doskonale wiedziała, czym jest ork.

– Ty... - wymamrotał nieznajomy do zielonoskórego wojownika. - Nie powinno cię tu być...

Brox błędnie zrozumiał jego intencje.

– Przychodzę z nim, czarodzieju... i nie potrzebuję twojego pozwolenia.

Ale płomiennowłosa postać - Malfurion nie potrafił powiedzieć, do jakiej rasy należała - potrząsnęła głową i ruszyła w stronę orka. Zawahała się na skraju pierścienia kwiatów. Rzuciwszy dziwne spojrzenie roślinom - które z kolei wydawały się mu przyglądać - zakapturzony nieznajomy wybuchnął:

– To nie jest twój czas! W ogóle nie powinno cię tu być!

Uniósł rękę w geście, który wydał się nocnemu elfowi groźny. Pamiętając, że Brox użył słowa „czarodziej”, Malfurion szybko przygotował własne zaklęcie, podejrzewając, że druidyczne nauki Cenariusza okażą się w tym miejscu bardziej skuteczne niż magia nieznajomego.

Nagle zagrzmiało, a lekki wiaterek przeszedł w wichurę. Brox i Malfurion zostali odepchnięci kilka kroków w tył, a czarodziej prawie wyleciał w powietrze, tak mocno został odrzucony od skraju pierścienia.

– Nie pozwolę na to w moim sanktuarium! - oznajmił głos Cenariusza.

W niewielkiej odległości od kwiatowej bariery porywisty wiatr uniósł liście, kurz i połamane gałązki, tworząc wir. Miniaturowe tornado zaczęło szybko rosnąć, liście i patyki scalały się w monumentalną postać.

Gdy powietrze znów się uspokoiło, Cenarius wystąpił naprzód, aby ogarnąć wzrokiem Malfuriona i pozostałych.

– Nie spodziewałem się tego po tobie - powiedział cicho do nocnego elfa. - Ale to dziwne czasy. - Przyjrzał się Broxowi. - I z każdą godziną

robią się coraz dziwniejsze.

Ork warknął wyzywająco. Malfurion uciszył go szybko.

– To władca lasu, półbóg Cenarius. Ten, do którego obiecałem cię przyprowadzić, Broksie.

Brox uspokoił się nieco, ale zaraz wskazał palcem zakapturzonego czarodzieja.

– A to kto? Kolejny półbóg?

– Stanowi część zagadki - odparł Cenarius - a ty wydajesz się jej kolejnym elementem. - Do postaci w kręgu dodał: - Rozpoznałeś tego przybysza, przyjacielu Rhoninie.

Czarodziej nie odpowiedział.

Półbóg pokręcił głową z wyraźnym rozczarowaniem.

– Nie życzę ci źle, Rhoninie, ale wydarzyło się zbyt wiele rzeczy, które ja i inni uznaliśmy za niepokojące i niewłaściwe. Ty i twój zaginiony towarzysz, a teraz ten...

– Nazywa się Brox - podsunął Malfurion.

– Ten o imieniu Brox - dokończył Cenarius. - Kolejna istota, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie widziałem. Skąd Brox się tu wziął, mój uczniu? Podejrzewam, że kryje się za tym jakaś historia.

Nocny elf kiwnął głową i natychmiast opowiedział historię o uratowaniu orka, całą ewentualną winę przypisując sobie. O Tyrande i Illidanie ledwo wspomniał. Ale Cenarius, znacznie starszy i mądrzejszy od swego ucznia, domyślił się prawdy.

– Mówiłem, że drogi twoja i twojego brata rozejdą się w pewnej chwili. Wydaje mi się, że właśnie stanęliście na rozstajach, czy zdajecie sobie z tego sprawę, czy nie.

– Nie rozumiem...

– Porozmawiamy o tym innym razem. - Półbóg minął nagle Malfuriona i Broxa, wpatrując się w las. Korony drzew otaczających polanę nagle zatrzęsły się w wielkim wzburzeniu. - Teraz nie mamy na to czasu. Lepiej przygotujcie się... ty też, przyjacielu Rhoninie.

– Ja? - wykrztusił czarodziej.

– Co się dzieje, shan'do? - Malfurion wyczuwał wściekłość drzew.

Słoneczne niebo zagrzmiało, wiatr znów się wzmógł. Na majestatyczne oblicze Cenariusza padł cień, cień, który sprawił, że nawet Malfurion poczuł respekt przed swoim nauczycielem. Władca lasu wyciągnął przed siebie rękę, jak gdyby chciał objąć coś, czego nikt inny nie widział.

– Zaraz zostaniemy zaatakowani... i obawiam się, że nawet ja mogę nie być w stanie ochronić was wszystkich.



Samotny piekielny ogar w tropieniu nie miał sobie równych, ale teraz węszył nie za zapachem zwierzyny, ale za magią, którą ta władała. Na równi z mięsem i krwią żywił się magią i czarodziejstwem i, jak każdy demon, był wiecznie głodny.

Śmiertelne istoty nie zauważyłyby magii dębu-strażnika, ale demon jej nie przeoczył. Wystrzeliwszy groźne macki ku grubemu pniowi, uczeplił się żarłocznie nieruchomej ofiary.

Dąb robił, co mógł, aby oprzeć się niespodziewanemu wrogowi. Korzenie usiłowały opleść łapy bestii, ale ta wymknęła się im. Gałęzie opadły z wysoka, na próżno okładając grubą skórę potwora.

Kiedy i to nie poskutkowało, dąb wydał z siebie przeraźliwy dźwięk, który zaczął się wzmagać. Wkrótce osiągnął poziom niesłyszalny dla

większości istot.

Ale dla bestii stał się torturą. Demon skowyczał, usiłując ukryć głowę, ale nie wypuszczał strażnika ze swych macek. Dwie wole zmagaly się ze sobą...

W końcu ogar okazał się silniejszy. Ograbiany z coraz większej ilości energii dąb słabł coraz bardziej, aż w końcu zginął tak jak Księżycowi Gwardziści, uśmiercony po wielu tysiącach lat, przez które skutecznie strzegł drogi.

Ogar potrzęsnał łbem i wciągnął powietrze w nozdrza. Macki wyciągnęły się żarłocznie naprzód, ale demon nie zmienił pozycji. Pozerając prastarą magią dębu cały czas rósł, aż w końcu stał się prawie dwukrotnie większy.

Wtedy doszło do metamorfozy. Głęboki, mroczny blask otoczył bestię, całkowicie ją spowijając. Wewnątrz demon skręcał się na wszystkie strony, jak gdyby usiłował uciec przed samym sobą.

Im bardziej się starał, tym bardziej mu to wychodziło. Jedna głowa, dwie, trzy, cztery... potem pięć. Każdy łeb naprężył się jeszcze mocniej, ciągnąc i szarpiąc. Za łbami ukazały się grube karki, krzepkie barki, a w końcu muskularne torsy i nogi.

Wzmocniony prastarą magią pradawnego strażnika jeden piekielny ogar stał się całym stadem. Ogromny wysiłek osłabił na chwilę każdego z demonów, ale w ciągu kilku sekund odzyskały siły. Przynaglęła je świadomość, że w głębi puszczy kryje się więcej pożywienia, więcej mocy.

Piekielne ogary pomknęły równocześnie w stronę polany.

CZTERNAŚCIE



Jesteś wiernym sługą... powiedział przewspaniały do lorda Xaviusa. Nagrodom, jakie otrzymasz, nie będzie końca... dam ci wszystko, czego pragniesz... każdą rzecz... każdą osobę...

Powstrzymując się od mrugania, nocny elf ukląkł na jedno kolano przed ognistym portalem, upajając się obietnicami boga. Ze wszystkich sług przewspaniałego cieszył się jego największą przychylnością i to on miał zostać obdarzony niebywałą potęgą, kiedy droga zostanie otwarta.

A im dłużej Szlachetnie Urodzonym nie udawało się tego dokonać, tym bardziej opóźniało się przybycie boga i tym większa była frustracja doradcy.

Oprócz niego frustrację odczuwały jeszcze dwie osoby. Pierwszą była królowa Azshara, która tak jak on nie mogła się doczekać dnia, kiedy wszystko to, co niedoskonałe, zostanie usunięte ze świata, tak że zostaną na nim tylko nocne elfy - i to tylko najświetniejsze z nich - które będą rządzić rajem, jaki nastanie. Nie wiedziała, rzecz jasna, że w swej mądrości przewspaniały uczyni Xaviusa jej oblubieńcem, ale doradca nie spodziewał się protestów, gdy zostanie już o tym powiadomiona przez ich cudownego boga.

Drugą osobą sfrustrowaną brakiem powodzenia był ogromny Hakkar. Łowczy, któremu zawsze towarzyszyły dwie bestie, chodził wokół Szlachetnie Urodzonych czarodziejów, wytykając im błędy i pomagając tam, gdzie było to możliwe.

Ale nawet przy wsparciu jego wiedzy tajemnej dopiero teraz osiągnęli pomniejszy sukces. Hakkar i jego ogary nie byli już przynajmniej sami wśród nocnych elfów, gdyż z portalu wyłoniły się jeszcze trzy rogate olbrzymy o purpurowych twarzach, które niektórzy uznali za przerażające, ale u lorda Xaviusa budziły wyłącznie podziw. Mierzyły co najmniej dziewięć stóp, górując znacznie nad Szlachetnie Urodzonymi, którzy sami mieli ponad siedem stóp wzrostu.

Byli to namaszczeni rycerze boga, niebiańscy wojownicy, których jedynym celem było wypełnianie jego rozkazów bez względu na koszty. Każda z postaci w brązowych pancerzach mierzyła około dziewięciu stóp i choć byli dziwacznie chudzi, nie mieli żadnych trudności z utrzymaniem masywnych, podłużnych tarczy i płomiennych buzdyganów. Każdy rozkaz wypełniali co do joty i traktowali doradcę z takim samym szacunkiem jak Hakkar.

A wkrótce miało ich być jeszcze więcej. Gdy tylko Xavius się odsunął, portal rozbłysnął. Rozkwitł, wypełniając wzór, nad którym się unosił, puchnąc, aż...

Z portalu wyszedł kolejny piekielny gwardzista, jak Hakkar nazywał tych szlachetnych wojowników. Gdy tylko wkroczył na śmiertelny plan, pochylił przerażającą głowę przed Łowczym, a potem Xaviusem.

Hakkar dał mu znak, żeby dołączył do swoich poprzedników. Odwracając się do Xaviusa, wskazał czterech zbrojnych.

– Przewspaniały spełnia pierwszą daną ci obietnicę, nocny elfie! Rozkazuj im! Są twoimi sługami!

Xavius doskonale wiedział, co z nimi zrobić.

– Ponieważ otrzymałem ich w darze, najlepiej nadadzą się na prezent dla królowej! Uczynię ich osobistymi strażnikami Azshary!

Łowczy kiwnął głową z aprobatą. Obaj znali wartość zadowolenia królowej nocnych elfów, tak jak obaj znali skryte pragnienia doradcy.

– Najlepiej zrobisz, sssamemu przekazując jej taki dar, nocny elfie! Nie przerwiemy pracy pod twą nieobecność, dopilnuję tego!

Pomysł przekazania daru osobiście bardzo przypadł Xaviusowi do gustu. Ukłoniwszy się Hakkarowi, doradca strzelił palcami i wyprowadził czterech olbrzymich wojowników z komnaty w wieży. Dobrze wiedział, gdzie znajdzie Azsharę o tej porze. Kamienne oczy Hakkara, który odprowadził go wzrokiem do wyjścia, rozbłyły jasno.



Choć jej doradca niewiele sypiał - ostatnio prawie w ogóle - jako królowa Azshara miała prawo i przywilej odpoczywać, kiedy tylko przysła jej na to ochota. Koniec końców, musiała być doskonała pod każdym względem, zwłaszcza gdy w grę wchodziła jej uroda. Dlatego władczyni nocnych elfów z reguły przesypiała cały dzień, unikając całkowicie ostrego, palącego słońca.

Z tego też powodu Azshara nie przyjęła najlepiej pojawienia się jednej ze swoich dam dworu. Spłoszona elfka padła szybko na kolana przed zaokrąglonym skrajem puchowego łoża królowej, które zajmowało niemal całe pomieszczenie, starając się ukryć za cienkimi jak pajęczyny zasłonami, którymi było otoczone. Światło Świateł ospałym gestem dała dziewczynie znak, że może mówić.

– Pani, wybacz swojej pokornej służce, ale lord doradca prosi o audiencję, twierdząc, że ma ci coś interesującego do pokazania.

Azshara nie była w stanie wyobrazić sobie niczego, czego pragnęłaby w tej chwili do tego stopnia, aby wstać z łóżka, nawet dla doradcy. Wydeła usta, zastanawiając się, czy odesłać Xaviusa.

– Niech poczeka pięć minut - mruknęła w końcu, sadowiąc się w przemyślany sposób. Znając doskonale upodobania Xaviusa, wiedziała, jak najlepiej je wykorzystać. Doradca mógł uważać, że ma przewagę nad swoją władczyni, ale jako kobieta miała przewagę nad każdym z mężczyzn. - Potem pozwól mu wejść.

Dama dworu nie kwestionowała decyzji swej pani. Azshara spod zmrużonych powiek patrzyła, jak wychodzi, a potem przeciągnęła się wdzięcznie, planując przebieg spotkania ze swoim głównym doradcą.



Młoda służka wróciła zdenerwowana... ale dopiero gdy Xavius odczekał kilka minut. Nie podnosząc głowy, dzięki czemu doradca nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy, wprowadziła go przez grube, misternie zdobione dębowe drzwi do prywatnych komnat królowej.

Tylko kilka razy ośmielił się odwiedzić ją w tym miejscu, jej najbardziej intymnym azylu. Xavius wiedział, czego się mniej więcej spodziewać. Azshara będzie się starała wydać nieskazitelnie piękna i uwodzicielska, pozornie nie zdając sobie z tego sprawy. Była to gra, w którą grała, i to dobrze, ale był na to przygotowany. Miał nad nią przewagę.

Rzeczywiście, królowa nocnych elfów spoczywała na łożu z jedną ręką za głową, a dwie odziane w jedwabie damy klęczały obok niej. W zasięgu

ręki królowej znajdował się srebrny stół, na którym stała szmaragdowa butelka wina. Napęczniony do połowy kielich świadczył o tym, że kosztowała już aromatycznego trunku.

– Mój drogi lordzie doradco - wyszeptała. - Musisz mieć mi do powiedzenia coś wyjątkowo ważnego, skoro poprosiłeś o audiencję o tej porze. - Cienka, lśniąca materia podkreślała jej doskonałe kształty. - Dlatego postarałam się podjąć cię najlepiej, jak mogłam.

Z pięścią na sercu padł na kolana. Wpatrując się w białą marmurową posadzkę, lord Xavius odparł:

– Światło Świąteł, Uwielbiane Serce Ludu, wdzięczny jestem, iż zechciałaś poświęcić mi czas. Wybacz, że zakłócam ci spokój, ale mam dla ciebie bardzo interesujący dar, dar godny królowej nocnych elfów, królowej świata. Czy mogę go wezwać?

Podniósł wzrok i odkrył, że udało mu się przykuć jej uwagę. Przesłonięte rzęsami oczy królowej zdradzały rosnącą ciekawość. Azshara zmieniła pozycję, tak że przykrycie o mało nie odsłoniło jej piersi.

– Wzbudziłeś moją ciekawość, drogi Xaviusie. Uczynię ci zaszczyt zaprezentowania mi twojego daru.

Wysoki doradca wstał, odwrócił się do drzwi i strzelił palcami. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegły ich stłumione okrzyki i dwie służki wbiegły do środka, aby schronić się pod skrzydłami swej pani. Marszcząc brwi, Azshara usiadła, prawie, ale nie do końca, pozwalając okryciu się zsunąć.

Do prywatnej komnaty królowej wmaszerowali dwójkami czterej przerażający wojownicy, tak wysocy, że przechodząc przez drzwi musieli się pochylić, aby nie zawadzić rogami o ościeżnicę. Po wejściu rozstąpili się, trzymając przed sobą tarcze i unosząc buzdygany w salucie.

Azshara nachyliła się do przodu, całkowicie zafascynowana.

– Czym oni są?

– Twoją własnością, moja królowo! Ochrona twojego życia jest ich obowiązkiem, jedynym powodem, dla którego żyją! Spójrz, wasza wysokość, na swoich nowych osobistych gwardzistów.

Widział, że jest zadowolona. Przewspaniały miał przysłać kolejnych niebiańskich wojowników, ale ci byli pierwsi i mieli należeć tylko do niej. To zupełnie zmieniało postać rzeczy.

– Wspaniale - wymruczała, wyciągając rękę do jednej ze służek. Młoda dziewczyna natychmiast sięgnęła po suknię Azshary. Pozostałe służki utworzyły mur, zasłaniając królową do wysokości szyi przed Xaviusem i piekielnymi gwardzistami. - Przyjmuję twój dar.

– Cieszę się, że ty się cieszysz.

Służki się odsunęły. Odziana teraz w półprzezroczystą szatę barwy szronu, królowa Azshara wstała z łóżka. Wlekąc po marmurowej posadzce tren sukni, starannie odmierzonymi krokami podeszła do wysokich postaci i przyjrzała się im. Piekielni gwardziści stali tak nieruchomo, że można ich było wziąć za posągi.

– Czy jest ich więcej?

– Będzie.

Zmarszczyła brwi.

– Tylko tylu po tak długim czasie? Jak przewspaniały ma do nas przybyć, skoro nie jesteśmy w stanie ściągnąć tu jednorazowo więcej niż kilku jego sług?

– Czerpiemy ze Studni najlepiej jak potrafimy, wspaniała królowo. Przeciwstawne prądy, zewnętrzne reakcje, wpływ innych czarodziejów...

Jak dziecko, które wyciąga rękę, aby dotknąć nowej zabawki, Azshara przesunęła palcami po lśniącej zbroi jednego ze swoich nowych

gwardzistów. Rozległ się cichy syk. Królowa cofnęła palce, przez jej idealne rysy przemknął grymas zadowolenia.

– Więc dlaczego nie odciąłeś Studni od takich zewnętrznych wpływów? Ułatwiłoby ci to znacznie zadanie.

Lord Xavius otworzył usta, żeby wyjaśnić, dlaczego zawilości czarów Szlachetnie Urodzonych nie pozwalały na coś równie... ale uświadomił sobie, że nie ma na to sensownej odpowiedzi. Z teoretycznego punktu widzenia sugestia Azshary była niezwykle cenna.

– Zaprawdę jesteś królową - powiedział w końcu.

Wbiła w niego złote oczy.

– Oczywiście, że jestem królową, mój drogi doradco. Zawsze była, zawsze będzie... tylko jedna Azshara.

Skinął głową bez słowa.

Podeszła z powrotem do łóżka i usiadła lekko na jego skraju.

– Czy to wszystko?

– Tak... na razie, moja królowo.

– W takim razie masz pewnie mnóstwo roboty.

Odprawiony, lord Xavius skłonił się nisko przed monarchinią, po czym wycofał się z komnaty. Nie uraziły go jej królewski ton ani postawa, nie rozdrażniło go nawet to, że cały czas panowała nad sytuacją.

Odciąć Studnię od wpływów...

To było wykonalne. Jeśli nie przez samych Szlachetnie Urodzonych, to przy pomocy Hakkara. Łowczy z pewnością będzie wiedział najlepiej, jak się do tego zabrać. Kiedy korzystanie ze Studni zostanie ograniczone tylko do mieszkańców pałacu, łatwiej będzie manipulować mocą czerpaną z niej przez Szlachetnie Urodzonych, łatwiej będzie ją przekształcać...

Nieważne, jaki zamęt odcięcie Studni spowoduje wśród reszty ich ludu.



– Jest zdecydowanie jednym z nas... wiem to równie dobrze, jak znam siebie samego.

Były to prawdopodobnie najbardziej paradoksalne słowa w historii, a przynajmniej tak się wtedy wydawało Krasusowi. Wymówił je przecież smok Korialstrasz, najnowszy oblubieniec Alexstraszy.

A także młodsze wcielenie Krasusa.

Korialstrasz nie rozpoznał siebie samego, a przynajmniej nie w świadomy sposób. Ale to, że Alexstrasza nie zdradziła mu prawdziwej tożsamości przybysza, rodziło wiele pytań.

Pierwsze wiązało się z obecnym stanem smoka. Choć pamięć Krasusa była dziurawa jak sito, wątpił, by mógł zapomnieć o chorobie, na jaką wydawało się cierpieć teraz jego wcześniejsze wcielenie. Korialstrasz wydawał się znacznie starszy, znacznie słabszy, niż wskazywałby na to jego wiek. Wyglądał na starszego od Tyrana, który był od niego starszy o wiele wieków.

– Co jeszcze możesz o nim powiedzieć? - zapytała Alexstrasza swojego partnera.

Drugi smok spojrział na Krasusa, mrużąc oczy.

– Jest starszy, bardzo stary. - Korialstrasz przekrzywił łeb. - Coś w jego oczach... w jego oczach...

– Co z nimi?

Wielki samiec cofnął się.

– Wybacz mi! Mąci mi się w głowie! Nie jestem godzien, aby przebywać w twoim towarzystwie! Powinienem się usunąć...

Ale ona nie pozwoliła mu odejść.

– Spójrz na niego, mój oblubieńcze. To już moja ostatnia prośba: na podstawie tego, co o nim wiesz, czy zaufałyś mu?

– Ja... tak, moja Alexstraszo... zaufałybym.

Nagle stała się rzecz dziwna. Kiedy smok o nim mówił, Krasus poczuł się silniejszy, silniejszy niż kiedykolwiek od chwili przybycia w przeszłość. Nie tak silny, jak powinien być, ale prawie tak jak normalnie.

I nie tylko on. Zauważył, że jego młodsza postać, choć mówi co innego, też zaczyna wyglądać zdrowiej. Łuski Korialstrasza nabrały kolorów, a smok poruszał się z większą łatwością. Nie mówił już urywanymi zdaniami.

Alexstrasza skinęła głową, słysząc odpowiedź swojego oblubieńca.

– To chciałam usłyszeć. Twoje zdanie wiele dla mnie znaczy.

– Czy życzysz sobie czegoś jeszcze? W twojej obecności wracają mi siły, możliwość udzielenia ci pomocy wyraźnie mnie pokrzepiła.

Przez gadzi pysk smoczey królowej przemknął tak dobrze znany Krasusowi uśmiech.

– Poetyczny, kochany Korialstraszu! Tak... mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Wiem, że będzie to trudne, ale muszę poprosić, żebyś nam towarzyszył, kiedy przedstawię tego oto smoka pozostałym Aspektom.

Udało jej się zaskoczyć obie wersje Korialstrasza. Młodsze wcielenie przemówiło jako pierwsze, wyrażając zdumienie starszego.

– Zwołasz spotkanie Pięciu? Nad nim? Ale dlaczego?

– Ponieważ opowiedział historię, którą muszą usłyszeć, którą teraz opowiem tobie... a potem możesz odpowiedzieć, czy wciąż mu ufasz, czy nie.

A więc jego wcześniejsze ja pozna w końcu prawdę. Krasus był przygotowany na to, że smok dozna szoku.

Ale tak jak on zataił przed Cenariusem nie tylko część prawdy, ale i własną tożsamość, tak teraz smocza królowa postąpiła w podobny sposób. Mówiła o zakłóceniu i wszystkim tym, o czym Krasus opowiedział obserwatorowi, ale o prawdziwej tożsamości maga nie wspomniała ani słowem. Dla jej oblubieńca Krasus był tylko jeszcze jednym czerwonym smokiem, którego umysł został rozdarty przez potężne siły.

Sam Krasus nie próbował w żaden sposób się ujawnić. To była Alexstrasza - jego życie, jego miłość. Mógł być jej doradcą, ale to ona posiadała mądrość Aspektu. Jeśli uważała, że jego młodsze ja powinno pozostać nieświadome, to kimże był on, żeby się nie zgadzać?

– Zdumiewająca opowieść - wymamrotał Korialstrasz, który wyglądał i brzmiał coraz lepiej. - Miałbym trudności z uwierzeniem w nią, gdybym usłyszał ją od kogokolwiek innego niż od ciebie, moja królowo...

– Więc straciłeś do niego zaufanie?

Wzrok młodszego wcielenia spotkał się ze wzrokiem starszego. Nawet jeśli Korialstrasz nie rozpoznał samego siebie, musiał rozpoznać bratnią duszę.

– Nie... nie, nie straciłem. Jeśli uważasz, że powinien stanąć przed pozostałymi... muszę się zgodzić.

– Więc polecisz ze mną?

– Ale ja nie jestem jednym z Pięciu... jestem tylko sobą.

Królowa Życia roześmiała się lekkim, melodyjnym śmiechem.

– I dlatego dorównujesz szlachetnością każdemu z nas.

Wyraźnie pochlebiła tym Korialstraszowi.

– Jeśli jestem tak silny, jak się teraz czuję, z ochotą polecę u twego boku i stanę przed pozostałymi Aspektami.

– Dziękuję... to wszystko, o co proszę. - Nachyliła się do przodu i musnęła głową jego głowę.

Krasus poczuł ukłucie dziwnej zazdrości. Stał tutaj, patrząc na samego siebie obdarzanego pieścizotami przez swoją partnerkę, a jednak nie był to on. Żałował, że nie może choć na chwilę zamienić się miejscami z Korialstraszem, że choć na tę jedną chwilę nie może być prawdziwym sobą.

Rzuciwszy smoczy ostatnie przeciągłe spojrzenie, samiec odwrócił się i opuścił komnatę. Kiedy koniuszek ogona Korialstrasza zniknął w korytarzu, magowi zakręciło się w głowie. Słabość napłynęła falą sprawiając, że się zachwiał.

Upadłby, ale potężna, pokryta łuską macka owinęła się miękko wokół niego - to ogon Alexstraszy przyszedł mu na ratunek.

– Dwie części uczynione całością... przynajmniej na jakiś czas.

– Nie rozumiem... - Kręciło mu się w głowie.

– Czuleś się znacznie lepiej w jego obecności, prawda?

– T...tak.

– Gdybym mogła być w tej chwili Nozdormu. Lepiej bym to rozumiała. Myślę... myślę, że w ziemskiej krainie żadna istota nie może współistnieć z samą sobą. Myślę, że ty i on, będąc jednym, czerpicie tę samą siłę życiową. Kiedy przebywacie z dala od siebie, jesteście przepołowieni, ale kiedy znajdziecie się bardzo blisko, tak jak przed chwilą, osłabienie nie jest tak straszne. Pomagacie sobie nawzajem.

Krasus, usadowiony bezpiecznie, doszedł do siebie na tyle, żeby przemyśleć jej słowa.

– Więc dlatego poprosiłaś go, żeby z nami poleciał.

– Twoja historia musi zostać opowiedziana i będzie lepiej, jeśli on będzie w pobliżu. A co do twojego niewypowiedzianego pytania; nie wyjawiałam mu prawdy ze względu na to, do czego możemy być zmuszeni, aby uratować sytuację.

Jej głos szeptniał, gdy wypowiadała ostatnie zdanie, co potwierdziło podejrzenia Krasusa.

– Obawiasz się, że może zająć konieczność usunięcia jednego z nas z tego okresu czasu... nawet jeśli będzie to oznaczać śmierć.

Olbrzymia smoczyca kiwnęła niechętnie głową.

– Tego się obawiam, ukochany.

– Godzę się na to. Wiedziałem o tym od początku.

– Więc została nam jeszcze tylko jedna kwestia do omówienia, zanim sięgnę ku pozostałym... a mianowicie co zrobimy z tym drugim, który przybył wraz z tobą.

Choć w duchu przeprosił Rhonina, Krasus nie zawahał się:

– Jeśli będzie to konieczne, podzieli mój los. On też ma bliskich, o których się troszczy. Odda za nich życie.

Królowa Życia kiwnęła głową.

– Tak jak zaufałam twojemu osądowi w twojej własnej sprawie, tak samo ufam mu w kwestii twojego towarzysza. Jeśli podejmie taką decyzję, też zostanie usunięty. - Wyraz pyska smoczycy złagodniał. - Wiedz, że już zawsze będzie mnie to smucić.

– Nie obwiniaj się o to moja królowo, moje serce.

– Muszę się skontaktować z pozostałymi. Najlepiej będzie dla ciebie, jeśli tu na mnie zaczekasz. Tutaj nie będziesz odczuwał znużenia.

– Czuję się zaszczycony, moja królowo.

– Zaszczycony? Jesteś moim oblubieńcem. Mniej nie mogłabym uczynić.

Ogonem podprowadziła go do części gniazda w pobliżu strumienia. Krasus usiadł w naturalnym zagłębieniu przypominającym wielkie krzesło.

Idąc w stronę korytarza, smocza królowa zatrzymała się i dodała z nutką żalu w głosie:

- Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie wśród jaj.
- Postaram się ich nie dotykać. - Krasus znał wartość każdego z nich.
- Jestem tego pewna, ukochany... zwłaszcza, że są twoje.

Zabrakło mu słów. Kiedy szkarłatna olbrzymka zniknęła, Krasus przyjrzał się jajom. Jako oblubieniec oczywiście parzył się ze swoją partnerką. Wiele jego dzieci dożyło wieku dorosłego, przynosząc dumę stadu.

Wyrznął pięścią w ścianę, ignorując ból, jaki go przeszył wskutek tego nierozważnego postępu. Choć wyjawiał wiele swojej ukochanej Alexstraszy, ukrył przed nią kilka ważnych faktów. Najważniejszym było nadejście Płonącego Legionu. Krasus obawiał się, że nawet jego królową choć tak mądrą, może kusić igranie z historią... a to mogło spowodować jeszcze straszliwszą katastrofę.

Ale, co było o wiele gorsze, Krasus nie był w stanie powiedzieć jej, jak będzie wyglądać przyszłość ich własnego gatunku, przyszłość, w której ocaleją nieliczni... przyszłość, w której większość smocząt z tego i kolejnych lęgów zginie, nim zdąży osiągnąć dojrzałość.

Przyszłość, w której sama Królowa Życia stanie się niewolnicą a jej dzieci psami obronnymi zwycięskiej rasy.

PIĘTNAŚCIE



Piekielne ogary pędziły przez zaczarowany las z wysoko uniesionymi pyskami, wietrząc wzmagający się zapach magii. Wielkie psy powarkiwały niecierpliwie, pchane naprzód głodem i powierzoną im misją.

Ale gdy jeden z nich przeskakiwał przez powalony pień, konary pobliskiego drzewa pochyliły się i oplotły mu nogi. Łapy drugiego, mknącego ścieżką, zapadły się nagle w błotnistą ziemię. Trzeci zderzył się z wyrosłym nagle krzakiem o ostrych jak brzytwa kolcach, które przekłuły nawet twardą skórę demona, przyprawiając go o nieznośny ból.

Las ożył, broniąc siebie i swojego pana. Szarża pięciu potworów straciła gwałtowność... ale nie załamała się. Ogromne pazury poszarpały zwisające gałęzie, odrywając je od pnia. Kolejna bestia pomogła tej uwięzionej w trzęsawisku, wyciągając towarzyszkę na stały grunt. Głód i furia pozwoliły tej oplecionej kolczastymi chaszczami przedrzeć się przez nie, choć zostawiły krwawiące rany na całym jej ciele. Myśliwi nie zamierzali rezygnować z należnej im zwierzyny...



– Shan'do! Co to?

Półbóg spojrział na swojego ucznia, ale w jego oczach nie było wyrzutu.

– Ogary, o których mówiłeś... przyszły za wami aż tutaj.

– Za nami? To niemożliwe! Został tylko jeden i...

Brox przerwał mu, a w jego tubalnym głosie nie było pociechy:

– Piekielne ogary... to stwory czarnej magii. Tam, gdzie jest jeden... może ich być więcej... jeśli mogą się dobrze najeść... tyle widziałem...

– Dobry przyjaciel i oddany strażnik padł ofiarą jednego z nich - stwierdził Cenarius, znów wpatrując się z uwagą w las przed sobą. - Miał w sobie prastarą magię, bardzo potężną. Przez to był jeszcze bardziej podatny na ich zło.

Ork kiwnął głową.

– Więc jest ich już więcej. - Brox instynktownie sięgnął ręką nad ramię, ale nie odnalazł ukochanego topora bojowego. - Nie mam czym walczyć.

– Zostaniesz uzbrojony. Szybko znajdź odłamaną gałąź długości twojej ulubionej broni. Malfurionie, będziesz mi potrzebny.

Brox prędko wykonał polecenie. Przyniósł półbogowi i nocnemu elfowi potężną gałąź, którą Cenarius polecił mu ułożyć przed Malfurionem.

– Uklęknij przed nią, uczniu. Ty też, wojowniku. Malfurionie, połóż dłonie na gałęzi, a potem pozwól orkowi ułożyć jego dłonie na twoich. - Kiedy to zrobili, władca lasu rozkazał: - Teraz, wojowniku, nie myśl o niczym prócz swojej broni. Myśl tylko niej! Mamy niewiele czasu. Malfurionie, musisz otworzyć umysł i pozwolić, aby przepłynęły do niego myśli Broxa. Kiedy tak się stanie, poprowadzę cię dalej.

Nocny elf wykonał polecenie. Oczyszczył umysł tak, jak wcześniej uczył go shan'do, a potem sięgnął nim ku orkowi.

Pierwotna siła natychmiast wtargnęła do jego umysłu. Malfurion prawie ją odrzucił, ale zaraz się uspokoił. Zaakceptował myśli Broxa i pozwolił,

aby obraz tego, o czym myślał wojownik, nabrał kształtów.

Widzisz oręż, mój uczniu?, usłyszał głos Cenarius. Czujesz jego dotyk, jego kształt?

Czuł. Czuł też więź orka z orężem, który stanowił dla niego coś więcej niż narzędzie - stanowił prawdziwe przedłużenie ramienia wojownika.

Przesuwaj dłońmi nad drewnem, cały czas mając w głowie obraz oręza. Podążaj za naturalną fakturą i nadawaj jej pożądany kształt...

Czując dłonie Broxa na swoich, nocny elf zaczął wodzić palcami po gałęzi. Czuł, jak mięknie pod jego dotykiem, a potem zmienia kształt.

Pod jego kierunkiem zmaterializował się topór o grubym ostrzu wykonany całkowicie z drewna. Malfurion patrzył, jak nabiera kształtów, czuł satysfakcję z tworzenia dobrej, solidnej broni, takiej jak ta, którą Brox utracił, gdy pojmały go nocne elfy...

Stęzał. To były emocje orka, nie jego. Odpychając je szybko od siebie, Malfurion skupił się na wykończeniu - krzywiźnie rękojeści, ostrzu żeleźca.

Gotowe, odezwał się Cenarius. Wróć do mnie...

Nocny elf i ork oderwali się od siebie. Przez krótką chwilę wpatrywali się sobie w oczy. Malfurion był ciekaw, czy Brox doświadczył jego własnych myśli, ale zielonoskóry stwór z niczym się nie zdradził.

Pomiędzy nimi leżała wypolerowana zrekonstruowana broń, za którą tęsknił Brox, choć nawet nocny elf miał wątpliwości, czy wytrzyma więcej niż jeden czy dwa ciosy.

W odpowiedzi władca lasu wyciągnął ręce - i nagle topór znalazł się w nich. Cenarius przyglądał się broni swoimi złotymi oczyma.

– Niech nigdy nie chybia celu, niech zawsze broni swojego pana. Niech służy słusznej sprawie, życiu i sprawiedliwości. Niech podwaja siły swojego pana i niech on potęguje jej moc.

Topór otoczyła błękitna poświata. Światłość wsiąkła w drewno, nadając tworowi Malfuriona połysk.

Półbóg podał topór orkowi.

– Jest twój. Będzie ci dobrze służył.

Siwiejący ork przyjął dar z wytrzeszczonymi ślepiami, po czym machnął nim kilka razy, aby go wypróbować.

– Wyważenie... idealne! Czuję się tak... jakby była przedłużeniem mojego ramienia! Ale pęknie...

– Nie - przerwał mu władca kniei. - Oprócz wkładu Malfuriona ma teraz moje błogosławieństwo. Przekonasz się, że jest bardziej wytrzymały niż jakikolwiek topór wykuty przez śmiertelników. Możesz mi zaufać.

Nocny elf nie sięgnął po broń, nie pragnął też otrzymać takiej, jaką dzierżył teraz Brox. Choć wiedział, że demoniczne bestie żywią się magią i czarodziejstwem, zdawał sobie sprawę, że ma większe szanse na wygraną dzięki zaklęciom, niż jakiejś broni, którą niezbyt dobrze władał. Miał już nawet kilka pomysłów, jak wykorzystać swoje talenty, aby nie ponieść porażki.

Trójka towarzyszy stawiała czoła nacierającemu wrogowi.



Koszmary nękające Rhonina powróciły, lecz tym razem były namacalne. Piekielne ogary, zwiastuni Płonącego Legionu, znalazły się już na śmiertelnym planie. Czy niekończące się szeregi rogatych, ognistych demonów mogły być daleko w tyle?

Krasus zdążył już zarazić rudowłosego czarodzieja obawą przed tym, co może się wydarzyć, jeśli którykolwiek z nich wywrze jakiś wpływ na

przeszłość. To, co mogło się wydawać zwycięstwem, mogło też oznaczać kres znanej im przyszłości. Aby ocalić życie tych, których kochał, wypadaloby, aby powstrzymał się w ogóle od działania.

Ale kiedy pierwsze ogary wypadły na polanę, tego rodzaju szlachetne pomysły natychmiast wywietrzały mu z głowy.

Grzmot przetoczył się nad półbogiem, gdy wyszedł na spotkanie piekielnym ogarom. Pod jego kopytami trzęsła się ziemia, miejscami tworzyły się w niej nawet szczeliny. Półbóg klasnął w dłonie i przebiegła między nimi błyskawica.

Z dłoni Cenariususa wyleciało ku najbliższemu demonowi coś, co przypominało miniaturowe słońce. Być może półbóg chciał tylko wypróbować przeciwnika, a może nie docenił jego odporności, gdyż ogar wyrzucił przed siebie obie macki i słońce, zamiast położyć go trupem... zostało wchłonięte przez żarłoczne wici demona. Piekielny ogar zawahał się, zadrżał... i nagle tam, gdzie stał jeden, pojawiły się dwa.

Skoczyły na rogatego władcę kniei, szarpiąc pazurami i starając się wysączyć z niego jego wielką magię. Cenarius złapał pierwszego i przytrzymał wysoko w powietrzu, gdzie wił się i kłapał paszczą, usiłując dosięgnąć półboga. Ale drugi przyssał mu się do ramienia mackami, szukając magii. Trójka walczących cofnęła się w bitewnym szale.

Nigdy tego nie robiły! Rhonin nie walczył jeszcze nigdy z piekielnymi ogarami, ale badał ich trupy i odczytywał ślady, jakie wokół nich zostały. Słyszał opowieści o tym, że ogary potrafią się mnożyć, ale tylko wtedy, gdy wcześniej objadły się magią, a nawet wtedy proces ten był ponoć powolny i trudny. *To musi być prastara magia półboga i puszczy... jest tak intensywna i potężna, że czyni te stwory jeszcze straszliwszymi...*

Wzdrygnął się, wiedząc, że magia zawsze była jego najskuteczniejszym narzędziem. Potrafił walczyć bronią konwencjonalną, owszem, ale nie miał

oreża i wąpił, by Cenarius mógł go nim teraz obdarować. Poza tym w starciu z tymi stworami miecz w jego ręku nie na wiele by się zdał. Rhonin potrzebował swojej magii.

Kiedy Cenarius umieścił jego i Krasusa wewnątrz pierścienia kwiatów, Rhonin odkrył, że nie jest w stanie rzucać żadnych zaklęć. Władca kniei nałożył na jego umysł czar, aby kontrolować moc obu swoich „gości”. Jednak Rhonin czuł, że zaklęcie zostało z niego zdjęte w chwili, w której Cenarius uświadomił sobie, że zagraża im niebezpieczeństwo. Półbóg nie miał wobec czarodzieja złych zamiarów - po prostu troszczył się o swój las i swój świat.

Ale nawet gdyby zlekceważył polecenie Krasusa, na co mogły mu się przydać zdolności magiczne? Demony z pewnością czyhały na jego magię, tak jak pożądały magii tylu innych czarodziejów wyspanych na wiór w przyszej wojnie z Legionem.

Bestie osaczały przeciwników, zbliżając się coraz bardziej do Rhonina. Z zaklęciem na końcu języka mag zacisnął dłonie w pięści.

Ale mimo to... nadal nic nie robił.



Gdy Cenarius zwarł się z bliźniaczymi ogarami, dwa kolejne zaatakowały Broxa. Rosły wojownik skoczył ku nim z okrzykiem wojennym, który sprawił, że jeden z nich zawahał się nieco. Ork wykorzystał to, zadając przeciwnikowi silny cios.

Magiczny topór wbił się głęboko w przednią łapę ogara, odrabując trzy szponiaste pazury z taką łatwością, jak gdyby ork przeciął powietrze.

Ohydna zielona ciecz, która u wielu demonów zastępowała krew, rozlała się po trawie, paląc jej źdźbła niczym kwas.

Ranny ogar zawył i zatoczył się w bok, ale jego towarzysz nie przerwał szarży i rzucił się na orka. Brox, usiłując odzyskać równowagę po zamachu, ledwo się przed nią obronił, dźgając końcem topora pierś skaczącego behemota. Z pyska bestii wyrwało się potworne sapnięcie, ale nie udało mu się jej powstrzymać. Spadła na orka, prawie miażdżąc go swoim ciężarem. Potwór, z którym musiał się zmierzyć nocny elf, wyciągnął ku niemu żarłocznie wampiryczne macki. Malfurion skoncentrował się, próbując myśleć tak, jak myślałby Cenarius, który nauczył go postrzegać naturę zarówno jako oręż, jak i towarzysza. Pamiętając przybycie półboga, Malfurion stworzył z wiatru ryczący cyklon, który natychmiast otoczył potworną bestię. Żyłaste macki zamachały dziko, szukając magii, ale zaklęcie Malfuriona wzmogło tylko siły drzemiące w wietrze, więc potwór nie znalazł niczego, czym mógłby się pożywić. Machnięciem prawej ręki nocny elf poprosił otaczające ich drzewa o dar ze zbędnych liści. Potrzebował tylko tych najmocniejszych, ale w dużej ilości i to szybko. Z koron niebosiężnych strażników spadły ich setki, tyle, ile każdy mógł dać. Malfurion natychmiast wykorzystał wietrzyk, aby zaniósł je ku wirowi.

Wewnątrz ogar parł naprzód, niepowstrzymanie zbliżając się do upatrzonej ofiary. Cyklon nadążał za każdym jej krokiem, tak że demon cały czas znajdował się w jego środku.

Liście wlały się do wnętrza trąby powietrznej, wirując coraz szybciej i szybciej, coraz liczniej i liczniej. Początkowo bestia nie zwracała na nie uwagi, bo czymże było kilka miotanych wiatrem śmieci dla potężnego demona, ale zaraz pierwsza ostra krawędź drasnęła ją w pysk, utaczając krwi.

Rozwścieczony demon zamachnął się na liść, ale kilka kolejnych zacięło go w łapę, nogi i tors. Ostre brzegi każdego z niesionych wiatrem - teraz po stokroć silniejszym - liści działały jak naostrzone klingi, tnąc i siekąc skórę ogara. Zielonkawa posoka trysnęła na ciało demona, wsiąkając w futro i zalewając mu oczy.

Cenarius i bestie, które go zaatakowały, walczyli teraz z dala od pozostałych. Wrzaskom demonów wtórowały majestatyczne ryki władcy lasu. Półbóg chwycił przednią łapę piekielnego ogara, która się w niego wczepiła, i złamał ją pojedynczym szarpnięciem. Demon zawył, a jego macki wypuściły zdobycz, miotając się z bólu na wszystkie strony.

Pozbywszy się na chwilę jednego zagrożenia, Cenarius zajął się drugim. Na jego obliczu malowało się mroczne zadziwienie, oczy miotały gromy. Nagle wystrzeliła z nich iskra, która otoczyła trzymanego na dystans demona. Macki śliniącego się stwora pomknęły chciwie ku światłu, spijając je łapczywie.

Ale to nie z maga czy czarodzieja starały się wysączyć magię. Cenarius, otoczony teraz przerażającą błękitną poświatą, nie przerywał ataku, karmiąc wroga i dając mu to, czego pragnął... ale zbyt szybko i w takiej obfitości, że nawet demon nie był w stanie wszystkiego wchłonąć.

Piekielny ogar napęczniał, nadymając się jak napełniany szybko bukłak. Przez chwilę wyglądał tak, jak gdyby miał się podzielić, ale siły, które pochłonał, były zbyt wielkie, by mógł sobie z nimi poradzić. Monstrualny ogar eksplodował, opadając na polanę deszczem strzępków śmierdzącego mięsa.



Do tej pory Rhonin miał szczęście. Nie zaatakował go żaden z piekielnych ogarów. Stał na środku pierścienia w nadziei, że jego moc uchroni go przed koniecznością podjęcia decyzji, czy użyć swoich umiejętności, czy nie.

Patrzył, jak Brox broni się przed stworem, który prawie go zmiażdżył. Zaprawiony w bojach wojownik wydawał się radzić sobie z dwoma przeciwnikami. Ale kiedy tak obserwował orka, do głowy przyszła mu straszna myśl. Rhonin zdawał sobie sprawę, że jeśli on i Krasus nie będą mogli wrócić do własnego czasu, może będzie najlepiej, jeśli obaj zostaną jak najszybciej zabici, aby zapobiec zmianom w historii, jakie mogliby wywołać. Jednak żaden z nich nie wziął pod uwagę tego, że wraz z nimi trafił w przeszłość orczy wojownik.

Wpatrując się w plecy Broxa, Rhonin zaczął się zastanawiać nad innym rodzajem zaklęcia. W ogniu walki mogło umknąć pozostałym, a wyeliminowałyby kolejne zagrożenie dla biegu wydarzeń. Krasus uzna, że podjął właściwą decyzję, że Brox, nawet bardziej niż demony, stanowi zagrożenie dla istnienia świata.

Ale dłoń czarodzieja zawisła w powietrzu, a powstający w umyśle czar został zepchnięty w mroczne zakamarki umysłu. Rhonin zawstydził się. Orki były wartościowymi sojusznikami, a Brox bronił nie tylko siebie, ale i innych, także czarodzieja.

To wszystko, co mówił Krasus, podpowiadało Rhoninowi, żeby skończyć szybko z Broxem, a później martwić się o konsekwencje, ale im dłużej przyglądał się orkowi walczącemu ramię w ramię z nocnym elfem - przedstawicielem kolejnej rasy wchodzącej w przyszłości w skład sojuszu - tym bardziej żałował momentu szaleństwa. To, nad czym się zastanawiał, wydało mu się równie potworne jak okropności, jakich dopuszczał się w jego czasach Płonący Legion.

Ale mag nie mógł już dłużej stać beczynnym...

– Przykro mi, Krasusie - wymamrotał, przywołując w myślach nowe zaklęcie. - Naprawdę mi przykro.

Zakapturzony mag wziął głęboki oddech, patrząc spod zmarszczonych brwi na jedną z bestii zmagających się z orkiem. Przypominał sobie inkantację, które pomogły mu podczas starć z Plagą i innymi nieludzkimi sługami Legionu. Będzie musiał to zrobić w taki sposób, aby ogary nie miały czasu wchłonąć mocy jego zaklęcia.

Daleko z prawej Cenarius zdołał wreszcie oderwać od siebie drugiego napastnika. Z bezwładną przednią łapą demon nie był w stanie się utrzymać. Napinając mięśnie, półbóg odchylił się w tył, uniósł bestię nad głowę i z rykiem triumfu cisnął ją wysoko ponad czubki drzew, daleko w oczekujący las.

Rhonin rzucił swoje zaklęcie.

Miał nadzieję, że uda mu się posłać w kierunku demonów niszczący podmuch, który osłabi je na tyle, żeby Brox zdołał dokończyć dzieła. Ale to, co udało mu się osiągnąć, przeszło najśmielsze oczekiwania maga.

Przed nim zmaterializowała się niewidzialna, grzmiąca ściana mocy, która pomknęła jak wiatr w stronę celu, wprawiająca powietrze w dzikie falowanie. Pędząc naprzód rozszerzała się, w mgnieniu oka zajmując całą powierzchnię polany.

Minęła Broxa i Malfurioną, nie wyrządzając im najmniejszej krzywdy, ale dla trzech dzikich demonów, które znalazły się na jej drodze, nie miała litości. Bestie nie zdążyły zareagować, nie zdążyły wykorzystać swoich żarłocznych macek. Były niczym komary w szalejącej poźodze.

Kiedy ściana siły przeszła przez nie, demony obróciły się w popiół. Pochłonięte przez zaklęcie, opadły na ziemię chmurą prochu. Jedna zdołała

wydać z siebie krótki ryk, ale później jedynym dźwiękiem był szum wiatru, który porwał ku niebu szczątki niszczycielskich potworów.

Na polanie zapanowała cisza.

Brox opuścił topór i z całkowitym niedowierzaniem rozdziawił szerokie usta, ukazując sterczące kły. Malfurion wpatrywał się we własne dłonie, jak gdyby to one tego dokonały, a potem obrócił się w stronę Cenariusza, myśląc, że to zasługa półboga.

Rhonin musiał zamrugać kilka razy, żeby przekonać samego siebie, iż to, czego był świadkiem, nie tylko wydarzyło się naprawdę, ale było jego dziełem. Czarodziej poniewczasie przypomniał sobie krótkie starcie z uzbrojonymi nocnymi elfami, podczas którego Krasus okazał się niepokojąco słaby, zaś on sam dokonał rzeczy, jakich nigdy się po sobie nie spodziewał.

Ale jakkolwiek satysfakcję z odniesionego zwycięstwa przyćmił natychmiast ból, który przeszył go zniechęca. Czuł, że jest rozrywany od środka, jak gdyby coś wysysało z niego duszę...

Wysysało? Pomimo strasznego cierpienia Rhonin rozumiał doskonale, co się stało. Jeszcze jeden ogar zaszedł go niepostrzeżenie od tyłu i szukał źródła magii, które mógłby zaatakować.

Rhonin przypomniał sobie, co się stało z czarodziejami pochwyconymi przez demony. Przypomniał sobie przerażające łupiny, które przewieziono do Dalaranu, aby mógł je zbadać.

A on miał się stać jedną z nich...

Lecz choć ukląkł na jedno kolano, buntował się. Dzięki mocy, jaką władał, na pewno uda mu się uciec pasożytniczej bestii!

Uciec... tylko ta jedna myśl kołatała się w przeszywanym bólem umyśle maga. Uciec... Chciał tylko uciec przed agonią, znaleźć się gdzieś, gdzie będzie bezpieczny.

Jak przez mgłę słyszał głosy orka i nocnego elfa. Jego strach udzielił się im. Dzięki temu, co z niego wyszło, ogar bez trudu się z nimi rozprawi.

Uciec... to wszystko, na czym zależało Rhoninowi. Dokądkolwiek...

Nagle ból ustąpił, zastąpiony ciężką, acz przyjemną drętwotą, która rozeszła się po całym ciele. Rhonin przyjął tę zaskakującą zmianę z wdzięcznością, pozwalając, by odrętwienie przejęło nad nim kontrolę.

Pochłonęło go w całości.



Tyrande nie po raz pierwszy przemykała cichymi korytarzami wielkiej świątyni, mijając niezliczone komnaty śpiących akolitek, pokoje medytacji i miejsca publicznego kultu. Zmierzała ku oknu obok głównego wyjścia. Jasne słońce prawie ją oślepiło, ale zdołała omieść wzrokiem pusty plac na zewnątrz, szukając tego, który nie wracał.

Gdy tylko wyjrzała przez okno, brzęk metalu ostrzegł ją przed zbliżającą się wartowniczką. Surowa mina nocnej elfki złagodniała na widok Tyrande.

– To znowu ty! Siostrze Tyrande... naprawdę powinnaś zostać w swojej komnacie i trochę się przespać. Od kilku dni prawie nie odpoczywałaś, możesz sobie zaszkodzić. Twojemu przyjacielowi nic się nie stanie. Jestem tego pewna.

Strażniczka miała na myśli Illidana, o którego Tyrande też się martwiła, ale tak naprawdę obawiała się, że kiedy Illidan wróci, będzie włókł za sobą brata i nieszczęsnego orka. Nie wierzyła, by bliźniak Malfuriona mógł go zdradzić, ale jeśli lord Ravencrest pojmie zbiegów, cóż mu pozostanie, jak tylko pogodzić się z sytuacją?

– Nie mogę nic na to poradzić. Jestem taka niespokojna, siostrze. Proszę, wybacz mi.

Wartowniczką uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Mam nadzieję, że zdaje sobie sprawę, jak bardzo ci na nim zależy. Już niedługo będziesz chyba musiała dokonać wyboru?

Tyrande przejęła się słowami elfki bardziej, niż dała to po sobie poznać. Jej myśli i zachowania od chwili, gdy całą trójką uwolnili Broxigara, wyraźnie wskazywały na to, którego brata woli, ale na razie sama nie mogła w to uwierzyć. Nie, jej niepokój był podyktowany wyłącznie troską o przyjaciela z dzieciństwa.

Na pewno...

Zza okna dobiegł ostry szczęk metalu i syki nocnych panter. Tyrande natychmiast minęła rozbawioną wartowniczkę, biegnąc ku schodom prowadzącym na zewnątrz świątyni Elune.

Na plac wjechał nieco przykurzony oddział lorda Ravencresta. Sam szlachcic wydawał się spokojny, a nawet bardzo z czegoś zadowolony, ale wielu jego żołnierzy miało posępne miny i cały czas popatrywali po sobie, jak gdyby dzielili jakiś mroczny sekret.

Nigdzie nie zauważyła ani Malfuriona, ani Broxigara.

Prawie schowany za lordem Ravencrestem jechał wyprostowany dumnie Illidan. Wyglądał na najbardziej zadowolonego z całej grupy, a jeśli to zadowolenie było spowodowane ocaleniem brata przed pojmaniem, Tyrande nie mogła go za to winić.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, młoda kapłanka zeszła na ulicę. Jej obecność zwróciła uwagę lorda Ravencresta, który uśmiechnął się łaskawie i wskazał ją Illidanowi. Brodaty dowódca wyszeptał coś do brata Malfuriona, po czym uniósł rękę.

Żołnierze zatrzymali się. Illidan i Ravencrest skierowali swoje wierzchowce w jej stronę.

– Kogóż my tu widzimy, jeśli nie najbardziej uroczą z oddanych służek Księżycowej Matki! - zaczął dowódca. - To ciekawe, że czekasz na nasz powrót o tak późnej porze! - Zerknął na Illidana, na którego twarzy odmalowało się zawstydzenie. - Bardzo interesujące, nie sądzisz?

– Tak, panie.

– Spieszmy do Gawroniej Twierdzy, siostrze, ale chyba mogę dać wam chwilę cennego czasu, co?

Tyrande poczuła, że się rumieni, ale Ravencrest skierował już swoją panterę w stronę reszty drużyny. Illidan szybko zeskoczył na ziemię, podszedł do niej i ujął jej dłonie.

– Są bezpieczni, Tyrande... a lord Ravencrest wziął mnie pod swoje skrzydła! Walczyliśmy z przerażającą bestią, a ja obroniłem go przed nią! Zabiłem ją moją własną mocą!

– Malfurion uciekł? Jesteś tego pewny?

– Oczywiście, oczywiście - potwierdził z ekscytacją, machnięciem ręki zbywając pytania o brata. - W końcu odnalazłem moje przeznaczenie, rozumiesz? Księżycowa Gwardia całkowicie mnie lekceważyła, ale ja uśmierciłem potwora, który zabił trzech ich magów, w tym jednego ze starszych!

Chciała usłyszeć, co wie o Malfurionie i o orku, ale było jasne, że jest całkowicie pochłonięty własnym sukcesem. Tyrande potrafiła to docenić, zwłaszcza że patrzyła, jak ciężko i bezskutecznie pracuje na wspaniałą przyszłość, którą tyłu mu przepowiadało.

– Bardzo się cieszę. Obawiałam się, że denerwuje cię tempo nauk Cenariusza, ale skoro dzięki nim udało ci się ocalić lorda Ravencresta tam, gdzie jego własni żołnierze...

– Nie rozumiesz! Nie użyłem tych wolnych, kłopotliwych zaklęć, które shan'do Malfuriona tyle razy próbował nam pokazać! Użyłem dobrej, tradycyjnej magii nocnych elfów i to w dzień! To było wspaniałe uczucie!

Szybkość, z jaką wyrzekł się magii druidycznej nie była dla Tyrande aż tak wielkim zaskoczeniem. Z jednej strony cieszyła się, że tak świetnie poradził sobie w tej dramatycznej sytuacji. Z drugiej była to kolejna oznaka różnic narastających między bliźniakami. I kolejny powód do przemyśleń dla jej już i tak znękanego umysłu. Za plecami Illidana lord Ravencrest odchrząknął uprzejmie.

Brat Malfuriona ożywił się jeszcze bardziej.

– Muszę jechać, Tyrande! Pokażą mi moje miejsce w Twierdzy, a potem mam pomóc w zorganizowaniu większego oddziału, który przywiezie z lasu martwe bestie i wszystkie ciała!

– Ciała? - Dotarło do niej, że kilku członków Księżycowej Gwardii zostało zabitych przez potwora, ale dopiero teraz zauważyła, że powróciła tylko drużyna Ravencresta. Oddział, który jako pierwszy wyruszył w pościg za Malfurionem, został wymordowany.

Wzdrygnęła się z przerażenia... przede wszystkim ze strachu o Malfuriona, który też tam był.

– Pozostałe stwory wybiły pościg prawie do nogi, Tyrande, nie rozumiesz? - Głos Illidana zabrzmiał niemal radośnie. Nie zwracał uwagi na rosnące przerażenie na jej twarzy. - Czarodzieje zginęli prawie natychmiast, w żaden sposób nie pomogli pozostałym. Tylko dwóch wojowników przeżyło walkę z nimi, a ja zabiłem jednego ze stworów dwoma krótkimi zaklęciami! - Wypiął pierś. - A były to potwory żywiące się magią!

Szlachcic ponownie kaszlnął. Illidan szybko uniósł jej dłonie do ust i pocałował je lekko. Potem wypuścił Tyrande i wskoczył z powrotem na

grzbiet nocnej pantery.

– Chciałem być ciebie godzin - wyszeptał nagle. - I wkrótce będę.

To powiedziawszy, zawrócił kota i ruszył ku czekającemu dowódcy. Ravencrest klepnął go po przyjacielsku w plecy, a potem spojrział przez ramię na kapłankę. Szlachcic nachylił głowę ku Illidanowi i mrugnął do niego.

Na oczach Tyrande, wciąż oszołomionej tym, co usłyszała, uzbrojony oddział odjechał w kierunku Gawroniej Twierdzy. Illidan, zanim zniknął, obejrzał się po raz ostatni i wbił intensywne spojrzenie złotych oczu w przyjaciółkę z dzieciennych lat. Tyrande bez trudu wyczytała z nich, czego pragnie.

Zebrawszy ciaśniej szatę, ruszyła szybkim krokiem ku świątyni. Tuż przy wejściu natknęła się na tę samą strażniczkę, z którą rozmawiała wcześniej.

– Wybacz mi, siostro! Przypadkiem usłyszałam waszą rozmowę. Oplakuję los tych, którzy stracili życie w daremnym pościgu, ale chcę też pogratulować wspaniałej przyszłości, jaka czeka twojego przyjaciela! Lord Ravencrest musi go bardzo szanować, skoro tak chętnie przyjął go pod swoje skrzydła! Trudno o lepszy wybór, prawda?

– Tak... chyba tak. - Kiedy uświadomiła sobie, jak to zabrzmiało, dodała szybko: - Wybacz mi siostro, obawiam się, że zmęczenie wreszcie mnie dopadło. Chyba powinnam wrócić do łóżka.

– To zrozumiałe, siostro. Przynajmniej wiesz, że czekają cię miłe sny...

Ale wracając do swojej komnaty Tyrande podejrzewała, że jej sny nie będą należeć do przyjemnych. To prawda, cieszyła się, że Malfurionowi i Broxigarowi udało się uciec, i że nikt nie łączył Malfuriona z ucieczką orka. Cieszyła się też, że Illidan wreszcie odnalazł, siebie, choć obawiała się, że to już nigdy nie nastąpi. Jednak martwiło ją teraz to, że Illidan, jak

się wydawało, podjął już decyzję odnośnie ich dwojga, podczas gdy ona jeszcze tego nie zrobiła. W tym równaniu musiała jeszcze uwzględnić Malfuriona.

Oczywiście wszystko zależało od tego, czy Malfurionowi uda się ukryć przed czujnym okiem Księżycowej Gwardii i lorda Ravencresta. Jeśli jedni albo drudzy odkryją prawdę, będzie to dla niego oznaczało Gawronią Twierdzę.

A stamtąd nawet Illidan nie będzie go w stanie wyciągnąć.



Drzewa, listowie, nic nie zatrzymywało spadającej bestii. Demoniczny ogar wyrzucony w powietrze przez półboga nie był w stanie się uratować.

Ale zrzucenie kapryśnego losu dokonało tego, co wydawało się niemożliwe. Cenarius cisnął nikczemnego przeciwnika najdalej jak potrafił, zakładając, że upadek załatwi resztę. Gdyby bestia wylądowała na kamieniach lub ziemi, albo zderzyła się mocno z pniem jednego z najpotężniejszych dębów, zginęłaby na miejscu.

Cięnięty przez władcę kniei stwór runął jednak do jeziora tak głębokiego, że nawet przy prędkości, z jaką spadał, nie uderzył o dno.

Podróż ku powierzchni prawie dokonała tego, czego nie spowodował upadek, ale demon zdołał się wyczołgać na brzeg. Z jedną łapą zwisającą bezwładnie, piekielny ogar skrył się w ocienionej niecce, gdzie przez kilka minut dochodził do siebie.

Kiedy demon odzyskał siły na tyle, na ile pozwalały mu obrażenia, wciągnął powietrze w nozdrza, węsząc. Gdy tylko zwietrzył to, czego szukał, stęzał. Ranny potwór z trudem, ale zdecydowanie ruszył w stronę

źródła zapachu. Nawet z oddali wyczuwał moc emanującą ze Studni Wieczności. Tam odnajdzie magię, której potrzebował, aby ozdrowieć, magię, która umożliwi zrośnięcie się złamanej kończyny.

Piekielne ogary nie były prymitywnymi stworzeniami, za jakie mieli je nawet Brox i Rhonin, którzy zetknęli się z nimi podczas wojny. Żadna istota służąca panu Płonącego Legionu nie była pozbawiona pewnego sprytu, może z wyjątkiem niszczycielskich olbrzymów zwanych infernalami. Demoniczne ogary stanowiły część swojego pana, to, czego się dowiedziały, docierało również do Hakkara.

I to właśnie od pojedynczej bestii, która przeżyła, Łowczy miał się wiele dowiedzieć o tych, którzy mogli przeszkodzić w nadejściu Legionu...

SZESNAŚCIE



Już czas.

Powrót Alexstraszy zaskoczył Krasusa. Smoczy mag pogrążył się w tak głębokiej zadumie, że przestał zauważać upływ minut i godzin. Naprawdę nie miał pojęcia, jak długo czekał na jej powrót.

– Jestem gotowy.

Pochyliła się i wsadziła go sobie na kark. Idąc z gracją prastarymi korytarzami wykutymi przez pokolenia czerwonych smoków, Alexstrasza dotarła wkrótce do smaganego wiatrem wylotu tunelu, z którego roztaczał się widok na spowity chmurami krajobraz. Była to kraina czerwonych smoków, zapierająca dech w piersiach panorama dumnych górskich szczytów zwieńczonych czapami wiecznego śniegu i osnutych pasmami mgły. Krasus wiedział doskonale, jak wysoko musi leżeć górski dom jego klanu, skoro większość chmur płynęła pod nimi. W swojej nadwątlonej pamięci znalazł wspomnienie majestatu tej krainy, wielkie doliny wydrążone przez lód i upływ czasu, poszarpane zbocza każdej góry.

Nagle zachwiał się - rozrzedzone powietrze nie służyło jego znękanemu ciału. Alexstrasza użyła skrzydeł, aby uchronić go przed upadkiem.

– Może lepiej będzie, jeśli zostaniesz - podsunęła z niepokojem w głosie.

Ale tak samo raptownie, jak prawie się przewrócił, Krasus odczuł nagły przypływ sił.

– Mam nadzieję... że nie jestem spóźniony.

Człapiący ku swojej partnerce Korialstrasz początkowo wyglądał prawie tak, jak czuł się przed chwilą czarodziej. Ale teraz samiec poruszał się tak, jak gdyby otrzymał niespodziewanie zastrzyk energii. Jego pysk stracił mizerny wyraz.

– Nie jesteś. Czujesz się na siłach wyruszyć w podróż?

– Aż do tej chwili myślałem, że raczej nie... ale chyba znów czuję się lepiej. - Przesunął wzrokiem z Alexstraszy na Krasusa i z powrotem, jak gdyby domyślał się powodu nagłego powrotu do zdrowia, ale nie potrafił go zaakceptować.

Smocza królowa przekazała Krasusa swojemu oblubieńcowi. Gdy tylko mag dotknął swojego młodszego ja, poczuł się jeszcze lepiej. Bezpośredni kontakt z Korialstraszem sprawił, że znów poczuł się prawie całością.

Prawie.

– Siedzisz wygodnie? - zapytał go samiec.

– Tak.

Alexstrasza zrobiła krok naprzód, rozpostarła ogromne skrzydła i skoczyła. Zanurkowała w dół i zniknęła w chmurach. Korialstrasz podszedł do krawędzi urwiska, dzięki czemu jego pasażer miał jeszcze lepszy widok na niesamowity krajobraz, po czym wzbił się w powietrze.

Najpierw spadli kilka jardów, wlatując w obłoki, ale potem Korialstrasz złapał wiatr i para poszybowała w górę. Poprzez mgłę Krasus zobaczył, że Alexstrasza jest już daleko przed nimi. Jednak leciała na tyle wolno, że jej oblubieniec szybko ją dogonił.

– Wszystko w porządku? - ryknęła, kierując pytanie do obu towarzyszy.

Krasus kiwnął głową, a Korialstrasz odpowiedział twierdząco. Królowa smoków popatrzyła przed siebie i więcej się nie odzywała.

Lot, nawet na cudzym grzbiecie, wprowadził maga w upojenie. Został do tego stworzony, co czyniło jego obecną sytuację jeszcze trudniejszą do zaakceptowania. Był smokiem! Jednym z władców nieba! Nie powinien być skazany na tak nędzną egzystencję...

Mijali górę za górą, lecąc przez grubą pokrywę chmur nad niebosiężnymi szczytami. Śmiertelne ciało Krasusa odczuwało zimno, ale był tak zafascynowany, że prawie tego nie zauważał.

Dwa ogromne smoki z najwyższą elegancją ominęły szpiczasty szczyt, a potem opadły w dół ku rozległej dolinie w środku łańcucha. Krasus starał się cokolwiek dostrzec, ale bezskutecznie. Czuł jednak, że są blisko celu.

– Trzymaj się mocno! - zawołał Korialstrasz.

Zanim Krasus zdążył zapytać dlaczego, poziom, na który opadł smok, zafalował. Powietrze marszczyło się jak powierzchnia stawu, do którego ktoś wrzucił kamień. W pierwszej chwili Krasus przestraszył się, że anomalia, która sprowadziła ich w te czasy, znów się pojawiła, ale zaraz zauważył, z jaką ochotą jego wierzchołek kieruje się w stronę zjawiska. Przed nimi Alexstrasza spokojnie wleciała w gigantyczną zmarszczkę - i zniknęła.

Z mrocznej otchłani umysłu Krasusa wypłynęły niechętnie na powierzchnię dawne wspomnienia, wspomnienia innych czasów, kiedy jako smok chętnie rzucał się w środek tego czegoś. Krasus napiął mięśnie, przypominając sobie doznania, jakich doświadczy, gdy Korialstrasz pójdzie w ślady królowej.

Wlecieli.

Każdy cal ciała maga został naelektryzowane Łaskotały go nerwy. Miał wrażenie, że stał się częścią nieba, dzieckiem gromu i błyskawicy.

Pragnienie wzbicia się samemu w powietrze stało się jeszcze bardziej palące. Z trudem powstrzymał się przed skoczeniem z grzbietu swojego wierzchowca w chmury i wiatr.

Wrażenie minęło, ustając tak nieoczekiwanie, że Krasus musiał złapać się mocniej Korialstrasza, aby utrzymać równowagę. Zamrugął, odczuwając silny związek z ziemią i własną śmiertelność. Ta zmiana perspektywy była tak przytłaczająca, że nie zauważył od razu, gdzie się znaleźli.

Unosili się w powietrzu w pieczarze tak ogromnej, że nawet Alexstrasza przypominała w niej komara. W środku zmieściłyby się całe królestwa otoczone falującymi pagórkami i uprawnymi polami. Nawet wtedy zostałyby jeszcze miejsce na o wiele, wiele więcej.

Ale nie była to po prostu pieczara ogromnych rozmiarów, gdyż inne cechy - a raczej ich brak - wskazywały na miejsce niezwykle. Ściany miała wygładzone do tego stopnia, że gdyby przyłożyć dłoń do skały i przesunąć nią, nie byłoby żadnego tarcia, żadnego oporu. Ciągnęły się aż do ziemi, ogromnego, płaskiego koła, które, gdyby je zmierzyć, byłoby idealnie okrągłe.

Podłoże było tu jedyną płaską powierzchnią, gdyż ściany zbiegały się w górze, tworząc kulistą komnatę pozbawioną jakichkolwiek mineralnych wykwitów. Z góry nie zwisały groźnie żadne stalaktyty, a z ziemi nie wystrzelały żadne stalagmity. Nie było tu żadnych szczelin, nawet najdrobniejszego pęknięcia. Jaskinia, w której Krasus rozpoznał wreszcie Komnatę Aspektów, nie miała ani jednej skazy.

Komnata istniała już od dawna jeszcze zanim pojawiły się smoki. Podobno to właśnie tutaj, w tym świętym miejscu, stwórcy ukształtowali świat i pozwolili mu rosnąć, dopóki nie był gotowy, aby potem umieścić go w kosmosie. Nawet wielkie smoki nie mogły kwestionować prawdziwości

tej opowieści, gdyż znając tylko magiczne wejście do pieczary, które odkryły przed wiekami przez czysty przypadek, nie mogły nawet mieć pewności, czy jaskinia znajduje się na śmiertelnym planie. Wszystkie próby sforsowania ścian okazały się zupełnie bezskuteczne i Aspekty już dawno dały za wygraną.

Tajemnicę niesamowitej pieczary potęgowało jeszcze złote oświetlenie, przyjemny blask nie posiadający źródła. Krasus pamiętał, że eksperymenty prowadzone przez smoki nie były w stanie dowieść, czy blask znika, gdy komnata jest pusta, czy może jest wieczny, ale wszyscy, którzy dostawali się do środka, czuli się tu mile widziani, jak gdyby blask pełnił rolę wartownika.

Kiedy Korialstrasz opadał w dół, Krasus zdał sobie nagle sprawę, że pomimo luk w pamięci pamięta to święte miejsce bardzo wyraźnie. Mówiło to coś o Komnacie Aspektów - wiązały się z nim wspomnienia, które nie mogły się zatrzeć, ani zblaknąć.

Dwa czerwone lewiatany wylądowały na skalnym podłożu, rozglądając się wokoło. Było jasne, że żaden z pozostałych jeszcze nie przybył.

– Rozmawiałaś z każdym z osobna? - zapytał Korialstrasz.

Królowa Życia potrząsnęła majestatycznym łbem.

– Tylko z Yserą. Powiedziała, że porozumie się z pozostałymi.

– I zrobiłam, co mogłam - odpowiedział prawie senny, ale zdecydowanie żeński głos.

W pewnej odległości za nimi pojawiła się nagle niewyraźna szmaragdowa postać. Nie zestaliła się do końca, ale Krasus zdołał rozpoznać w niej wiotką, eteryczną smoczycę prawie równą wzrostem Alexstraszy. Postać była otoczona przez mgiełkę, ale widział ją na tyle wyraźnie, żeby zauważyć, że oczy ma cały czas zamknięte, nawet kiedy mówi.

Pozostałe smoki pochyliły głowy, witając ją z szacunkiem.

– Cieszę się, że tak szybko przybyłaś, dobra Ysero - powiedziała Alexstrasza.

Ta od Śnienia, bo tak brzmiało drugie imię, pod jakim znał ją Krasus, odpowiedziała pochyleniem łba. Potem odwróciła głowę w stronę pary towarzyszącej smoczycy i choć nie uniosła powiek, Krasus poczuł na sobie jej przenikliwy wzrok.

– Przybyłam, bo jesteś moją siostrą, moją przyjaciółką. Przybyłam, ponieważ nie prosiłabyś o spotkanie, gdybyś nie miała ku temu ważnych powodów.

– A pozostali?

– Tylko z Nozdormu nie udało mi się nawiązać bezpośredniego kontaktu. Znasz jego zwyczaje. Byłam zmuszona porozumieć się z jednym z jego sług, który zapewnił, że zrobi co w jego mocy, aby powiadomić swojego pana... to wszystko, co udało mi się osiągnąć.

Alexstrasza kiwnęła głową z wdzięcznością, ale nie potrafiła ukryć swojego rozczarowania.

– W takim razie, nawet jeśli przybędą pozostali, nie będziemy mogli podjąć ostatecznej decyzji.

– Wieczny może jeszcze do nas dołączyć.

Krasus, wciąż tkwiący na karku swojego młodszego wcielenia, brak kontaktu z Nozdormu przyjął za złą monetę. Rozumiał złożoność natury Wiecznego, który był przeszłością, teraźniejszością i przyszłością... całą historią. Ze wszystkich pozostałych to właśnie z nim miał w skrytości ducha nadzieję się spotkać, licząc na to, że Nozdormu odeśle dwóch zabłąkanych podróżników do ich własnej epoki, rozwiązując bezboleśnie cały ten galimatias.

Bez tej nadziei Krasus znów musiał brać pod uwagę drugie rozwiązanie - mogło się okazać, że aby ocalić czas, Aspekty będą musiały wyeliminować Rhonina i jego, Krasusa.

Nagle w górze w oślepiającym rozbłysku czerwonych błyskawic rozpętała się elektryczna burza, która z furią runęła w dół. Kiedy opadła na posadzkę, eksplodowała wielobarwną tęczą barw, po czym rozciągnęła się, tworząc jakąś postać.

Kiedy wypaliły się ostatnie fajerwerki, w miejscu przelotnej, acz oszałamiającej nawałnicy stał wysoki, lśniący smok, którego ciało wydawało się częściowo kryształowe, a częściowo lodowe. Jak na smoka miał całkiem wesołą minę, jak gdyby stworzony przez niego spektakl cieszył go bardziej niż tych, którzy mu się przyglądali.

– Witaj, Malygosie - powiedziała uprzejmie Alexstrasza.

– To wielka przyjemność móc cię widzieć, Królowo Życia! - Błyszczący behemot zaśmiał się serdecznie. - I ciebie też, mój piękny śnie!

Ysera skinęła w milczeniu głową, przez jej pysk przemknął cień rozbawienia.

– Jak się ma twoje królestwo? - zapytała czerwona królowa.

– Tak wspaniale, jak tylko mógłbym sobie życzyć! Pełne jasności, pełne kolorów, pełne młodości!

– Być może Stwórcy powinni byli uczynić cię Ojcem Życia zamiast Strażnikiem Magii, Malygosie!

– Interesujący pomysł! Może porozmawiamy o tym innym razem! - Znów się roześmiał.

– Źle się czujesz? - zapytał Korialstrasz Krasusa, który na widok przybysza zeszywniał z przerażenia.

– Nic mi nie jest. Po prostu chciałem usiąść wygodniej. - Drobną postać cieszyła się, że Korialstrasz nie widzi wyrazu jej twarzy. Im dłużej mag

przyglądał się i przysłuchiwał Malygosowi, tym bardziej żałował, że musi zataić, nawet przed Aspektami, pełną prawdę o przyszłości.

Co byś powiedział, Strażniku Magii, gdybyś wiedział, jaki los cię czeka? Zdrada, szaleństwo, opustoszała, skuta lodem kraina...

Krasus nie mógł sobie przypomnieć wszystkiego, co wiedział o przyszłości Malygosa, ale pamiętał wystarczająco dużo, aby rozumieć i opłakiwać jego tragedię. Mimo to po raz kolejny nie był w stanie zdobyć się na ostrzeżenie mieniącego się lewiatana.

– Czy to ten, któremu zawdzięczamy to spotkanie? - zapytał Malygos, kierując błyszczące oczy na Krasusa.

– Tak - odparła Alexstrasza.

Strażnik Magii wciągnął powietrze w nozdrza.

– Ma na sobie nasz zapach, ale może to być efekt przebywania tak blisko twojego oblubieńca. Nie jestem pewny. Wyczuwam też wokół niego prastarą magię. Czy rzucono na niego jakieś zaklęcie?

– Pozwolimy, aby sam opowiedział nam swoją historię - odparła Alexstrasza, oszczędzając Krasusowi przesłuchania. - Kiedy przybędą pozostali.

– Jeden właśnie przybywa - oznajmiła mądrze Ysera.

Sklepienie nad nimi zafalowało, a potem zadrgało. Wielka skrzydlata postać zmaterializowała się, a potem poszybowała majestatycznie w dół, okrążając dwukrotnie pieczarę. Pozostałe Aspekty zamilkły z szacunkiem, obserwując zbliżający się kształt.

Czarny jak noc skrzydlaty behemot dorównywał pozostałym rozmiarami, a postawę miał tak szlachetną, jak wizerunki smoków na obrazach. Grzbiet i boki przybysza podkreślały cienkie żyłki srebra i złota biegnące od przodu ku tyłowi, a spomiędzy łusek rzucały błyski diamenty i inne szlachetne kamienie osadzone naturalnie w jego skórze.

Nowoprzybyły emanował pierwotną mocą, mocą świata w jego najbardziej dziewiczej postaci.

Wylądował zaraz za resztą, składając elegancko na grzbiecie ogromne, błoniaste skrzydła.

– Wezwaliście mnie, więc przybyłem - powiedział głębokim, wyraźnym głosem. - Zawsze z przyjemnością spotykam się z moją przyjaciółką, Alexstraszą.

– A ja cieszę się z twojego przybycia, drogi Neltharionie.

Wcześniej Krasus starał się nie reagować na obecność Malygosa. Teraz ze wszystkich sił powstrzymywał drżenie, usiłując nie zdradzić się z tym, co czuje do nowego przybysza. Ale podczas gdy jego wcześniejsze reakcje wpływały ze świadomości smutnego losu, jaki czekał Strażnika Magii, teraz Krasus martwił się bardziej o przyszłość wszystkich smoków... i samego świata, jeśli przetrwa przybycie Płonącego Legionu.

Przed nim stał Neltharion.

Neltharion. Strażnik Ziemi. Najbardziej szanowany Aspekt i w dodatku bliski przyjaciel ukochanej królowej Krasusa. Gdyby Neltharion należał do jej stada, z pewnością wybrałaby go na jednego ze swych partnerów. Oprócz własnych oblubieńców to właśnie u Strażnika Ziemi najczęściej szukała porady, bowiem czarny smok posiadał bystry umysł dostrzegający wszystkie niuanse danej sprawy. Neltharion przed przystąpieniem do działania zawsze brał pod uwagę możliwe konsekwencje i Krasus, będąc młodym smokiem, starał się go naśladować.

Ale w przyszłości, do której należał mag, każda myśl o naśladowaniu Nelthariona graniczyłaby z szaleństwem. Neltharion odrzucił swoją rolę, odrzucił opiekę, jaką Aspekty sprawowały nad śmiertelną krainą. Doszedł do przekonania, że niższe rasy są przyczyną wszystkiego, co złe na świecie,

że należy je usunąć... a ci, którzy chcą im pomagać, też powinni zostać usunięci.

Neltharion uroił sobie świat, w którym nad wszystkim panują wyłącznie smoki - głównie jego własne stado. Ta narastająca obsesja doprowadziła do niezliczonych zbrodni, czynów tak straszliwych, że w końcu stał się dla świata zagrożeniem nie mniejszym niż demony Płonącego Legionu. Pozostałe Aspekty w końcu skrzyknęły się przeciwko niemu, ale do tego czasu zdążył już przelać wiele krwi i spowodować ogromne zniszczenia.

Wyrzekając się wszystkiego, czym kiedyś był, Neltharion wyrzekł się też swojego imienia. Jego dawni towarzysze nadali mu imię, pod którym znała go cała reszta świata, imię, które stało się synonimem wcielonego zła.

Skrzydła Śmierci.

Przed Krasusem stał Skrzydła Śmierci, Niszczyciel, Czarna Plaga. Jednak smoczy mag nie mógł zrobić nic, aby ostrzec pozostałych. Prawdę powiedziawszy, choć był świadomy zagrożenia, jakim miał się stać Neltharion, nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy i gdzie rozpoczęła się tragedia. Wzbudzając nieufność wśród Aspektów w tak krytycznym momencie ryzykował jeszcze większą katastrofę niż ta, którą kryła przyszłość Strażnika Ziemi.

A jednak...

– Byłem zaskoczony, kiedy to Ysera skontaktowała się ze mną, nie ty - zagrzemiał czarny smok. - Dobrze się czujesz, Alexstraszo?

– Tak, Neltharionie.

Omiótł wzrokiem jej towarzyszy.

– A ty, młody Korialstraszu? Chyba nie czujesz się najlepiej?

– Chwilowa niedyspozycja - odparł z szacunkiem czerwony smok. - To zaszczyt znów cię widzieć, Strażniku Ziemi.

Rozmawiali jak dobrzy znajomi, a jednak Krasus zdołał sobie przypomnieć, że jako Skrzydła Śmierci Neltharion ledwo go rozpoznał. Kiedy doszło do orczych wojen czarny smok był już od tak dawna pogrążony w swym szaleństwie, że zapomniał o niegdysiejszych przyjaźniach. Znaczenie miało tylko to, co mogło się przyczynić do realizacji jego mrocznych celów.

Ale tu Neltharion wciąż był towarzyszem. Popatrzył na kark Korialstrasza, zauważając drobną, zakapturzoną postać.

– A więc to ty. Masz jakieś imię?

– Krasus! - warknął mag. - Krasus!

– Arogancki malec! - powiedział Neltharion z rozbawieniem. - Uważam, że zdecydowanie jest smokiem, jak sugerowała Ysera.

– Smokiem, który ma nam coś do opowiedzenia - dodała Alexstrasza. Spojrzała w górę ku miejscu na sklepieniu, przez które dostała się do środka ona i pozostali. - Ale wolałabym dać Nozdormu więcej czasu, choć nie będziemy czekać wiecznie.

– Czekać wiecznie na Wiecznego? - zaśmiał się Malygos. - Ależ zabawne! Nie pozwolę ponuremu Nozdormu opuścić nas bez wysłuchania tego żartu!

– I pewnie będziesz mu go opowiadał przez całą wieczność? - zapytał Neltharion, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Malygos zaśmiał się jeszcze głośniej. On i Neltharion odsunęli się na bok, pogrążeni w rozmowie.

– Może nie łączy ich braterstwo krwi - zauważyła Ysera, wodząc za nimi zamkniętymi oczyma. - Ale z pewnością mają bliźniaczą naturę.

Alexstrasza zgodziła się z nią.

– Dobrze, że Neltharion może się zwrócić do Malygosa. Ostatnio nie odzywał się do mnie.

– Ja też wyczuwam pewien dystans. Nie podobają mi się poczynania nocnych elfów. Powiedział raz, że mają wybujałe marzenia o dorównaniu stwórcom, ale nie posiadają ich wiedzy ani mądrości.

– Coś w tym może być - odparła Królowa Życia, prześlizgując się wzrokiem po Krasusie.

Mag robił się coraz bardziej niespokojny. Z nich wszystkich Alexstrasza najbardziej zasługiwała na to drugie ostrzeżenie. To właśnie za sprawą Skrzydeł Śmierci miała zostać niewolnicą orków, których słudzy ochoczo poświęcali życie jej dzieci dla własnych bestialskich celów. Skrzydła Śmierci miał potem wykorzystać chaos ostatnich dni orczych wojen, aby zdobyć to, czego naprawdę pożądał - jaja Królowej Życia - aby odtworzyć własne zdziesiątkowane stado, które padło ofiarą jego szalonych planów.

Jaką granicę mam sobie postawić?, zapytał sam siebie Krasus. Kiedy przekroczę wreszcie tę linię? Nie mogę powiedzieć nic o orkach, nic o zdradach Strażnika Ziemi, nic o Płonącym Legionie... mogę podać im tylko tyle faktów, aby uśmiercili mnie i Rhonina!

Z frustracją spojrzął ku jednej z przyczyn swoich rozterek. Neltharion rozprawiał wesoło z Malygosem, który stał odwrócony plecami do reszty czekających smoków. Wielki czarny samiec rozpostarł skrzydła i skinieniem głowy przyznał rację swojemu lśniącemu towarzyszowi. Gdyby byli ludźmi, krasnoludami albo innymi śmiertelnikami, w tawernie, przy piwie, czuliby się jak u siebie w domu. Pośledniejsze rasy uważały smoki albo za potworne bestie, albo dostojne krynice mądrości, podczas gdy w rzeczywistości miały charaktery równie zwyczajne jak drobne istoty, nad którymi sprawowały pieczę. Wzrok Nelthariona prześliznął się po Malygosie i na chwilę spotkał ze wzrokiem Krasusa.

I w tej chwili Krasus uświadomił sobie, że to, co czarny smok przedstawiał jemu i pozostałym podczas tego spotkania, było farsą.

Na Strażnika Ziemi spłynęła już ciemność.

Nieemożliwe, niemożliwe!, upierał się Krasus, z trudem zachowując obojętny wyraz twarzy. *Nie teraz!* To był zbyt wczesny, zbyt delikatny moment w historii, by mogła się w nim rozpocząć przemiana Nelthariona w Skrzydła Śmierci. Aspekty powinny się zjednoczyć, nie tylko w obliczu nadchodzącej inwazji, ale aby przeciwstawić się zaburzeniom w czasie spowodowanym przez Krasusa i jego dawnego ucznia. Musiał się pomylić co do czarnego lewiatana. Neltharion z pewnością był wciąż jednym z legendarnych opiekunów śmiertelnego planu.

Krasus przeklął swoją osłabioną pamięć. *Kiedy Neltharion zdradził? Kiedy na zawsze stał się zgubą wszystkich żywych istot? Czy miało się to stać teraz, czy może Neltharion nadal współpracował ze swoimi towarzyszami pomimo mroku, który go ogarnął?*

Zakapturzony mag nie mógł oderwać wzroku od Strażnika Ziemi. Wbrew złożonej przysiędze Krasus zaczynał się zastanawiać, czy teraz nie powinien nagiąć zasad. *Co mogło być złego w ujawnieniu zdrajcy wśród Aspektów? Jak...*

Neltharion ponownie zerknął w jego stronę... ale tym razem ich spojrzenia spotkały się na dłużej.

Dopiero wtedy Krasus odkrył, że Neltharion dojrzał rozpoznanie w jego oczach, dopiero wtedy uświadomił sobie, że czarny smok zdaje sobie sprawę, iż oto znalazł się ktoś, kto może ujawnić jego straszliwy sekret.

Krasus spróbował odwrócić wzrok, ale nie był w stanie. Zbyt późno odkrył przyczynę. Strażnik Ziemi, gdy tylko odkrył, że został przejrany, zareagował szybko i zdecydowanie. Teraz spętał Krasusa swoją mocą z taką łatwością, z jaką oddychał.

Nie poddam mu się! Lecz choć chciał mu się wymknąć, okazał się zbyt słaby. Gdyby był lepiej przygotowany, mógłby podjąć walkę z umysłem

Nelthariona, ale to nieoczekiwane rozszyfrowanie otworzyło go całkowicie... a czarny smok wykorzystał okazję.

Znasz mnie... ale ja nie znam ciebie.

Jego umysł wypełnił lodowaty głos. Krasus modlił się, żeby ktoś zauważył, co się między nimi dzieje, ale pozornie wszystko wyglądało normalnie. Zdumiało go, że nawet jego ukochana Alexstrasza nie domyśliła się straszliwej prawdy.

Chcesz mnie oczernić... sprawić, by inni widzieli mnie tak jak ty... chcesz, by stracili zaufanie do swojego dobrego towarzysza... swojego brata...

Słowa Strażnika Ziemi świadczyły wyraźnie o tym, jak głęboko pogрузzył się już w szaleństwo. Krasus wyczuwał u Nelthariona ciężką paranoję i niezłomne przekonanie, że nikt poza nim samym nie rozumie, co jest dobre dla świata. Każdy, kto wydawał się stanowić dla niego zagrożenie, był w jego oczach ucieleśnieniem zła.

Nie pozwolę ci rozpowiadać tych nikczemnych łgarstw...

Krasus myślał, że zginie na miejscu, ale ku jego zaskoczeniu Neltharion odwrócił wzrok i powrócił do rozmowy z Malygosem.

W co on gra?, zastanawiał się smoczy mag. Najpierw mi grozi, a potem udaje, że zapomniał o mojej obecności!

Przyglądał się ostrożnie czarnemu lewiatanowi, ale Neltharion wydawał się nie zwracać na niego uwagi.

– Nie przybędzie - oznajmiła w końcu Ysera.

– Może się jeszcze pojawi - sprzeciwiła się Alexstrasza.

Krasus popatrzył na nie i pojął, że mówią o Nozdormu.

– Nie, porozumiał się ze mną ten, z którym rozmawiałam. Nie potrafi zlokalizować swojego pana. Wieczny znajduje się gdzieś poza śmiertelnym planem.

Wieści przekazane przez Yserę źle wróżyły. Krasus podejrzewał, że powodem, dla którego nawet słudzy Wiecznego nie mogli się z nim porozumieć, była anomalia. Jeśli zgodnie z domysłami Krasusa Nozdormu sam jeden podtrzymywał Czas, potrzebował w tym celu każdej chwili swojej egzystencji. Mnodzy Nozdormu walczyli z Czasem i nie mieli ani chwili na to spotkanie.

Krasus zaczynał tracić nadzieję. Nozdormu zagubiony, a Neltharion szalony...

– W takim razie się zgadzam - oznajmiła Alexstrasza. - Rozpocniemy obrady w niepełnym składzie. Nie ma zasady, która zabraniałaby nam chociaż przedyskutować sytuację, kiedy historia zostanie już opowiedziana, nawet jeśli nie podejmiemy decyzji, co dalej.

Opuściwszy łeb, Korialstrasz pozwolił swojemu jeźdźcowi zejść na ziemię. Krasus, z powściągliwym wyrazem twarzy, wystąpił pomiędzy zebrane olbrzymy, starając się nie patrzeć na Strażnika Ziemi. Zachęcający wzrok Alexstraszy powiedział smoczemu magowi, co ma robić.

– Jestem jednym z was - oznajmił głosem równie donośnym jak głosy otaczających go lewiatanów. - Królowa Życia zna moje prawdziwe imię, ale dla was jestem na razie Krasusem!

– Taki malec, a potrafi huknąć - zażartował Malygos.

Krasus odwrócił się w jego stronę.

– To nie czas na żarty, zwłaszcza dla ciebie, Strażniku Magii! Nadszedł czas zachwiania równowagi! Straszliwy błąd, zniekształcenie rzeczywistości, zagraża wszystkiemu... absolutnie wszystkiemu!

– Jakie to dramatyczne! - skomentował Neltharion nieobecny głosem.

Krasus musiał się opanowywać ze wszystkich sił, żeby nie zdradzić prawdy o Strażniku Ziemi. Jeszcze nie teraz...

– Usłyszycie moją historię - powiedział. - Usłyszycie ją i zrozumiecie...
bowiem istnieje gorsze niebezpieczeństwo, które dotyka także nas.
Widzicie...

Ale gdy tylko wymówił pierwsze słowa swojej opowieści, skołowaciał mu język. Zamiast spójnej mowy z jego ust zaczął się wydobywać niezborny bełkot.

Większość zebranych smoków cofnęła głowy, zaskoczona jego dziwnym zachowaniem. Krasus spojrzał szybko na Alexstraszę, szukając u niej pomocy, ale wyraz jej pyska też zdradzał wielkie zaskoczenie.

Magowi zakręciło się w głowie. Zawroty jeszcze nigdy nie były tak silne, co uniemożliwiło mu utrzymanie równowagi. Z jego ust wciąż wydostawały się bezsensowne słowa, ale nawet on sam nie wiedział już, co chce powiedzieć.

Kiedy załamały się pod nim nogi, tracąc przytomność usłyszał w głowie śmiertelnie spokojny głos Nelthariona:

Ostrzegalem cię...

SIEDEMNAŚCIE



Nadciągnęła ciemność i świat nocnych elfów przebudził się do życia. Kupcy otwierali swoje kramy, a wierni szli zmówić modlitwy. Ogół ludności prowadził zwykłe życie, tak samo jak w każdy inny wieczór. Mieli świat do swojej dyspozycji, bez względu na to, co myślały o tym inne, gorsze rasy.

Ale w życiu niektórych elfów wkradły się drobne zakłócenia, niegroźne odchylenia od codziennej rutyny.



Starszy mistrz Księżycowej Gwardii z roztargnieniem wskazał długim palcem butelkę wina stojącą po przeciwnej stronie pokoju. Mistrz nachylał się nad mapami gwiazd, przygotowując się do ważnych czarów. Choć był jednym z najstarszych czarodziejów, nie utracił swoich umiejętności, dzięki czemu utrzymał wysoką pozycję. Czarowanie stanowiło taką samą część jego życia jak oddychanie, było czymś, co przychodziło mu bez żadnego wysiłku, co robił prawie bez zastanowienia.

Brzęk, który wyrwał go z pluszowego fotela i sprawił, że zmiął w palcach pergamin, okazał się spowodowany fatalnym upadkiem butelki na podłogę. Szkło się rozprysło, a wino rozlało po mięsistym szmaragdowo-pomarańczowym dywanie, który czarodziej niedawno kupił.

Z sykiem wściekłości mag strzelił palcami. Drobinki szkła uniosły się nagle w powietrze, a wino zlało się ze sobą, przybierając kształt pojemnika, w którym się wcześniej znajdowało. Drobinki szkła otoczyły wino...

Ale sekundę później wszystko znów wylądowało na dywanie, tworząc jeszcze gorszy bałagan. Wiekowy czarodziej wbił wzrok w pobojuwisko. Z ponurym wyrazem twarzy strzelił ponownie palcami. Tym razem szkło i wino zachowały się tak, jak chciał, nie zostawiając nawet śladu plamy. Zrobiły to jednak z ociąganiem, znacznie wolniej, niż spodziewałby się mistrz Księżycowej Gwardii. Sędziwy elf powrócił do swego pergaminu i spróbował skupić się ponownie na zbliżającym się wydarzeniu, ale jego wzrok nieustannie wędrował ku butelce i jej zawartości. Znów wycelował palcem w butelkę - a potem, marszcząc brwi, opuścił palec i z premedytacją odwrócił fotel tyłem do przyczyny swego rozdrażnienia.



Na obrzeżach każdej większej osady uzbrojony patrol strzegł nocne elfy przed nieprzyjaciółmi. Lord Ravenscrest i tacy jak on obserwowali tereny poza granicami królestwa, wierząc, że krasnoludy i inne rasy ciągle zerkają z zazdrością na świat nocnych elfów. Nie interesowało ich to, co działo się wewnątrz - kto z ich własnego ludu mógł im zagrozić? - ale pozwalali każdej osadzie utrzymywać własny system bezpieczeństwa, aby zapewnić spokój ducha ogółowi obywateli.

W Galarze, wielkim mieście po przeciwnej stronie Studni niż Zin-Azshari, czarodzieje rozpoczęli nocny rytuał przestawienia szmaragdowych kryształów otaczających granice metropolii. Kryształy, w koniunkcji ze sobą, służyły między innymi jako obrona przed magicznymi atakami. Nikt nie pamiętał, żeby ich kiedykolwiek użyto, ale ich obecność dawała mieszkańcom poczucie bezpieczeństwa.

Choć były ich setki, przestawienie ich nie nastęczało większych trudności. Wszystkie czerpały moc bezpośrednio ze Studni i czarodzieje musieli tylko wykorzystać gwiazdy, aby skorygować linie mocy biegnące od jednego kryształu do drugiego. W większości przypadków wymagało to tylko przekręcenia kryształu na wysokim, obsydianowym słupie, na jakim umieszczony był każdy z nich. Miejscowi czarodzieje byli w stanie obejść kilka w ciągu zaledwie kilku minut.

Ale kiedy ponad połowa została już dostrojona, kryształy przygasły, a niektóre całkowicie pociemniały. Czarodzieje z Galary, choć nie byli tak biegli jak członkowie Księżycowej Gwardii, znali się na swojej sztuce na tyle dobrze, by rozumieć, że to, co się stało, nie powinno mieć miejsca. Natychmiast zaczęli sprawdzać ustawienia kryształów, ale nie znaleźli żadnych błędów.

– Nie pobierają mocy ze Studni - uznał w końcu pewien młody mag. - Coś odcięło je od jej potęgi!

Ale gdy tylko to powiedział, kryształy wznowiły swoją zwykłą działalność. Starsi towarzysze patrzyli na niego z zażenowaniem, starając się sobie przypomnieć, czy kiedy byli tak niedoświadczeni jak on, też wygłaszali równie skandaliczne sądy.

Życie nocnych elfów toczyło się dalej...



– Nie udało sssię! - zaryczał Hakkar. Prawie smagnął swoim strasznym batem najbliższego Szlachetnie Urodzonego, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Jego śmiertelnie mroczny wzrok padł na lorda Xaviusa. - Zawiedliśmy...

Piekielne ogary u boku rozwścieczonego Łowczego zawarczały ponuro.

Xavius był równie niezadowolony. Patrzył na pracę wykonaną przez Szlachetnie Urodzonych i Hakkara i widział w niej wiele zmarnowanych godzin. Jednak zarówno on, jak i Hakkar widzieli zalety propozycji królowej.

Po prostu nie mieli wiedzy ani mocy potrzebnej, aby tego dokonać.

Nie wystarczało im to, że wysiłki Szlachetnie Urodzonych umożliwiły sprowadzenie na śmiertelny plan ponad dwudziestu piekielnych gwardzistów. Taka liczba była niewystarczająca, aby utorować drogę nadejściu przewspaniałego.

– Co możemy zrobić? - zapytał nocny elf.

Po raz pierwszy wyczytał z niesamowitej twarzy Hakkara niepewność. Olbrzymi wojownik popatrzył w stronę portalu, który pozostali Szlachetnie Urodzeni bezustannie starali się powiększyć i wzmocnić.

– Mussimy go zapytać.

Doradca przełknął ślinę, ale zanim jego potworny pomocnik zrobił choć krok, rzucił się naprzód, upadając przed portalem na jedno kolano. Nie będzie ukrywał niepowodzeń, nie przed swoim bogiem.

Ale jeszcze zanim kolano Xaviusa dotknęło posadzki, usłyszał w głowie głos:

Czy portal został wzmocniony?

– Nie, o przewspaniały... nie udało nam się osiągnąć tego, co zamierzaliśmy.

Przez ułamek sekundy nocny elf miał wrażenie, że zalała go wściekła furia, ale wrażenie zaraz minęło. Pewny, że sobie to tylko wyobraził, Xavius czekał na następne słowa boga.

Chcecie coś zrobić... mów.

Lord Xavius wyjaśnił, że próbowali odciąć moc Studni od wszystkiego oprócz pałacu, ale ponieśli porażkę. Trzymał głowę nisko pochyloną, korząc się przed potęgą, przy której zebrane siły wszystkich nocnych elfów wydawały się równie wątłe jak siły owada.

Brałem to już pod uwagę... odpowiedział w końcu bóg. Ten, którego posłałem przodem, nie wywiązał się ze swojego zadania...

Za plecami Xaviusa Hakkar wydał krótki odgłos świadczący o przerażeniu.

Posłę wam kolejnego... musicie dopilnować, żeby portal był dla niego gotowy...

– Kolejnego, panie?

Teraz wyślę wam jednego z moich... jednego z dowódców mojej armii. On dopilnuje wszystkiego.

Głos w głowie Xaviusa umilkł. Doradca zachwiał się lekko, cisza oszołomiła go do tego stopnia, że czuł się tak, jak gdyby ktoś odrąbał mu rękę. Jeden ze Szlachetnie Urodzonych pomógł mu wstać.

Xavius spojrział na Hakkara, który pomimo wspaniałych wieści wcale nie wyglądał na zachwyconego.

– Wysyła nam jednego ze swych dowódców! Wiesz, którego?

Łowczy bawił się nerwowo biczem. Dwa ogary obok niego skuliły się.

– Tak... wiem, którego, nocny elfie.

– Musimy się przygotować! Zaraz przybędzie!

Choć coś trapiło Hakkarą, demon dołączył do Xaviusa, który stanął pomiędzy czarującymi Szlachetnie Urodzonymi. Obaj wspomogli ich swą wiedzą i umiejętnościami, wzmacniając strukturę mocy, dzięki której portal pozostawał otwarty.

Płonąca sfera spęczała, bezustannie sypiąc wielobarwnymi iskrami mocy. Pulsowała, zupełnie jak gdyby oddychała. Portal rozciągnął się przy wtórze dzikiego ryku.

Pot zalewał twarz i ciało Xaviusa, ale nie dbał o to. Czekał go chwala dodawała mu sił. Nawet bardziej niż Łowczy przykładał się do podtrzymania i rozbudowania zaklęcia.

Kiedy portal dotknął sufitu, wypluł z siebie wielką ciemną postać tak wspaniałą i przerażającą zarazem, że Xavius prawie krzyknął z wdzięczności dla przewspaniałego. Przed nimi stał jeden z niebiańskich dowódców, postać, przy której Hakkar wydawał się tak niegodny, jak Xavius czuł się przy Łowczym.

– Elune, ocal nas! - sapnął jeden z magów i wyrwał się z kręgu, prawie niszcząc bezcenny portal. Xavius ledwo przejął nad nim kontrolę i z ogromnym wysiłkiem podtrzymał zaklęcie, dopóki pozostali nie doszli do siebie.

Ogromna dłoń o czterech palcach, na tyle wielka, by zamknąć w uścisku głowę doradcy, wyciągnęła się do przodu, celując szponiastym palcem w nieostrożnego czarodzieja. Głos będący połączeniem ryku załamującej się fali i złowieszczonego pomruku wybuchającego wulkanu wypowiedział pojedyncze, niezrozumiałe słowo.

Nocny elf, który się cofnął, wrzasnął, gdy jego ciało skrzywiło się jak wyżymana ścierka. Groteskowa kanonada trzasków zawtórowała

zamierającemu krzykowi. Większość Szlachetnie Urodzonych natychmiast odwróciła wzrok, a ogary Hakkara zaskomlały.

Czarne płomienie ogarnęły makabryczny widok, otaczając wszystko, co zostało z pechowego czarodzieja. Płomienie pożerały jego szczątki niczym stado wygłodniałych wilków i robiły to tak szybko, że po kilku sekundach tylko kupka prochu na podłodze przypominała o śmierci maga.

– Nie będzie więcej porażek - oznajmił grzmiący głos.

Jeśli Łowczy i piekielne ogary nie zadziwiły Xaviusa dość mocno, to tylko sam bóg mógł zrobić na nim większe wrażenie niż nowoprzybyły. Przerazająca postać poruszała się na czterech grubych, muskularnych kończynach przypominających smocze łapy, tyle że kończyły się klockowatymi stopami o trzech masywnych, zakończonych szponami palcach. Wspaniały, pokryty łuską ogon smagał raz po raz posadzkę, co świadczyło zapewne o zniecierpliwieniu demona. Od czubka głowy do samego koniuszka ogona biegła dzika grzywa z czystego zielonego płomienia. Z pleców wyrastały mu wielkie błoniaste skrzydła, ale pomimo ich rozpiętości Xavius zastanawiał się, czy są w stanie unieść tak gigantyczną i potężną postać.

Skóra, tam gdzie nie okrywał jej pancerz, miała barwę szarozieloną. Przybysz był dwa razy wyższy od Hakkara i miał przynajmniej szesnaście stóp wzrostu. Potężne kły sterczące spod górnej szczęki prawie drapały sufit, a pozostałe zęby dorównywały długością ręce nocnego elfa.

Spod grubych, prawie zupełnie zasłaniających płonące ślepia brwi wybraniec przewspaniałego spoglądał na lorda doradcę... a przede wszystkim na Łowczego.

– Rozczarowałeś go... - Tylko tyle powiedział skrzydlaty dowódca.

– Ja... - Hakkar urwał protest i zwiesił głowę. - Nic mnie nie usprawiedliwia, Mannorothu.

Mannoroth przekrzywił lekko głowę, patrząc na Łowczego tak, jak mógłby się przyglądać jakiemuś paskudnemu śmieciowi znalezionemu na talerzu. - To prawda... nic.

Ogar po prawej ręce Hakkara zaskomlał głośno. Czarne płomienie podobne do tych, które strawiły niedbałego czarodzieja, otoczyły przestraszonego psa. Bestia zaczęła się rozpaczliwie tarzać po podłodze, usiłując ugasić płomienie, których ugasić się nie dało. Ogień ogarnął ją, trawiąc...

Kiedy już tylko smużka dymu unosiła się nad miejscem, w którym stał wcześniej piekielny ogar, Mannoroth odezwał się znów do Łowczego:

– Nie będzie już więcej porażek.

Xaviusa ogarnął strach, ale był to cudowny, wspaniały strach. Oto stała przed nim moc wcielona, istota, która zasiadała po prawicy przewspaniałego. Istota, która będzie wiedziała, jak obrócić ich przegraną w zwycięstwo.

Mroczny wzrok zwrócił się ku niemu. Mannoroth wciągnął powietrze w spłaszczone nozdrza, a potem skinął głową.

– Przewspaniały pochwała twoje wysiłki, nocny elfie.

Został pobłogosławiony! Xavius pochylił się jeszcze niżej.

– Dziękuję!

– Wykonamy twój plan. To miejsce zostanie odcięte od reszty królestwa. Potem ściąganie zastępów będzie się mogło zacząć na dobre.

– A przewspaniały? On też przybędzie?

Mannoroth obdarzył go uśmiechem tak szerokim, że mógłby połączyć doradcę w całości.

– O tak, nocny elfie! Sargeras będzie chciał się tu zjawić osobiście, kiedy będziemy oczyszczać świat... bardzo, bardzo chce tu wtedy być.



Usta i nos Rhonina były pełne trawy.

A przynajmniej przypuszczał, że to trawa. Smakowało jak trawa, choć nie miał zbyt wielkiego doświadczenia z tego rodzaju smakołykami. Zapach przypominał mu woń dzikich pól i spokojniejszych czasów... czasów spędzonych z Vereesą.

Z wysiłkiem dźwignął się z ziemi. Zapadła noc i choć księżyc świecił jasno, mag widział tylko tyle, że leży w rzadko zalesionej okolicy. Wytężył słuch, ale nie usłyszał żadnych odgłosów cywilizacji.

Nagle zdjął go strach, że został przerzucony w jeszcze inną erę, ale zaraz potem przypomniał sobie, co się stało. Trafił w to miejsce za sprawą własnego czaru rzuconego w rozpaczliwej próbie ucieczki przed demonem wysysającym z niego magię - a tym samym życie.

Ale jeśli przebywał w tym samym czasie, gdzie w takim razie wylądował? Otoczenie nic mu nie mówiło. Mógł się znajdować kilka mil dalej albo na drugim końcu świata.

A jeśli to drugie... czy uda mu się powrócić do Kalimdoru? Miał nadzieję, że Krasus wciąż jeszcze żyje, a tylko dzięki pomocy swojego dawnego mistrza miał nadzieję wrócić do domu.

Wstając chwiejnie, Rhonin spróbował zdecydować, w którą stronę iść. Musiał przynajmniej ustalić, co to za miejsce. Szelest za plecami kazał mu się obrócić. Uniósł rękę, gotowy rzucić zaklęcie.

Z lasu wyszła zwałista postać.

– Spokojnie, czarodzieju! To tylko Brox!

Rhonin opuścił nieufnie rękę. Wielki ork podszedł do niego, wciąż ściskając w garści topór, który stworzyli dla niego Malfurion wraz z półbogiem.

Na myśl o nocnym elfie Rhonin rozejrzał się.

– Jesteś sam?

– Byłem, dopóki cię nie zobaczyłem. Strasznie hałasujesz, człowieku. Poruszasz się jak pijany osesek.

Ignorując kpinę, czarodziej popatrzył w kierunku, z którego przyszedł ork.

– Myślałem o Malfurionie. Też był w pobliżu, kiedy rzuciłem zaklęcie. Jeśli wciągnęło ciebie, mogło też wciągnąć jego.

– Hałas. - Brox podrapał się po paskudnej łepetynie. - Nie widziałem żadnego nocnego elfa. Ani piekielnego ogara.

Człowiek wzdrygnął się. Miał wielką nadzieję, że uciekając nie ściągnął za sobą demona.

– Masz pojęcie, gdzie możemy być?

– W lesie... w puszczy.

Rhonin zachnął się, rozdrażniony bezsensowną odpowiedzią, ale zdał sobie sprawę, że sam nie jest ani trochę mądrzejszy.

– Miałem zamiar pójść w tamtą stronę - powiedział, wskazując kierunek, który uznał za wschód. - Masz jakiś lepszy pomysł?

– Można by poczekać do wschodu. Lepsza widoczność, a nocne elfy nie lubią słońca.

Choć miało to sens, Rhonin czuł się nieswojo na myśl o czekaniu na brzask i powiedział to towarzyszowi. Ku jego zdziwieniu Brox kiwnął głową na znak zgody.

– Zawsze to zwiad, czarodzieju. - Wzruszył ramionami. - Kierunek dobry jak każdy inny.

Kiedy ruszyli, Rhoninowi przyszło do głowy pytanie, które po prostu musiał zadać.

– Brox... jak się tu dostałeś? Nie chodzi mi o to miejsce, to przecież wiem, ale jak trafiłeś do tej krainy?

Z początku ork milczał, ale w końcu opowiedział wszystko czarodziejowi. Rhonin wysłuchał jego opowieści, starając się ukryć własne emocje. Weteran i jego pechowy towarzysz następowali jemu i Krasusowi na pięty, i tak jak oni zostali pochyceni przez anomalię.

– Wiesz, co nas pochłonęło?

Brox wzruszył ramionami.

– Zakłęcie. Felerne zakłęcie. Wysłało nas daleko od domu.

– Dalej, niż myślisz. - Uznawszy, że Brox ma prawo poznać prawdę bez względu na to, co mógł o tym myśleć Krasus, Rhonin powiedział mu, co się stało.

Ku zaskoczeniu czarodzieja Brox przyjął tę opowieść bez specjalnego zdziwienia. Rhonin zrozumiał dlaczego dopiero wtedy, gdy przypomniał sobie historię orków. Orki podróżowały już w czasie i w przestrzeni, przybywając do Azeroth z innego świata. Zakłęcie, które przerzuciło jednego z nich w przeszłość, aż tak się od tego nie różniło.

– Czy możemy wrócić, człowieku?

– Nie wiem.

– Widziałeś. Są tu demony. Legion tu jest.

– Trafiliśmy w czas, kiedy po raz pierwszy próbowali zdobyć nasz świat. Większość tych, którzy mieszkają poza Dalaranem, nie pamięta już tej historii.

Brox ścisnął w rękę topór.

– Będziemy z nimi walczyć...

– Nie... nie możemy. - Rhonin wytłumaczył mu rozumowanie Krasusa.

Ale choć Brox szybko przyjął do wiadomości wszystko inne, stanął okoniem, kiedy przyszło do zostawienia przeszłości samej sobie. Dla orka sprawa była prosta: pojawił się groźny, plugawy wróg, który zamorduje każdego, kto stanie mu na drodze. Tylko tchórze i głupcy pozwalali na coś takiego i Brox powtórzył to kilka razy.

– Ingerując w historię, możemy ją zmienić - upierał się czarodziej, w głębi serca pragnąc przyznać orkowi rację.

Brox prychnął.

– Przecież walczyłeś.

To stwierdzenie podważało jedyny argument Rhonina. Czarodziej już wdał się w walkę i tym samym dokonał wyboru.

Ale czy słusznego? Przeszłość została już zmieniona, ale w jakim stopniu?

Szli w milczeniu; Rhonin zmagał się z własnymi demonami, a Brox wypatrywał tych realnych. Nigdzie nie dostrzegli nic, co pozwoliłoby im stwierdzić, gdzie się znajdują. W pewnej chwili Rhonin zaczął się zastanawiać, czy nie skoncentrować się na polanie i nie spróbować odesłać ich tam z powrotem. Potem przypomniał sobie bestię i to, co prawie mu zrobiła.

Las zgęstniał, przechodząc w prawdziwą puszcę. Rhonin zaklął w duchu, zły na poczyniony wybór kierunku. Brox nie zdradzał się z tym, co myśli, rąbiąc magicznym toporem za każdym razem, gdy roślinność zagroziła im drogę. Oręż przecinał wszystko z taką łatwością że czarodziej miał nadzieję, iż towarzysz nie zrani go nim przypadkiem. Nawet kość nie stawiałaby oporu temu ostrzu.

Księżyc znikł, gęste listowie otaczających ich drzew całkowicie przesłoniło niebo. Nie byli w stanie iść dalej. Po kilku minutach

bezsuktecznej walki z gąszczem zdecydowali się zawrócić. Ork znów nie skomentował wyboru Rhonina.

Ale kiedy się odwrócili, okazało się, że droga, którą przyszedli, zupełnie znikła. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą biegła ścieżka, stały wysokie drzewa, a gęste poszycie wokół pni jeszcze wyraźniej świadczyło o tym, że nie jest to właściwy kierunek. Jednak zarówno człowiek, jak i ork, patrzyli na drzewa nieufnie.

– Przyszliśmy stamtąd. Jestem tego pewny.

– Zgadza się. - Unosząc topór, Brox podszedł do tajemniczych drzew. - I tamtędy wrócimy.

Ale kiedy się zamachnął, wielkie, podobne do gałęzi ręce pochwyciły broń za krawędzie ostrza i poderwały ją w górę. Nie chcąc rozstać się z toporem, Brox zawisł na trzonku, machając nogami i usiłując wykorzystać własny ciężar do wyrwania oręża. Rhonin podbiegł ku niemu. Szarpnął orka za nogi, ale bez skutku. Wpatrując się w długie, nieludzkie palce, zaczął mamrotać zaklęcie. Coś uderzyło go w plecy. Czarodziej poleciał do przodu i z całej siły wyrznąłby w pień przed sobą, gdyby nie to, że drzewo odsunęło się w ostatniej chwili. Rozpędzony Rhonin upadł na ziemię. Ale zamiast uderzyć w twardą glebę albo jeden z sękatych korzeni, jakich tu nie brakowało, wylądował na czymś miękkim.

Czymś ciele.

Rhonin krzyknął, myśląc, że trafił na poprzednią ofiarę złowrogich drzew. Ale kiedy podniósł się na rękach, księżycowy blask, który przedarł się na chwilę przez gęste korony drzew nad jego głową, oświetlił twarz leżącego.

Malfurion...

Nocny elf jęknął. Zamrugał powiekami, otworzył oczy i zobaczył czarodzieja.

– Ty...

Zza pleców dobiegł ich krzyk Broxa. Człowiek i nocny elf popatrzyli szybko w jego stronę. Rhonin uniósł rękę, gotowy zaatakować, ale ku jego zaskoczeniu Malfurion złapał go za nadgarstek.

– Nie! - Ciemnoskóra postać usiadła, wodząc wzrokiem po drzewach. Kiwnęła głową, a potem zawołała: - Brox! Nie walcz z nimi! Nie chcą ci zrobić nic złego!

– Nic złego? - warknął ork. - Chcą mój topór!

– Musisz mnie posłuchać! To opiekunowie!

Wojownik stęknął niechętnie. Rhonin patrzył na Malfuriona, spodziewając się wyjaśnień, ale nie otrzymał ich. Nocny elf wypuścił nadgarstek czarodzieja, dźwignął się z ziemi, po czym ruszył spokojnie w stronę miejsca, gdzie Brox walczył z drzewami, a Rhonin podreptał w ślad za nim.

Znaleźli orka otoczonego przez złowróźnie wyglądające drzewa. Nad nim wisiało kłębowisko gałęzi, w które zaplątał się jego topór. Ork sapał z wysiłku, mięśnie wciąż miał napięte. Popatrzył na towarzyszy, a potem znów na broń, jak gdyby nie był pewny, czy nie powinien wspiąć się za nią na górę,

– Poznały twój głos - mruknął. - Obyś miał rację.

– Mam.

Na oczach czarodzieja i wojownika Malfurion podszedł do najwyższego z drzew i powiedział:

– Dziękuję braciom lasu, strażnikom dziczy. Wiem, że strzeżliście mnie do czasu, aż moim przyjaciołom udało się mnie odszukać. Nie chcą was skrzywdzić; po prostu nie rozumieli.

Liście drzew zaszeleściły, choć Rhonin nie czuł wiatru.

Elf kiwnął głową i ciągnął dalej:

– Nie będziemy wam sprawiać więcej kłopotów.

Znów szelest... a potem gałęzie oplatające topór Broxa rozdzieliły się i broń zsunęła się w dół.

Mogły pozwolić upaść toporowi na ziemię, ale ork wystąpił nagle naprzód. Wyciągnął potężne ramię w górę i pochwycił rękojeść. Ale zamiast zamachnąć się bronią na drzewa, ukląkł przed nimi z ostrzem zwróconym w dół.

– Proszę o wybaczenie.

Korony wysokich drzew znów się zatrzęsły. Malfurion położył dłoń na szerokim ramieniu orka.

– Przyjmują przeprosiny.

– Naprawdę potrafisz z nimi rozmawiać? - zapytał wreszcie Rhonin.

– W pewnym stopniu.

– Więc zapytaj je, gdzie jesteście.

– Już to zrobiłem. Nie tak daleko od miejsca, gdzie byliśmy wcześniej, ale wystarczająco daleko. Mamy jednocześnie szczęście i pecha.

– Jak to?

Nocny elf uśmiechnął się smutno.

– Jesteśmy bardzo blisko mojego domu.

Czarodziej uznał to za wspaniałą wiadomość, ale nocny elf nie był tym aż tak zachwycony. Ani Brox, który zaklął w swoim ojczystym języku.

– O co chodzi? Co takiego wiecie, o czym ja nie wiem?

– Zostałem pojmany niedaleko stąd, czarodzieju - warknął krzepki wojownik. - Bardzo niedaleko.

Przypomniawszy sobie własne pojmanie, Rhonin zrozumiał, czemu Brox może być zdenerwowany.

– W takim razie zabiorę nas stąd. Tym razem wiem, czego się spodziewać...

Malfurion uniósł rękę na znak protestu.

– Raz mieliśmy szczęście, ale tutaj ryzykujesz natychmiastowym wykryciem przez Księżycową Gwardię. Potrafią wychwycić zaklęcia... prawdę mówiąc, niewykluczone, że wykryli już to pierwsze.

– Co proponujesz?

– Ponieważ jesteśmy blisko mojego domu, wykorzystamy to. Są inni, którzy mogą nam pomóc. Mój brat i Tyrande.

Brox zapalił się do jego propozycji.

– Szamanka, ona nam pomoże. - Jego głos spochmurniał. - Twój brat bliźniak... tak.

Rhonin wciąż martwił się o Krasusa, ale ponieważ nie miał pojęcia, jak odnaleźć swojego dawnego mistrza, uznał, że decyzja nocnego elfa jest najrozsądniejsza. Droga przez las okazała się zaskakująco łatwa, zważywszy na przeszkody, jakie człowiek i ork musieli wcześniej pokonywać. Przyroda dosłownie wychodziła z siebie, aby wędrówka Malfuriona była jak najmniej uciążliwa. Rhonin słyszał coś o druidach i po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że Malfurion może być jednym z nich.

– Półbóg... Cenarius... to on nauczył cię rozmawiać z drzewami, rzucać takie czary?

– Tak. Chyba jestem pierwszą osobą, która tak dobrze je rozumie. Nawet mój brat woli moc Studni od sekretów lasu.

Na wzmiankę o Studni Rhonin poczuł przyływ tęsknoty. Zwalczył to uczucie. Studnia, o której wspomniał jego towarzysz, mogła być tylko Studnią Wieczności, legendarnym źródłem mocy. Czy znajdowali się w jej pobliżu? Czy dlatego jego magiczna moc uległa wzmocnieniu?

Dzierżyć taką moc... i to z taką łatwością...

– Już niedaleko - powiedział wkrótce potem Malfurion. - Poznaję tego sękatego starca.

„Starzec” okazał się pokrzywionym drzewem, które Rhoninowi wydało się zaledwie ciemnym kształtem. Ale coś przykuło uwagę czarodzieja.

– Czy słyszę szmer wody?

Nocny elf ożywił się.

– Płynie bardzo blisko mojego domu! Jeszcze tylko kilka minut i...

Ale zanim dokończył, las wypełnił się zbrojnymi postaciami. Brox warknął i dobył topór. Rhonin przygotował zaklęcie, pewny, że to ci sami obmierzli napastnicy, którzy pojмали jego i Krasusa.

Malfurion sprawiał wrażenie oszołomionego nagłym pojawieniem się napastników. Wyciągnął ku nim rękę, ale zaraz się zawahał.

Wahanie Malfuriona sprawiło, że zawahał się też Rhonin. To okazało się błędem, bo w następnej chwili na każdego z nich spadł czerwony całun energii. Rhonin poczuł, jak sztywnieją mu mięśnie i uchodzą z niego siły. Nie był w stanie się ruszyć, mógł tylko patrzeć.

– Doskonała robota, młodzieńcze - oświadczył władczy głos. - To bestia, której szukaliśmy... a to bez wątpienia ci, którzy pomogli jej w ucieczce!

Ktoś mu odpowiedział, ale zbyt cicho, by Rhonin mógł zrozumieć słowa. W krąg żołnierzy wjechała grupa jeźdźców, w tym dwóch dzierzących żarzące się szmaragdowe laski. Na ich czele jechał brodaty nocny elf, który musiał nimi dowodzić. Obok niego...

Rhonin wybałuszył oczy, bo tylko to mu pozostało. Ale jego mina nie oddawała sprawiedliwości zdumieniu, jakie ogarnęło go na widok jeźdźca obok dowódcy.

Był inaczej ubrany i nosił włosy zaczesane do tyłu, ale jego ponura twarz była idealną kopią twarzy Malfuriona.

OSIEMNAŚCIE



Mannoroth był zadowolony, a to cieszyło lorda Xaviusa.

– Wszystko w porządku? - zapytał niebiańskiego dowódcę. Tak wiele zależało od tego, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem.

Mannoroth kiwnął ciężkim łbem. Z zadowoleniem rozpostarł i zwinął skrzydła.

– Tak... w jak najlepszym. Sargeras będzie zadowolony.

Sargeras. Niebiański dowódca znów wymówił prawdziwe imię przewspaniałego. Magiczne oczy Xaviusa zapłonęły, gdy obracał je w ustach, delektując się nim. Sargeras.

– Uruchomimy portal w chwili, w której zaklęcie będzie gotowe. Najpierw przybędzie armia, a potem, gdy wszystko już będzie przygotowane, mój pan...

Hakkar, znacznie mniej pewny siebie niż kiedyś, zbliżył się do nich i padł przed Mannorothem na jedno kolano.

– Wybacz, że wam przerywam, ale właśnie wrócił jeden z moich myśliwych.

– Tylko jeden?

– Na to wygląda.

– I czego się od niego dowiedziałeś? - Mannoroth nachylił się nad Łowczym, który dosłownie zmałał w oczach.

– Bestie znalazły dwóch pachnących obcością, o jakiej opowiadał lord doradca, i jednego nocnego elfa! Ale podczas polowania natknęły się też na istotę obdarzoną mocą... wielką mocą.

Na obliczu Mannorotha po raz pierwszy pojawił się cień niepewności. Xavius odnotował skrzętnie tę reakcję, zastanawiając się, co mogło aż tak zaniepokoić tak wspaniałą istotę.

– Ale nie...

Hakkar szybko potrząsnął głową.

– Nie wydaje mi się. Może miał odrobinę ich mocy. Może to ssstrażnik, którego zostawili.

Dwa demony rozmawiały o czymś ważnym, ale o czym, doradca nie potrafił powiedzieć. Ryzykując, wtrącił się do rozmowy:

– Czy znamy opis tej ostatniej istoty?

– Tak. - Hakkar uniósł dłoń wnętrzem do góry.

Nad nią pojawił się nagle mały obraz. Skakał w górę i w dół i często tracił ostrość, ale ukazywał po kawałku prawie całą istotę, o której była mowa.

– Widziana oczyma piekielnego ogara. Rogata istota wysoka jak piekielny gwardzista.

Lord Xavius szeptem.

– A więc legenda mówi prawdę... władca lasu naprawdę istnieje.

– Znasz tę istotę? - zapytał Mannoroth.

– Prastare mity opowiadają o władcy lasu, półbogu Cenariusie. Podobno jest dzieckiem Księżycowej Matki...

– To wystarczy. - Zębate usta wykrzywił ponury uśmiech. - Poradzimy sobie z nim. - Pokaż pozostałych - rozkazał Hakkarowi.

Łowczy wykonał szybko rozkaz, ukazując zielonoskórego wojownika, młodego nocnego elfa i dziwną płomiennorudą postać odzianą w szatę z kapturem.

– Dziwaczna trójka - zauważył Xavius.

Mannoroth kiwnął głową.

– Wojownik wygląda obiecująco... chętnie zobaczyłbym jego pobratymców, sprawdził, jaki mają potencjał...

– Taka bestia? To niemożliwe! Jest bardziej groteskowy od krasnoluda!

Skrzydłata postać nie zaprzeczyła, przywołując trzecią postać.

– Chuderlawe stworzenie, ale o bystrych oczach. Istota władająca magią, jak sądzę. Podobna do nocnego elfa... - powstrzymał protest Xaviusa - ale jednak inna. - Mannoroth odwrócił się od obrazu pokazywanego przez Hakkara i zaczął się przechadzać po komnacie na wielkich, gadzich łapach, zastanawiając się nad tym, czego się właśnie dowiedział.

– Możemy wysłać więcej piekielnych ogarów, żeby ich odszukały - podsunął Łowczy.

– A za nimi kilku piekielnych gwardzistów. Tym razem celem będzie pojmanie.

– Pojmanie? - powtórzyli doradca i Łowczy.

Głęboko osadzone oczy zwęziły się jeszcze bardziej.

– Musimy się im przyjrzeć, ocenić ich słabe i mocne strony na wypadek, gdyby było ich więcej...

– Czy wystarczy nam piekielnych gwardzistów?

– Wkrótce będzie ich o wiele więcej. Nocny elfie, czy twoi Szlachetnie Urodzeni są gotowi?

Spojrzawszy na czarodziejów, Xavius skłonił głowę.

– Są gotowi zrobić wszystko, czego się od nich wymaga, aby zobaczyć, jak spełnia się nasze marzenie, jak świat zostaje oczyszczony ze

wszystkiego, co...

– Świat zostanie oczyszczony, nocny elfie, możesz być tego pewny. - Mannoroth zerknął na Hakkarą. - Zostawiam obławę tobie, Łowczy. Nie zawieź nas znowu.

Wciąż pochylony, Hakkar wycofał się z komnaty.

– A teraz, lordzie... - podjęła olbrzymia postać, spoglądając ku portalowi. - Zaczniemy kształtować przyszłość twojego ludu... - Mannoroth napiął skrzydła jak zawsze, gdy myślał o czymś przyjemnym. - Przyszłość, jakiej, zapewniam cię, nie jesteście w stanie sobie wyobrazić...



Skrzydła Śmierci szybował nad ziemią, zionąc ogniem. Zewsząd dobiegały Krasusa krzyki, ale nie potrafił odszukać żadnego z tych, którzy błagali go o pomoc. Uwięziony w drobnej śmiertelnej postaci, przemykał po płonącej ziemi jak mysz polna, uciekając przed płomieniami i daremnie usiłując pomóc konającym.

Nagle niebo nad nim przesłonił ciemny kształt, a grzmiący głos zaszydził:

– Patrzcie tylko! A cóż to za kąsek?

Wielkie szpony, dwa razy większe od smoczego maga, otoczyły go, chwytając w pułapkę. Bez najmniejszego wysiłku poderwały go w przestworza... po czym odwróciły, aby mógł spojrzeć w nikczemny pysk Skrzydeł Śmierci.

– To tylko kawałek smoczego mięsa! Korialstrasz! Zbyt długo przebywałeś wśród niższych ras! Udzieliła ci się ich słabość!

Krasus spróbował rzucić zaklęcie, ale z jego ust zamiast słów wyleciały maleńkie nietoperze. Skrzydła Śmierci zrobił wdech, bezlitośnie wciągając nietoperze do gorącego, rozdziawionego pyska.

Czarny behomot przełknął.

– Niezbyt smaczne! Wątpię, żebyś okazał się lepszy, ale i tak nie będzie z ciebie żadnego pożytku, więc równie dobrze mogę z tobą skończyć! - Uniósł miotającą się postać na wysokość gardzieli. - Poza tym i tak nikomu się już na nic nie przydasz!

Szpony wypuściły Krasusa, ale kiedy wpadł do pyska Skrzydeł Śmierci, wszystko uległo zmianie. Skrzydła Śmierci i płonący krajobraz znikli. Nagle Krasus unosił się w samym środku straszliwej burzy piaskowej, miotany na wszystkie strony wzburzonymi siłami.

W środku burzy pojawił się łeb smoka. Najpierw pomyślał, że czarna bestia przybyła tu za nim, zdecydowana nie pozwolić mu uciec. Ale zaraz potem pojawił się następny, identyczny jak pierwszy, a za nim następny i jeszcze następny, aż w końcu pole widzenia Krasusa wypełniła cała horda smoków.

– Korialstraaaasz... - zajęczały jednocześnie. - Korialstraaaasz...

Krasus zauważył, że głowy mają inny kształt niż łeb Skrzydeł Śmierci, i że każda powstała z piachu.

Nozdormu?

– Obejmujemy... całą wieczność! - zdołał wykrztusić Wieczny. - Widzimy wszystko...

Krasus czekał, wiedząc, że Nozdormu mówi tylko tyle, ile jest w stanie.

– Wszystkie drogi prowadzą donikąd! Wszystkie drogi...

Donikąd? Co on ma na myśli? Czy chciał powiedzieć, że wszystko, czego mag się obawiał, dokonało się, że przyszłość została wymazana?

– ...prócz jednej...

Jednej! Krasus uchwycił się tego promyczka nadziei.

– Powiedz mi! Jakiej drogi? Co mam robić?

W odpowiedzi smocze głowy zaczęły się przeobrażać. Pyski skróciły się, a głowy wydłużyły, upodabniając się do ludzkich... nie! Nie ludzkich... elfich...

Nocny elf?

Czy był to ktoś, kogo powinien się obawiać, czy ktoś, kogo powinien odszukać? Spróbował zapytać Nozdormu, ale burza rozszalała się ze zdwojoną mocą. Wicher porozdzierał twarze, rozsypując ziarenka piasku na wszystkie strony. Krasus próbował się bronić przed piachem, który ranił go nawet przez ubranie.

Wrzasnął.



I usiadł z ustami wciąż rozwartymi w niemym krzyku.

– Królowo, powrócił do nas.

Umysł Krasusa wracał stopniowo do rzeczywistości. Koszmar ze Skrzydłami Śmierci w roli głównej i późniejsza wizja Nozdormu wciąż mąciły mu w głowie, ale był przynajmniej w stanie skupić się na tyle, by zdać sobie sprawę, że leży w komnacie łęgowej, gdzie po raz pierwszy rozmawiał z Alexstraszą. Królowa Życia spoglądała na niego z głębokim niepokojem. Z jej prawej strony patrzyło na niego jego młodsze ja.

– Czy słabość minęła? - zapytała cicho Alexstrasza.

Tym razem był zdecydowany powiedzieć jej wszystko bez względu na konsekwencje. Przeróżające słowa Nozdormu oznaczały, że droga ku przyszłości jest już prawie zamknięta. Jakie znaczenie miało teraz to, czy

opowie jej o szaleństwie Nelthariona i katastrofie, jaką miał spowodować czarny smok?

Ale gdy spróbował o nim wspomnieć, po raz kolejny prawie stracił przytomność. Z trudem zachował świadomość.

– Zbyt szybko - ostrzegła Alexstrasza. - Potrzebujesz odpoczynku.

Potrzebował znacznie więcej. Potrzebował zdjąć z siebie groźne i subtelne zaklęcie, jakie najwyraźniej rzucił na niego Strażnik Ziemi, ale wszystko wskazywało na to, że żaden z Aspektów nawet się nie domyśla, iż jego stan spowodowany jest czarami. We wszystkich swoich wcieleniach Skrzydła Śmierci był zawsze podstępny i niegodziwy.

Ponieważ nie mógł nic na to poradzić, myśli Krasusa powędrowały ku nocnemu elfowi, którego twarz Nozdormu starał się mu pokazać. Pamiętał tych, którzy zaatakowali Rhonina i jego, ale żaden nie przypominał tej nowej osoby.

– Jak daleko stąd do krainy nocnych elfów? - zapytał Krasus... po czym dotknął ze zdziwieniem ust, uświadamiając sobie, że nie ma żadnych kłopotów z mówieniem. Widocznie zaklęcie Nelthariona pozwalało mu mówić na każdy inny ważny temat oprócz samego smoka.

– Niedługo będziemy mogli cię tam zabrać - odparła jego partnerka. - Ale co ze sprawą o której chciałeś opowiedzieć?

– To... to wciąż ma z nią związek, ale zmieniłem zamiary. Wydaje mi się... wydaje mi się, że właśnie porozumiał się ze mną Wieczny, który próbował mi coś przekazać.

Jego młodsze wcielenie uznało, że tego już za wiele.

– Masz koszmary, urojenia! Słyszeliśmy, jak jęczysz. Wątpię, by Aspekt Czasu chciał się z tobą porozumieć. Może z Alexstraszą, ale nie z tobą.

– Nie - sprzeciwiła się czerwona królowa. - Wierzę, że mówi prawdę, Korialstraszu. Jeśli mówi, że Nozdormu dotknął jego myśli, uważam, że tak

właśnie było.

– Chylę czoła przed twoją mądrością ukochana.

– Muszę się spotkać z nocnymi elfami - nalegał Krasus, który w pobliżu Korialstrasza, gdy nie próbował wspominać o Neltharionie, czuł się znacznie lepiej. - Szukam jednego z nich. Mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

Samica przekrzywiła głowę w bok, patrząc Krasusowi prosto w oczy.

– Czy to wszystko, o czym mi opowiedziałeś, jest wciąż prawdą? Wszystko?

– Tak... ale obawiam się, że jest coś jeszcze. Smoki... wszystkie smoki będą musiały stanąć do walki.

– Ale pod nieobecność Nozdormu nie możemy podjąć decyzji. Pozostali na nic się nie zgodzą!

– Musisz je przekonać, żeby postąpiły wbrew tradycji! - Z trudem wstał. - Bardzo możliwe, że tylko one mogą uchronić świat przed zagładą!

I opowiedział obojgu wszystko, co pamiętał o grozie Płonącego Legionu,

Słuchali jego opowieści o krwi, rzezi, bezdusznym złu. Oba smoki drżały, gdy opisywał im całą tę makabrę. Kiedy skończył, dowiedzieli się dość, by zrozumieć jego strach.

Ale nawet wtedy Alexstrasza powiedziała:

– Wciąż mogą nie chcieć podjąć decyzji. Obserwujemy świat, ale zostawiliśmy jego los w rękach młodszych ras. Nawet Neltharion, który jest Strażnikiem Ziemi, woli, by tak pozostało.

Tak bardzo pragnął powiedzieć jej o Neltharionie, ale na samą myśl o tym kręciło mu się w głowie. Kiwnął niechętnie głową i powiedział:

– Wiem, że zrobisz to, co konieczne.

– A ty musisz zrobić to, co chcesz. Idź do nocnych elfów i poszukaj swojej odpowiedzi, jeśli sądzisz, że może to jakoś pomóc. - Podniosła wzrok na swojego oblubieńca. Po chwili zastanowienia dodała: - Proszę, żebyś mu towarzyszył, Korialstraszu. Zgodzisz się?

Samiec pochylił głowę z szacunkiem.

– Skoro prosisz, z przyjemnością spełnię twoją prośbę.

– Proszę też, abyś był mu posłuszny, mój oblubieńcze. Zaufaj mi, posiadał mądrość, która może być dla ciebie cenna.

Wyraz gadziej twarzy Korialstrasza nie zdradzał, czy smok uwierzył w to ostatnie, ale kiwnął głową.

– Zapadła noc - powiedziała Alexstrasza. - Zaczekasz do świtu?

Smoczy mag pokręcił głową.

– Czekałem już zbyt długo.



Założyciel klanu Ravencrest podniósł wzrok na wielką granitową formację skalną na szczycie wysokiej i zdradliwej góry. Powiedział do swojego towarzysza, że jej krępa budowa przypomina mu szachową figurę, czarną wieżę. To, że bez ustanku krążyły nad nią, a nawet gnieździły się na niej wielkie czarne ptaki, uznano za znak, iż jest to wyjątkowe miejsce, miejsce pełne mocy.

Przez ponad pokolenie - a nocne elfy żyły dłużej niż inne rasy - słudzy rodu Ravencrest wykuwali rodzinną twierdzę, stopniowo budując w litej skale fortecę, jakiej nie widział wcześniej żaden nocny elf. Gawronia Twierdza, jak zaczęto ją wkrótce nazywać, była złowieszczym, ponurym miejscem, które wywierało wpływ na ogromną część elfiego królestwa,

ustępując w tej kwestii jedynie pałacowi. Kiedy dochodziło do konfliktu między nocnymi elfami a krasnoludami, to siła Gawroniej Twierdzy przechylała szalę zwycięstwa na korzyść tych pierwszych. Członkowie klanu Ravencrest cieszyli się przychylnością tronu i krew obu stron zmieszała się. Jeśli Szlachetnie Urodzeni Azshary byli o kogokolwiek zazdrośni, to właśnie o mieszkańców hebanowej fortecy.

W górnych piętrach twierdzy wykuto okna, ale jedyne wejście prowadziło przez żelazne wrota umieszczone nie u podstawy budowli, ale na samym dole wzgórza. Solidne drzwi były zamknięte na głucho i dobrze strzeżone. Tylko głupcy mogli próbować wtargnąć do środka.

Ale przed obecnym lordem Ravencrest bramy otworzyły się natychmiast. Otworzyły się też przed trójką jego więźniów, z których jeden znał historię Gawroniej Wieży i zaczynał się niepokoić.

Malfurion nigdy nie sądził, że trafi do mrocznej warowni, a już na pewno nie przypuszczał, że jego położenie będzie tak rozpaczliwe. Co gorsza, nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że stanie się tak za sprawą jego własnego brata. Podczas podróży dowiedział się, że to Illidan, który nagle sprzymierzył się z lordem Ravencrestem, wykrył zakłęcie Rhonina. Dowódca, wspomagany przez brata Malfuriona, wyjechał pełnymi siłami, tym razem zdecydowany pojmać intruzów. Najbardziej ucieszył się na widok Broxa... i zdziwił na widok bliźniaka Illidana.

W komnacie oświetlonej szmaragdowymi kryształami umieszczonymi w każdym z jej pięciu rogów lord Ravencrest przyglądał się swojej zdobyczy. Dowódca siedział na tronie wykutym z takiego samego kamienia, z jakiego powstała twierdza. Tron stał na podwyższeniu, również kamiennym, dzięki czemu Ravencrest mógł bez wstawania spoglądać z góry na trójkę jeńców.

Pod ścianami komnaty i wokół Malfuriona oraz jego towarzyszy stali uzbrojeni żołnierze. Obok samego Ravencresta stali jego starsi oficerowie,

każdy z hełmem w zgięciu łokcia. Po prawicy szlachcica czekał Illidan.

Obecni byli także dwaj wysocy rangą członkowie Księżycowej Gwardii. Przybyli jako ostatni, zaraz po tym, jak dowódca wprowadził swoich więźniów do twierdzy. Gwardziści także wytropili zakłęcie Rhonina, ale ich szpiedzy poinformowali ich o oddziale Ravencresta, jeszcze zanim mieli szansę wysłać własny zwiad. Czarodzieje nie byli wcale zachwyceni poczynaniami szlachcica, nie podobała im się też obecność Illidana, który w ich oczach nie był prawdziwym magiem.

– Po raz kolejny, lordzie Ravencrest - zaczął Latosius, starszy i szczuplejszy z nich - muszę prosić o wydanie nam tych obcych, aby można ich było poddać należytemu przesłuchaniu.



– Już mieliście człowieka-bestię i go straciliście. Zresztą i tak miał tu trafić. To tylko skróciło całą procedurę. - Szlachcic znów omiół wzrokiem trójkę jeńców. - Ta sprawa jest ciekawsza, niż się pozornie wydaje. Illidanie, masz mi coś do powiedzenia?

Brat Malfuriona wyglądał na lekko zmieszanego, ale odpowiedział z mocą:

– Tak, panie, to mój brat.

– To jasne jak słońce. - Szlachcic przyjrzał się pojmanemu bliźniakowi. - Wiem coś o tobie, chłopcze, tak jak wiem coś o twoim bracie. Nazywasz się Malfurion, tak?

– Tak, panie.

– Uratowałeś tego stwora?

– Tak.

Dowódca nachylił się do przodu.

– I masz ku temu dobry powód? Powód, który tłumaczyłby ten odrażający czyn?

– Wątpię, być mi uwierzył, panie.

– O, mogę uwierzyć w wiele rzeczy, młodzieńcze - odparł spokojnie lord Ravenscrest, targając lekko brodę. - Jeśli rozmawia się ze mną szczerze. Czy to potrafisz?

– Ja... - Czy miał jakiś wybór? Prędzej czy później, w taki czy inny sposób, wydobędą z niego prawdę. - Spróbuję.

I tak Malfurion opowiedział o swoich naukach u Cenariususa, co natychmiast spotkało się z wątpiącym uniesieniem brwi. Objął swoje powtarzające się sny i opowiedział, jak półbóg nauczył go wędrować po świecie podświadomości. Ale przede wszystkim opisał niepokojące siły, które przyciągały go ku Zin-Azshari i pałacu ukochanej królowej nocnych elfów.

Słuchali, gdy opowiadał o samej Studni i zawirowaniach spowodowanych przez czarodziejów z pałacu. Odmalował przed Ravenscrestem, gwardzistami i resztą wizję wieży i tego, co działo się w środku.

Nie wspomniał tylko, zakładając, że wynika to jasno z jego opowieści, że obawia się, iż wszystko to dzieje się za wiedzą królowej Azshary.

Ravenscrest nie wypowiedział się na temat jego opowieści, tylko od razu zapytał gwardzistów:

– Czy wasze bractwo zauważyło podobne kłopoty?

Odpowiedział mu starszy czarodziej:

– Studnia jest bardziej wzburzona niż zwykle i może to być efektem niewłaściwego korzystania z jej mocy. Nie zaobserwowaliśmy tego typu

aktywności ze strony Zin-Azshari, ale z drugiej strony taka nieprawdopodobna historia jak ta...

– Rzeczywiście, niewiarygodna. - Brodaty dowódca spojrzał na Illidana.
- A co ty powiesz o swoim bracie?

– Nigdy nie miał urojeń, panie. - Illidan starał się nie patrzeć na Malfuriona. - A czy mówi prawdę...

– No tak. Mimo to nie byłbym zdziwiony, gdyby lord Xavius i Szlachetnie Urodzeni wzięli się za jakieś diabelskie sztuczki bez wiedzy królowej. Zachowują się tak, jak gdyby była ich drogocenną własnością i nikt inny nie miał do niej prawa.

Nawet członkowie Księżycowej Gwardii pokiwali głowami. Arogancja lorda doradcy i arystokratów w otoczeniu Azshary była dobrze znana.

– Jeśli można - wtrącił się Latosius. - Kiedy załatwimy tę sprawę, powiadomię przełożonych naszego bractwa. Przyjrzą się bliżej Szlachetnie Urodzonym i ich działalności.

– Bardzo interesuje mnie wynik. Młody Malfurionie, twoja opowieść, zakładając, że jest prawdziwa, częściowo cię tłumaczy, ale co to ma wspólnego z uwolnieniem więźnia, które jest poważnym przestępstwem?

– Może ja będę potrafił odpowiedzieć na to pytanie - odezwał się nagle Rhonin.

Malfurion nie był wcale przekonany, czy to dobrze, że przybysz przemówił. Nocne elfy nie były wcale aż tak tolerancyjne wobec innych ras i choć Rhonin przypominał nieco elfa, dla elfów równie dobrze mógłby być trollem.

Ale Ravencrest chciał go wysłuchać. Skinął niedbale na zakapturzonego czarodzieja.

– W mojej krainie... krainie położonej niedaleko od miejsca, z którego pochodzi ork - tłumaczył Rhonin, ruchem głowy wskazując Broxa -

pojawiła się dziwna magiczna anomalia. Mój lud wysłał mnie, a lud Broxa jego. Obaj odnaleźliśmy anomalię, każdy na własną rękę, i wbrew naszej woli zostaliśmy przez nią pochłonięci. On wylądował w innym miejscu, ja w innym.

– A co to ma wspólnego z młodym Malfurionem?

– Uważa on, podobnie jak ja, że owa anomalia została wywołana przez wspomniane czary.

– To byłby powód do niepokoju - stwierdził z powątpiewaniem starszy gwardzista. - Zielonoskóry stwór nie wygląda na kogoś, kogo wysyła się w celu zbadania magicznej anomalii.

– Mój wódz rozkazał iść - powiedział Brox prychnając wyzywająco. - Więc poszedłem.

– Nie mogę się wypowiadać w imieniu orków - odparł Rhonin. - Ale ja z pewnością jestem biegły w sztuce magicznej. - Jego oczy, tak inne od oczu nocnych elfów, patrzyły wyzywająco na gwardzistę.

Po chwili obaj czarodzieje kiwnęli głowami, przyznając mu rację. Malfurion uświadomił sobie, że nie wiedzą, czym dokładnie jest Rhonin, ale rozpoznają kogoś biegłego w sztuce. Prawdopodobnie właśnie z tego powodu pozwolono mu się w ogóle odezwać.

– Może się starzeję, ale jestem skłonny uwierzyć w wasze słowa. - To wyznanie lorda Ravencresta ściągnęło na niego spojrzenia jego oficerów i sprawiło, że Malfuriona zalała fala ulgi. Jeśli dowódca wziął sobie ich opowieść do serca...

– Nie jesteśmy przekonani - oświadczył Latosius. - Takich informacji nie można przyjmować na wiarę. Musimy przeprowadzić przesłuchanie.

Szlachcic uniósł brew.

– A czy twierdziłem inaczej?

Strzelił palcami i strażnicy mocno chwycili Malfuriona za ramiona, wlekąc go w stronę podwyższenia.

– A teraz chciałbym poddać próbie mojego nowego czarodzieja. Illidan, choć może ci się to wydać obrzydliwe, musimy ustalić prawdę. Tuszę, że udowodnisz nam, iż wszystko, co mówi twój brat, jest prawdą?

Nocny elf przełknął ślinę, a potem popatrzył w jakiś punkt za Malfurionem.

– Ufam mojemu bratu, ale nie mogę powiedzieć tego samego o tej dziwnej istocie, panie.

Illidan nie chciał używać swojej mocy przeciwko własnemu bratu i próbował odwrócić od niego uwagę pozostałych. Malfurion doceniał jego troskę, ale nie chciał, żeby Rhonin albo Brox cierpieli zamiast niego.

– Lordzie, to jakiś absurd! - Starszy czarodziej podszedł do podwyższenia, patrząc z pogardą na Illidana. - Nielegalny czarodziej będący na dodatek bratem jednego z więźniów? Także przesłuchanie będzie podejrzanе! - Odwrócił się do Malfuriona, mrużąc groźnie srebrne oczy. - Zgodnie z prawami ustalonymi u zarania naszej cywilizacji w sprawach związanych z magią nadzór nad przesłuchaniami jest obowiązkiem i prawem Księżycowej Gwardii!

Podszedł do więźnia na wyciągnięcie ręki. Malfurion starał się nie okazywać niepokoju. Miał nadzieję, że szkolenie na druida pozwoli mu przetrwać fizyczne niedogodności pobytu w Gawroniej Wieży, ale o wiele bardziej obawiał się czarodzieja grzebiącego mu w głowie. Tego rodzaju przesłuchanie mogło nie naruszyć jego ciała, ale za to uszkodzić mózg i to do tego stopnia, że już nigdy nie dojdzie do siebie.

Illidan zeskoczył z podwyższenia.

– Panie, ja przesłucham mojego brata.

Cokolwiek jego brat miał zamiar zrobić, Malfurion podejrzewał, że będzie o wiele ostrożniejszy od gwardzisty, któremu zależało wyłącznie na odpowiedziach. Malfurion popatrzył na lorda Ravencresta z nadzieją że szlachcic przyjmie propozycję Illidana.

Ale pan Gawroniej Twierdzy odchylił się tylko na oparcie tronu, mówiąc:

– Postąpimy zgodnie z prawem, gwardzisto... ale tylko pod warunkiem, że przeprowadzisz przesłuchanie tu i teraz.

– Zgoda.

– Pamiętaj, że może mówić prawdę.

Malfurion zgadywał, że to największe ustępstwo na jakie Ravencrest jest skłonny przystać, aby uchronić bliźniaka Illidana przed krzywdą. Brodaty dowódca był przede wszystkim opiekunem królestwa. Jeśli ceną było życie albo umysł jednego nocnego elfa, trzeba było ponieść ofiarę.

– Poznamy prawdę - odpowiedział mag. A strażnikom rozkazał: - Trzymajcie mu głowę prosto.

Jedna z opancerzonych postaci ustawiła Malfuriona we właściwej pozycji. Zakapturzona postać podniosła rękę i dotknęła palcem wskazującym skroni szarpiącego się więźnia.

Malfurion przeżył szok i był pewny, że wrzasnął. Jego myśli zawirowały, na powierzchnię wypłynęły mimo woli stare wspomnienia. Ale zostały po kolei odrzucone przez coś, co wydawało się szponiastą dłonią zapuszczającą się w głąb jego umysłu...

Nie opieraj się!, rozkazał ostry głos, który musiał należeć do Latosiusa. *Ujawnij swoje sekrety, a lepiej na tym wyjdiesz!*

Malfurion chciał, ale nie wiedział jak. Myślał o tym, co zdążył już powiedzieć zgromadzonym i usiłował przekazać to magowi.

Prawdopodobnej zdrady Azshary starał się jeszcze nie ujawniać. Gdyby zdradził się z tym podejrzeniem, nikt by mu już nie uwierzył...

Wtem, równie gwałtownie, jak wryła się w jego myśli, nachalna sonda znikła. Nie wycofała się, nie zanikła stopniowo. Po prostu nagle znikła.

Pod Malfurionem załamały się nogi. Byłby upadł, gdyby nie trzymający go strażnicy.

Stopniowo zaczęły do niego docierać krzyki, niektóre pełne konsternacji, inne niedowierzania. Jeden z ostrzejszych brzmiał jak głos starszego gwardzisty.

– To oburzające! - zawołał ktoś inny. - Na pewno nie królowa!

– Nigdy!

Więc jednak zdradził się ze swoją największą obawą. Malfurion przeklął swój słabowity umysł. Przesłuchanie ledwo się rozpoczęło, a już zawiódł samego siebie, postąpił wbrew naukom Cenariususa...

– To Szlachetnie Urodzeni! To musi być ich wina! To sprawka Xaviusa!
- upierał się inny głos.

– Dopuszczał się niegodziwości wobec własnych pobratymców! - zgodził się następny.

O czym oni mówili? Choć Malfurionowi ciągle szumiało w głowie, wciąż miał wrażenie, że coś jest nie tak z rozmową prowadzoną podniesionymi głosami. Krzyczący byli zbyt podnieceni, zareagowali zbyt histerycznie na jego podejrzenia. Był tylko zwykłym nocnym elfem, niskim rangą. *Dlaczego jego niejasne domysły wprowadziły ich w narastającą panikę?*

– Pozwólcie mi się nim zająć - powiedział jakiś głos. Malfurion poczuł, jak żołnierze przekazują go komuś, kto opuścił go delikatnie na podłogę.

Czyjeś dłonie dotknęły boków jego twarzy, podnosząc mu głowę. Zamglonym wzrokiem spojrzął w oczy brata.

– Dlaczego od razu się nie poddałeś? - wyburczał Illidan. - Dwie godziny! Czy coś zostało z twojego umysłu?

– Dwie... godziny?

Słyszając odpowiedź, Illidan zaczął oddychać spokojniej.

– Chwała niech będzie Elune! Gdy tylko wyplułeś z siebie tę bzdurę o królowej, ten stary głupiec wziął się, żeby wyciągnąć z ciebie wszystko bez względu na koszty! Gdyby jego zaklęcie nagle nie zawiodło, pewnie zostałyby z ciebie tylko pusta powłoka! Nie zapomnieli o utracie swoich braci i obwiniają cię o ich śmierć!

– Jego zzzaklęcie zawiodło? - To nie miało sensu. Elf przesłuchujący Malfuriona był starszym czarodziejem.

– Wszystkie ich zaklęcia! - upierał się Illidan. - Kiedy stracił kontrolę nad pierwszym, spróbował następnego, a kiedy i ono zawiodło, jego towarzysz rzucił trzecie, znów bezskutecznie!

Malfurion wciąż nie rozumiał. To, co mówił jego brat, brzmiało tak, jak gdyby obaj Księżycowi Gwardziści stracili swoją moc.

– Nie mogą czarować?

– Nie... a moja moc wydaje się przytłumiona... - Nachylił się do ucha Malfuriona. - Chyba zostało mi jej jeszcze trochę... ale to prawie nic. Czuję się tak, jak gdybyśmy zostali odcięci od Studni!

Zamieszanie robiło się coraz większe. Usłyszał, jak lord Ravencrest pyta, czy gwardziści pozostają w kontakcie ze swoimi braćmi, na co jeden z czarodziejów odparł, że stale obecna więź została zerwana. Potem szlachcic zapytał własnych podwładnych, czy zachowali swoje umiejętności, choćby osłabione.

Nikt nie odpowiedział twierdząco.

– Zaczęło się... - wyszeptał bez zastanowienia Malfurion.

– Hmm? - Jego brat bliźniak zmarszczył brwi. - Co takiego? Co się zaczęło?

Malfurion patrzył przed siebie pustym wzrokiem, przypominając sobie gwałtowne siły przywołane przez elfy w wieży. Zobaczył znów lekceważenie wpływu, jaki podobne czary mogą mieć na tych mieszkających poza murami pałacu.

– Nie wiem... - wydusił w końcu. - A chciałbym, na Księżycową Matkę, wiedzieć... ale nie wiem. - Za plecami Illidana zobaczył zafrasowane twarze Broxa i Rhonina. Bez względu na to, czy rozumieli to co on, obaj wydawali się podzielać jego rosnący strach. - Wiem tylko, że cokolwiek to jest... właśnie się zaczęło.



W całym królestwie nocnych elfów, w całym Kalimdorze, tysiące odczuły stratę. Zostali odcięci od Studni. Moc, którą się tak beztrudnie posługiwali, została im odebrana. Narastało w nich poczucie zagrożenia, bo czuli się tak, jak gdyby ktoś sięgnął ku niebu i skradł im księżyc.

Ci mieszkający najbliżej pałacu zwrócili się oczywiście do swojej królowej, chcąc prosić ją o wskazówki. Ciżba zbierająca się przed zaryglowanymi bramami, była coraz liczniejsza. Z góry przyglądały się im obojętne twarze wartowników, którzy ani nie otwierali bram, ani nie próbowali uspokoić gromadzących się tłumów.

Minęła połowa nocy i pół miasta wyległo na plac pod pałacem, kiedy bramy wreszcie się otworzyły. Elfy ruszyły naprzód, czując ulgę. Były pewne, że Azshara wreszcie wyszła im na spotkanie, aby odpowiedzieć na ich błagania.

Ale to, co wyszło zza murów pałacu, nie było ani królową, ani niczym, co byli sobie w stanie wyobrazić mieszkańcy świata nocnych elfów.

Tak zginęły pierwsze ofiary Płonącego Legionu.

DZIEWIĘTNAŚCIE



Zawroty głowy dopadły Krasusa tak niespodziewanie, że prawie przypłacił życiem ich atak. Jeszcze przed chwilą czuł się prawie tak jak dawniej, w dużej mierze dzięki bezpośredniej bliskości Korialstrasza. Smok niósł go szybko w stronę polany Cenariususa, ale w takiej odległości, by półbóg ich nie zauważył. Maga pchało do przodu pragnienie odnalezienia nocnego elfa, którego pokazał mu Nozdormu - i właśnie dlatego zawroty głowy zaskoczyły go do tego stopnia, że prawie zsunął się z grzbietu smoka.

Korialstrasz zmienił pozycję w ostatniej chwili, ale młodsze wcielenie Krasusa też wydawało się dziwnie zaniepokojone.

– Lepiej się czujesz? - zaryczał smok.

– Dochodzę do siebie. - Krasus spojrział w nocne niebo, próbując zrozumieć, co się stało. Szperał w swoich fragmentarycznych wspomnieniach, aż w końcu nasunęła mu się prawdopodobna odpowiedź. - Przyjacielu, czy znasz stolicę nocnych elfów?

– Zin-Azshari? Coś o niej słyszałem.

– Skręć w jej stronę.

– Ale twoje zadanie...

Krasus był nieugięty.

– Zrób to. To niesłychanie ważna sprawa.

Jego młodsze wcielenie coś zaburczało, ale skrzyło w stronę Zin-Azshari. Nachylając się nad smoczym karkiem, Krasus patrzył przed siebie, wyglądając legendarnego miasta. Jeśli pamięć dobrze mu służyła - a nie mógł być tego pewny - Zin-Azshari było ukoronowaniem cywilizacji nocnych elfów, wspaniałą, rozległą metropolią, jakiej już nigdy potem nie wzniesiono. Jednak to nie okazałość starożytnego miasta go interesowała. Krasusa niepokoiła zapamiętana bliskość osławionej Studni Wieczności.

I to Studnia go teraz przyciągała. Choć nie pamiętał okoliczności pierwszej inwazji Płonącego Legionu, umysł miał wciąż na tyle sprawny, by postawić kilka trafnych hipotez. W tej epoce Studnia oznaczała moc, a moc była nie tylko tym, czego pożądały demony, ale tym, co umożliwiała im przedostanie się do krain, które później pustoszyły.

Gdzie według największego prawdopodobieństwa będzie znajdował się portal, przez który Płonący Legion będzie musiał przejść, jeśli nie w pobliżu największego źródła magicznej mocy, jakie kiedykolwiek istniało?

Mknęli przez nocne niebo, Korialstrasz z każdą minutą zostawiał za sobą kolejne miłe. Mimo to mijały godziny, cenne godziny, na które, zdaniem Krasusa, świat nie mógł sobie pozwolić.

W końcu smok zawołał:

– Wkrótce będziemy nad Zin-Azshari! Co masz nadzieję zobaczyć?

Pytanie powinno było brzmieć: „czego ma nadzieję nie zobaczyć”, ale nie mógł tego wytłumaczyć swojemu towarzyszowi.

– Nie wiem.

Przed sobą ujrzeli niezliczone światła. Mag zmarszczył brwi. Wiedział, że nocne elfy potrzebowały oświetlenia, ale miał wrażenie, że światła jest za dużo jak na krainę nocnych istot. Nawet miasto tak ogromne jak Zin-Azshari nie byłoby tak jasne.

Ale kiedy znaleźli się bliżej, odkryli, że źródłem światła nie są pochodnie ani kryształy, lecz pożary szalejące w całej elfiej stolicy.

– Miasto płonie! - ryknął Korialstrasz. - Co mogło rozpętać takie piekło?

– Musimy obniżyć lot - odpowiedział Krasus.

Czerwony smok zanurkował, opadając setki stóp w dół. Teraz widzieli szczegóły. Wymyślne, barwne budowle były spalone, niektóre właśnie się waliły. Ogrody i wielkie nadrzewne domy obróciły się w stosy pogrzebowe.

A na ulicach leżały trupy.

Elfy zostały brutalnie zarżnięte, bez litości dla starców, ułomnych czy dzieci. Wiele zginęło w grupie, inne zostały wyłapano pojedynczo. Oprócz mieszkańców Zin-Azshari wybito różne zwierzęta, przede wszystkim nocne pantery, które wymordowano w równie ohydny sposób co elfy.

– To doszło do wojny! - warknął skrzydlaty lewiatan. - Nie... nie do wojny! To masowe zabójstwo!

– To robota Płonącego Legionu - wymamrotał pod nosem Krasus.

Korialstrasz skręcił ku centrum. Ale ku ich zdziwieniu zniszczenia robiły się coraz mniejsze w miarę, jak zbliżali się do budowli wyglądającej na pałac. Wydzielona murami, środkowa część miasta wydawała się zupełnie nienaruszona.

– Co wiesz o tej dzielnicy? - zapytał Krasus Smoka.

– Niewiele, ale wydaje mi się, że te posiadłości połączone z pałacem królowej należą do elfów zwanych Szlachetnie Urodzonymi. Cieszą się one wśród swoich najwyższym poważaniem i wszystkie służą bezpośrednio jej wysokości, królowej Azsharze.

– Zatocz nad nimi koło.

Korialstrasz spełnił jego polecenie. Przyglądając się okolicy, Krasus potwierdził swoje podejrzenia. Żaden fragment kwartału, w którym

mieściły się rezydencje Szlachetnie Urodzonych, nie ucierpiał wskutek straszliwej katastrofy.

– Widzę jakiś ruch na północnym-zachodzie, Krasusie!

– Poleć tam! Szybko!

Nie musiał zachęcać swojego towarzysza, gdyż Korialstrasz pragnął się dowiedzieć, co się stało, równie mocno jak on sam. Co nie było wcale zaskakujące, zważywszy na to, że *byli* jednym i tym samym.

Krasus zobaczył teraz to, co wcześniej dostrzegł bystry wzrok smoka. Sunącą przez miasto falę podobną do szarańczy. Korialstrasz jeszcze bardziej obniżył lot, aby mogli rozróżnić poszczególne osobniki.

Krasus przeżywał powrót zła.

Płonący Legion maszerował niezmordowanie przez Zin-Azshari, nie zostawiając za sobą kamienia na kamieniu. Jego moc obracała budynki w gruzy. Byli wśród nich piekielni gwardziści, wysocy i brutalni, uzbrojeni w buzdygany i tarcze. Były bezmyślne infernale torujące armii drogę przez kamienne mury i inne fizyczne przeszkody. Nad nimi unosiły się skrzydlate olbrzymy o nogach zakończonych racicami, zakute w stalowe pancerze i dzierzące w dłoniach zielone ogniste miecze - strażnicy zagłady.

Gdy smok przesunął się na czoło hordy, Krasus zauważył podobne do psów piekielne ogary, które zawsze wyprzedzały Legion. Sprawiały wrażenie wyjątkowo ożywionych - nie dość, że węszyły zawzięcie uniesionymi wysoko nosami, to ich złowieszcze macki, którymi pochłaniały magię, wysuwały się skwapliwie do przodu.

A potem mag zobaczył tych, których ścigał Legion.

Z miasta uciekały całe rodziny i pojedyncze elfy przepychając się w wąskich uliczkach. Na ich tyłach niewielki oddział uzbrojonych żołnierzy i kilka postaci, które Krasus uznał za członków legendarnej Księżycowej Gwardii, starało się powstrzymać napór demonów.

Gdy dwójka towarzyszy zbliżyła się do nich, jeden z gwardzistów na czele oddziału spróbował rzucić zaklęcie. Ale wyjście na otwarty teren przypłacił śmiercią. Jeden z piekielnych ogarów skoczył naprzód, lądując tuż przed czarodziejem. Jego macki wystrzeliły do przodu z oszałamiającą prędkością.

Wczepiły się w pierś czarodzieja, unosząc go w powietrze. Zanim ktokolwiek - nawet Krasus i Korialstrasz - zdążył mu przyjść z pomocą, miotający się gwardzista został wyssany ze swej magicznej mocy i odrzucony na bok jako martwa, pusta skorupa.

Czerwony smok zaryczał. Nawet gdyby chciał, Krasus nie byłby w stanie powstrzymać swojego młodszego wcielenia przed wzięciem odwetu. Tak naprawdę jego własne wspomnienia równie makabrycznych wydarzeń kazały mu siedzieć cicho. Zbyt wielu zginęło z powodu Legionu i choć Korialstrasz trafił w to miejsce za jego sprawą, Krasus już się tym nie przejmował. Próbował nie powodować dalszych zmian w przeszłości, ale co za dużo, to niezdrowo.

Przyszędł czas na porachunki.

Mijając w pędzie pierwsze szeregi armii demonów, Korialstrasz zionął wielką chmurą ognia. Strumień płomieni otoczył nie tylko ogara, który zabił czarodzieja, ale i resztę stada. Skowycząc dziko, te nieliczne, które przeżyły, wycofały się. Część była paskudnie poparzona.

Korialstrasz nie zatrzymywał się. Teraz zawrócił w stronę głównej hordy, otaczając drugą falą płomieni demony na samym przedzie.

Większość zginęła na miejscu. Kilku wytrzymalszych piekielnych gwardzistów zdołało wyrwać się z płomieni, ale zaraz potem padło od ognistych ran. Jeden płonący infernal usiłował zdusić płomienie rękami, a kiedy mu się to nie udało, wbiegł prosto w budynek, chyba w nadziei, że to ugasi trawiący go ogień. Kilka sekund później on też zwałił się na ziemię.

Nawet Płonący Legion nie mógł się oprzeć czystej mocy smoka, ale to nie oznaczało, że jest bezbronny. Z szeregów demonów wyleciało nagle kilkudziesięciu strażników zagłady. Krasus zauważył ich pierwszy i choć zdawał sobie sprawę z ryzyka, rzucił szybkie zaklęcie.

Wichry uderzyły w lecące przodem demony, rzucając nimi w resztę. Strażnicy zagłady zakotłowali się, wpadając na siebie.

Korialstrasz znów zionął ogniem.

Pięć skrzydlatych potworów runęło w dół niczym ogniste pociski, przyczyniając się do jeszcze większych strat wśród zgrai na dole. Reszta strażników zagłady przegrupowała się. W niebo wzlecieli kolejni. Korialstrasz wyraźnie liczył na konfrontację, ale Krasus nagle odczuł oznaki nadchodzącego osłabienia. Tak jak mówiła Alexstrasza, razem prawie stanowili całość, prawie... Jednoczesny wysięk osłabiał ich szybciej niż zwykle. Już teraz smok leciał wolniej, mniej płynnie, nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Musimy uciekać! - zawołał Krasus.

– Opuścić pole walki? Nigdy!

– Dzięki nam uchodźcom udało się oddalić! - Chwilowe powstrzymanie Legionu pozwoliło nocnych elfom rozproszyć się poza miastem. Krasus był przekonany, że teraz uda im się utrzymać hordę na dystans. - Musimy zawiadomić tych, którzy mogą zrobić więcej! Musimy dotrzeć tam, gdzie planowaliśmy!

Wypowiedzenie tych słów było dla Krasusa bolesne, bo w głębi serca chciał spopielić każdego demona w zasięgu wzroku, ale coraz więcej potworów wzbijało się w powietrze, szykując się do walki z samotnym smokiem.

Rycząc z frustracji, Korialstrasz po raz ostatni zionął ogniem, zabijając trzech strażników zagłady i odrzucając resztę w tył. Potem czerwony

behemot zawrócił i odleciał, pomimo rosnącego wyczerpania z łatwością umykając Legionowi.

Gdy znów przelatywali nad pałacem, Krasus zobaczył z przerażeniem, że zza jego bram wylewają się kolejne demony. Ale najbardziej zaniepokoił go strażnicy pełniący służbę na blankach, którzy zupełnie nie zwracali uwagi na rozpaczliwe położenie, w jakim znaleźli się obywatele Zin-Azshari.

Krasus widział już w przeszłości równie jawną obojętność. Podczas drugiej wojny też znaleźli się tacy, którzy postępowali w taki sam przerażająco nieczuły sposób. *Są zahipnotyzowani rosnącym wpływem demonów! Jeśli przywódcy Legionu nie postawili jeszcze stopy na śmiertelnym planie, to wkrótce to nastąpi!*

A kiedy do tego dojdzie, nie będzie już przyszłości dla świata... a w tym przypadku nawet przeszłości.



Jakieś okropne dźwięki zakłócały jej wypoczynek. Azshara rozkazała muzykantom grać, aby zagłuszyć niemiłe hałasy, ale liry i flety poniosły druzgoczącą porażkę. W końcu wstała i w otoczeniu swoich nowych gwardzistów z wdziękiem ruszyła na przechadzkę po pałacu.

Pierwszą osobą, którą napotkała, nie był jednak lord Xavius, lecz kapitan Varo'then. Kapitan upadł na jedno kolano i przycisnął pięść do serca.

– Wasza wspaniała wysokość...

– Mój drogi kapitanie, co jest powodem tego paskudnego jazgotu?

Nocny elf, którego oblicze szpeciła blizna, popatrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Może będzie lepiej, jeśli ci to pokażę.

– Doskonale.

Zaprowadził ją na balkon wychodzący na miasto. Azshara rzadko tu bywała, chyba że po to, aby pokazać się ludowi, gdyż wołała patrzeć z własnych komnat na swoje przepiękne ogrody albo spoglądać z wieży na Studnię Wieczności.

Ale widok, który jej się ukazał, nie był tym, do czego była przyzwyczajona. Złote oczy Azshary chłonęły obrazy zrujnowanych budowli, szalejącej pożogi i ciał zaśmiecających ulice. Spojrzała w prawo, gdzie otoczone murami siedziby Szlachetnie Urodzonych wciąż stały nienaruszone.

– Wyjaśnij mi to, kapitanie.

– Doradca powiedział mi, że ci oto okazali się niegodni. Aby mógł powstać świat doskonały, wszystko to, co niedoskonałe, musi zostać zmiecione z powierzchni ziemi.

– A tych w dole lord Xavius uznał za niegodnych?

– Tak zalecił mu najbardziej zaufany sługa przewspaniałego, niebiański dowódca Mannoroth.

Azshara poznała w przelocie imponującego Mannorotha i tak jak jej doradca była pod ogromnym wrażeniem zasłużonego sługi boga.

Królowa kiwnęła głową.

– Skoro Mannoroth twierdzi, że tak musi być, to musi tak być. Zawsze uważałam, że poświęcenia są konieczne w imię szczytnych celów.

Varo'then pochylił głowę.

– Twoja mądrość jest bezgraniczna.

Azshara przyjęła jego komplement ze spokojem godnym królowej, przyzwyczajona do prawionych jej codziennie słów uznania. Wciąż spoglądając na rzeź w dole, zapytała:

– Ile czasu to potrwa? Czy przewspaniały też się wkrótce pojawi?

– Tak, moja królowo... podobno Mannoroth nazywa go Sargerasem.

– Sargeras... - Azshara smakowała to imię, obracając je w ustach. - Sargeras... zaiste odpowiednie imię dla boga! - Przyłożyła dłoń do piersi. - Mam nadzieję, że zostanę zawczasu powiadomiona o jego nadejściu. Byłabym wielce rozczarowana, gdybym nie mogła powitać go osobiście.

– Sam dopilnuję, żebyś została ostrzeżona odpowiednio wcześniej - zapewnił Varo'then, a potem się uklonił. - Wybacz mi, królowo, obowiązki wzywają.

Odprawiła go niedbałym machnięciem ręki, wciąż zafascynowana zarówno sceną w dole, jak i prawdziwym imieniem boga. Kapitan zostawił ją z jej gwardią przyboczną.

Azshara zaczęła wyobrażać sobie świat mający zastąpić ten, który został unicestwiony. Wspanialsze miasto, prawdziwy pomnik jej chwały. Nie będzie się już nazywać Zin-Azshari, choć to miło ze strony ludności, że tak je nazwała. Nie, następnym razem będzie się po prostu nazywać Azshara. O ileż bardziej stosowna nazwa dla siedziby królowej. Azshara. Powtórzyła tę nazwę dwukrotnie, podziwiając jej brzmienie. Już dawno powinna była zażądać zmiany, ale teraz nie miało to znaczenia.

A potem do głowy przyszła jej inna, bardziej intrygująca myśl. To prawda, była najdoskonalszą przedstawicielką swojej rasy, ale był ktoś jeszcze wspanialszy, jeszcze cudowniejszy od niej... i miał wkrótce nadejść.

Nazywał się Sargeras.

– Sargeras... - wyszeptała. - Bóg Sargeras... - Przez jej twarz przemknął prawie dziecienny uśmiech... - i jego małżonka Azshara...



Do Gawroniej Twierdzy co kilka minut przybywali kolejni posłańcy. Wszyscy chcieli się natychmiast spotkać z panem fortecy, gdyż każdy przynosił ważne wieści.

Każde pismo do lorda Ravencresta sprowadzało się do tej samej dramatycznej wiadomości.

Nocne elfy zostały niemal pozbawione czarodziejskiej mocy. Nawet najbieglejsi prawie zupełnie utracili swoje zdolności. W dodatku zaklęcia, których działanie zależało od ciągłego czerpania mocy ze Studni, zawiodły, co w kilku miejscach miało katastrofalne skutki. Wszędzie wybuchła panika i urzędnicy robili, co w ich mocy, aby nie dopuścić do totalnego chaosu.

Z najważniejszego miejsca, z okolic Zin-Azshari, nie docierały żadne wieści.

Aż do teraz.

Posłaniec wprowadzony przez strażników ledwo trzymał się na nogach. Jego ciało widoczne przez wyrwy w rozdartym pancerzu znaczyły krwawe blizny. Zachwiał się, padając przed lordem Ravencrestem na jedno kolano.

– Czy dostał coś do jedzenia i picia? - zapytał szlachcic. Kiedy nikt nie odpowiedział, wydał gniewnym głosem rozkaz jednemu z żołnierzy stojących przy wejściu. W ciągu kilku sekund posłańcowi przyniesiono pożywienie.

Wśród czekających niecierpliwie na wieści był Rhonin i pozostali. Wcześniej więźniowie, teraz mieli trudny do zdefiniowania status. Nie byli

sojusznikami, ale i nie wrogami. Czarodziej postanowił się nie odzywać i trzymać w tyle, żeby znów nie zostać więźniem.

– Czy teraz możesz mówić? - huknął Ravencrest do posłańca, gdy ten zjadł kilka owoców i wypił prawie pół bukłaka wody.

– Tak... wybacz mi, panie... że nie zrobiłem tego wcześniej.

– Sądząc po twoim stanie, trudno uwierzyć, że w ogóle udało ci się tu dostać...

Nocny elf klęczący przed szlachcicem potoczył wzrokiem po zgromadzonych. Rhonin zauważył, jak zapadłe ma oczy.

– Samemu trudno mi w to uwierzyć... panie. - Rozkaszłał się. - Panie... przychodzę ci powiedzieć... iż nadszedł koniec naszego świata.

Bezbarwny ton, jakim wypowiedział to ostatnie zdanie, tylko wzmocnił jego straszliwą wymowę. Martwa cisza wypełniła komnatę. Rhonin przypomniał sobie słowa Malfuriona. *Zaczęło się*. Nawet Malfurion nie rozumiał, co ma na myśli, wiedział jedynie, że dzieje się coś okropnego.

– Co masz na myśli? - dopytywał się Ravencrest, nachylając się w jego stronę. - Czy otrzymałeś jakąś straszliwą wiadomość z Zin-Azshari? Czy prosili cię, żebyś przekazał te potworne wieści?

– Panie... ja przychodzę z Zin-Azshari.

– To niemożliwe! - wtrącił się Latosius. - Zwykła podróż zajmuje co najmniej trzy do pięciu nocy, a magia przestała działać...

– Wiem, co działa, a co nie, lepiej od ciebie! - warknął żołnierz, lekceważąc wysoką rangę księżycowego gwardzisty. A do lorda Ravencresta powiedział: - Zostałem wysłany, aby błagać o pomoc! Ci, którzy byli w stanie, skupili tę odrobinę mocy, jaka im została, aby mnie tu przysłać! Mogą być już martwi... - Przełknął ślinę. - Możliwe, że tylko ja przeżyłem...

– Miasto, chłopcze! Co z miastem?

– Panie... Zin-Azshari legło w gruzach, opanowane przez żądne krwi demony, stwory z koszmaru!

Opowieść popłynęła z ust posłańca niczym krew z nie zatamowanej rany. Tak jak wszystkie pozostałe nocne elfy mieszkańców stolicy zaszokowała nagła i niewytłumaczalna utrata prawie całej mocy. Wielu udało się do pałacu po pomoc. Tłum zebrany przed bramą liczył setki osób.

I wtedy z pałacu wysypała się zgraja potwornych wojowników, niektórych rogatych, innych skrzydlatych, wszystkich uzbrojonych i gotowych mordować każdego, kto stanął im na drodze. W kilka sekund wybili bez żadnej litości kilkadziesiąt osób. Wybuchła panika i pozostali zostali stratowani przez tych, którzy usiłowali uciec.

– Uciekaliśmy, panie, wszyscy. Mogę mówić tylko za tych, którzy biegli w moją stronę, ale nawet zaprawieni w boju wojownicy nie opierali się długo. Horda demonów ruszyła za nami, wyłapując tych, którzy nie byli w stanie utrzymać tempa. Rozproszone grupki zdołały umknąć z miasta, ale demony ścigały je nawet tam. Nikt nie przerywał posłańcowi. Nikt nie zarzucił mu, że cierpi na urojenia. Wszyscy wyczytali prawdę z jego oczu i głosu.

Potem posłaniec opowiedział, jak się tu znalazł. Grupka Księżycowych Gwardzistów i oficerów naradziła się, obmyślając jakiś sposób obrony albo działania. Uzgodnili, że należy powiadomić Gawronią Twierdzę, a w wyniku losowania obowiązek ten przypadł właśnie jemu.

– Ostrzegli, że zaklęcie może nie zadziałać zgodnie z planem, że mogę trafić na dno Studni albo nawet z powrotem do miasta... - Wzdrygnął się. - Nie miałem wyboru...

Czarodzieje przystąpili do dzieła. Stanął w środku, gdy kumulowali całą energię, jaką jeszcze władali. Świat wokół niego zbladł...

W chwili, w której zniknął, zobaczył potworne psy gończe skaczące na zebranych.

– Wylądowałem na północ stąd, panie, poobijany, ale żywy. Trochę czasu zajęło mi dotarcie do placówki, gdzie udało mi się dostać nocną panterę... a potem ruszyłem tutaj najszybciej jak mogłem.

Wyraźnie przygaszony Ravencrest osunął się na oparcie tronu.

– A pałac? Pałac też został zburzony? Wszyscy wymordowani?

Posłaniec zawahał się, a potem powiedział:

– Panie, na murach stali wartownicy. Przyglądali się ludziom, zanim otwarto bramy... a potem patrzyli, jak potwory wychodzą na zewnątrz i szlachtują nas wszystkich!

– Królowa nigdy by na to nie pozwoliła! - zachnął się jeden z oficerów. Inni pokiwali głowami, ale wielu nie ujawniło swoich poglądów.

Ich dowódca miał na ten temat własne zdanie.

– A więc jest tak, jak podejrzewaliśmy - mruknął z ponurą miną. - To musi być sprawka Szlachetnie Urodzonych.

– Chyba nawet oni nie byliby tak szaleni! - spierał się Latosius. - To prawda, ich czarodzieje uważają się za lepszych nawet od Księżycowej Gwardii, ale są nocnymi elfami tak jak my!

– Tak się nam wydawało, ale ich pycha nie zna granic! - Ravencrest wyrznął pięścią w poręcz kamiennego tronu. - I nie zapominajmy, że Szlachetnie Urodzeni wypełniają rozkazy lorda doradcy... Xaviusa!

Rhonin słyszał już wcześniej to imię, ale teraz uderzyła go jadowitość, z jaką zostało wymówione. Nachylił się do Malfuriona, pytając:

– Kim jest ten Xavius?

Malfurion czuł się już znacznie lepiej, w dużej mierze dzięki pomocy brata bliźniaka. Teraz stał obok innych, podtrzymywany lekko przez Broxa.

– To on sący jad w uszy królowej. To jej najbardziej zaufany doradca i rywal lorda Ravencresta. Nie wątpię, że maczał w tym palce, ale nie zrobiłby tego bez zgody Azshary! Nawet Szlachetnie Urodzeni oddają jej cześć!

– Nigdy w to nie uwierzą - zauważył Illidan. - Na razie zapomnijmy o tym! Niech myślą, że to doradca! W końcu i tak poznają prawdę!

Choć Rhonin nie do końca ufał Illidanowi, akurat w tym względzie się z nim zgadzał. Wyglądało na to, że winowajca został wybrany. Ravencrest wstał, krzycząc coś do pozostałych. Jego oficerowie wcisnęli na głowy hełmy, jak gdyby chcieli natychmiast wyruszać do stolicy.

– Wszyscy członkowie Księżycowej Gwardii, wszyscy w miarę biegli czarodzieje powinni się jak najszybciej zebrać! Garo'thalu! Wyślij posłańców, do wszystkich placówek i dowódców! Musimy zorganizować obronę! Musimy jakoś opanować tę koszmarną sytuację!

– Musimy coś zrobić, żeby móc znów korzystać ze Studni! - sprzeciwił się Latosius. - Same siły zbrojne nie ocalą nas przed tymi potworami! Słyszałeś, co mówił posłaniec!

Brodaty dowódca zbliżył twarz do twarzy gwardzisty.

– Mamy jeszcze trochę magii, zwłaszcza twoje słynne bractwo, a poza tym siły zbrojne to wszystko, co nam zostało, nieprawdaż?!

Illidan opuścił nagle brata i pozostałych.

– Panie, czuję, że mogę się na coś przydać! Wciąż potrafię rzucać zaklęcia!

– Doskonale! Będą nam potrzebne! Zin-Azshari musi zostać pomszczone, a królowa uwolniona z rąk Szlachetnie Urodzonych!

Rhonin nie był w stanie zachować spokoju. Widział już, do czego jest zdolny Płonący Legion, i choć to wszystko działo się w jego przeszłości,

nie mógł stać z boku, na co liczył Krasus. Wciąż czuł, że potrafi przyzywać magię, nagiąć ją do własnej woli.

– Lordzie Ravencrest!

Szlachcic zmierzył go wzrokiem, jak gdyby nadal nie był pewny, co o nim myśleć.

– Co takiego?

– Potrzebujesz kogoś, kto umie czarować. Oferuję moją pomoc.

Ravencrest przyglądał mu się z powątpiewaniem.

W odpowiedzi czarodziej przywołał kulę błękitnego blasku, która pojawiła się nad jego dłonią. Musiał włożyć w to więcej wysiłku niż zwykle, ale nie dał tego po sobie poznać.

Powątpiewanie znikło z twarzy dowódcy.

– Dobrze, witamy w naszych szeregach... - Kątem oka zauważył, że Latosius chce zaprotestować. - Zwłaszcza, że nie mamy wielkiego wyboru.

– Gdyby tylko udało nam się usunąć zaklęcie, które odcięło nas od Studni...

– Co samo w sobie wymagałoby potężnych czarów... a gdybyś to potrafił, gwardzisto, w ogóle nie mielibyśmy żadnego problemu!



Słuchając ich kłótni Malfurion coraz bardziej podupadał na duchu. Takie sprzeczki niczemu nie służyły. Trzeba było działać, ale przy tak słabym magicznym wsparciu dla sił zbrojnych lorda Ravencresta przyszłość malowała się w ciemnych barwach. Gdyby tylko...

Oczy Malfuriona się rozszerzyły. Może jednak mógł się na coś przydać.

Tak jak wcześniej jego brat i Rhonin, podszedł do szlachcica. Ravencrest przyglądał mu się z niejakim niedowierzaniem.

– A teraz ty? Chcesz mi zaproponować czary, jakimi ten tu Illidan twierdzi, że wciąż włada? Jeśli tak, chętnie przyjmę twoją pomoc, zapominając o twoich wcześniejszych przewinieniach.

– Nie proponuję czarów, lordzie Ravencrest, ale magię innego rodzaju. Oferuję to, czego nauczył mnie mój shan'do, Cenarius.

Latosius zaśmiał się szyderczo.

– To najgorszy żart, jaki słyszałem! Nauki mitycznego półboga?

Ale Ravencrest nie zbył od razu Malfuriona.

– Naprawdę sądzisz, że możesz się na coś przydać?

Młodzieniec zawahał się, a potem powiedział:

– Tak, ale nie tutaj. Muszę się udać... w spokojniejsze miejsce.

Szlachcic zmarszczył brwi.

– Spokojniejsze?

Malfurion kiwnął głową.

– Muszę się udać do świątyni Elune.

– Świątyni Księżycowej Matki? Nawet o tym nie pomyślałem. Pomoc kapłanek będzie z pewnością przydatna w chwili takiego kryzysu, ale co chcesz tam osiągnąć?

Starając się ukryć własną niepewność, Malfurion Stormrage odpowiedział:

– Chcę usunąć zaklęcie, które odcina naszych czarodziejów od mocy Studni Wieczności, ma się rozumieć.

DWADZIEŚCIA



Wszystko szło zgodnie z planem... przynajmniej w mniemaniu lorda Xaviusa. Jego marzenia, cele, znalazły się w zasięgu ręki. Mało tego, przewspaniały był z niego zadowolony. Magiczna bariera, którą aktywowali wspólnie z Mannorothem, nie tylko odcięła od potęgi Studni wszystkich prócz Szlachetnie Urodzonych, ale pozwoliła im poszerzyć i wzmocnić portal. W ciągu zaledwie kilku godzin wylały się z niego setki niebiańskich wojowników.

Mannoroth natychmiast przejął nad nimi kontrolę, kazać im przeprowadzić czystkę wśród niegodnych. Kiedyś Xavius uznałby ten pomysł za przerażający, ale teraz popierał metody Sargerasa w całej rozciągłości. Bóg wiedział najlepiej, jak stworzyć idealny raj, o jakim marzył doradca. Czyż dzielnica zarezerwowana dla domów Szlachetnie Urodzonych nie została oszczędzona? Ci, którzy służyli pałacowi, mieli zapoczątkować nowy Złoty Wiek rasy nocnych elfów, erę, która przyćmi wszystkie poprzednie,

Lord Xavius został ponadto zaszczycony obowiązkiem nadzorowania prac, które to wszystko umożliwiały. Utrzymywał w delikatnej równowadze zaklęcie, które nieustannie odtwarzało barierę. Wysilek, jakiego to wymagało, przekraczał oczekiwania Mannorotha i gdyby zaklęcie teraz

zawiodło, odtworzenie go byłoby prawie niemożliwe bez zamknięcia portalu i użycia całej połączonej mocy wszystkich Szlachetnie Urodzonych.

Ale Xavius nie miał zamiaru dopuścić do tego, by cenną barierę spotkało jakieś nieszczęście. Nie żeby się spodziewał kłopotów. Co mogło mu się stać, tu, w sercu pałacu?

Do komnaty wkroczyła posępna postać rozglądająca się niecierpliwie wokoło.

– Gdzie jessst Mannoroth? - zasyczał Łowczy.

– Dowodzi armią, oczywiście - odpowiedział nocny elf. - Oczyszcza Zin-Azshari z niegodnych.

Coś w wyrazie twarzy Hakkara zaniepokoiło na moment Xaviusa. Zupełnie jak gdyby powiedział coś, co rozbawiło Łowczego. Ale co takiego, nocny elf nie miał pojęcia.

Przez portal przeszło czterech kolejnych piekielnych gwardzistów. W pobliżu stał jeszcze bardziej przerażający strażnik zagłady. Warknął coś w niezrozumiałym języku do nowoprzybyłych, którzy natychmiast wymaszerowali z komnaty.

Niebiańscy wojownicy poruszali się z niesłychanym opanowaniem, wykonywali bezzwłocznie wszystkie rozkazy i zawsze pamiętali o swoich obowiązkach. Nawet elitarna gwardia kapitana Varo'thena nie mogła się z nimi równać, przynajmniej według Xaviusa.

– Jak tam przygotowania do łowów?

Cień szyderstwa zniknął z twarzy zwalistej postaci.

– Świetnie, nocny elfie. Moje psy i piekielni gwardziści, którzy im towarzyszą, otrzymali jasne rozkazy. Ci, których Mannoroth pragnie pojmać, zosstaną pojmani.

Odwrócił się i wyszedł z komnaty, zostawiając usatysfakcjonowanego lorda Xaviusa, który choć bardzo szanował Łowczego, teraz uważał się za

bliższego mu rangą.

Doradca raz jeszcze spojrział na zakłęcie, którego integralną część stanowił. Za ledwie kilka jardów od portalu wiązka niebieskich, błyskających bąbli naniesionych na diagram narysowany przez Mannorotha stanowiła jedyny fizyczny ślad czaru-bariery. Jednak dzięki swym magicznym oczom Xavius dostrzegał wirujące pasma żółci, zieleni i innych barw. Potężne źródło magicznych sił, które teraz kontrolował.

Tak jak kontrolował przeznaczenie swojego własnego ludu... i reszty świata.



Świątynia Elune nie potrzebowała ostrzeżenia przed katastrofą, która spadła na krainę nocnych elfów. Utrata kontaktu ze Studnią nie dotknęła kapłanek bezpośrednio, ale i tak odczuły nagłą pustkę. Kiedy tłumy przybyły do świątyń, aby prosić o pomoc, kapłanki w całym królestwie porozumiały się ze sobą za pomocą metod używanych od czasu, gdy Księżycowa Matka odmieniła serce swojej pierwszej wyznawczyni. Po przedyskutowaniu problemu postanowiły zaprosić lud na zbiorową modlitwę, aby Elune udzieliła im pokrzepienia. Starły się też sięgnąć swoją mocą ku Studni, ale tak jak Księżycowi Gwardziści nie potrafiły ustalić, co się stało.

Ale to, że kapłanki zachowały moc czerpaną od swojej bogini, nie oznaczało, że nie groziło im piekło, jakie miało się później rozpuścić. Kiedy Legion zajął świątynię w stolicy, nawet kapłanki z tak odległych stron jak Suramar odczuły śmierć swoich sióstr, odczuły ich agonię, gdy horda mordowała je bez litości.



– Siostró - zawołała jedna z kapłanek do Tyrande, która właśnie rozlewała wodę wiernym. - Przed głównym wejściem stoi ktoś, kto prosi o spotkanie z tobą.

– Dziękuję, siostró. - Tyrande podała dzban innej kapłance i pobiegła ku wejściu. Była przekonana, że to Illidan przybył, aby znów się z nią zobaczyć. Tyrande obawiała się rozmowy z nim, nie wiedząc, co powiedzieć, jeśli wspomni o ich ewentualnym związku.

Okazało się jednak, że to nie Illidan, ale ktoś, kogo nie spodziewała się zobaczyć jeszcze bardzo, bardzo długo.

– Malfurion! - Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Tyrande zarzuciła mu ramiona na szyję, ściskając go mocno.

Rumieniąc się, wyszeptał:

– Dobrze znów cię widzieć, Tyrande.

Wypuściła go z objęć.

– Skąd się tu wzięłeś? - Nagle zdjął ją strach. - Broxigar? Co oni z nim zro...

– Jest ze mną. - Malfurion wskazał ciemny zaułek obok świątyni, gdzie Tyrande dostrzegła czekającego Broxa. Zielonoskóry wojownik wydawał się przyglądać tłumom elfów z pewną obawą.

Rozejrzała się, ale oprócz świątynnych wartowniczek nie dostrzegła nigdzie straży.

– Malfurionie! Jakie szaleństwo cię tu przywiodło? Czy przekradliście się do miasta tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć?

– Nie... zostaliśmy pojmani.

– Ale skoro...

Delikatnie dotknął palcem jej warg, uciszając ją.

– Ta historia musi poczekać. Wiesz, co się wydarzyło w Zin-Azshari?

– Tylko częściowo... a i tak mi to wystarczy! Malfurionie, to przerażenie, jakie czułyśmy w umysłach i duszach naszych sióstr! Coś okropnego...

– Posłuchaj! Zaraza wciąż się szerzy! Co gorsza, Księżycowa Gwardia jest wobec niej bezsilna! Jakieś zaklęcie prawie zupełnie odcięło ją od mocy Studni!

Kiwnęła głową.

– Domyśliłyśmy się tego... ale co to ma wspólnego z twoim przybyciem tutaj?

– Czy korzystacie teraz z Komnaty Księżyca?

Zastanowiła się.

– Wcześniej tak, ale tak wielu przybyło po pomoc, że wysokie kapłanki otworzyły zamiast niej główną kaplicę. Komnata Księżyca może być teraz pusta.

– To dobrze. Musimy tam pójść. - Skinął na Broxa, który pospieszył do jego boku. Ku zdumieniu Tyrande ork miał nawet topór.

– Zostaliście schwytani... - przypomniała Malfurionowi.

– Lord Ravencrest nie widział powodów, żeby nas dalej przetrzymywać, pod warunkiem że Brox zostanie ze mną.

– Jestem waszym dłużnikiem - przypomniał barczysty wojownik. - Zawdzięczam wam życie.

– Niczego nam nie zawdzięczasz - zaproponował brat Illidana. A do Tyrande powiedział: - Proszę, zaprowadź nas do Komnaty.

Z Tyrande na przedzie ruszyli w głąb świątyni. Choć Brox starał się trzymać jak najbliżej towarzyszy, nie udało mu się ukryć swojego wyglądu przed nocnymi elfami zebranych w środku. Wielu spoglądało na niego ze

zgrozą, a niektórzy nawet krzyczeli, wskazując orka, jak gdyby to on odpowiadał za całą tę zawieruchę.

Strażniczki dogoniły ich, gdy zbliżali się już do Komnaty Księżyca. Pierwsza szła ta, która rozmawiała z Tyrande o Illidanie.

– Sostro... mamy zwyczaj wpuszczać każdego do świątyni Księżycowej Matki, ale ten stwór...

– Elune powiada, że nie ma takich samych praw jak każdy inny wierny?

Strażniczki popatrzyły po sobie niepewnie, a pierwsza powiedziała w końcu:

– Nie wspomina nic o innych rasach, ale...

– Ale czy wszyscy nie jesteśmy dziećmi Elune? Czy nie ma on prawa przyjść do niej po pomoc, skorzystać ze wszystkich dobrodziejstw świątyni?

Strażniczki nie znalazły na to odpowiedzi. W końcu ta pierwsza machnęła ręką.

– Tylko proszę, niech nie rzuca się w oczy. I tak mamy tu już panikę.

Tyrande skinęła głową z wdzięcznością.

– Rozumiem.

Kiedy weszli do Komnaty, zastali w środku tylko dwie akolitki. Tyrande natychmiast podeszła do nich, tłumacząc, że potrzebują zostać sami, i wskazując przy tym na Broxa. Prawdę mówiąc, już sama obecność orka wystarczyła, by skłonić siostry do opuszczenia sali.

Wróciwszy do Malfuriona, Tyrande zapytała:

– Co chcesz zrobić?

– Zamierzam znów wkroczyć w Szmaragdowy Sen, Tyrande.

Nie spodobało jej się to wcale.

– Chcesz się wybrać do Zin-Azshari!

– Tak. Mam nadzieję, że się tam dowiem, co się stało ze Studnią.

Tyrande знаła go o wiele lepiej.

– Ty nie chcesz po prostu poznać prawdy, Malfurionie; myślę, że chcesz coś zrobić...

Zamiast odpowiedzieć, przyjrzał się środkowi komnaty.

– To miejsce wygląda najspokojniej...

– Malfurionie...

– Muszę się spieszyć, Tyrande. Wybacz mi.

Razem z Broxem podszedł do wybranego miejsca i usiadł na ziemi. Podkurczywszy nogi, spojrzał w rozświetlone księżycową poświatą niebo.

Ork usiadł naprzeciw nocnego elfa, ale posunął się, kiedy dołączyła do nich Tyrande. Malfurion popatrzył na nią pytająco.

– Nie musisz tu zostawać.

– Jeśli Księżycowa Matka zechce mi pomóc poprowadzić cię, ochronić cię, zamierzam to zrobić.

Malfurion uśmiechnął się z wdzięcznością, a potem znów spoważniał.

– Muszę zaczynać.

Z niezrozumiałych dla siebie powodów Tyrande złapała go nagle za rękę. Nie patrzył na nią, miał już zamknięte oczy, ale na jego twarz powrócił na chwilę uśmiech.

Tyrande poczuła nagle, że ją opuszcza.



Był to wymyślony naprędce, rozpaczliwy plan, po którym lord Ravencrest nie spodziewał się zbyt wiele, z czego Malfurion zdawał sobie sprawę. Ale ponieważ Księżycowa Gwardia była prawie bezsilna, szlachcic

nie widział powodu, żeby zuchwały młodzieniec nie mógł przynajmniej spróbować.

Teraz Malfurion mógł mieć tylko nadzieję, że nie złożył obietnic bez pokrycia.

Dłoń Tyrande leżąca na jego własnej okazała się nieocenioną pomocą w wejściu w trans podobny do snu. Jej dotyk przynosił mu pokrzepienie, łagodził ogromne napięcie, jakie przyniosły straszliwe wydarzenia kilku ostatnich dni.

Ukojony, sięgnął ku otaczającemu go światu, ku drzewom, rzece, kamieniom i reszcie przyrody, tak jak podczas nauk u Cenariusza. Ale tym razem zamiast spokojnych sił natury powitała go zawierucha. Świat utracił równowagę. Las wiedział o tym, wzgórza wiedziały o tym, czuło to nawet niebo. Na czymkolwiek Malfurion się skupił, wyczuwał wyłącznie dysharmonię. Uderzyła w niego z taką mocą, że nocny elf prawie w niej utonął. Skupił się jednak na lekkim dotyku Tyrande, czerpiąc spokojną siłę z jej bliskiej obecności. Wrażenie dysonansu osłabło; wciąż je miał, ale nie mogło go już przytłoczyć.

Kiedy odzyskał nieco równowagę, sięgnął ku duchom natury, dotykając każdego z nich i pozwalając im odczuć swój własny spokój. Rozumiał ich wzburzenie i obiecał, że będzie działał w ich imieniu. W zamian poprosił, aby pomogły mu w razie potrzeby, przypominając im, że tak samo jak one pragnie powrotu równowagi.

Wrażenie dysonansu osłabło jeszcze bardziej. Wiedział, że nie zniknie tak długo, jak Szlachetnie Urodzeni będą majstrować przy Studni, ale przynajmniej udało mu się znów stworzyć jakąś namiastkę harmonii. I kiedy to zrobił, mógł znów bezpiecznie wkroczyć w świat snienia.

Wolny od ziemskich więzów, zatrzymał się, aby spojrzeć w dół na przyjaciół, zwłaszcza Tyrande. Tym razem łatwiej było mu wezwać obrazy,

przenieść rzeczywistość w idylliczny krajobraz. Brox i Tyrande zmaterializowali się prawie natychmiast... tak jak jego własne ciało, rzecz jasna.

Ku swemu zaskoczeniu zauważył łzę spływającą po policzku Tyrande. Malfurion instynktownie wyciągnął rękę, żeby ją otrzeć, ale jego palec przeszedł przez twarz elfki. Jednak młoda kapłanka, jak gdyby wyczuwając jego obecność, nie tylko otarła łzę, ale dotknęła dłonią jego ręki.

Odwracając się niechętnie, Malfurion znów spojrzał w niebo. Skupił się na kierunku, w którym leżało Zin-Azshari, po czym zrobił krok w górę.

Wszystko przenikała znajoma zielona poświata. Malfurion skoncentrował się, ponownie nakładając na siebie świat cienia i elementy rzeczywistości. Na wpeł idąc, na wpeł lecąc, unosił się nad śnieniem, wyczuwając miriady aspektów zarówno prawdziwego, jak i podświadomego świata.

Ale kiedy tak podróżował, jego uwagę zwróciła czyjaś niespodziewana obecność. Z początku nie dowierzał własnym zmysłom, ale szybkie poszukiwania potwierdziły jego pierwsze podejrzenie.

Shan'do?, zawołał.

Malfurion poczuł, że nauczyciel dotyka w przelocie jego myśli. Jednak to krótkie dotknięcie wystarczyło, aby przekazać mu, że Cenarius ma się dobrze. Półbóg poradził sobie z ostatnim ogarem, ale teraz musiał się zająć jakąś pilną sprawą. Malfurion uświadomił sobie, że władca lasu wyczuł obecność ucznia w Szmaragdowym Śnie i szybko sięgnął ku niemu, aby przekazać nocnemu elfowi, że jeszcze nie wszystko stracone.

Pokrzepiony niemym przesłaniem Cenariususa, ruszył dalej. Zielonkawa mgła rozrzedziła się jeszcze bardziej i wkrótce zobaczył świat w dole prawie tak, jak gdyby naprawdę potrafił latać jak ptak. Gdy skupił się na celu podróży, wzgórza i rzeki zaczęły przemykać pod nim jeszcze szybciej.

A kiedy zbliżył się do stolicy, po raz pierwszy zobaczył makabrę. Choć opowieść posłańca była przerażająca, nie była w stanie oddać potworności kataklizmu, który spadł na legendarną stolicę. Większość Zin-Azshari została zrównana z ziemią, jak gdyby jakiś wielki głaz przetoczył się po nim kilka razy tam i z powrotem. Nie ostał się żaden budynek na przedmieściach. Wszędzie rządził ogień, ale nie zwykłe czerwone płomienie, jakie znał Malfurion. Stolicę trawiły zielone i czarne jak smoła pożary, które nie mogły pochodzić z tego świata. Kiedy przelatywał nad nimi, czuł ich ohydny żar, choć znajdował się w krainie snu.

A potem po raz pierwszy zobaczył demony.

Piekielne ogary były już wystarczająco potworne, ale idące za nimi stwory sprawiły, że ciarki przeszły mu plecach, tym bardziej, że wyglądały na inteligentne. Pomimo wielkich rogów, diabelskich twarzy i straszliwych kształtów szły równym krokiem ze straszliwą niezłomnością. To nie była bezmyślna horda, lecz armia oddana złu.

Z bram pałacu wylewało się ich coraz więcej i więcej.

Nie był zdziwiony, że rozległa, piękna budowla nie doznała najmniejszego uszczerbku. Tak jak mówił posłaniec, na murach wciąż stały straże. Malfurion minął kilku strażników i zobaczył w ich oczach straszliwą satysfakcję. Ich srebrne tęczówki były zabarwione czerwienią, a niektórzy wyglądali tak, jak gdyby mieli ochotę dołączyć do demonów.

Malfurion cofnął się z odrazą. Popatrzył w bok, na tereny sąsiadujące z pałacem, i odkrył, że siedziby Szlachetnie Urodzonych też nie zostały zniszczone. Niektórzy słudzy królowej chodzili nawet z jednego budynku do drugiego, jak gdyby wokół nich nie działo się nic istotnego.

Z rosnącą odrazą ruszył w stronę wieży. Tak jak poprzednio wyczuł niewiarygodnie potężne siły ściągane w tym kierunku ze Studni.

Szlachetnie Urodzeni musieli zdwoić wysiłki. Nad Studnią srożyła się gwałtowna nawałnica, dosięgając nawet obleganego miasta.

Ostatnim razem próbował dostać się do wieży w miejscu, gdzie wyczuł magię. Tym razem zanurkował niżej, gdzie prawie u stóp baszty znalazł balkon. Poruszając się mniej więcej tak, jak gdyby chciał tam wejść na jawie, zawisł nad balkonem, a potem wleciał do środka przez otwarte drzwi.

Ku jego zaskoczeniu próba się powiodła. Prawie się roześmiał. Nikt nie pomyślał o tym, żeby zabezpieczyć to wewnętrzne wejście przed intruzami podobnymi do niego. Nieposkromiona pycha Szlachetnie Urodzonych pozwoliła mu dostać się do pałacu bez większych trudności.

Malfurion sunął powoli korytarzem, szukając drogi w górę. Prawie na samym jego końcu natrafił na główne schody - a na nich na ponad tuzin ogromnych, rogatych wojowników, jakich widział już na zewnątrz.

Pierwszy impuls kazał mu się cofnąć i liczyć na to, że go nie zauważą. Na nieszczęście nie miał się gdzie schować. Przygotował się na atak... a potem przeklął własną głupotę, gdy pierwszy z demonów minął go ciężkim krokiem.

Nie widziały jego sennej postaci. Odetchnął z ulgą, patrząc, jak ostatni z demonów znika na końcu korytarza. Kiedy stało się jasne, że więcej już nie będzie, Malfurion zebrał się na odwagę i ruszył w górę schodów.

Po drodze minął kilka komnat, ale nie zatrzymał się przy żadnej z nich. To, czego szukał, znajdowało się na samym szczycie wyniosłej wieży i im szybciej tam dotrze, tym szybciej będzie mógł obmyślić jakiś plan.

Co właściwie zamierzał zrobić, nie wiedział. Choć zwrócił się ku druidyzmowi, dorównywał biegłością w sztuce magicznej Illidanowi i sądził, że nawet w swojej obecnej postaci będzie potrafił rzucać zaklęcia.

Nieco wyżej trafił nagle na jakąś zaporę. Wyciągnął rękę, dotykając powietrza. Drogę blokowała jakaś niewidzialna siła, być może ta sama, która poprzednim razem uniemożliwiła mu dostanie się do wieży. Możliwe, że Szlachetnie Urodzeni nie byli wcale aż tak niedbali.

Zdecydowany pokonać przeszkodę, rzucił się z impetem w przód. Poczł, że bariera opiera się prawie tak, jak gdyby próbował przejść przez prawdziwą ścianę. Ale im mocniej napierał, tym ściana wydawała się coraz bardziej miękka, zupełnie jak gdyby...

Malfurion przeleciał na drugą stronę.

Stało się to tak niespodziewanie, że unosił się w powietrzu, niepewny, czy rzeczywiście mu się udało. Odwrócił się i spróbował dotknąć bariery, ale poczuł tylko niewyraźną, bardzo słabą siłę. Albo jego obecność przerwała przeszkodę, albo ta miała za zadanie zapobiegać tylko wtargnięciom, nie wyjściom.

Nieco wyżej stanął naprzeciwko dwóch strażników i grubych drzwi, które musiały prowadzić do pomieszczenia, gdzie pracowali Szlachetnie Urodzeni. Zadowolony, że strażnicy go nie widzą, Malfurion dotknął drzwi, sprawdzając je.

Palce elfa przeszły przez drewno, jak gdyby go nie było. Zebrawszy się w sobie, Malfurion wszedł do środka.

Zrazu poczuł się zupełnie zdezorientowany, bowiem komnata, gdzie Szlachetnie Urodzeni zajmowali się swoimi plugawymi praktykami, była znacznie większa, niż wydawałoby się z zewnątrz. W porównaniu z nią dom Malfuriona wydawał się straszną klitką.

Cała ta przestrzeń była Szlachetnie Urodzonym jak najbardziej potrzebna, bo w miejscach, gdzie sami nie stali, roilo się od groteskowych wojowników kierujących się ku drzwiom, przez które przeniknął

Malfurion. Z bliska potworne twarze jeszcze bardziej nim wstrząsnęły. Nie było w nich ani współczucia, ani litości...

Odepchnąwszy od siebie rozpraszające go myśli, podpłynął do miejsca, gdzie pracowali Szlachetnie Urodzeni, przyglądając się ich wysiłkom z mieszaniną fascynacji i wstrętu. Szlachetnie Urodzeni sprawiali wrażenie zdeterminowanych do granic szaleństwa. Większość miała wygłodniały wyraz twarzy. Wykwintne niegdyś szaty zwisały z ich kościstych ciał, a kilku utrzymywało się na nogach z wyraźnym trudem, ale wszyscy wpatrywali się żarliwie w efekt swojego znoju, dziką, pulsującą lukę w rzeczywistości.

Wzrok Malfuriona padł na środek owej wyrwy, ale nagle poczuł, że musi go odwrócić. Wystarczyły krótkie oględziny, aby wyczuł potworne zło przyczajone w głębi. Zdumiewało go, że Szlachetnie Urodzeni nie potrafią dostrzec, z czym mają do czynienia.

Starając się zapomnieć o strachu, który prawie go opanował, odwrócił się... i znalazł się twarzą w twarz z kimś, kto mógł być tylko doradcą królowej, lordem Xaviusem.

Malfurion unosił się zaledwie kilka cali od niepokojących oczu starszego elfa. Słyszał o sztucznych gałkach ocznych, na jakie Xavius z rozmysłem wymienił własne. Rubinowe żyłki przecinały hebanowe soczewki niemal tak czarne jak mroczna siła, którą Malfurion wyczuł w magicznej wyrwie.

Na surowej twarzy doradcy malowało się takie napięcie, że młodzieniec pomyślał najpierw, że został zauważony, ale było to oczywiście jego własne przewidzenie. Po chwili Xavius ruszył naprzód, przechodząc przez Malfuriona i kierując się w stronę Szlachetnie Urodzonych, którzy nie ustawali w wysiłkach nawet na chwilę.

Malfurionowi zajęło chwilę dojście do siebie po tym nieoczekiwanym spotkaniu. To przede wszystkim lorda Xaviusa obwiniali lord Ravencrest i

Księżycowa Gwardia. Widząc go teraz, Malfurion był w stanie im uwierzyć. Ale wciąż czuł, że królowa też wie, co się stało, ale to można było sprawdzić później.

Malfurion ruszył stanowczo w stronę struktury, która musiała odpowiadać za kontrolowanie bariery. Wokół niej stali trzej Szlachetnie Urodzeni czarodzieje, ale wydawali się obserwować jej działanie, a nie wpływać na nią w aktywny sposób. Przeleciał obok nich, chcąc się przyjrzeć szczegółom.

Było to mistrzowskie zaklęcie, którego elementy wykraczały poza poziom, na jakim potrafił czarować Malfurion. Mimo to szybko odkrył, jak może na nie wpłynąć, a nawet je uchylić. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle był w stanie coś zrobić w sennej postaci. Aby to sprawdzić, szepnął do powietrza, prosząc o prostą sztuczkę. Gdy tylko prośba wyszła z jego ust, wietrzyk leciutko zmierzwił włosy z tyłu głowy jednego z magów. Sukces uderzył Malfurionowi do głowy. Skoro potrafił zrobić coś takiego, z pewnością uda mu się rozproszyć magiczną barierę. Było to wszystko, czego potrzebowała Księżycowa Gwardia. Wbił wzrok w serce magicznej matrycy, koncentrując się na jej najsłabszym ogniwie...

– Głupi, głupi pomysł - powiedział jakiś lodowaty głos.

Malfurion instynktownie spojrzał przez ramię.

Lord Xavius patrzył na niego.

Na niego.

Doradca uniósł w górę wąski biały kryształ. Jego oczy - oczy, którymi najwyraźniej widział także senną postać - rozbłyły.

Potworna siła zaczęła zasysać Malfuriona do wnętrza kryształu. Usiłował się wyrwać, ale jego wysiłki na nic się zdały. Kryształ wypełnił mu pole widzenia... a potem stał się jego światem. Z wnętrza

małego więzienia spoglądał na wielką, szyderczą twarz starszego nocnego elfa.

– Przyszła mi do głowy interesująca myśl - powiedział lord Xavius lodowatym tonem. - Jak myślisz, ile czasu przeżyje twoje ciało pozbawione ducha? - Kiedy Malfurion nie odpowiedział, doradca po prostu wzruszył ramionami. - Po prostu zaczekamy i przekonamy się, dobrze?

To powiedziawszy, schował kryształ do kieszeni, pogrążając Malfuriona w ciemnościach.



Dotarli na obrzeża obszaru, gdzie Krasus miał nadzieję odszukać elfa. Nie pojmował, skąd wie, że ten, którego szuka, mieszka w pobliżu, ale podejrzewał, że podczas wizji Nozdormu zaszczerpił tę informację w jego umyśle. Krasus dziękował w duchu Aspektowi za zrozumienie trudności, jakie nastęrczały tego typu poszukiwania. Dawało mu tu również nadzieję, że wkrótce uda się zapobiec katastrofie, a on i Rhonin powrócą do domu.

Oczywiście pod warunkiem, że uda mu się go znaleźć.

Miał zamiar zrobić to później i poczucie winy, jakie dręczyło go z tego powodu, łagodził wyłącznie fakt, że elf, którego teraz szukał, stanowił według jednej z pięciu elementarnych sił kluczowy element zarówno przeszłości, jak przyszłości. Gdy tylko znajdzie tajemniczego nocnego elfa, zacznie szukać Rhonina, któremu zawdzięczał znacznie więcej, niż ten się domyślał.

Korialstrasz zwolnił nagle, opadając pomiędzy drzewa.

– Nie mogę zanieść cię dalej.

– Rozumiem. - Gdyby znaleźli się choć trochę bliżej siedzib nocnych elfów, ich mieszkańcy zauważyliby lewiatana.

Czerwony smok wylądował, po czym pochylił głowę ku ziemi, żeby Krasus mógł zsiąść. Potem rozejrzał się po okolicy.

– To już niedaleko. Nie więcej niż godzina czy dwie drogi.

Krasus nie wspomniał, jak uciążliwe będą te dwie godziny, kiedy opuści już towarzystwo swojego młodszego ja.

– Zrobiłeś więcej, niż mogłem prosić.

– Nie zamierzam cię teraz opuścić - odparł Korialstrasz, składając skrzydła. - Nie nosisz smoczej postaci, więc może zapomniałeś, że nasza rasa jest zmiennokształtna. Zmienię się w kogoś bardziej podobnego do istot, między które musimy się wmieszać.

Ogromny kształt zamigotał nagle. Korialstrasz zaczął się kurczyć, przybierając bardziej humanoidalną postać.

Ale sekundę później wrócił do swojej zwykłej postaci; oczy miał zaszkłone, a oddech urywany.

– Co się stało? - Krasus przyglądał się bezradnie swojemu młodszemu wcieleniu.

– Nie... nie mogę się przeobrazić! Sama próba przeszywa mnie bólem!

Mag przypomniał sobie własną reakcję, kiedy usiłował przybrać postać smoka po przybyciu do tej epoki. Nie był zaskoczony, że Korialstrasz napotkał podobne trudności.

– Nie próbuj więcej. Będę musiał pójść sam.

– Jesteś pewien? Zauważyłem, że kiedy przebywamy razem, nasze dolegliwości mniej nam dokuczają...

Krasus poczuł niepokój zmieszany z dumą. Jego młodsza wersja odgadła prawdę. Ale czy Korialstrasz wiedział, dlaczego tak się dzieje?

Jeśli nawet wiedział, nie zdradził się z tym. Zamiast tego dodał:

– Nie... wiem, że musisz iść dalej.

– Zostaniesz tutaj?

– Tak długo, jak będę mógł. Nie wydaje mi się, żeby nocne elfy zapuszczały się w te strony, a drzewa są tu wysokie i dobrze mnie ukryją. Ale jeśli będziesz mnie potrzebował, przybędę na twoje wezwanie.

– Wiem - odparł Krasus, ponieważ dobrze się znał.

Mag pożegnał się ze smokiem i rozpoczął mozolną wędrówkę ku elfiej osadzie. Ale kiedy miał już zniknąć Korialstraszowi z oczu, smok zawołał półgłosem:

– Myślisz, że uda ci się znaleźć tego, kogo szukasz?

– Mogę mieć tylko nadzieję... - Nie dodał, że jeśli mu się to nie uda, konsekwencje poniosą wszyscy.

Korialstrasz kiwnął łbem.

Im bliżej był miasta i im bardziej oddalał się od smoka, tym bardziej chory i znużony się czuł. Ale pomimo rosnącej niemocy szedł dalej. Gdzieś tam znajdował się elf, którego szukał. Co zrobi, kiedy go znajdzie, jeszcze nie wiedział. Miał tylko nadzieję, że może Nozdormu zostawił tę wiadomość gdzieś w jego nieświadomości i wypłynie ona na wierzch, gdy będzie potrzebna. Jeśli nie, wszystko będzie zależało od jego własnego osądu.

Miał wrażenie, że trwa to całą wieczność, ale w końcu dostrzegł pierwsze oznaki cywilizacji. Widoczne w oddali pochodnie oznaczały mur otaczający miasto, a może nawet prowadzącą do niego bramę.

Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Choć w tej postaci przypominał nieco nocnego elfa, wiedział, że elfy rozpoznają w nim obcego. Może gdyby zarzucił sobie kaptur na głowę i pochylił się do przodu...

Krasus uświadomił sobie, że nie jest w lesie sam.

Nadjechały ze wszystkich stron, nocne elfy w pancerzach podobnych do tych, jakie nosili ci, którzy pojмали go wcześniej. Miecze i broń przypominającą lance wycelowały groźnie w intruza. Młody, poważny oficer zeskoczył z nocnej pantery i podszedł do niego.

– Jestem kapitan Jarod Shadowsong! Jesteś więźniem Suramarskiej Gwardii i czeka cię sprawiedliwe dochodzenie.

Nie mając wyboru, Krasus wyciągnął ręce do skrępowania. Ale w głębi ducha odczuwał pewną satysfakcję. Znalazł drogę do miasta.

Kiedy się tam znajdzie, będzie tylko musiał uciec...

DWADZIEŚCIA JEDEN



Nocna pantera syknęła, gdy Rhonin spróbował jej dotrzeć. Ścisnął mocno wodze w nadziei, że zwierzę zrozumie, iż siedzi na właściwym miejscu.

– Gotowy? - zapytał Illidan.

Brat Malfuriona został nieoficjalnym strażnikiem czarodzieja, ale wydawał się nie mieć nic przeciwko temu. Cały czas obserwował Rhonina, śledząc każdy jego ruch. Gdy tylko człowiek robił coś, co miało jakikolwiek związek z magią, nocny elf przyglądał mu się uważnie.

Rhonin szybko zrozumiał dlaczego. Był najpotężniejszym dostępnym źródłem magii. Choć aroganckie, nocne elfy miały najwyraźniej ograniczone pojęcie o siłach, którymi władały. To prawda, człowiek czerpał moc z większym trudem niż zwykle, ale nie był bezradny tak jak większość elfów. Tylko młody Illidan wydawał się mieć zbliżone możliwości.

Mogę mu pomóc, postanowił czarodziej. Jeśli chce się uczyć, *pomogę mu*. Cokolwiek myślał o bracie Malfuriona, dostrzegał w nim spory potencjał.

Miał tylko nadzieję, że część tego potencjału uaktywni się, zanim staną oko w oko z Płonącym Legionem.



Narzuciwszy panterom szybkie tempo, opuścili Suramar, kierując się ku Zin-Azshari. Rhonin odczuwał lekki niepokój, bo w ten sposób oddalał się jeszcze bardziej od Krasusa. Czarodziej miał coraz większą pewność, że nie jest mu pisane wrócić kiedykolwiek do własnej przyszłości. Mógł mieć tylko nadzieję, że cokolwiek czeka Vereesę i ich dzieci, będzie to życie godne jego rodziny. Oczywiście pod warunkiem, że będzie w ogóle jakaś przyszłość.

Lord Ravencrest kazał im jechać przez resztę nocy i część dnia. Dopiero gdy stało się jasne, że wiele zwierząt nie jest w stanie dalej biec, zarządził niechętnie popas.

Ich szeregi rosły w miarę, jak po drodze dołączały do nich elfy powiadomione przez wysłanych przodem jeźdźców. Teraz armia liczyła ponad tysiąc żołnierzy i z każdą chwilą było ich coraz więcej. Lord Ravencrest chciał zebrać jak największe siły, zanim stawią czoła nieprzyjacielowi, a Rhonin, który znał dobrze straszliwą potęgę demonów, doskonale to rozumiał.

Gdy zdecydował już, co ma robić, podjechał do lorda Ravencresta, aby podzielić się z nim wszystkimi informacjami na temat wroga, jakie potrafił sobie przypomnieć. Aby mieć wytłumaczenie, zasugerował, że Płonący Legion najechał kiedyś jego „odległy kraj”, pustosząc go doszczętnie - przynajmniej to ostatnie było prawdą. Rhonin opisał też szlachcicowi przebieg straszliwej wojny i straty, jakie ponieśli, nim udało im się odeprzeć demony.

Choć nie był pewny, na ile lord Ravencrest mu wierzy, przynajmniej wziął sobie do serca opisy demonów i rozkazał żołnierzom dostosować taktykę do ich słabych punktów. Latosiusowi i członkom Księżycowej Gwardii nie uśmiechała się perspektywa konfrontacji z piekielnymi ogarami, ale Ravencrest zapewnił ich, że przez cały czas będzie ich otaczał Oddział jego najlepszych ludzi. Dopilnował też, żeby ci pamiętali, aby najpierw, o ile to możliwe, uderzać w macki, by odsunąć zagrożenie od magów.

Dowódca nocnych elfów z pewnością zdawał sobie sprawę, że Rhonin wiele rzeczy przemilczał, ale nie naciskał, usatysfakcjonowany ceną wiedzą, którą udało mu się zdobyć. Wychodził ze słusznego założenia, że Rhonin ceni swoje życie na tyle, by za wszelką cenę nie dopuścić do przegranej.

Choć ich siły rosły, nie zwalniali tempa nawet na chwilę. Minęła jedna noc, potem druga i trzecia. Dzięki prostemu zaklęciu, które pozwalało mu widzieć w ciemnościach równie dobrze jak elfy, Rhonin szybko przywykł do nocnej aktywności. Mimo to doskonale zdawał sobie sprawę, że demonom jest wszystko jedno, czy świeci słońce czy księżyc, i uświadomił to szlachcicowi. Potworni wojownicy Płonącego Legionu walczyli do ostatniej kropli krwi. Obrońcy musieli być przygotowani na starcie z nimi nawet w ciągu dnia.

Gdy nocne elfy zbliżyły się do Zin-Azshari, dostrzegły niesamowity zielony blask oświetlający teren przed nimi, blask, który nie pochodził z ciemnego nieba, lecz z samego miasta.

- Na Elune! - wymamrotał jeden z żołnierzy.
- Spokojnie - rozkazał lord Ravencrest. Wyciągnął się w górę, patrząc przed siebie. - Coś się zbliża i to szybko.

Rhonin nie musiał pytać, co.

– To oni. Wiedzieli, że nadjeżdżamy, i chcą się z nami jak najszybciej zmierzyć. Walka jest sensem życia Legionu.

Dowódca kiwnął głową.

– Wolałbym wysłać zwiad, żeby ocenić siły wroga. Ale skoro chcą walczyć natychmiast, nie możemy ich rozczarować. Zagrajcie pobudkę!

Zagrały rogi i szeregi nocnych elfów rozciągnęły się, stając w szyku bojowym. Kilkutysięczna armia składająca się z jazdy pancernej i piechoty prezentowała się wspaniale. Rhonin pamiętał potęgę Sojuszu i to, jakie ogromne wrażenie na nim zrobił, gdy po raz pierwszy zobaczył, jak gotuje się do walki ze sprzymierzoną z Legionem Plagą Nieumarłych.

To nie może się powtórzyć! Popatrzył na Illidana, który teraz, w starciu z rzeczywistością, wyglądał na znacznie mniej pewnego siebie.

– Nie poddawaj się strachowi - powiedział czarodziej, który wiedział, do czego to może prowadzić. - Masz dar, Illidanie. Nauczyłem cię, jak skuteczniej czerpać moc. Zostaliśmy odcięci od Studni, ale jej istota przenika niebo, ziemię i wszystko inne. Jeśli wiesz, jak ją wyczuć, możesz zrobić wszystko, co potrafisz, zanim pojawiła się bariera.

– Szanuję twoją mądrość, shan'do - odparł z powagą młodzieniec.

Rhonin słyszał już to słowo, kiedy Malfurion zwracał się do swojego nauczyciela, półboga Cenariususa. Był ciekaw, gdzie jest teraz władca lasu. Taka pierwotna istota była potrzebna w chwili takiej jak ta.

Potem pierwsze przerażające postacie znalazły się w zasięgu wzroku i myśli Rhonina skupiły się wyłącznie na przetrwaniu.

Przetrwaniu... i Vereesie.



Płonący Legion spustoszył wszystko aż do tego miejsca, a jednak wciąż pragnął niszczyć, powodować chaos. Piekielne ogary rozszczękały się, a oddziały demonów za nimi zaryczały z radości, widząc przed sobą szeregi zbrojnych postaci. Kolejne owieczki idące na rzeź, jeszcze więcej krwi do przelania.

Ze straszliwym okrzykiem bojowym na ustach, demony zaatakowały.

Lord Ravencrest kiwnął głową.

– Łucznicy przygotować się! - krzyknął oficer.

Ponad tysiąc wygiętych łuków wymierzyło w niebo.

Szlachcic uniósł wysoko rękę, obserwując zgraję demonów. Była bliżej... coraz bliżej...

Opuścił rękę.

Deszcz strzał poleciał ku nieprzyjacielowi niczym stado wyjących banshee. Płonący Legion nie zwolnił nawet w obliczu śmierci. Widzieli przed sobą tylko tych, którzy muszą zginąć.

Strzały pomknęły w dół.

Demony, miały w końcu cielesną postać. Pierwszy szereg padł prawie co do wojownika, wielu naszpikowanych tyłoma strzałami, że nie mogli leżeć płasko na ziemi. Wszędzie padały piekielne ogary. Z nieba spadło paru strażników zagłady.

Ale Płonący Legion stratował własnych żołnierzy, jak gdyby ich nawet nie zauważył. Piekielne ogary nie zwracały uwagi na martwych braci, śliniąc się i wyjąc coraz głośniej w miarę zbliżania się do frontu przeciwnika.

– Do kroćset! - zaklął pod nosem Ravencrest. - Jeszcze jedna salwa! Szybko!

Łucznicy naciągnęli płynnie łuki. Brodaty szlachcic dał natychmiast sygnał do strzału.

Pierzasta śmierć znów spadła na hordę, ale tym razem odniosła o wiele słabszy efekt - legioniści unieśli tarcze i zwarli szeregi.

– To nie są zwykłe bestie - mruknął oficer obok Rhonina. - Za szybko się uczą.

Lord Ravencrest zignorował go.

– Wszyscy łucznicy na tyły! Stanąć w pozycji i przygotować się do oddania strzału w środek armii przeciwnika! Lansjerzy! Przygotować się do ataku!

– Panie? - zawołał Rhonin. - Czy mogę?

– W tej chwili, czarodzieju, możesz robić wszystko, na co masz ochotę! Po prostu działaj!

Rhonin wbił wzrok w ziemię przed pierwszą linią nacierających demonów. Skoncentrował się, czerpiąc moc. Wymagało to więcej wysiłku niż zwykle, ale nie aż tyle, by uniemożliwić mu rzucenie zaklęcia.

Zmrużył oczy.

Ziemia wybuchła przed stopami Płonącego Legionu, ostrzeliwując potwornych wojowników błotem i kamieniami niczym szereg ciężkich katapult. Wielu piekielnych gwardzistów wyleciało w powietrze, innych pogrzebały tony ziemi. Ogromny głaz wylądował na jednym z piekielnych ogarów, gruchocąc mu kręgosłup jak gałązkę. Nacierająca masa zatrzymała się, wielu żołnierzy zderzyło się ze sobą.

Łucznicy wykorzystali sytuację, wysyłając kolejną salwę ku ścieśnionej hordzie. Kilkadziesiąt demonów padło, co jeszcze wzmogło chaos.

Wśród żołnierzy rozległy się owacje. Za to członkowie Księżycowej Gwardii popatrywali w stronę Rhonina z niejaką zazdrością. Latosius warknął na pozostałych magów, przynaglając ich do działania.

Efekty wysiłków elfich magów okazały się znacznie mniej spektakularne od zaklęcia Rhonina. Pierścienie energii, które spadły na wojowników

Płonącego Legionu, często gasły bez żadnego rezultatu. Garstka demonów zwała się na ziemię, ale kilka z nich doszło do siebie.

– Są bezużyteczni! - warknął Illidan.

– Starają się - poprawił go czarodziej.

Zamiast się spierać, młodzieniec wskazał zgrają palcem, mamrocząc coś.

Kręte macki czarnej energii owinęły się wokół gardeł kilku tuzinów wojowników na czele Legionu. Demony wypuściły oręż i tarcze, usiłując zerwać je z siebie, ale zanim im się to udało, macki przepaliły im szyje, z łatwością spopielając ciało i kość... i w efekcie skracając wszystkie ofiary o głowę.

Rhonin z trudem ukrył niesmak. Coś w wybranej przez nocnego elfa formie ataku nie spodobało mu się, ale kiedy Illidan popatrzył na niego, oczekując uznania, zdołał skinąć mu głową. Nie mógł zniechęcić jedynej osoby oprócz siebie, która posiadała jakieś umiejętności. Jeśli przeżyją, Rhonin nauczy Illidana innych, lepszych sposobów radzenia sobie z wrogami.

A jeśli nie przeżyją...

Płonący Legion znów rzucił się naprzód. Pod stopami demonów trzaskały kości ich towarzyszy. Zbliżając się, ryknęły, unosząc wysoko buzdygany i inną straszliwą broń.

– Starcie jest już nieuniknione - zdecydował Ravencrest. - Wy dwaj trzymajcie się na tyłach i róbcie, co w waszej mocy! Jesteście teraz naszą najlepszą bronią... możliwe, że już do końca!

Illidan pochylił głowę przed szlachcicem.

– Dziękuję, panie.

– To prawda, młodzieńcze... straszliwa prawda.

To powiedziawszy, spiął wierzchowca, aby dołączyć do swoich wojowników na przedzie. Dobył broni i uniósł ją wysoko.

Lansjerzy napięli mięśnie. Za nimi stała przyszykowana do walki piechota. Z tyłu łucznicy przygotowywali się do następnego strzału.

Ravencrest opuścił miecz.

Zagrały rogi. Łucznicy oddali salwę.

Siły nocnych elfów ruszyły na spotkanie wroga. Nocne pantery warczały wyzywająco.

Gdy lansjerzy byli już blisko nieprzyjaciela, uderzyły strzały. Skupione na szarzy przeciwnika demony na przedzie padły pokotem pod gradem strzał. Pierwsza linia natychmiast poszła w rozsypkę, dokładnie tak jak planował lord Ravencrest.

Szybkość nocnych panter pozwoliła lancom wbić się głęboko. Pomimo swoich rozmiarów kilku piekielnych gwardzistów wyleciało w powietrze, gdy dzidy nocnych elfów przebiły nie tylko pancerze, ale to, co się w nich kryło.

Sam impet ataku odrzucił Płonący Legion w tył. Nocne pantery powodowały dalsze straty wśród wroga, gryząc i szarpiąc stłoczone demony. Z tyłu dołączyła do nich piechota, zapelniając wyrwy i wypychając z nich każdego, kto nie był jednym z nich.

Jeźdźcy, których lance stały się zupełnie bezużyteczne, dobyli mieczy i rzucili się w wir walki. Daleko na tyłach łucznicy wciąż ostrzeliwali dalsze szeregi wroga.

Kolejny rząd jeźdźców, wśród nich lord Ravencrest, wciąż czekał. Szlachcic wodził wzrokiem po walczących, obserwując każde indywidualne starcie, szukając słabych punktów.

Rhonin i Illidan też nie stali bezczynnie. Czarodziej rzucił zaklęcie, które zestaliło powietrze nad częścią hordy, zrzucając na nią niebo. Tymczasem Illidan wyczarowywał co i rusz czarne macki, dusząc i dekapitując po kilka demonów naraz.

Księżycowi gwardziści robili, co mogli, ale bez spektakularnych efektów. Pomimo usilnych starań nie byli w stanie poradzić sobie z utratą bezpośredniego kontaktu ze Studnią Wieczności i spowodowana tym frustracja rysowała się wyraźnie na ich twarzach.

Nagle jeden z elfich magów wrzasnął i poleciał w tył, zrzucając skórę niczym wąż. Kiedy uderzył o ziemię, został już z niego tylko szkielet w kałuży czegoś, co przed chwilą było jego ciałem. Pozostali gwardziści patrzyli na trupa z konsternacją i tylko grzmiący głos Latosiusa przywołał ich do porządku.

Rhonin omiół Legion wzrokiem, szukając źródła zaklęcia. Szybko wypatrzył winowajcę, złowieszczą postać ukrytą na tyłach wroga. Mag przypominał piekielnego gwardzistę, ale miał długi gadzi ogon i o wiele bardziej ozdobny pancerz. Miał też na sobie krwistoczerwoną szatę, a jego oczy obserwujące pole bitwy zdradzały o wiele wyższą inteligencję niż ta, jaką mogli się pochwalić wojownicy walczący w pierwszej linii.

Rhonin jeszcze nigdy nie spotkał eredarskiego warlocka, ale rozpoznał go z opowiadań. W Płonącym Legionie pełnili oni nie tylko funkcję czarodziejów, ale także oficerów i strategów.

Ale warlock popełnił błąd, zakładając, że to Księżycowa Gwardia odpowiada za najbardziej niebezpieczne czary. To dało Rhoninowi okazję, której potrzebował. Patrzył, jak warlock czaruje i kiedy ten rzucił swoje mroczne zaklęcie, Rhonin przechwycił je i skierował przeciwko jego twórcy.

Demon rozdziawił usta, obłaząc ze skóry. Jego najeżona kłami paszcza rozciągnęła się w nieludzkim krzyku, a wzrok padł na maga. Była to ostatnia rzecz, jaką zrobił. Jego usta rozciągnęły się jeszcze bardziej, ale tylko dlatego, że nic nie przytrzymało kości szczęki. Odarta z mięsa postać stała jeszcze przez sekundę, a potem sam szkielet zwałił się na

ziemię, znikając pod bezkresną falą piekielnych gwardzistów. Część Legionu, pozbawiona dowódcy, zagubiła się. Nocne elfy parły naprzód; Linia demonów ugięła się...

– Zwycięzamy! - zawołał jeden z młodszych oficerów obok Ravencresta.

Ale demony, równie szybko, jak się zachwiały, ruszyły naprzód z jeszcze większą determinacją. Z tyłu szła straż zagłady, która poganiała je biczami. Kolejne piekielne bestie usiłowały przedrzeć się przez linię obrony i dosięgnąć czarodziejów.

Nocne elfy wrzasnęły, gdy dwa infernale wdarły się pomiędzy jazdę, odrzucając na boki zwierzęta i jeźdźców. W utworzoną w ten sposób lukę wpadły tłumnie demony.

– Do ataku! - wrzasnął Ravencrest do towarzyszącego mu oddziału. - Nie pozwólcie im przerwać szyku!

On i pozostali jeźdźcy natarli na potwornych wojowników, którym udało się przedrzeć. Ravencrest własnoręcznie odrąbał macki piekielnego ogara, a potem zatopił klingę w jego łbie. Nocna pantera spadła na jednego z demonicznymi żołnierzami, szarpiąc go pazurami i długimi kłami.

Wyrwa zmniejszyła się... a potem znikła. Nocne elfy zwały szyk. Lecz choć znów tworzyły jednolity front, były spychane do tyłu. Wydawało się, że na miejscu każdego opancerzonego monstrum zabitego przez elfy pojawiają się dwa kolejne.

Rhonin zaklął, rzucając kolejne zaklęcie, które spadło na Płonący Legion serią śmiercionośnych piorunów, Choć jego moc była spotęgowana, wiedział, że mógłby zrobić jeszcze więcej, gdyby miał dostęp do Studni. Jeszcze większe znaczenie miał fakt, że on i Illidan zapewniali nocnym elfom lwią część magicznego wsparcia, ale żaden z nich nie mógł być we wszystkich miejscach naraz. Illidan, choć mordował demony przy użyciu każdego możliwego zaklęcia, szybko opadał z sił, a Rhonin czuł się

niewiele lepiej. Gdyby mogli swobodnie czerpać ze Studni, rzucaliby mniej zaklęć, osiągając przy tym o wiele bardziej zadowalające efekty.

Rozległy się kolejne krzyki spychanych do tyłu elfów. Piekielni gwardziści rozbijali głowy i wgniatali opancerzone piersi. Ich piekielne ogary rozszarpywały piechotę. Strażnicy zagłady wzbijali się ponad walczących, a potem nurkowali pomiędzy elfy, robiąc użytek ze swego oręża. Wszędzie zaczęły się pojawiać infernale, które spadały na obrońców tak, jak wcześniej strzały nocnych elfów na demony.

Kolejny księżycowy gwardzista wrzasnął, ale tym razem z powodu piekielnego ogara, któremu udało się prześlizgnąć. Cztery żołnierze zdołali odrąbać mu macki, a potem wbić miecze w pierś, ale dla maga było już za późno.

Łucznicy wypuścili kolejną salwę... która natychmiast zawróciła i poleciała w ich stronę. Choć wielu wykazało dość przytomności umysłu, by uciekać, kilku stanęło jak sparaliżowanych tym zdumiewającym zjawiskiem. Ci zginęli na miejscu, gdy ich własne groty przeszły im gardła i piersi.

Rhonin rozejrzył się, ale nie dostrzegł nigdzie eredarskich warlocków. Znów zaklął, wściekły, że nie może być w kilku miejscach naraz, i że jego wysiłki idą na marne.

Przegrywamy! Pomimo poświęcenia, z jakim walczyli z demonami, żołnierze potrzebowali Księżycowej Gwardii... a Księżycowa Gwardia potrzebowała Studni. W Gawroniej Twierdzy Malfurion twierdził, że postara się zlikwidować barierę wzniesioną przez Szlachetnie Urodzonych, ale od tego czasu minęło wiele dni. Rhonin mógł tylko przypuszczać, że zaklęcie młodzieńca zawiodło... albo Malfurion zginął podczas próby zniszczenia bariery.

– Zaraz znów przerwą szyk! - zawołał ktoś.

Rhonin zapomniał o Malfurionie. Teraz liczyła się tylko bitwa... bitwa i Vereesa. Pożegnawszy się z nią w duchu, być może po raz ostatni, skupił uwagę na niekończących się szeregach demonów, usiłując obmyślić jeszcze jeden zabójczy czar ze świadomością, że może on nie wystarczyć.

Ale czy ktokolwiek był w stanie zrobić coś więcej?



– Szamanko, czy coś się zmieniło?

Tyrande potrząsnęła głową.

– Nic. Ciało oddycha, ale duch jest nieobecny.

Ork zmarszczył brwi.

– Czy on umrze?

– Nie wiem. - Czy tak byłoby dla niego lepiej? Nie miała pojęcia. Przez ponad trzy noce Tyrande czuwała nad ciałem Malfuriona, najpierw w Komnacie Księżyca, a potem w niezamieszkanym pokoju w głębi świątyni. Starsze kapłanki okazały jej dużo współczucia, ale chyba uważały, że nie są w stanie nic dla niego zrobić.

– Może spać wiecznie - powiedziała jej jedna. - Albo ciało osłabnie i zginie z braku pożywienia.

Tyrande próbowała nakarmić Malfuriona, ale jego ciało było bezwładne i nie reagowało na bodźce. Bała się nalać mu wody do gardła, żeby nie zadławił się na śmierć.

Ubiegłej nocy Brox zasugerował ostrożnie, że skoro wiedzą, że nie ma już nadziei, może lepiej będzie położyć kres cierpieniu Malfuriona. Zaproponował nawet, że sam to zrobi. Choć zabrzmiało to przerażająco,

nowicjuszka rozumiała, że ork zaproponowałby to samo dobremu druhowi. Troszczył się o Malfuriona.

Nie mieli pojęcia, co się stało z jego senną postacią. Z tego, co wiedzieli, mogła krążyć gdzieś wokół nich, nie mogąc dostać się z powrotem do ciała. Jednak Tyrande wątpiła w to i podejrzewała, że coś mu się przytrafiło, gdy próbował zniszczyć magiczną barierę. Być może jego duch został unicestwiony.

Nie przypuszczała, że myśl o utracie Malfuriona może być dla niej powodem tak wielkiego stresu. Nawet niebezpieczna misja Illidana nie obchodziła jej do tego stopnia. To prawda, martwiła się też o brata Malfuriona, ale nie aż tak jak o tego, którego ciało leżało przed nią. Przykładając mu dłoń do policzka, kapłanka księżycy nie po raz pierwszy pomyślała: *Malfurionie, wróć do mnie.*

Ale on po raz kolejny nie powrócił.

Grube, zielone palce dotknęły delikatnie jej ramienia. Tyrande spojrzała w zmartwione oczy orka. W tej chwili nie wydał jej się ani trochę brzydki, był po prostu bratnią duszą w tej smutnej godzinie.

– Szamanko, nie sypiasz, nie wychodzisz z tego pokoju. Niedobrze. Wyjdź na dwór. Powdychaj nocne powietrze.

– Nie mogę go zostawić...

Nie chciał słyszeć jej protestów.

– Co zrobisz? Nic. Leży tutaj. Jest bezpieczny. Chciałby, żebyś to zrobiła.

Inni widzieli w orku barbarzyńskiego stwora, ale Tyrande z każdą chwilą przekonywała się coraz bardziej, że Brox urodził się po prostu w bardziej prymitywnym społeczeństwie. Znał potrzeby żywej istoty i rozumiał zagrożenia płynące z ich lekceważenia.

Nie pomoże Malfurionowi, jeśli sama osłabnie albo zachoruje. Choć było to dla niej trudne, musiała go na trochę zostawić.

– No dobrze... ale tylko na kilka minut.

Brox pomógł jej wstać. Młoda kapłanka odkryła, że nogi zdrętwiały jej do tego stopnia, że ma kłopoty ze staniem. Jej towarzysz miał rację: musiała się przewietrzyć, jeśli chciała być dalej przy Malfurionie.

Z orkiem przy boku Tyrande ruszyła w stronę wyjścia ze świątyni. Tak jak wcześniej zewnętrzne sale były pełne przestraszonych i zagubionych obywateli, którzy przyszedli po słowa otuchy do służek Księżycowej Matki.

Obawiała się, że będą musieli torować sobie drogę do wyjścia, ale ciżba rozstępowała się szybko przed Broxem. Ork nie przejmował się ich odrazą, ale Tyrande czuła wstyd. Elune zawsze nauczała szacunku do wszystkich istot, ale większość nocnych elfów nie przepadała za innymi rasami.

Wyszli na plac. Tyrande owiał chłodny wietrzyk, przypominając jej czasy dzieciństwa. Zawsze kochała wiatr i gdyby nie wyglądało to niestosownie, rozpostarłaby ramiona i objęła go tak jak wtedy, gdy była małą.

Przez kilka minut Tyrande i Brox po prostu stali na placu. Ale potem kapłankę znów ogarnęło poczucie winy, bo we wspomnieniach z dzieciństwa pojawił się Malfurion. W końcu przeprosiła orka, nalegając, by wrócili do środka. Brox kiwnął głową ze zrozumieniem i ruszył za nią.

Ale zanim doszli do schodów świątyni, zawołał ją jeden z członków Suramarskiej Gwardii. Tyrande zawahała się, podejrzewając, że żołnierz chce się jej naprzykrzać z powodu Broxa.

Ale oficer miał do niej jakąś inną sprawę.

– Siostro, wybacz mi. Jestem kapitan Jared Shadowsong.

Znała jego twarz, nawet jeśli imię słyszała po raz pierwszy. Był tylko trochę starszy od niej i miał dość okrągłe rysy jak na nocnego elfa. Miał też

bardziej skośne oczy niż przeciętny elf, co nadawało jego twarzy nieco badawczy wyraz, nawet kiedy starał się być uprzejmy i przyjazny tak jak teraz.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić, kapitanie?

– Poświęć mi chwilę czasu, jeśli wolno prosić. Mam jeńca, który potrzebuje pomocy.

Początkowo Tyrande chciała odmówić, pragnąc przede wszystkim wrócić do Malfuriona, ale poczucie obowiązku wzięło górę. Jak mogła odwrócić się od jakiegoś nieszczęśnika, który potrzebował jej umiejętności uzdrawiających?

– Dobrze.

Gdy ork ruszył za nimi, kapitan Shadrowsong spojrzął na niego spod łba.

– Czy to coś idzie z nami?

– Wolisz, żeby został na placu sam, zwłaszcza w obecnej sytuacji?

Oficer pokręcił niechętnie głową, co zamknęło sprawę. Odwrócił się i ruszył przodem. W Suramarze był tylko niewielki areszt, gdyż większość więźniów kończyła w Gawroniej Twierdzy. Budynek, do którego zaprowadził ich kapitan Shadrowsong, mieścił się w podstawie pnia martwego drzewa. Korzenie tworzyły szkielet, który robotnicy obudowali kamieniem. W okolicy nie było solidniejszego więzienia oprócz twierdzy lorda Ravenscresta i Suramarska Gwardia była z tego dumna.

Tyrande przyglądała się temu dość bezbarwnemu budynkowi z lekkim niepokojem, wyobrażając sobie, że w tak nijakim miejscu mogą być trzymani tylko najgorsi złoczyńcy. Mimo to zebrała się w sobie i nie zdradzając własnych obaw weszła do środka.

W wewnętrznym pomieszczeniu nie było żadnych sprzętów oprócz drewnianego biurka, przy którym pracował zazwyczaj oficer dyżurny.

Większość sił zbrojnych Suramaru pojechała na wojnę i reszta towarzyszy kapitana Jaroda z pewnością walczyła właśnie o pokój.

– Znaleźliśmy go w lesie tego wieczora, gdy lord Ravencrest wyruszył z korpusem ekspedycyjnym. Wiele naszych zaklęć wykrywających zawodzi, siostró, ale niektóre wciąż zachowały swoją moc. Jedno z nich zaalarmowało nas o pojawieniu się intruza. Ponieważ ostatnio mieliśmy kilka ucieczek... - Zerknął na orka. Kapitan Shadowsong musiał znać obecny status Broxa, inaczej już dawno by go aresztował. - ...nie chcieliśmy ryzykować i natychmiast ruszyliśmy zbadać sprawę.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Isto... jeniec, którego pojмалиśmy, był bardzo wycieńczony. Kiedy upewniliśmy się, że nie udaje, sprowadziliśmy go tutaj. Od tamtej pory jego stan się nie poprawił. Z powodu jego osobliwej natury chcę, żeby żył, kiedy i jeśli lord Ravencrest wróci. Dlatego w końcu przyszedłem do ciebie.

– W takim razie prowadź, proszę.

W następnym pomieszczeniu było tylko tuzin cel, choć oficer nie omieszkał jej poinformować, że na dole jest ich więcej. Skinęła uprzejmie głową, ciekawa, jakiego rodzaju istota kryje się w celi. Po poznaniu Broxa prawie spodziewała się kolejnego orka, ale reakcja kapitana Shadowsong nie wskazywała na to.

– Oto on.

Kapłanka spodziewała się wielkiego, wojowniczego stwora, ale postać w środku nie była wyższa od przeciętnego elfa. Była też chudsza. Pod kapturem dostrzegła wymizerowaną twarz bardzo podobną do twarzy elfa, ale bladą, prawie trupiobladą, i o mniej wyrazistych oczach. Sądząc po kształcie kaptura jeniec miał też mniejsze uszy.

– Wygląda jak jeden z nas... ale nie jest, elfem - zauważyła.

– Jak duch jednego z nas - poprawił ją kapitan.

Ale Brox podszedł bliżej krat, prawie jak zahipnotyzowany niepokojącą postacią.

– Elf?

– Być może... - odezwał się więzień znacznie głębszym i bardziej władczy głoŝem, niŝ wskazywałby na to jego wygląd. Wydawał się równie zainteresowany Broxem. - A co tu robi ork?

Wiedział, kim jest jej towarzysz. Tyrande uznała, ŝe to niesłychanie interesujące, zwłaszcza, ŝe ostatnio mieli tylu niezwykłych gości.

Więzień zakaszłał paskudnie i troska wzięła górę. Poprosiła, ŝeby kapitan Shadrowsong otworzył drzwi celi.

Podchodząc do maty, na której leżał więzień, młoda kapłanka spojrzała mu znowu w twarz. Było w niej coś więcej, niŝ wskazywał na to sam wygląd. Wyczuwała głębką mądrość i doświadczenie, które wstrząsnęło nią do głębi. W jakiś sposób Tyrande pojęła, ŝe ma przed sobą bardzo, bardzo starą istotą, której stan nie ma nic wspólnego z jej wiekiem.

– Jesteś utalentowana - wyszeptał. - Liczyłem na to.

– Co... co ci dolega?

Uśmiechnął się do niej.

– Nic, co mogłabyś uleczyć, nawet z twoimi zdolnościami. Przekonałem kapitana, ŝeby znalazł jakąś kapłankę, bo zaczyna nam brakować czasu.

– Nic podobnego! - zaprotestował Jared Shadrowsong. - Poszedłem z własnego wyboru!

– Skoro tak mówisz... - Ale oczy jeńca mówiły Tyrande coś innego. Potem znów popatrzył na Broxa. - Nie powinno cię tu być.

Ork chrząknął.

– Ten drugi też tak powiedział.

– Drugi? Jaki drugi?

– Ten z włosami jak ogień, ten, który mówił... - Tu Brox urwał i rzuciwszy kapitanowi gwardii ukradkowe spojrzenie, wymruczał: - Ten, który mówił, że to jest przeszłość.

Ku zdumieniu Tyrande więzień usiadł. Kapitan Shadwosong ruszył ku niemu, dobywając broni, ale kapłanka powstrzymała go.

– Widziałeś Rhonina?

– Znasz go? - zapytała Tyrande.

– Trafiliśmy tu razem... Myślałem, że jest uwięziony... gdzie indziej.

– Na polanie Cenariusza - dodała.

Jeniec roześmiał się.

– Traf, los, albo Nozdormu ma nas w swojej opiece! Tak, właśnie tam... ale skąd o tym wiesz?

– Byłam tam... z moimi przyjaciółmi.

– Naprawdę? - Wymizerowana twarz przysunęła się do niej. - Z przyjaciółmi?

Tyrande nie wiedziała, co o nim myśleć. Wiedział rzeczy, których nie wiedziała większość zwykłych nocnych elfów, tego była pewna.

– Zanim powiem coś więcej... chciałabym poznać twoje imię.

– Przepraszam za brak manier! Możesz nazywać mnie... Krasus.

Tym razem zareagował Brox.

– Krasus! Rhonin opowiadał o tobie! - Ork padł na jedno kolano. - O czcigodny... nazywam się Broxigar... a to szamanka Tyrande.

Krasus zmarszczył brwi.

– Możliwe, że Rhonin powiedział zbyt wiele... i zapewne jeszcze więcej się domyślił.

Reakcja orka rozwiązywała zdaniem kapłanki sprawę. Wstając, zwróciła się do kapitana:

– Chciałabym zabrać go ze sobą do świątyni. Uważam, że tam będzie miał lepszą opiekę.

– Wykluczone! Jeśli ucieknie...

– Obiecuję, że nie ucieknie. Poza tym sam powiedziałaś, że zależy ci na jego dobrym samopoczuciu. Koniec końców, jeśli ma stanąć przed lordem Ravenscrestem...

Oficer zmarszczył brwi. Tyrande uśmiechnęła się do niego.

– No dobrze... ale będę was musiał odeskortować do świątyni.

– Oczywiście.

Odwróciła się, żeby pomóc Krasusowi wstać, Brox podtrzymał go z drugiej strony. Stojąc tak blisko niego, zauważyła, że Krasus ukradkiem uśmiecha się z zadowoleniem.

– Coś cię cieszy?

– Po raz pierwszy od mojego przybycia tutaj, tak. Jest jeszcze nadzieja.

Nie wyjaśnił, co ma na myśli, a ona go o to nie prosiła. Z ich pomocą opuścił kwaterę gwardii. Tyrande zdawała sobie sprawę, że jednego Krasus na pewno nie udaje: naprawdę był poważnie osłabiony. Mimo to wciąż wyczuwała autorytet, jakim emanował.

Odprawadzeni przed Jareda Shadowsonga wrócili do świątyni. Znów wystarczyła sama obecność orka, aby inni rozstępowali się przed nimi.

Tyrande obawiała się, że strażniczki albo starsze kapłanki będą robić problemy, ale tak jak ona chyba wyczuły znaczenie osoby Krasusa. Starsze kapłanki kłaniały mu się nawet, choć Tyrande przypuszczała, że nie do końca rozumieją dlaczego.

– Elune dokonała słusznego wyboru - oświadczył Krasus, gdy zbliżali się do pomieszczeń mieszkalnych. - Zrozumiałem to już w chwili, gdy cię zobaczyłem.

Zarumieniła się, słysząc ten komplement, ale nie z powodu zawstydzenia. Miała po prostu wrażenie, że pochwalił ją ktoś przynajmniej równie ważny jak sama wysoka kapłanka.

Miała zamiar zaprowadzić go do osobnej komnaty, ale z rozpędu weszła do pokoju, w którym przebywał Malfurion. W ostatniej chwili spróbowała się zatrzymać.

– Coś się stało? - zapytał Krasus.

– Nie... tyle że ten pokój należy do mojego przyjaciela złożonego chorobą...

Ale zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, zakapturzona postać oderwała się od niej, człapiąc z mozołem w stronę leżącej postaci Malfuriona.

– Traf, los, albo sam Nozdormu! - sapnął. - Co mu jest? Szybko!

– Ja... Jak to wytłumaczyć?

– Wkroczył w Szmaragdowy Sen - odparł Brox. - I nie wrócił, o czcigodny.

– Nie wrócił... dokąd chciał się udać?

Ork opowiedział mu wszystko. Tyrande myślała, że twarz Krasusa jest trupioblada, ale teraz stała się biała jak płótno.

– Ze wszystkich miejsc... ale to ma sens. Gdybym tylko wiedział o tym, zanim stamtąd odleciałem!

– Byłeś w Zin-Azshari? - zawołała z niedowierzaniem Tyrande.

– W tym, co zostało z miasta, ale przybyłem tutaj właśnie w poszukiwaniu twojego przyjaciela. - Przyglądał się uważnie nieruchomemu ciału. - I jeśli, tak jak mówisz, przez kilka ostatnich nocy był w takim stanie, możliwe, że przybyłem o wiele za późno... dla nas wszystkich.

DWADZIEŚCIA DWA



Nocny elf wrzasnął, gdy ostrze demona przebiło pancerz i wgryzło mu się w pierś. Żołnierz obok niego nawet nie wydał z siebie głosu, kiedy buzdygan piekielnego gwardzisty zgruchotał mu czaszkę.

Wszędzie ginęli obrońcy i nic, co Rhonin zrobił do tej pory, nie mogło tego zmienić. Pomimo bohaterskiej postawy lorda Ravencresta walczącego w pierwszym szeregu, bitwa powoli zamieniała się w rzeź nocnych elfów. Płonący Legion nie dawał im wytchnienia, bezustannie ponawiając ataki. Ale pomimo świadomości, że on i reszta zginie, czarodziej walczył dalej.

Nie miał innego wyboru.



Wieść o przybyciu armii obrońców zaskoczyła nieco lorda Xaviusa, ale nie zachwiała w żaden sposób jego wiary w ostateczne zwycięstwo. Widział, ilu niebiańskich żołnierzy Sargerasa wylewa się z portalu i miał pewność, że żadna armia zebrana przeciw nim nie ma szans. Wkrótce niegodni zostaną usunięci z jego świata.

Mannoroth prowadził Legion przeciwko głupcom, a Hakkar wyruszył na polowanie, zostawiając wszystko we wprawnych rękach doradcy. Xavius rzucił okiem w stronę niewielkiej niszy obok wejścia, gdzie przechowywał swój najnowszy nabytek. Kiedy otrzyma już wieści, że siły obrońców zostały zdziesiątkowane, będzie miał czas zająć się swoim „gościem”. W tej chwili miał jednak ważniejsze sprawy na głowie.

Ponownie skupił uwagę na portalu, w którym zmaterializowała się kolejna grupa piekielnych gwardzistów. Odebrali instrukcje od ogromnego strażnika zagłady pozostawionego przez Mannorotha, po czym odmaszerowali, aby dołączyć do swoich krwiożerczych braci. W ciągu kilku ostatnich minut ta scena powtórzyła się kilkanaście razy, z tym że każda kolejna grupa demonów była liczniejsza od poprzedniej. Teraz zajmowali prawie całą komnatę.

Gdy ostatni oddział piekielnych gwardzistów opuścił pomieszczenie, lord Xavius usłyszał w głowie wspaniały głos Sargerasa: *Tempo rośnie... Jestem zadowolony.*

Nocny elf ukląkł.

– Jestem zaszczycony.

Pojawił się opór.

– To tylko garstka niegodziwców, którzy próbują odwlec to, co nieuniknione.

Portal musi być strzeżony... musi nie tylko pozostać otwarty, ale i wzmocniony. Wkrótce... już wkrótce, przybędę.

Serce doradcy podskoczyło w piersi. Ta wielka chwila była już blisko! Podnosząc się, powiedział:

– Dopilnuję, aby wszystko było przygotowane na twoje przybycie! Przysięgam!

Poczuł falę zadowolenia... a potem Sargerass opuścił jego myśli. Lord Xavius natychmiast zwrócił się ku matrycy kontrolującej działanie magicznej bariery. Zbadał ją uważnie po próbie zniszczenia jej przez intruza i wydawała się nienaruszona, ale nie mógł ryzykować.

Tak, wciąż działała nienagannie. Myśląc o swoim „gościu”, zaczął sobie wyobrażać, co zrobi, kiedy Sargerass wreszcie przejdzie przez portal. Królowa będzie oczywiście musiała być przy tym obecna, musi się też pojawić gwardia honorowa. Kapitan Varo'then o to zadba. Doradca miał zamiar jako pierwszy powitać wielkiego niebianina. Zdecydował, że w darze ofiaruje Sargerassowi kryształ wraz z jego zawartością. Był to w końcu jeden z trzech osobników, których Mannoroth uznał za dość ważnych, by wysłać Hakkarę na ich poszukiwanie. Jak niemądrze będzie wyglądał Hakkar, gdy po powrocie odkryje, że doradca z taką łatwością pochwycił jednego z nich.

Lord Xavius nie mógł się już doczekać podarowania więźnia Sargerassowi. Interesowało go zwłaszcza to, co bóg zrobi z tym młodym głupcem...



Jego koszmar wciąż trwał.

Malfurion unosił się wewnątrz kryształu, obserwując widoczną ze środka część komnaty. Został umieszczony w kącie niszy, gdzie kryształ ustawiono pod kątem. Z niszy miał widok na drzwi, co oznaczało, że patrzył na nieprzerwany strumień demonicznych wojowników, których myśli zaprzętało zadawanie śmierci. To jeszcze bardziej przygnębiało

Malfuriona, wiedział bowiem, że idą mordować wszystkie nocne elfy, jakie staną im na drodze... a wszystko dlatego, że on nie zdołał zniszczyć bariery.

Choć nic w jego otoczeniu nie zdradzało upływu czasu, Malfurion był pewny, że od chwili, kiedy został złapany, minęły co najmniej dwie noce. W sennej postaci nie spał, co sprawiało, że te dwie noce wydawały się jeszcze dłuższe.

Okazał się taki głupi! Malfurion słyszał opowieści o oczach lorda Xaviusa, powiadano, że doradca widzi nawet cienie cieni, ale uznał to za niestworzone historie. Nie spodziewał się zupełnie, że te same soczewki, które pozwalały mu obserwować naturalne siły magii, pozwolą mu również dostrzec ducha w swoim sanktuarium. Jakże lord Xavius się śmiał!

Malfurion już wcześniej sprawdził kilka razy wytrzymałość swojego kryształowego więzienia, ale okazało się zbyt mocne. Może gdyby dłużej się uczył, odkryłby jakąś skazę, ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Zawiódł. Zawiódł siebie, swoich przyjaciół, swoją rasę... swój świat. Teraz już nikt prócz obrońców lorda Ravencresta nie zagradzał drogi demonom.

Musiał coś zrobić.

Spinając się w sobie, Malfurion po raz kolejny spróbował wykorzystać to, czego nauczył go Cenarius. Kryształ stanowił część natury. Był podatny na jego zaklęcia. Przesunął palcami po krawędziach, szukając słabości w podtrzymującej go matrycy. Zaklęcie, którego użył, nie było do końca druidyczne, ale prawie.

Nadal niczego nie znalazł.

Malfurion krzyknął z frustracji. Tysiące zginą z powodu jego porażki. Illidan zginie. Brox zginie. Tyrande...

Tyrande zginie.

Miał przed oczami jej twarz, potrafił ją sobie wyobrazić lepiej niż jakąkolwiek inną. Domyślał się, jak się o niego martwi. Wiedział, że

pewnie siedzi koło jego ciała, starając się przywołać go z powrotem. Uwięziony nocny elf prawie słyszał jej wołanie.

Malfurionie...

Nocny elf się wzdrygnął. Chyba zaczynał tracić rozum. Był zaskoczony, że tak szybko do tego doszło, ale z drugiej strony znalazł się w tragicznej sytuacji.

Malfurionie... czy mnie słyszysz?

Znów miał wrażenie, że słyszy w myślach głos Tyrande. Wyrzwał ze swojego więzienia, sprawdzając, czy przypadkiem lord Xavius nie przystąpił do jakichś mentalnych tortur, ale nie zauważył nigdzie doradcy.

Z niepokojem pomyślał w końcu:

Tyrande?

Malfurionie! A już prawie straciłam nadzieję!

Nie mógł w to uwierzyć. To prawda, była kapłanką Elune, ale tego rodzaju wyczyn wykaczał poza jej możliwości.

Tyrande... jak mnie znalazłaś?

Ktoś mi pomógł... mówi, że cię szukał.

Do głowy przychodzili mu tylko Brox i Rhonin. Tyrande poznała orka, który był wprawdzie odważnym wojownikiem, ale nie posiadał magicznych umiejętności. Czy chodziło jej o Rhonina? Nawet to nie miało większego sensu, skoro czarodziej miał odjechać z lordem Ravencrestem.

Kto?, zapytał w końcu. *Kto?*

Nazywam się Krasus.

Ta nagła zmiana zbiła Malfuriona z tropu. Jeszcze nigdy nie słyszał tego głosu, choć przypominał mu nieco głos Cenariusza. Kimkolwiek był ten Krasus, nie był nocnym elfem, lecz kimś o wiele znaczniejszym.

Czy wciąż nas wyczuwasz?, zapytał nowy głos.

Tak... Krasusie.

Pokazałem Tyrande, jak dzięki więzom łączącym ją z tobą możemy odszukać twoje senne ja. To trudna sztuczka, ale powinniśmy zdążyć cię uwolnić.

Uwolnić mnie? Gdy patrzył na swoje więzienie, wątpił, czy to możliwe.

Zmyślna pułapka, to prawda, podjął Krasus, zadziwiając nocnego elfa. Widocznie kontakt pozwalał im widzieć kryształ, w którym uwięził go lord Xavius. Ale dawałem już sobie radę z podobnymi.

To jeszcze bardziej podniosło Malfuriona na duchu.

Co mam robić?

Teraz, gdy przenieśliśmy twoje ciało...

Co takiego? Przenieśli jego ciało? Ryzyko, jakie...

Wiem, z jakim ryzykiem się to wiąże. Kiedy Malfurion przestał protestować, Krasus podjął: Konieczne było przeniesienie go... w pobliże jednego z naszych towarzyszy. A teraz słuchaj, bo musimy to zrobić szybko.

Nocny elf czekał z napięciem. Jeśli potrafili uwolnić go z kryształu, zrobi wszystko, co powiedzą.

Muszę zobaczyć kryształ, każdy aspekt jego natury. Jesteś druidem. Możesz mi go pokazać.

Malfurion zbadał wzrokiem całe wnętrze swojej magicznej celi. Patrzył w każdy kąt, każdą fasetę, pokazując mocne strony kryształu i jego ewentualne słabości. Nie zauważył niczego, co wyglądałoby zachęcająco, ale podejrzewał, że Krasus wie o wiele lepiej od niego, czego szukać.

Jest! Bezcielesny głos kazał mu zatrzymać wzrok na jednej z krawędzi. Malfurion przyglądał się jej już wcześniej, gdyż dostrzegł na niej drobną skazę, ale nie potrafił jej w żaden sposób wykorzystać.

To klucz do twojej ucieczki. Dotknij jej umysłem: Czujesz?

Po raz pierwszy mu się to udało. Skaza była drobna, ale wyraźna. Jakim cudem nie zauważył jej wcześniej?

Powiadają, że mądrość przychodzi wraz z doświadczeniem, powiedział nagle Krasus. Ale ja wciąż pracuję nad udowodnieniem tego przysłowia.

Polecił Malfurionowi wykorzystać umiejętności, jakie przekazał mu władca lasu, aby wyczuć szerokość i głębokość skazy, zrozumieć jej ostateczną naturę. Poznać tak dobrze, jak znał samego siebie.

Powinieneś zauważyć jej najłabsze punkty, klucz do niej, że tak powiem.

Nie... Tak! Jest! Malfurion wyczuł ten punkt. Napał nań, chcąc się uwolnić... ale kryształ nie chciał ustąpić.

Jesteś silny, ale twoje szkolenie nie dobiegło jeszcze końca. Otwórz się jeszcze bardziej na nas. Wpuść nas, bez względu na to, ile nas jest. Będziemy twoją dodatkową siłą i wiedzą.

Oczyściwszy umysł, Malfurion otworzył się na Tyrande i tajemniczego Krasusa. Natychmiast wyczuł różnicę między tą dwójką. Myśli Tyrande były pełne troski, ale stanowcze, zaś Krasusa mądre, acz pełne frustracji. Co ciekawe, owa frustracja nie miała nic wspólnego z położeniem Malfuriona.

Teraz... spróbuj znowu.

Uwięziony nocny elf wyobraził sobie, że ma fizyczną postać. Napał na skazę tak, jak gdyby to była każda inna słaba bariera. Z pewnością ustąpi, jeśli będzie pchał wystarczająco mocno...

Nagle odniósł wrażenie, że pozostała dwójka pcha razem z nim. Prawie widział ich obok siebie, jak wyężdżają siły.

Skaza zaczęła ustępować. Powstała drobna szczelinka...

To twoje drzwi!, przynaglił go Krasus. *Przejdź przez nie!*

I senna postać Malfuriona przelała się przez wąski otwór.

Po opuszczeniu więzienia urósł, wracając do normalnego wzrostu. Była to tylko zmiana jego własnej perspektywy, ale zdecydowanie wolał to niż pozycję owada, w jakiej został uwięziony.

A teraz... zanim zostaniesz zauważony... wracaj do nas!

Ale na to Malfurion nie chciał się zgodzić. Dotarł tak daleko, aby ocalić swój lud, swój świat. Musiał zlikwidować barierę.

Malfurionie!, błagała Tyrande. *Nie!*

Ignorując oboje, wyrzwał z za rogu... i się zatrzymał. Po drugiej stronie komnaty stał lord Xavius, którego uwagę zaprzętał całkowicie ciemny portal, przez który bez przerwy przybywały demony. Wyglądało to prawie tak, jak gdyby doradca komunikował się z czymś przyczajonym w jego głębi. Malfurion się wzdrygnął, przypominając sobie zło tkwiące w tej istocie.

Mimo to sytuacja działała na jego korzyść. Jeśli Xavius będzie się jeszcze przez chwilę wpatrywał w wir, zdąży wykonać swoje zdanie i zniknąć.

Poszybował w kierunku matrycy, wiedząc już, jak ją zniszczyć. Kilka prostych zmian i przestanie istnieć.

Tyrande i Krasus zamilkli, co oznaczało, że albo zamierzają pozwolić mu działać, albo kontakt z nimi się urwał. Tak czy owak, teraz już nie mógł się wycofać.

Malfurion po raz ostatni rzucił okiem na lorda doradcę, po czym sięgnął swoją mocą ku macierzy. Najpierw zmienił jeden z wewnętrznych elementów zaklęcia, co gwarantowało jego niestabilność bez względu na to, co zrobi później.

Teraz Malfurion przywołał siłę świata, siłę natury. Użył jej, aby zmienić kombinację układu, stworzyć nową formę, która zaprzeczy celowi zaklęcia i sprawi, że się rozproszy.

Bariera osłabła...



Lord Xavius natychmiast wyczuł nieprawidłowość. Coś strasznego działo się z barierą.

Wewnątrz portalu Sargeras też poczuł, że coś jest nie tak.

Szukaj!, rozkazał swojemu pionkowi.

Doradca obrócił się. Jego ciemne magiczne oczy wbiły się w magiczny układ... i widmowego intruza, którego uwięził.

Ten imbecyl majstrował coś przy zaklęciu!

– Powstrzymać go! - ryknął lord Xavius.



Jego okrzyk prawie zniweczył wszystko, nad czym pracował Malfurion. Młodzieniec odzyskał panowanie nad sobą po czym spojrzał w stronę Xaviusa, który wskazywał go z furją, wrzeszcząc do Szlachetnie Urodzonych i demonów, żeby go pojмали. Jednak ani jedni, ani drudzy nie byli w stanie wykonać rozkazu, gdyż w przeciwieństwie do doradcy nie widzieli sennej postaci Malfuriona, ani tym bardziej nie mogli jej dotknąć.

Za to lord Xavius mógł jedno i drugie.

Kiedy stało się jasne, że z innych nie będzie miał żadnego pożytku, królewski doradca rzucił się w stronę Malfuriona. Jego sztuczne oczy promieniowały mroczną energią i Malfurion wyczuł nadchodzący atak. Instynktownie uniósł rękę, prosząc o pomoc wiatr i powietrze.

W stronę młodzieńca pomknęły dwie szkarłatne błyskawice, które, gdyby go dosięgły, z pewnością by go zabiły. Jednak zaledwie kilka cali przed Malfurionem pioruny nie tylko uderzyły w jakąś niewidzialną barierę - może zestalone powietrze - ale zmieniły kierunek, porwane wiatrem przyzwanym przez widmową postać. Błyskawice ze śmiercionośną celnością raziły wielkich wojowników obok portalu.

Demony rozsypały się na boki jak liście podczas burzy. Kilka grzmotnęło o ściany, a dwa zderzyły się z czarodziejami pracującymi nad portalem. To z kolei sprawiło, że wysiłki tych ostatnich ogarnął niemal zupełny chaos. Portal zafalował, jak gdyby dyszał ciężko, otwierając się i zamykając w szaleńczy sposób.

Szlachetnie Urodzeni czarodzieje robili, co mogli, żeby zapanować nad portalem. Kilka demonów, które właśnie miały z niego wyjść, znikło z powrotem w mroku jego wnętrza.

Jedna z ogromnych, skrzydlatych postaci stojących obok bramy rzuciła się w stronę Malfuriona. Wielki demon nie mógł oczywiście widzieć nocnego elfa, ale wymachiwał dziko orężem, mając widać nadzieję, że kogoś trafi. Malfurion starał się uchylać przed bronią, nie mając pewności, czy jest na nią odporny.

Lord Xavius uchylił się przed własnym zaklęciem, ale zaraz włączył się do walki. Z sakiewki u boku wyjął następny kryształ.

– Z tego nie uciekniesz...

Magiczne oczy rozbłysły.

Malfurion błyskawicznie schował się za demonem. Zamiast zamierzonej ofiary, doradca pochwycił oszołomionego demona. Bestia zaryczała, rozwścieczona podobnym podstępem - na próżno usiłowała pochwycić Malfuriona, ale została wessana do wnętrza kryształu.

Xavius zaklął i cisnął kryształ na bok, nie przejmując się losem jego zawartości. Cała jego uwaga była skupiona na widmowej postaci, której nie widział nikt oprócz niego.

– Panie! - zawołał jeden z magów. - Czy mamy...

– Nic nie róbcie! Zajmijcie się waszym zadaniem! Portal musi pozostać otwarty, a bariera nienaruszona! Ja poradzę sobie z niewidzialnym intruzem!

To powiedziawszy, Xavius przygotował się do rzucenia kolejnego zaklęcia. Ale Malfurion nie miał zamiaru na to czekać. Odwrócił się i czmychnął z komnaty, przenikając przez drzwi; strażnicy nie zaszczycili go nawet rzutem oka.

Rozjuszony doradca natychmiast ruszył za nim.

– Otwierać drzwi!

Strażnicy posłuchali. Xavius wypadł z komnaty i popędził w dół schodów w pogoni za przeciwnikiem.

Ale Malfurion nie uciekł schodami, tylko wleciał w wewnętrzny mur wieży. Tam, niezauważony przez lorda doradcę, zaczekał, dopóki nie uzyskał pewności, że kryzys minął.

Po powrocie do komnaty Malfurion natychmiast podpłynął do matrycy. Musiał ją zniszczyć, zanim Szlachetnie Urodzeni zdążą ją wzmocnić. Ale kiedy ku niej sięgnął, znów ogarnął go znajomy strach. Malfurion zadrzał i wbrew sobie spojrzął w stronę portalu.

Nie dotkniesz osłony... odezwała się w jego umyśle straszliwa istota. Nie chcesz tego. Chcesz tylko mi służyć... oddawać mi cześć...

Malfurion walczył z pokusą poddania się temu głosowi. Wiedział, co się stanie, jeśli ten, który do niego mówi, otrzyma szansę przyjscia na świat. Całe zło rozpętane do tej pory przez demony bladło w porównaniu z tym, który nimi dowodził.

Nie... będę... jednym... z twoich... pionków! Prawie krzycząc z wysiłku, Malfurion oderwał wzrok od wiru.

Spróbował dość do siebie, wciąż czując na sobie furię strasznej istoty. Zło wewnątrz wiru nie miało na niego bezpośredniego wpływu, mogło tylko wpływać na jego myśli. Malfurion musiał je zignorować, myśleć tylko o tych, na których mu zależało, i o tym, co oznaczać będzie dla nich jego niepowodzenie.

Jeszcze tylko kilka sekund...

Jego senna postać zwinęła się, targnięta niewiarygodnie silnym bólem. Obrócił się, upadając na kolana.

– Koniec gier... - wymamrotał stojący w drzwiach lord Xavius. Obok niego kilku zdumionych strażników szukało na próżno wroga, z którym rozmawiał. - Koniec z niedoszłymi katastrofami! Rozszarpie twojego ducha na strzępy, rozproszę twoją istotę na wszystkie wiatry... i dopiero wtedy oddam cię przewspaniałemu, aby zrobił z tobą co zechce.

Wycelował palcem w Malfuriona.



Płonący Legion coraz mocniej naciskał na linię obrony nocnych elfów. Lord Ravenscrest nie dopuszczał do przełamania frontu, ale coraz bardziej się cofali.

Potworny taran stworzony przez Rhonina wtargnął pomiędzy demony, odrzucając kilka w tył i wbijając się głęboko w zgraję. Powstrzymało to ich napór w jednym miejscu, ale wszędzie indziej Legion wciąż atakował.

Skądś dobiegł krzyk lorda Ravenscresta:

– Wzmocnić prawą flankę! Łucznicy! Zestrzelić te skrzydlate furie! Latosius, wycofaj Księżycową Gwardię!

Trudno było powiedzieć, czy starszy czarodziej usłyszał rozkaz szlachcica, ale tak czy inaczej Księżycowa Gwardia nigdzie się nie ruszyła. Latosius stał na samym przedzie, wydając polecenia magom. Rhonin się skrzywił. Starszy elf nie miał pojęcia o taktyce. Rozmieniał moc swojej grupy na pojedyncze ataki, zamiast podjąć jeden skoncentrowany wysiłek.

Illidan też to dostrzegł.

– Przeklęty stary idiota nie potrafi ich wykorzystać! Sam lepiej bym ich poprowadził!

Ledwo to powiedział, Latosius zatoczył się w tył. Złapał się za gardło i zwiotczał, z ust lała mu się krew. Skóra mu poczerniała i runął na ziemię, martwy.

– Nie! - Rhonin ogarnął Legion wzrokiem, odnalazł warlocka i wskazał go palcem.

Korzystając ze sztuczki, jaką wcześniej posłużył się podobny, a może nawet ten sam demon, Rhonin przechwycił kilka strzał w locie i posłał je w stronę warlocka. Ten spojrział w górę, dostrzegł bełty i wybuchnął śmiechem. Wykonał kilka gestów, otaczając się ochronną tarczą.

Ale przestał się śmiać, gdy strzały nie tylko przebiły tarczę, ale i jego pierś.

– Nie jesteś tak silny, jak ci się wydaje, co? - wymamrotał czarodziej z ponurą satysfakcją.

Rhonin odwrócił się z powrotem do Illidana, ale odkrył, że ten znikł. Rozejrzał się i zobaczył młodzieńca jadącego w stronę Księżycowej Gwardii, która bez swojego dowódcy poszła w kompletną rozsypkę.

– Co on...? - Ale Rhonin nie miał czasu martwić się o swojego przyszłego protegowanego, bowiem nagle otoczył go niesamowity żar. Miał

wrażenie, że zaraz roztopi mu się skóra.

Eredarscy warlockowie wreszcie odkryli, że to on stanowi największe zagrożenie. Atakował go z pewnością więcej niż jeden. Zdołał zebrać dość sił, żeby osłabić na chwilę niewiarygodny upał, ale na nic więcej nie było go stać. Powoli gotowali go żywcem.

A więc to tak. Zginie tutaj, nie dowiedziawszy się nigdy, czy jego udział w tej bitwie pozwoli ocalić bieg historii, czy też całkowicie go zmieni.

Nagle... intensywny żar prawie ustał. Rhonin zareagował instynktownie, za pomocą własnej magii oddalając całkowicie niebezpieczeństwo. Przejrzał na oczy i wreszcie zdołał się skupić na głównym magu przeciwnika.

– Lubisz ogień? Ja wolę, gdy jest odrobinę chłodniej.

Czarodziej odwrócił rzucone na niego zaklęcie, wysyłając ku warlockowi intensywną falę zimna.

Rhonin poczuł, jak dotkliwy ziąb ogarnia warlocka. Eredarczyk zeszywniał i zrobił się trupioblady. Jego wykrzywiona grymasem bólu twarz zastygła.

Jeden z piekielnych gwardzistów wpadł na warlocka. Zamrożona postać przewróciła się, uderzając o twardą ziemię z głośnym hukiem. Odłamki złodowaciałego demona rozsypały się po polu walki.

Próbując odzyskać oddech, Rhonin popatrzył w kierunku Księżycowej Gwardii, skąd, jak miał wrażenie, nadeszła pomoc. Oczy rozszerzyły mu się na widok Illidana stojącego na ich czele.

Młodzieniec uśmiechnął się do niego, ale zaraz znów zajął się walką. Dowodził doświadczonymi czarodziejami, jakby był do tego stworzony. Ustawił ich w szeregi, które potęgowały ich mizerne siły. On z kolei czerpał ich moc, zwiększając intensywność własnych zaklęć.

Wybuch w samym środku Płonącego Legionu zabił dziesiątki demonów. Illidan wydał okrzyk triumfu, nieświadomy wysiłku malującego się na twarzach pozostałych magów. Używał ich mocy z dobrym skutkiem, ale jeśli będzie zbyt często powtarzał tego typu manewry, gwardziści wypalą się jeden po drugim.

Ale Rhonin nie mógł przekazać tego Illidanowi w żaden sposób, a nawet nie był pewny, czy powinien. Jeśli obrońcy padną, co im jeszcze zostanie?

Gdyby tylko Malfurion nie zawiódł...



Mannoroth patrzył na pole bitwy i był zadowolony. Jego zastępy przewalały się falą przez ten świat - nie tylko tam, gdzie nie napotykały oporu, ale także w miejscach, gdzie jego żałośni mieszkańcy postanowili stanąć do walki z Legionem.

Doceniał ich wysiłki mające na celu szybsze zakończenie zmagania. To oznaczało szybsze uutorowanie drogi jego panu, Sargerasowi. Sargeras będzie zadowolony z tego, co udało się osiągnąć w jego imieniu. Wynagrodzi za to Mannorotha, bowiem demon dokonał tego bez proszenia o pomoc Archimonda.

Tak, Mannoroth zostanie sownie wynagrodzony, otrzyma więcej mocy, więcej łask.

Co do nocnych elfów, które do tej pory pomagały demonom w ich próbie objęcia władzy nad tym światem, otrzymają jedyną nagrodę, jaką dawał Sargeras im podobnym...

Całkowite unicestwienie.

DWADZIEŚCIA TRZY



Malfurion sądził, że udało mu się przechytryć lorda Xaviusa, ale to znowu on został nabyty w butelkę. Jak mógł pomyśleć, że doradca będzie go gonił po schodach i korytarzach, skoro było jasne, że Malfurion będzie chciał wrócić do wieży i wypełnić swoją misję?

To będzie jego ostatni błąd. Lord Xavius był utalentowanym czarodziejem i mógł czerpać z mocy Studni. Malfurion wiele się nauczył od swojego shan'do, ale wciąż zbyt mało, by móc stawić czoła takiemu śmiertelnie groźnemu przeciwnikowi.

Lord Xavius też zdawał sobie z tego sprawę.

Ale w umyśle Malfuriona odezwał się nagle głos... i nie był to głos pochodzący z wnętrza portalu, lecz głos tajemniczego Krasusa, o którym Malfurion myślał, że już dawno go opuścił.

Malfurionie... nasza siła jest twoją siłą... tak jak wcześniej w kryształach, zaczerpnij z miłości i przyjaźni tych, którzy cię kochają... czerp z determinacji tych, którzy cię wspierają.

Młodzieniec nie zrozumiał wszystkiego, ale istota przesłania była jasna. Oprócz Tyrande i Krasusa teraz wyczuwał także Broxa. Ta trójka otworzyła swoje umysły i dusze przed Malfurionem, dając mu tyle siły, ile potrzebował.

Jesteś druidem, Malfurionie, być może pierwszym ze swojej rasy. Czerpiesz ze świata, z natury... a czy wszyscy nie jesteśmy ich częścią? Czerp także z nas...

Malfurion posłuchał... w ostatniej chwili.

Lord Xavius rzucił swoje zaklęcie.

Po sennej postaci Malfuriona nie powinno było zostać nawet śladu. Młodzieniec uniósł rękę, aby odbić atak, ale nawet teraz nie spodziewał się, że jego moc okaże się wystarczająca. Poprzedni atak doradcy bardzo go osłabił. Ale atak go nie dosięgnął. Malfurion rozproszył go z taką łatwością z jaką odganiał komary z twarzy.

Wstań!, ponaglił go Krasus. *Wstań i rób to, co do ciebie należy!*

Nie miał na myśli walki z doradcą. To byłaby niebezpieczna strata czasu. Nie, nocny elf musiał dokończyć to, co zaczął.

Malfurion uderzył w magiczną barierę.

Sekwencja układu zmieniła się. Dwóch Szlachetnie Urodzonych podbiegło do niego, aby naprawić szkodę, ale posadzka pod ich stopami ustąpiła, gdy na niemą prośbę Malfuriona kamienie zmieniły swoje właściwości. Obydwaj magowie z krzykiem znikli mu z oczu.

Lord Xavius zaatakował z wściekłością, spowijając Malfuriona żrącym oparem, który oblepił jego senną postać. Malfurion zaczął się miotać, ale połączone siły Tyrande, Broxa i Krasusa pomogły, mu zapanować nad sobą. Szybko przywołał wiatr, który natarł na opar, rozpraszając go.

Ale kiedy Malfurion rozprawiał się z mgłą, Xavius zdążył zaprowadzić jako taki porządek w sekwencji zaklęcia-bariery. Potem zwrócił się ku swojemu przeciwnikowi z oczywistymi zamiarami.

Malfurion poczuł frustrację. To mogło trwać w nieskończoność. W końcu przegra, albo zostanie zmuszony do ucieczki. Musiał coś zrobić i to szybko.

Malfurion obrócił się, ale nie w stronę matrycy, ani lorda Xaviusa.

Obrócił się w stronę portalu.

Znów przywołał wiatr, tym razem prosząc go, by udowodnił, iż jest wystarczająco silny, aby miotać czymś więcej niż oparem. Wpatrywał się przy tym intensywnie w Szlachetnie Urodzonych, wyzywając wiatr, by pokazał, co potrafi.

Nagle, wewnątrz ich sanktuarium, czarodziejów zaatakowała wichura. Trzech z nich przeleciało przez całą komnatę i grzmotnęło mocno o przeciwną ścianę. Kolejny, odepchnięty od wzoru, przewrócił się o jedną z postaci rozciągniętych na ziemi.

Reszta pochyliła się nisko, próbując ukryć się przed gniewem wichury. Lecz choć żaden nie padł już jej ofiarą, odniesione straty obciążły nadmiernie ocalałych - portal falował i skręcał się niebezpiecznie. Wrażenie zła odczuwane wcześniej przez Malfuriona osłabło.

Malfuriona chwyciły znienacka za kark płomienne dłonie, dusząc go. Wpiły się w senną postać młodzieńca jak w ciało, zmuszając go do głośnego krzyku, którego nie usłyszał jednak nikt prócz napastnika.

– Stoi za mną moc przewspaniałego! - zaryczał z satysfakcją doradca królowej. - Nie możesz się równać z nami dwoma!

Rzeczywiście, Malfurion znów poczuł zło sięgające ku niemu z głębi falującego portalu. Choć nie było tak potężne jak wtedy, gdy próbowało go przeciągnąć na stronę Szlachetnie Urodzonych, znacznie wzmacniało już i tak przerażającą moc doradcy. Przeciwno niej nawet moc, którą Malfurion otrzymywał od trójki sprzymierzeńców, okazała się niewystarczająca.

Tyrande... Nie próbował wezwać kapłanki, bał się tylko, że może jej już nigdy nie zobaczyć, nigdy nie znaleźć się blisko niej.

Jego umysł wypełnił znienacka głos Krasusa. *Odwagi, druidzie... jest wśród nas ktoś jeszcze, kto czekał właśnie na tę chwilę.*

Wyczuł obecność czwartej osoby, która od razu dołączyła do tych, które już go wspierały. Tak jak Krasus była to istota znacznie potężniejsza od zwykłego elfa. Odkrył w niej jakąś słabość, ale w porównaniu z ułomnościami rasy Malfuriona była to nic nieznacząca drobnostka. To dziwne, ale miał wrażenie, że ten nowy osobnik jest bliźniakiem Krasusa, bo odbierał ich w tak podobny sposób, że początkowo miał pewien problem z rozróżnieniem tej dwójki.

Nawet nowy głos przypominał mu bardzo Krasusa. *Jestem Korialstrasz... i chętnie dzielę się tym, co mam.*

Obdarzali go tym, w co wyposażyło ich życie i natura. Dodatkowa obecność Korialstrasza zwielokrotniła stukrotnie wolę Malfuriona, dając mu nadzieję, jakiej jeszcze nigdy nie miał.

Jesteś druidem... przypomniał mu raz jeszcze Krasus. *Świat jest twoją siłą.*

Malfurion odżył. Teraz wyczuwał nie tylko odległych towarzyszy, ale kamienie, wiatr, chmury, ziemię, drzewa... wszystko. Prawie przytłoczyła go furia, jaką emanował teraz świat. Zło wyrządzone przez Szlachetnie Urodzonych i demony uraziło żywioty jak nic do tej pory.

Obiecałem, że zrobię, co w mojej mocy, zwrócił się do nich. Dajcie mi swoją siłę, a dotrzymam obietnicy!

Malfurion miał wrażenie, że to wszystko trwało całą wieczność, ale kiedy w końcu popatrzył na lorda Xaviusa, przekonał się, że minęła co najwyżej sekunda. Doradca stał prawie jak sparaliżowany, przygotowując się do uśmiercenia widmowego przeciwnika dzięki pomocy swego pana.

Malfurion uśmiechnął się, zadziwiony szaleństwem tamtego. Uniósł ramiona ku niewidocznemu niebu i wezwał jego moc.

Na zewnątrz zaryczał grom. Szlachetnie Urodzeni wokół portalu i matrycy znów się zachwiali, świadomi tego, że to nie ich dzieło. Nawet lord

Xavius zmarszczył brwi.

Nagle pałacowa wieża zatrzęsa się... i eksplodowała.



Kapitan Varo'then ukląkł przed Azsharą, trzymając hełm w zgięciu łokcia.

– Wzywałaś mnie, moja wspaniała królowo?

Dwie służki Azshary szcztokowały jej bujne włosy, co należało do powtarzanego kilka razy dziennie rytuału. Włosy królowej miały być puszyste i idealne. Podczas gdy one zajmowały się czesaniem, Azshara zabawiała się wąchaniem egzotycznych zapachów, jakie dostarczyli jej ostatnio kupcy.

– Tak, kapitanie. Zastanawiałam się, co to za hałas z góry. Brzmiał tak, jak gdyby pochodził z wieży. Czy pojawił się jakiś kłopot, o którym nie zostałam powiadomiona?

Nocny elf wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo, Blasku Tysiąca Księżyców. Może to wstęp do przybycia wielkiego Sargerasa.

– Myślisz? - Oczy jej rozbliły. - Jak cudownie! - Ruchem ręki dała mu znak, by się oddalił. - W takim razie muszę się szykować! Czeka nas wspaniałe wydarzenie!

– Jak sobie życzysz, Chwało Naszego Ludu. Jak sobie życzysz. - Kapitan wstał, zakładając hełm. Zawahał się. - Czy każesz mi to sprawdzić?

– Nie, jestem pewna, że masz rację! Pod żadnym pozorem nie przeszkadzaj lordowi Xaviusowi! - Azshara powąchała kolejny flakonik.

Jego zapach przyprawiał ją o żywsze bicie serca. Może pokropi się nim na spotkanie z bogiem. - Jestem pewna, że nasz doradca panuje nad sytuacją.



Górna połowa komnaty, zerwana przez pioruny bijące z nieba, poleciała wraz ze sklepieniem wieży w czarne głębiny Studni w dole.

Kilka wielkich kamiennych bloków spadło do pomieszczenia, zabijając dwóch Szlachetnie Urodzonych i rozrzucając większość pozostałych. Matryca bariery i portal wciąż istniały, ale zostały bardzo osłabione.

Porywisty wicher szarpał tych, którzy zostali w środku. Jeden z magów, ciśnięty w bok komnaty popełnił ten błąd, że się podniósł. Wiatr pochwycił jego obleczoną licznymi szatami postać i pchnął do tyłu.

Elf z żalosnym krzykiem runął do Studni w ślad za szczytem wieży.

Ulewny deszcz spadł na tych, którzy zostali w środku. Szlachetnie Urodzeni, którzy wciąż starali się ocalić zakłęcie, padli na kolana. Jednak nawet to niewiele im pomogło, tak gwałtowna była nawałnica.

Tylko dwie postacie opierały się żywiołom. Jedną był Malfurion, którego sennej postaci deszcz i wiatr nie mogły nic zrobić. Drugą zaś lord Xavius, chroniony nie tylko przez moc czerpaną ze Studni, ale także zło sącące się wciąż z mrocznego wiru.

– Imponujące! - krzyknął doradca. - Ale daremne, młody przyjacielu! Możesz czerpać tylko z mocy Studni... podczas gdy za mną stoi potęga boga!

Jego uwaga wywołała uśmiech Malfuriona. Lord doradca nie zdawał sobie jeszcze sprawy, z czym teraz walczy. Zakładał, że wciąż mierzy się z innym biegłym w sztuce czarodziejem.

– Nie, panie - odkrzyknął młodzieniec. - Pomyliło ci się! To ty masz za sobą moc Studni i domniemaną potęgę demona, który mieni się bogiem! Ja zaś... mam moc całego świata, który jest mi sojusznikiem!

Xavius parsknął.

– Dość tego bełkotu...

Malfurion poczuł, że doradca przyzywa ze Studni moce, jakich nikt wcześniej nie wzywał. Na chwilę zdjął go strach, ale służące mu siły podniosły go wnet na duchu.

– Ktoś musi cię powstrzymać - powiedział do doradcy. - Ty i istota, której służysz, musicie zostać zatrzymani.

Malfurion nigdy się nie dowiedział, jaki czar zamierzał rzucić lord Xavius. Zanim doradca zdążył go dokończyć, zaatakowały go żywioły. Pioruny biły w Xaviusa raz po raz, paląc go z zewnątrz i od wewnątrz. Jego skóra poczerniała i zaczęła złazić płatami, ale wciąż trzymał się na nogach.

Ulewa przeszła w oberwanie chmury, które wyładowało całą swoją wściekłość na przeciwniku Malfuriona. Xavius wydawał się topić na oczach młodzieńca, mięso i mięśnie odchodziły od kości... ale doradca wciąż usiłował dosięgnąć druida.

Nad ich głowami przetoczył się grom, grzmot tak głośny, że to, co zostało z wieży, zatrzęsło się, i kolejny Szlachetnie Urodzony wpadł w ciemne wody Studni. Grzmot tak głośny, że wstrząsnął Malfurionem do głębi jego jestestwa.

Grzmot tak głośny, że lord Xavius, doradca królowej i najważniejszy ze Szlachetnie Urodzonych - wybuchł.

Eksplodował, wyjąc jak jeden z piekielnych ogarów, a wycie było wciąż słychać, gdy jego odłamki rozsypały się w powietrzu. Chmura pyłu, która była kiedyś królewskim doradcą, zawirowała, miotana wściekłymi, przerażającymi podmuchami wichury.

Pozostali Szlachetnie Urodzeni opuścili wreszcie posterunek, uciekając przed gniewem tego, który zwyciężył ich budzącego grozę przywódcę. Malfurion pozwolił im umknąć, wiedząc, że jego siły zostały już i tak mocno nadszarpnięte, a została mu jeszcze jedna sprawa do załatwienia.

Bez trudu zlikwidował magiczną barierę, której nie strzegł już lord Xavius. Prosty gest młodego druida wystarczył, aby rozproszyć zły czar i usunąć wreszcie przeszkodę stojącą na drodze do przetrwania jego ludu. Modlił się tylko, żeby nie było już za późno.

W końcu zajął się portalem.

Był to tylko cień jego dawnej świetności, zwykła wyrwa w rzeczywistości. Malfurion patrzył na niego z niechęcią, wiedząc, że nie jest w stanie na zawsze odciąć swojego świata od drzemiącego w nim zła... ale mógł przynajmniej dać mu chwilę wytchnienia.

Odwlekasz tylko nieuniknione... powiedział głos, którego się obawiał. Pożrę twój świat... tak jak pożarłem wiele innych...

– Obyś się udławił - odpowiedział Malfurion.

Ponownie uwolnił żywioły.

Deszcz zmył cenny wzór, nad którym unosił się portal. Pioruny były jeden za drugim w sam środek luki, zmuszając czającą się w niej istotę, by wycofała się jeszcze głębiej. Wiatr dmuchał w osłabione zaklęcie, targając nim z siłą huraganu.

A ziemia... ziemia się zatrzęsała i wreszcie rozsypały się resztki fundamentów wysokiej wieży.

Pozbawiony cielesnej postaci Malfurion nie musiał się obawiać walącego się budynku. Pomimo rosnącego znużenia przyglądał się temu wszystkiemu, zdecydowany przekonać się na własne oczy, że nie będzie żadnego ulaskawienia w ostatniej chwili.

Podłoga się przekrzywiła. Przyrządy magiczne i szczątki tego, co zostało z murów, potoczyły się z hukiem w dół. Wszystkiemu towarzyszył straszliwy jęk.

Wieża runęła.

Portal skurczył się gwałtownie, znikając.

Jakieś ssanie chwyciło Malfuriona z zaskoczenia. Poczował, jak jakaś potężna siła ciągnie jego senną postać w stronę znikającą dziury.

Będę cię miał... rozległ się cicho złowrogi głos.

Nocny elf opierał się ze wszystkich sił, usiłując oddalić się od wyrwy. Pył przeleciał przez jego senną postać i wpadł do kurczącego się portalu. Za nim poleciał gruz.

Obciążenie stało się nieznośne. Był już coraz bliżej i bliżej...

Malfurionie!, zawołała Tyrande. *Malfurionie!*

Uczepił się jej wołania, traktując je jako punkt zaczepienia. Pod nim resztki wieży zatoneły w mrocznych odmętach Studni Wieczności. Został tylko Malfurion i maleńka, złowroga dziura w rzeczywistości.

Tyrande!, zawołał w myślach. Zamknął oczy, starając się ją sobie wyobrazić, usiłując do niej dotrzeć.

Mam cię... powiedział głos, którego nie potrafił zidentyfikować.

Świat wywinął kozła.



Mannoroth odczuł stratę. Mannoroth poczuł pustkę, jeszcze zanim do tego doszło.

Ogromny bestialski dowódca zatrzymał się na tyłach hordy, odwracając ohydny łeb w stronę wieży.

Wieży, której już nie było.

– Neeeeee! - zaryczał.



Rhonin poczuł to. Poczuł nagły przyływ energii, przyływ sił. Nagle wyobraził sobie, że jest w stanie budować światy, zdejmować gwiazdy z nieboskłonu i przestawiać je według własnego widzimisię. Był niezwyciężony, wszechmocny.

Zakłęcie odcinające ich od Studni Wieczności zostało zniweczone.

Natychmiast spojrział w stronę Illidana, sprawdzając, czy młodzieniec poczuł to samo. Nie miał się czego obawiać, bowiem Illidan z pewnością doświadczył takiego samego przyływu sił. Zresztą nie tylko Księżycowa Gwardia robiła wrażenie silnej i zwartej, ale i wszyscy pozostali obrońcy.

Studnia i nocne elfy byli jednym, uświadomił sobie czarodziej. Nawet ci, którzy nie potrafili czarować, byli z nią w pewnym stopniu połączeni. Jej utrata osłabiła ich na różne sposoby, choć nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Ale teraz Rhonin widział w każdym z nich, od lorda Ravencresta po najzwyczajszego żołdaka, nową pewność siebie i determinację. Teraz naprawdę uważali, że nie pokona ich żadna siła. Nawet Płonący Legion.

Zagrały rogi. Nocne elfy wydały z siebie gromki ryk nie ustępujący w niczym wcześniejszym okrzykom demonów. Demony w pierwszej linii zawahały się, nie do końca wiedząc, co oznacza ta nagła zmiana.

– Na nich! - wrzasnął Ravencrest.

Obrońcy rzucili się naprzód. Demony odkryły nagle, że ofiary zmieniły się w agresorów. Piekielne ogary zostały wymordowane, zanim zdążyły wrócić do hordy. Wojownicy o wielkich kłach padali jak muchy po każdym

celnym ciosie elfiego miecza. Agresywny napór Legionu został powstrzymany.

Illidan prowadził Księżycową Gwardię przeciwko najeźdźcom, wciąż skupiając ich wysiłki w swoich zaklęciach. Ziemia falowała pod stopami Płonącego Legionu, rozrzucając demony na boki, jak by były lekkie jak piórko. Kilku skrzydlatych strażników zagłady przelatujących nad głowami demonów stanęło w płomieniach, przeobrażając się w ogniste pociski siejące jeszcze większy chaos we własnych szeregach.

Rhonin też brał czynny udział w walce. Mając w pamięci tych wszystkich, którzy zginęli tego dnia, i tych wszystkich, którzy mieli zginąć w przyszłej wojnie, atakował raz za razem tych, którzy byli za to odpowiedzialni. Eredarski warlock, który nierozsądnie próbował stawić mu czoła, został oplątany własnymi szatami, które skręciły się tak ciasno, że przecięły go wpół. Potem Rhonin wystrzelił karzącą serię błękitnych błyskawic, które metodycznie wybijały magów przeciwnika, zostawiając tylko niewielkie kupki prochu.

Wśród budzących grozę wojowników po raz pierwszy wybuchło prawdziwe pandemonium. Nie takiej bitwy się spodziewali. Chcieli przelewać krew wrogów, a teraz ich samych czekała śmierć, co nawet dla demonów było przytłaczającą perspektywą.

Ich szeregi się załamywały. Nocne elfy parły naprzód.

– Mamy ich! - krzyczał lord Ravencrest. - Nie miejcie dla nich litości!

Jego krzyk jeszcze bardziej zmobilizował obrońców. Nie zważając na ogromny rozmiar przeciwników, nocne elfy kontynuowały natarcie.

A Rhonin i Illidan torowali drogę zwycięstwu. Czarodziej spojrział w niebo i zobaczył kilka dzikich infernali spadających na obrońców. Ogniste demony były jak zwykle zwinięte w kule, aby uderzając z siłą gładów powodować jeszcze większe spustoszenia.

Rhonin po raz pierwszy wykorzystał taktykę Illidana. Mogąc czerpać ze Studni, stworzył na niebie wielką złotą barierę, której infernale nie mogły ominąć. Jednak bariera nie była po prostu ścianą, bowiem Rhonin miał inny plan. Zakrzywił ją w taki sposób, aby te demony, które się z nią zderzyły, odbiły się w wybranym przez niego kierunku.

W sam środek ich własnej armii.

Nawet pioruny, którymi strzelał wcześniej w demony, nie mogły spowodować takich strat jak te przerażające behemoty. Ponad dwa tuziny infernali uderzyło w różne punkty w środku wrogiej armii, dziesiątkując jej szeregi i tworząc wielkie, dymiące kratery. Ciała wrogów poleciały we wszystkie strony, wpadając na innych i pomnażając straty.

Z oddali dobiegł czarodzieja triumfalny śmiech. Illidan klasnął w dłonie, zachwycony udanym zaklęciem człowieka, a potem wskazał palcem znękanego wroga.

Część lewej flanki Płonącego Legionu zatrzymała się nagle, wielu wojowników natychmiast zapadło się po kolana. Ziemia pod nimi nabrała konsystencji zupy i ciężkie, opancerzone postacie demonów zapadły się pod jej powierzchnię jak kamienie. Kilka usiłowało się wyrwać, ale w końcu wszyscy, którzy znaleźli się w zasięgu zaklęcia Illidana zniknęli.

Ruchem ręki młodzieniec ponownie utwardził ziemię, wymazując wszelki ślad po swoich ofiarach. Potem odwrócił się w stronę Rhonina i ukłonił przed nim zamasyście. Wyraz twarzy Rhonina się nie zmienił, mag kiwnął tylko głową. W końcu Illidan powstrzymał napór demonów. Wreszcie atakowany w tak brutalny sposób Płonący Legion zrobił jedyną rzecz jaka mu została - rzucił się do ucieczki.

Nikt nie odtrąbił odwrotu, nie wydał rozkazu. Demony zaczęły się po prostu cofać. Utrzymywały pozory porządku, ale widać było, że ich

dowódcom przychodzi to z trudem. Mimo to wciąż poruszali się za wolno jak na gust obrońców, którzy chcieli wykorzystać zwycięstwo w pełni.

Zwłaszcza Księżycowa Gwardia napawała się korzystnym obrotem sytuacji. Przede wszystkim polowali na piekielne ogary, zamieniając niektóre z nich w gryzonie, a inne w sękaty kawałki drewna. Kilka, uciekających z podkulonymi ogonami, aby schronić się wśród gwarantujących wątpliwe bezpieczeństwo własnych szeregów, zajęło się w biegu ogniem.

Tu i ówdzie ostały się punkty oporu, ale zostały szybko zlikwidowane przez pełnych zapachu żołnierzy. Wszędzie leżeli martwi piekielni gwardziści. Rhonin nie miał wątpliwości, że każdy nocny elf myśli o niezliczonych trupach, jakie Płonący Legion zostawił na swojej drodze. Wśród ofiar poległych w Zin-Azshari musieli mieć wielu przyjaciół i krewnych.

Ale jeden z powodów, dla których nocne elfy walczyły dalej, niepokoił czarodzieja. Nawet teraz Ravencrest wykrzyczał jej imię, zbierając wokół siebie oddziały.

– Za Azsharę! Za królową! Jedziemy jej z odsieczą!

Malfurion sugerował, że królowa jest tak samo zamieszana w rzeź jak jej doradca i Szlachetnie Urodzeni, i Rhonin podejrzewał, że to prawda. Ale mógł tylko liczyć na to, że prawda wyjdzie na jaw, kiedy - i jeśli - dotrą do pałacu.

Płonący Legion cofał się coraz bardziej, wkraczając w granice zrujnowanego miasta. Demony ginęły całymi grupami, od oręza lub zakłęb. Bitwa toczyła się nieprzerwanie, ziemię zaścielały trupy demonicznych najeźdźców.

Być może walka trwałaby nadal, być może przenieśliby ją do samego Zin-Azshari, a może nawet dotarliby do pałacu, ale kiedy dzień zwyciężył

nad nocą, obrońcy zatrzymali się wreszcie. Dali z siebie wszystko, ale nawet lord Ravencrest widział, że dalsza walka narażała nocne elfy na większe niebezpieczeństwo, niż mogli sobie pozwolić. Z niechęcią na twarzy rozkazał jednak odtrąbić koniec walki.

Gdy zagrały rogi, na twarzy Illidana pojawił się gniew. Próbował skłonić Księżycową Gwardię, aby ruszyła za nim, ale choć niektórzy okazali się chętni, wszyscy byli wyraźnie wyczerpani.

Rhonin też był wycieńczony. To prawda, mógł wciąż rzucać czary niosące zniszczenie, ale jego ciało pokrywał pot, a gdy poruszał się zbyt szybko, kręciło mu się w głowie. Miał coraz większe problemy z koncentracją...

Z wyjątkiem Illidana reszta nocnych elfów rozumiała, że nie mogą iść dalej - nie w świetle dnia - ale to w niczym nie umniejszało ich osiągnięć. To prawda, nie usunęli zagrożenia, ale przekonali się, że demony nie są niezwyciężone. Można je zabić. Można je zmusić do odwrotu.

Dowódca szybko wyszukał ochotników, którzy mieli objechać wszystkie zakątki elfiego królestwa w dwóch celach. Mieli zwerbować chętnych, aby stworzyć jeszcze większą armię, rozgałęzioną obronę, która stawi czoło następnemu atakowi Płonącego Legionu, który z pewnością nastąpi, a także zobaczyć, do jakich zniszczeń doszło w innych częściach kraju.

Oprócz tego szlachcic natychmiast oddał swojemu osobistemu czarodziejowi - Illidanowi - dowodzenie nad Księżycową Gwardią. Nie obyło się bez łagodnych protestów najstarszych ocalałych gwardzistów, ale prosta demonstracja mocy w postaci ostatniej eksplozji wśród cofających się demonów szybko uciszyła krytyków młodego czarodzieja.

Zadowolony ze swojej nowej pozycji Illidan odszukał Rhonina, aby mu o tym powiedzieć. Czarodziej kiwał uprzejmie głową, z jednej strony zastanawiając się, czy w młodości też podchodził do wszystkiego z takim

entuzjazmem, a z drugiej martwiąc, jak nowa pozycja Illidana wpłynie na jego osobowość. Illidan miał większy potencjał niż do tej pory ujawnił, ale jego lekkomyślność i brawura mogły uczynić z niego zagrożenie równie śmiertelne jak Płonący Legion. Rhonin obiecał sobie mieć oko na swojego towarzysza.

Gdy znów został sam, jedyny człowiek wśród nocnych elfów, przyjrzał się siłom zebranych przeciwko demonom. Ich zbroje lśniły w słońcu, nadając armii bohaterski wygląd. Wyglądali i zachowywali się tak, jak gdyby mogli pokonać najpotężniejszego wroga. Mimo to Rhonin zdawał sobie sprawę, że potrzebują o wiele większych sił, jeśli chcą wygrać ostateczne starcie. Historia mówiła, że zwycięstwo jest pewne, ale zbyt wiele czynników - w tym on sam - mogło zmienić jej przebieg. Co gorsza, Płonący Legion zdawał już sobie sprawę z magicznej mocy sprzymierzonej przeciwko niemu i teraz jeszcze bardziej skupi się na odnalezieniu jego i Illidana.

Rhonin był już we własnych czasach celem demonów i ich sojuszników. Nie uśmiechała mu się powtórka tej sytuacji.

A co z tym, który był odpowiedzialny za sukces nocnych elfów? Nie Rhonin. Nie Illidan. Nie Księżycowa Gwardia, lord Ravencrest i jego żołnierze. Żadne z nich nie było prawdziwym powodem ich zwycięstwa.

Co się stało z Malfurionem?, pomyślał znużony czarodziej, spoglądając ku mrocznemu Zin-Azshari i zdezorientowanej hordzie.

DWADZIEŚCIA CZTERY



Leżał nieruchomo, a co gorsza żadne z nich nie wyczuwało już nawet śladu więzi, jaką wcześniej z nim nawiązali. Tyrande trzymała głowę Malfuriona na kolanach, a miękka trawa pod resztą jego ciała służyła mu za łóżko.

– Czy straciliśmy go? - zapytał z zakłopotaniem Jared Shadowsong. Kapitan towarzyszył grupce aż do tego miejsca w głębi lasu, rzekomo po to, żeby mieć oko na więźnia, Krasusa. Nie brał udziału w ich czarach, a kiedy sytuacja uległa zmianie, skończył jako strażnik. Z niechętnego świadka stał się zaangażowanym towarzyszem, choć wciąż niewiele rozumiał z tego, co się wydarzyło.

– Nie! - odburknęła Tyrande. - To niemożliwe... - dodała bardziej przeproszającym tonem.

– Nie pachnie jak ktoś martwy - zahuczał Korialstrasz.

Jared Shadowsong patrzył krzywo za każdym razem, gdy Korialstrasz się odzywał. Musiał się jeszcze przyzwyczaić do obecności czerwonego smoka. W innej sytuacji mogłoby to nawet bawić Tyrande, ale nie w takich okolicznościach. Ona sama szybko zaakceptowała behemota, zwłaszcza odkąd wyczuła jakiś ukryty związek między nim a Krasusem. Wydawali się być prawie jak bracia albo bliźniacy. Na myśl o bliźniakach znów spojrzała w dół na Malfuriona.

Krasus chodził niespokojnie wokół nich. Teraz wyglądał znacznie zdrowiej i młoda kapłanka zauważyła, że efekt ten spotęgował się jeszcze, gdy w zasięgu jego wzroku znalazł się smok. Niestety poprawa zdrowia nie pomagała teraz w niczym bladej postaci, która wydawała się równie zmartwiona stanem Malfuriona jak ona - choć Krasus nie spotkał go nigdy wcześniej i po raz pierwszy zobaczył go w świątyni.

Brox klęczał naprzeciwko Tyrande, topór orka leżał obok jego złożonego niemocą przyjaciela. Głowę miał zwieszoną na pierś i słyszała, jak mamrocze coś, co brzmiało jak modlitwa.

– Cała okolica była naładowana potężnymi magicznymi siłami - mruknął sam do siebie Krasus. - Mogły rozproszyć fragmenty jego magicznej istoty na wszystkie strony świata. Może uda mu się zebrać w sobie... ale szanse na to...

Kapitan Shadovsong popatrzył po pozostałych.

– Wybaczcie to aroganckie pytanie, ale czy przynajmniej osiągnął swój cel?

Postać w kapturze odwróciła się do niego z kamiennym wyrazem twarzy.

– Tak. Modłę się, by to wystarczyło.

– Przestań tak mówić... - obruszyła się Tyrande. Otarła łzę z oka, a potem spojrzała w słoneczne niebo. Pomimo jasności nie odwracała wzroku. - Elune, Księżycowa Matko, wybacz swej służce, że zakłóca ci odpoczynek! Nie proszę, by do nas wrócił... ale przynajmniej odpowiedz nam, jaki los go spotkał!

Ale żaden wspaniały blask nie spłynął na Malfuriona. Księżyc nie pojawił się nagle i nie przemówił do nich.

– Może będzie lepiej, jeśli przeniesiemy go z powrotem do świątyni - podsunął kapitan gwardii. - Może tam łatwiej jej będzie go usłyszeć...

Tyrande nie zadała sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć.

Krasus zatrzymał się nagle. Popatrzył na południe, gdzie las gęstniał. Zmrużył oczy i wyduł usta z irytacją.

– Wiem, że tam jesteś.

– A ja wiem, kim ty jesteś - odparł gromki głos.

Najbliższe drzewa zlały się nagle ze sobą, tworząc postać, której dolna połowa ciała należała do wielkiego jelenia, a tors, ręce i twarz bardziej przypominały pobratymców Tyrande i Jareda.

Z zaciśniętymi pięściami Cenarius ruszył powoli w stronę zgromadzonych. Spojrzenia jego i Krasusa spotkały się na chwilę, po czym obaj kiwnęli z szacunkiem głowami.

Władca lasu podszedł do miejsca, gdzie Tyrande podtrzymywała Malfuriona. Brox z szacunkiem ustąpił mu miejsca, a kapitan gwardii stał jak wryty z rozdziawionymi ustami.

– Córkę mojej drogiej Elune, twoje łzy wzruszyły niebo i ziemię.

– Płacę po nim, panie... ty też go kochałeś.

Cenarius kiwnął głową. Ugiął przednie nogi, jak gdyby chciał klęknąć, i dotknął delikatnie czoła Malfuriona.

– Traktuję go jak syna... cieszy mnie więc, że ma kogoś takiego jak ty, komu jest równie bliski...

– Ja... przyjaźnimy się od dzieciństwa.

Władca lasu zachichotał, a jego śmiech przywołał ptaki śpiewające i sprawił, że chłodny, orzeźwiający wietrzyk musnął policzki wszystkich obecnych.

– Tak, słyszałem twoje prośby zanoszone do Elune, zarówno na głos, jak i w duchu.

Tyrande nie ukrywała swojego zawstydzienia.

– Ale na nic się to nie zdało.

Na jego twarzy odmalowało się szczere zdumienie.

– Tak pomyślałaś? Po co więc przybyłem tutaj?

Pozostali zastygli. Nowicjuszka pokręciła głową.

– Nie rozumiem!

– Bo wciąż jesteś młoda. Poczekaj, aż dożyjesz mojego wieku... - To powiedziawszy, Cenarius otworzył lewą dłoń.

We wnętrzu jego dłoni pojawił się szmaragdowy blask. Unosił się kilka cali nad nią, jak gdyby się orientował. Półbóg wstał i odsunął się od swojego ucznia, żeby mu się przyjrzeć.

– Wkroczyłem w Szmaragdowy Sen, aby poznać odpowiedzi na wiele straszliwych pytań. Starłem się dowiedzieć, jak poradzić sobie z tymi wysłannikami śmierci... - łagodny uśmiech przeniknął przez jego brodatą twarz. - ...i wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy odkryłem, że w Szmaragdowym Śnie unosi się ktoś, kogo znam... ale bardzo oszołomiony i odurzony. Nie wiedział nawet, kim jest, nic więc dziwnego, że nie poznał mnie!

I kiedy Cenarius skończył, blask spłynął na Malfuriona, wsiąkając w jego głowę.

Nocny elf otworzył oczy.



– Malfurionie!

Głos Tyrande był pierwszą rzeczą, jaka do niego dotarła, więc szybko uchwycił się go jak liny ratunkowej. Wyciągał się z otchłani nieświadomości ku jasnemu, pokrzepiającemu światłu.

A kiedy otworzył oczy, zobaczył Tyrande w porannym słońcu. O dziwo, słoneczny blask nie raził go, mało tego, ukazał mu Tyrande w takiej krasie, że początkowo nie mógł w to uwierzyć.

Prawie jej to powiedział, ale obecność innych kazała mu ukryć swoje uczucia. Zadowolił się dotknięciem jej dłoni, a potem skłonił się pozostałym.

– Bba...riera - zaskrzeczał jak żaba. - Czy...

– Zniszczona - odpowiedziała osoba, która była i nie była nocnym elfem. Z pewnością był to Krasus. - Udało nam się poskromić Płonący Legion... przynajmniej w jednym miejscu.

Malfurion kiwnął głową. Wiedział, że wojna jeszcze się nie skończyła, że jego ludowi wciąż grozi zagłada. Ale to nie umniejszało zwycięstwa, jakie odnieśli tej nocy. Wciąż jeszcze była nadzieja.

– Będziemy z nimi walczyć - obiecała Tyrande. - Ocalimy nasz świat.

– Można ich pokonać - zgodził się Brox, potrząsając dumnie orężem, który młody druid pomógł mu stworzyć. - To wiem.

Krasus pozostawał bardziej pragmatyczny.

– Można... ale będziemy potrzebować pomocy. Będziemy potrzebować smoków.

– Nie tylko smoków! - zagrział Cenarius. - I wyruszam, by o to zadbać! - Cenarius zaczął się oddalać, ale obdarzył jeszcze Malfuriona ostatnim uśmiechem. - Jestem z ciebie dumny, mój *thero'shan*... mój czcigodny uczniu.

– Dziękuję, shan'do. - Patrzył, jak półbóg ponownie rozmywa się wśród drzew.

– Czy teraz wrócimy do Suramaru? - zapytał elf w stroju kapitana gwardii. Malfurion nie przypominał go sobie, ale zakładał, że pozostali mieli jakiś powód, aby go tu przyprowadzić.

– Tak - powiedział Krasus. - Wracamy do Suramaru.

Tyrande pomogła Malfurionowi wstać.

– Ale na krótko. Portal, przez który dostawały się tu demony, został zniszczony, ale, w przeciwieństwie do bariery Szlachetnie Urodzeni mogą go z łatwością otworzyć ponownie. Obawiam się, że przybędzie ich jeszcze więcej.

Wszyscy przyznali mu rację. Malfurion popatrzył w kierunku Zin-Azshari. Do jego krainy zawitało straszliwe zło, które należało powstrzymać, zanim zniszczy, wszystko na swojej drodze. Malfurion odegrał ważną rolę w powstrzymaniu pierwszego natarcia Płonącego Legionu i z powodów, których sam nie potrafił wyjaśnić, nie wątpił, że znów będzie pomagał powstrzymać demony przed unicestwieniem jego ukochanego Kalimdor.

Modlił się tylko, aby być gotowym, kiedy nadejdzie ten czas... inaczej nie tylko Kalimdorowi, ale całemu światu groziła zagłada.

**KOLEJNY TOM:
DUSZA DEMONA**

WARCRAFT

WOJNA STAROŻYTNYCH
KRYLOGIA



KSIEGA DRUGA

DUSZA DEMONA

RICHARD A. KNAAK